

THRILLER

UKOCHANE

ROMY HAUSMANN

DZIECKO

MOŻESZ UCIEC,
ALE ON NIGDY
NIE POZWOLI
CI ODEJŚĆ



W
ydawnic
two ab

ROMY
HAUSMANN

UKOCHANE DZIECKO

przełożyła Agata Teperek



Tytuł oryginału: *Liebes Kind*

Copyright © 2019 dtv Verlagsgesellschaft mbH & Co. KG, Munich/Germany

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII

Copyright © for the Polish translation by Agata Teperek, MMXXII

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

Noc wypadku

Dwa tygodnie później

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Dla Cateriny, oczywiście

„Nie ma nic smutniejszego od śmierci iluzji”

Arthur Koestler

W Monachium zaginęła studentka (23 I.)

Monachium (LR) – Monachijska policja prosi o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu Leny Beck (23 I.), zamieszkałej w Monachium-Haidhausen. Według zeznań świadków studentka bawiła się w nocy ze środy na czwartek do godziny ok. 5 rano na imprezie w dzielnicy Maxvorstadt. Wracając do domu, rozmawiała jeszcze przez telefon z przyjaciółką. Od tamtej pory jej komórka jest wyłączona. Poszukiwania prowadzone przez policję w piątek na terenie miasta nie przyniosły żadnych rezultatów. Lena Beck ma 165 cm wzrostu, filigranową posturę i jasne włosy sięgające ramion. Po raz ostatni widziano ją w srebrzystej bluzce, czarnych dżinsach, czarnych butach i granatowym płaszczu.

Pierwszego dnia tracę poczucie czasu, swoją godność i trzonowca. Zyskuję za to dwoje dzieci i kota. Nie pamiętam ich imion, z wyjątkiem imienia kota – Panna Tinky. Mam też męża. Jest wysoki, o krótkich ciemnych włosach i szarych oczach. Obserwuję go ukradkiem, siedzę tuż obok niego na wysiedzianej kanapie. Obejmuje mnie, a stłuczenia i rany, które ciągną się przez moje plecy, z góry na dół, pulsują tak, jakby każde miało własne bijące serce. Rana na czole mnie piecze. Co jakiś czas robi mi się przed oczami ciemno lub, dla odmiany, widzę jasne błyski. Wtedy staram się po prostu dalej oddychać.

Trudno stwierdzić, czy faktycznie zapadł już wieczór, czy tylko on tak zdecydował. Okna są zastawione płytami izolacyjnymi. To mój mąż wyznacza dzień i noc. Jak Bóg. Próbuję przekonać samą siebie, że najgorsze mam już za sobą, podejrzewam jednak, że wkrótce udamy się razem do łóżka. Dzieci włożyły już piżamy. Ta chłopca wydaje się trochę za mała, za to rękawy piżamy dziewczynki są za długie i zwisają jej daleko poza nadgarstki. Dzieci klęczą na podłodze kilka kroków od kanapy i grzeją ręce ostatkiem ciepła z pieca opalanego drewnem. Drewno się wypaliło i ogień zgasł; pozostała czarna kupka popiołu, przez którą przebiegają tylko pojedyncze żarzące się jaskrawoczerwono żyłki. W tej jakże osobliwej sytuacji podobne głosy dzieci mieszają się w radosną paplaninę. Nie rozumiem, o czym dokładnie mówią. Słyszę je jak przez watę i łamię sobie głowę, jak zabić ich ojca.

Noc wypadku

Hannah

Na początku idzie łatwo. Prostuję plecy i biorę głęboki wdech. Wsiadam do karetki, jedziemy. Panom w pomarańczowych kurtkach mówię, jak mama ma na imię i że jej grupa krwi to AB Rh minus. AB Rh minus to najrzadsza grupa krwi, charakteryzuje ją brak przeciwciał grup A i B. To znaczy, że mamie można przetoczyć krew dowolnego dawcy. Wiem to, bo na lekcji rozmawialiśmy o grupach krwi. I dlatego że napisano tak w grubej książce. Wydaje mi się, że wszystko zrobiłam dobrze. Dopiero kiedy przypadkiem na myśl przychodzi mi mój brat, zaczyna drżeć mi kolano, prawe. Jonathan z pewnością będzie się beze mnie bał.

Skup się, Hanno. Jesteś już dużą dziewczynką.

Nie, dzisiaj jestem mała i głupia. Jest zimno, zbyt jasno i pika. Pytam, skąd się bierze to pikanie, i jeden z panów w pomarańczowych kurtkach wyjaśnia:

– To serce twojej mamy.

Jeszcze nigdy nie pikało, serce mojej mamy.

Skup się, Hanno.

Podczas jazdy kołysze, zamykam oczy. Serce mamy pika.

Krzyknęła, rozległ się huk. Jeśli jej serce przestanie teraz pikać, będzie to ostatnie, co od niej usłyszę: krzyk i huk. I nawet nie powiedziała mi „dobranoc”.

Karetką lekko podskakuje, po czym przystaje.

– Jesteśmy na miejscu – mówi pan. Ma na myśli: w szpitalu.

Szpital to budynek, w którym udziela się pomocy medycznej osobom chorym lub takim, które doznały jakiegoś urazu.

– No chodź już, dziewczynko – popędza mnie pan.

Nogi niosą mnie jak automat, tak szybko, że nie dają już nawet rady liczyć kroków. Podążam za panami w kurtkach, kiedy przejeżdżają terkoczącymi noszami przez duże szklane drzwi, nad którymi jasno świeci się napis „Szpitalny Oddział Ratunkowy”, a potem prowadzą je dalej długim korytarzem. Nagle, jak na komendę, z prawej i lewej zaczyna się roić od pomocników, a podniecone głosy się przekrzykują.

– Nie możesz tutaj wejść – mówi gruby pan w zielonym kitlu i odpycha mnie na bok, kiedy docieramy do kolejnych dużych drzwi na końcu długiego korytarza. – Przyślemy tu kogoś, żeby się tobą zajął. – Jego palec wskazujący wędruje w stronę rzędu krzeseł pod ścianą. – Na razie sobie tam usiądź.

Chcę coś powiedzieć, ale słowa grzęzną mi w gardle, a ten pan już dawno się odwrócił i zniknął za drzwiami wraz z resztą pomocników. Liczę krzesła pod ścianą – siedem. Gruby pan w zielonym kitlu nie powiedział, na którym mam usiąść. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczynam obgryzać paznokiec kciuka.

Skup się, Hanno. Jesteś już dużą dziewczynką.

Siedzę z przyciągniętymi do klatki piersiowej kolanami na środkowym krześle i z dolnej części sukienki wyciągam sosnowe igły i brązowe kawałeczki kory. Dość mocno się dziś ubrudziłam. Znowu przychodzi mi do głowy Jonathan. Biedny, mały Jonathan został w domu i musi sprzątać. Wyobrażam go sobie płaczącego, bo nie wie, jak usunąć plamy z dywanu w salonie. Jestem pewna, że w pakamerze są odpowiednie preparaty czyszczące, tylko że tata zabezpieczył drzwi do niej dwoma kłódkami. Środek ostrożności, mamy ich całkiem sporo. Ostrożności w końcu nigdy za wiele.

– Halo? – Kobięcy głos.

Zrywam się z krzesła.

– Jestem siostra Ruth. – Kobieta uśmiecha się i chwyta moją rękę, żeby ją uścisnąć.

Mówię jej, że mam na imię Hannah i że Hannah to palindrom. Palindrom to takie słowo, które od przodu i od tyłu czyta się identycznie. Na dowód tego literuję jej swoje imię, najpierw od przodu, potem od tyłu. Siostra Ruth wciąż się uśmiecha i zapewnia:

– Rozumiem.

Jest starsza od mamy, lekko przy kości i ma już siwe włosy. Na jasnożółty fartuch wciągnęła kolorowy sweter zrobiony na drutach; wygląda na bardzo ciepły, przymocowana jest do niego przypinka z twarzą pandy. Napisano na niej „Be happy”. To po angielsku i znaczy tyle co „Bądź szczęśliwy”. Drżą mi kąciki ust.

– Nie masz butów, moje dziecko – mówi siostra Ruth, a ja wysuwam duży palec lewej stopy przez dziurkę w rajstopach. W jeden z dobrych dni mama już ją w tym miejscu cerowała. Z pewnością zmyłaby mi teraz głowę, gdyby się dowiedziała, że znów zniszczyłam rajstopy.

Siostra Ruth wyjmuję z kieszeni fartucha chusteczkę, bo myśli, że płacę. Z powodu dziury w rajstopach albo z powodu mamy. Nie mówię jej, że tak naprawdę oślepia mnie zbyt mocne światło jarzeniówki na suficie, jedynie:

– Dziękuję, to bardzo miło z pani strony.

Zawsze trzeba mówić „proszę” i „dziękuję”. Ja i mój brat zawsze mówimy „dziękuję”, gdy mama daje nam po batoniku, mimo że wcale ich nie lubimy. Nie smakują nam. Są jednak istotne ze względu na witaminy. Wapń, potas i magnez oraz witaminy z grupy B niezbędne dla prawidłowej przemiany materii i powstawania krwinek. Jemy trzy batoniki dziennie, chyba że skończą się zapasy. Wtedy marzymy o tym, żeby tata wrócił do domu i po drodze zrobił zakupy.

Biorę chusteczkę, wycieram oczy i wydmuchuję w nią nos, po czym oddaję ją siostrze Ruth. Nie wolno zatrzymywać niczego, co nie należy do

nas. To kradzież. Siostra Ruth śmieje się i chowa chusteczkę z powrotem do fartucha. Oczywiście pytam też o mamę, ale siostra Ruth mówi tylko:

– Jest w najlepszych rękach.

Wiem, że to w zasadzie żadna odpowiedź, nie jestem głupia.

– Kiedy mogę ją zobaczyć? – pytam, ale na to też nie otrzymuję odpowiedzi.

Zamiast tego siostra Ruth mówi, że zaraz pójdziemy do pokoju socjalnego zobaczyć, czy są tam jakieś laczki, które mogę włożyć. Laczki to tyle co kapcie. Jonathan i ja też mamy chodzić po domu w kapciach, bo podłoga słabo się nagrzewa, ale przeważnie o tym zapominamy i brudzimy skarpetki. Mama się wścieka, bo daleko jeszcze do dnia robienia prania, a tata wścieka się na nią, że niestarannie wyczyściła podłogę. Czystość jest ważna.

Pokój socjalny to duże pomieszczenie – od drzwi do przeciwległej ściany liczy co najmniej pięćdziesiąt kroków pomiarowych. Pośrodku stoją trzy stoły z czterema krzesłami każdy. Trzy razy cztery to dwanaście. Jedno z krzeseł stoi krzywo. Ten, kto na nim siedział, nie dosunął go porządnie do stołu, kiedy wychodził. Miejmy nadzieję, że nie uszło mu to płazem. Pilnowanie porządku też jest ważne. Lewą ścianę zapełniają metalowe szafki z mnóstwem zamykanych przegródek, niemal ze wszystkich wystają małe kluczyki, stoi tam też łóżko na antresoli, również zrobione z metalu. Na wprost są dwa duże okna, przez które widać noc. Czarną i bezgwiazdną. Po prawej znajduje się aneks kuchenny. Na blacie stoi nawet czajnik. Gorąca woda może być bardzo niebezpieczna. Przy temperaturze czterdziestu pięciu stopni dochodzi do poparzenia skóry. Od sześćdziesięciu stopni białko w komórkach skórnych się ścina, przez co obumierają. Woda w czajniku grzeje się do stu stopni. W domu też mamy czajnik, ale go zamykamy.

Siostra Ruth mówi:

– Usiądź sobie grzecznie.

Trzy razy cztery to dwanaście. Dwanaście krzeseł, muszę się zastanowić. Rozprasza mnie bezgwiezdna czerń za oknami.

Skup się, Hanno.

Siostra Ruth podchodzi do szafki, po czym po kolei otwiera i zamyka przegródki. Kilka razy wydaje z siebie przeciągłe „hmm”; między każdym „hmm” stuka metalowymi drzwiczkami. Spogląda w moją stronę przez ramię i powtarza:

– Tak, usiądź sobie grzecznie, moje dziecko.

Najpierw sobie myślę, że powinnam zająć krzesło, które i tak już krzywo stoi. Ale to nie byłoby w porządku. Każdy musi sam po sobie sprzątać. Brać za siebie odpowiedzialność. *Jesteś dużą dziewczynką, Hanno.* Kiwam głową w pustkę i potajemnie wyliczam: „Ene, due, rabe”. Zostaje tylko krzesło, z którego widać drzwi i które oczywiście porządnie dosunę do stołu; później, gdy siostra Ruth powie, że już koniec siedzenia.

– Są trochę za duże. – Uśmiecha się, odwracając się do mnie z parą różowych plastikowych kłapek w dłoni. – Ale lepszy rydz niż nic. – Stawia mi buty przed stopami i czeka, aż je w nie wsunę. – Posłuchaj mnie, Hanno – mówi, zdejmując zrobiony na drutach sweter. – Twoja mama nie miała torebki, kiedy doszło do wypadku. A to znaczy, że nie znaleźliśmy jej dowodu ani żadnych innych dokumentów. – Chwyta mnie za rękę, trzymając ją wyprostowaną i wciąga mi na nią rękaw swetra. – Nie mamy ani jej nazwiska, ani adresu. I niestety nie wiemy, z kim się skontaktować w tym nagłym wypadku.

– Ma na imię Lena – pomagam, tak jak wcześniej w karetce. Zawsze trzeba być skorym do pomocy. Z bratem pomagamy mamie zawsze, gdy trzęsą się jej palce. Albo kiedy znów coś zapomni, na przykład nasze imiona, albo kiedy pora iść do toalety. Idziemy razem z nią, żeby nie spadła z sedesu ani nie zrobiła żadnego innego głupstwa.

Siostra Ruth przeszła już do drugiego rękawa. Po moich plecach rozchodzi się przyjemne ciepło, które zostało jeszcze w swetrze.

– Tak – mówi. – Lena, cudownie. Lena bez nazwiska. Tak zapisał ratownik. – Kiedy wzdycha, wyczuwam jej oddech. Pachnie pastą do zębów. Odciąga moje krzesło, które szura po podłodze, aż siedzę tak, że może przede mną kucnąć, nie uderzając przy tym głową o krawędź stołu. Krawędź stołu może być bardzo niebezpieczna. Mama często uderza o nią głową, gdy miewa ataki.

Siostra Ruth zapina mi sweter. Na udzie odwzorowuję palcem zygzakowaty wzór jej przedziałka. Kreska w prawo, prosto, w lewo, prosto, jeszcze raz w lewo, jak krzywa błyskawica. Siostra Ruth jakby wyczuła moje spojrzenie na skórze głowy, bo nagle podnosi wzrok.

– Czy jest ktoś, do kogo możemy zadzwonić, Hanno? Może do twojego taty? Czy znasz może wasz numer telefonu?

Kręcę głową.

– Ale masz tatę?

Przytakuję.

– I on też z wami mieszka? Z tobą i mamą?

Znów kiwam głową.

– Nie zadzwonimy do niego? Powinien chyba wiedzieć, że mama miała wypadek i że jesteście w szpitalu. Będzie się martwił, jeśli ot tak nie wrócicie do domu.

Kreska w prawo, prosto, w lewo, prosto, jeszcze raz w lewo, jak krzywa błyskawica.

– Powiedz mi, Hanno, byłaś już kiedyś w szpitalu? A może twoja mama już była, może nawet tutaj? Wtedy moglibyśmy poszukać waszego numeru w naszym supersprytnym komputerze.

Kręcę głową.

– W razie czego otwarte rany można też sterylizować moczem. Działa dezynfekcyjnie, powoduje krzepnięcie białek i łagodzi ból, koniec.

Siostra Ruth bierze mnie za rękę.

– No dobrze, Hanno, wiesz co? Zrobię nam teraz herbaty, a potem jeszcze sobie trochę pogawędzimy, ty i ja. Co ty na to?

– Pogawędzimy o czym?

Hannah

Powinnam coś powiedzieć o mamie, ach, ale na razie nic nie przychodzi mi do głowy. Ciągłe tylko myślę o głośnym huk, który rozległ się, kiedy samochód uderzył w mamę, i o tym, jak potem, mrugając, leżała w świetle reflektorów na zimnej, twardej ziemi z kompletnie powykręcanyimi rękami i nogami. Skóra mamy była zbyt blada, a krew, która sączyła się z wielu małych ran na twarzy, zbyt czerwona. Karminowoczerwona. Podczas uderzenia szybka reflektora rozbiła się dokładnie na środku jej twarzy. Usiadłam na poboczu, zamknęłam oczy i co jakiś czas tylko ukradkiem mrugałam, aż karetka zamigotała w ciemności na niebiesko.

Ale tak naprawdę nie muszę o tym wszystkim mówić siostrze Ruth. Od dawna wie, że mama miała wypadek. Inaczej w ogóle by nas tu nie było. Siostra Ruth przygląda mi się. Wzruszam tylko ramionami i wsuwam trzęsącą się grudkę do herbaty. Dzika róża, wyjaśniła mi siostra Ruth i powiedziała, że jej córce, gdy była mała, najbardziej smakowała herbata z dzikiej róży.

– I obowiązkowo z dużą łyżką miodu. Była prawdziwym słodkolubkiem.

„Słodkolubek”. Nie sądzę, żeby takie słowo naprawdę istniało, ale mi się podoba.

– Moja córka ma na imię Nina – ciągnie siostra Ruth. – Jak Nina Simone, bardzo znana piosenkarka jazzowa. *My baby don't care for show* – zaczyna nucić, niezbyt ładnie. – *My baby don't care for show. My baby just cares for me.* Słyszałaś kiedyś?

Kręcę głową.

– Powinnam się była domyślić. – Śmieje się. – W twoim wieku pewnie nie słucha się takiej muzyki. Albo może ja źle śpiewam. W każdym razie, kiedy moja Nina była taka mała jak ty, prawie codziennie chodziłyśmy na plac zabaw, jeśli tylko pogoda była w miarę. Jeśli nie, układaliśmy w domu puzzle lub piekłyśmy ciasteczka. O Boże, niczego tak nie lubiła jak wyjadać ciasto prosto z miski. I zwykle zjadała go tyle, że potem starczało raptem na pół blachy. – Siostra Ruth wciąż się śmieje. Myślę, że bardzo kocha swoją córkę.

– My też układamy puzzle – mówię. – Ale nie pieczemy ciasteczek. Mama bywa czasem taką niezdarą, że lepiej, żeby się nie zbliżała do kuchenki.

Przerażona zasłania usta ręką. Nie powinnam nazywać mamy niezdarą.

– Hanno?

Zawsze należy okazywać szacunek rodzicom.

– Myślę, że naprawdę musimy pilnie porozmawiać z twoim tatą – mówi siostra Ruth. – Zastanów się, może mimo wszystko pamiętasz numer do domu.

– Nie mamy telefonu.

– To może chociaż adres? Nazwę ulicy, przy której mieszkacie? Moglibyśmy posłać kogoś po twojego tatę.

Bardzo powoli kręcę głową. Siostra Ruth po prostu nie rozumie.

– Nie możemy przecież zostać znalezieni – szepczę.

Lena

Powietrze tuż po deszczu. Pierwszy i ostatni kawałek czekolady, zawsze smakujący najlepiej. Zapach frezji. Album Low Davida Bowiego. Currywurst po długiej nocy. Długa noc. Bzyczenie grubego trzmiela. Wszystko, co robi słońce, bez względu na to, czy wschodzi, czy zachodzi, czy po prostu świeci. Błękitne niebo. Szare niebo. Czarne niebo. Jakikolwiek niebo. Sposób, w jaki mama

przewraca oczami, gdy spontanicznie wpada w odwiedziny, a naczynia stoją brudne. Stara kanapa-huśtawka w ogrodzie dziadków, to, jak piszczy, gdy ktoś się na niej buja – brzmi przy tym tak, jakby śpiewała jakąś dziwną piosenkę. Głupie obciążniki do obrusów, które wyglądają jak truskawki i cytryny. Letni wiatr na twarzy i we włosach. Morze, jego szum. Drobnny biały piasek między palcami stóp...

– Kocham cię – jęczy, odsuwając swoje lepkie ciało od mojego.

– Ja ciebie też – mówię cicho i zwijam się jak umierający jeleń.

– ...wielokrotne złamanie lewych żeber od drugiego do czwartego. Krwiak podokostnowy...

Hannah

– Czy to znaczy, że nie chcesz mi powiedzieć, gdzie mieszkacie?

Siostra Ruth się uśmiecha, ale nie jest to prawdziwy uśmiech, raczej półuśmiech. Taki tylko jednym kącikiem ust, prawym.

– Moja córka też uwielbiała takie zabawy, kiedy była jeszcze mała.

– Nina – mówię, żeby siostra Ruth wiedziała, że uważnie jej słucham.

Zawsze trzeba uważnie słuchać. – Słodkolubek.

– Dokładnie, słodkolubek. – Kiwa głową, odstawia filiżankę i pochyła się mocniej nad stołem. – I takie zabawy są oczywiście fajne. Ale wiesz co, Hanno, niestety czasem nie każdy moment jest na nie odpowiedni. Nie, jeśli sprawa jest poważna. Jeśli ktoś ulegnie wypadkowi i trafi do szpitala, trzeba powiadomić członków jego rodziny. Mamy taki obowiązek.

Staram się nie mrugać, gdy patrzy na mnie w taki szczególny sposób. Chcę, żeby to ona mrugnęła jako pierwsza. Bo wtedy przegra.

– Czasem, gdy ktoś jest ciężko ranny, tak jak twoja mama, ktoś inny musi podjąć za niego ważne decyzje.

Kto pierwszy mrugnie, ten przegrywa; na tym polega ta zabawa.

– Decyzje, których poszkodowany lub poszkodowana nie może podjąć w danej chwili samodzielnie. Rozumiesz, Hanno?

Siostra Ruth przegrała.

– No dobrze – wzdycha.

Zasłaniam usta dłonią i skubię dolną wargę, żeby nie widziała, że się uśmiecham. Nie wolno się z nikogo śmiać, nawet jeśli przegra w zabawie w mruganie.

– Pomyślałam sobie, że chwilę porozmawiamy, zanim przyjedzie policja.

Policja to organ wykonawczy państwa. Jej zadanie polega na badaniu podlegających karze i sprzecznych z prawem występków. A czasem też przychodzi zabrać dzieci rodzicom. Albo rodziców dzieciom.

– Przyjedzie policja?

– To najzupełniej normalne. Trzeba wyjaśnić, jak doszło do wypadku, w którym twoja mama została ranna. Wiesz, co to znaczy „ucieczka z miejsca wypadku”, Hanno?

– Wyrażenie „uciec z miejsca wypadku” oznacza nieuprawnione oddalenie się z miejsca zdarzenia jednego z uczestników ruchu, po tym jak z jego winy doszło do wypadku, koniec.

Siostra Ruth kiwa głową.

– To przestępstwo, które policja musi zbadać.

– Czy ten pan, który tam wtedy był, będzie miał kłopoty?

Siostra Ruth mruży oczy.

– A więc to mężczyzna prowadził samochód, tak? Dlaczego pytasz, Hanno?

– Bo był miły. O wszystko się zatroszczył i zadzwonił pod sto dwanaście. Powiedział, że wszystko będzie dobrze. I dał mi kurtkę, kiedy czekaliśmy na karetkę, a mnie było zimno. W zasadzie odjechał tuż przed jej przyjazdem. Myślę, że był tak samo przerażony jak mama i ja.

Nie chcę już teraz patrzeć na siostrę Ruth.

– A poza tym to nie była jego wina, że doszło do wypadku – mówię mysim głosem. Tata wymyślił mysi głos na złe dni mamy, bo uważał, że mama będzie się denerwować, jeśli będziemy rozmawiać zbyt głośno. „Mama potrzebuje odpoczynku”, stale powtarzał. „Mama nie radzi sobie dziś zbyt dobrze”.

– Co masz na myśli, Hanno? – Wygląda na to, że siostra Ruth też zna mysi głos, bo mówi teraz w taki sam sposób. – Czyja to więc wina?

Muszę się zastanowić, jak to powiedzieć.

Skup się, Hanno. Jesteś już dużą dziewczynką.

– Moja mama już wcześniej robiła omyłkowo różne głupstwa.

Siostra Ruth wygląda na zaskoczoną. Do zaskoczenia dochodzi wtedy, gdy słyszy się coś lub doświadcza czegoś nieoczekiwanego. Może to być coś miłego, na przykład prezent, który się dostaje, chociaż nie ma się urodzin. Moja kotka Panna Tinky też była takim zaskoczeniem. Kiedy tata wrócił do domu i powiedział, że coś mi przyniósł, myślałam o nowej książce lub grze planszowej, w którą moglibyśmy grać razem z Jonathanem. Ale on pokazał mi Pannę Tinky. Od tamtej pory należała już tylko do mnie, wyłącznie do mnie.

Ale zaskoczenie może też oznaczać coś złego. Mama wybiegająca z domu w środku nocy to coś bardzo złego. Wolę szybko pomyśleć o czymś przyjemnym. O Pannie Tinky i jej miękkim rudym futerku w prążki, które zawsze tak przyjemnie się nagrzewa, kiedy siedzimy na podłodze przed piecem opalanym drewnem, ona na moich kolanach, moje dłonie na jej futerku, mój zimny nos wciska się w jej ciepłą szyję, do tego jej słodkie małe łapki.

– Hanno?

Nie chcę. Chcę myśleć o Pannie Tinky.

– Masz jakieś problemy w domu, Hanno?

Mama szczególnie lubi Pannę Tinky. Już kilka razy nawet ją podeptała.

– Masz może jakieś problemy z mamą?

I jest niezdarna bez względu na to, co mówi tata. Bez jego pomocy nie jest w stanie nawet napalić w piecu.

– Hanno?

Kiedyś było u nas zimno przez ponad tydzień i tak marzliśmy, że odczuwaliśmy tylko zmęczenie. Ale bądź co bądź jest moją mamą. A kiedy o niej myślę, to wiem, że ją kocham. Miłość jest podobna do szczęścia. To takie bardzo ciepłe uczucie, które sprawia, że człowiek się śmieje, tak po prostu, chociaż nikt nie żartował. Tak jak siostra Ruth się śmieje, gdy mówi o Ninie. Słodkolubku.

– Moje dziecko, proszę cię, porozmawiaj ze mną!

– Nie chcę, żeby policja przyjechała i zabrała mi mamę! – To mój lwi głos.

Hannah

Czasem gramy w taką grę, mój brat i ja. Nazywa się „Jakie to uczucie?”. Gramy w nią już od dawna. Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że odkąd mama powiedziała nam po raz pierwszy o szczęściu.

„Szczęście to szczególnie korzystny zbieg okoliczności, pomyślne zrządzenie losu, koniec”. Tak przeczytałam w grubej książce, która wszystko wie. Jonathan – jak zawsze, gdy czytam odpowiedni fragment – pokiwał tylko głową. Potem zmrużył oczy i spytał, co to w zasadzie znaczy. Najpierw powiedziałam, że jest z niego głuptas i pewnie nie słuchał mnie uważnie. Zawsze trzeba dokładnie słuchać. Niegrzecznie jest kogoś nie słuchać. Mimo to jeszcze raz przeczytałam ten fragment, w końcu Jonathan jest moim bratem, niezależnie od tego, czy jest głuptasem, czy też nie. „Szczęście to szczególnie korzystny zbieg okoliczności, pomyślne zrządzenie losu”. Potem bardzo powoli i wyraźnie wyartykułowałam słowo „koniec”, żeby wiedział, że to koniec akapitu.

Jonathan jednak, wciąż mrużąc oczy, powiedział:

– Sama jesteś głupia. Chodzi mi o to, jakie to uczucie, w ciele czy coś.

– Jak się czuje szczęście? – zapytaliśmy więc mamę.

Przytuliła nas i powiedziała:

– Tak.

– Ciepło – stwierdził Jonathan i oszacował, że temperatura ciała mamy jest nieco podwyższona. Wcisnęłam nos w zagłębienie między jej szyją a ramieniem. Pachniała łąką. Szczęście odczuwa się jako ciepło, niemal jak lekką gorączkę, ma zapach i bije mu serce, tak jak przesuwa się sekundnik na zegarze kuchennym.

Rozmawialiśmy też, Jonathan i ja, o tym, jak odczuwa się przerażenie.

– Przerażenie jest takie jak to, gdy zostanie się spoliczkowanym – podsunął Jonathan.

– Z zaskoczenia – dodałam.

I mieliśmy rację. To właśnie jest przerażenie. I tak samo można je dostrzec na czyjejs twarzy. Bardzo duże, zaskoczone oczy, błyskawicznie czerwieniące się policzki, jakby właśnie uderzyła je niewidzialna twarda ręka.

Dokładnie tak wygląda teraz siostra Ruth, po tym, jak krzyknęłam na nią lwim głosem. „Nie chcę, żeby policja przyjechała i zabrała mi mamę!”, tak krzyknęłam.

– Hanno. – Głos siostry Ruth stał się teraz nieco piskliwy. Zapewne z przerażenia. Będę musiała powiedzieć Jonathanowi, to moja pierwsza myśl, trzeba to zapamiętać: przerażenie równa się spoliczkowanie plus zaskoczenie plus piskliwy głos. Moja druga myśl jest taka, że Jonathan właśnie zмага się w domu z dywanem, a trzecia, że siostra Ruth powiedziała, że przyjedzie policja. Posmutniałam, łzy stanęły mi w oczach.

Smutek nie jest przyjemnym uczuciem. Wyobrażam je sobie jako małe zwierzątko z masą ostrych ząbków; każdy z nas nosi takie w sobie. Zwierzątko przez większość czasu śpi, ale niekiedy budzi się głodne.

Naprawdę da się poczuć, jak zaczyna wgrzyzać się nam w serce. Nie boli wcale tak bardzo, to znaczy nie aż tak, żeby od razu krzyknąć, ale człowiek słabo się czuje i chce odpocząć. Siostra Ruth musiała zauważyć, że trochę teraz osłabłam, i zapomina o przerażeniu. Jej krzesło szura o podłogę, kiedy wstaje, potem obchodzi stół i przyciska moją głowę do swojej obfitej, miękkiej piersi.

– Wiem, że to trochę za dużo jak na tak małą osóbkę. Ale nie bój się, Hanno. Nikt tu nie chce skrzywdzić ani ciebie, ani twojej mamy. Czasem jakaś rodzina potrzebuje pomocy i nawet tego nie zauważa. – Zakrywa mi ucho ciepłą dłonią, a ja słyszę szum morza i przymykam oczy.

„W zasadzie mówi się, że trzeba przyłożyć do ucha muszlę, żeby usłyszeć morze”, wyjaśniła nam dawno temu mama. „Ale w rzeczywistości równie dobrze sprawdza się każdy inny wydrążony przedmiot, który przytrzyma się przy uchu. Puszka po konserwie lub nawet ręka”.

„Skąd się tam bierze morze?”, zapytałam.

„Cóż, jeśli przyjrzeć się temu bliżej, to tak naprawdę człowiek słyszy jedynie swoją krew. Ale chyba o wiele przyjemniej jest wyobrażać sobie, że to morze, prawda?”.

Kiwnęłam głową i zapytałam, co to jest puszka po konserwach. Byłam jeszcze bardzo mała i nie wiedziałam, że puszki bywają bardzo niebezpieczne. Że są z metalu, a ich okrągłe wieczka, jeśli otworzy się je otwieraczem, stają się tak ostre, że można nimi poważnie zranić siebie lub innych.

Siostra Ruth zabiera rękę od mojego ucha; morze znika.

– A czy to możliwe, że potrzebujecie w domu pomocy, Hanno? – Kuca koło mojego krzesła i chwytam mnie za ręce, które trzymam na kolanach.

– Nie – mówię. – W zasadzie wiemy, jak wszystko działa. Mamy też swoje zasady. Tylko mamie czasem zdarza się o nich zapomnieć. Od czego ma jednak nas, na szczęście jej o nich przypominamy.

– A mimo to dalej robi głupstwa? Mówiłaś tak chyba wcześniej, prawda? Że mama czasem robi omyłkowo różne głupstwa.

Pochyliłam się i układam ręce w lejek sekretów. Jonathan i ja sami go wymyśliliśmy, ten lejek sekretów, ale nie wolno nam go używać, gdy tata jest w domu. Siostra Ruth odwraca głowę, żebym mogła przyłożyć go do jej ucha.

– Omyłkowo chciała zabić naszego tatę – szepczę.

Głowa siostry Ruth błyskawicznie się odwraca. Przerazenie, widzę je bardzo wyraźnie. Kręcę głową, chwytam siostrę Ruth za twarz i z powrotem przekręcam jej głowę tak, żeby dało się użyć lejka sekretów.

– Nie musi pani mówić o tym policji. Jonathan zajmie się plamami na dywanie.

Lena

Chce mieć troje, tak mówi, dłubiąc przy cebuli. Spokojnie ściąga z niej łuskę, przypomina to dźwięk plastra odrywanego od skóry. Dźwięk ten sprawia mi ból. Stoję w kuchni obok niego i patrzę na nóż w jego dłoni. Nóż snycerski, cienkie, ząbkowane ostrze, wystarczająco ostry.

– Słuchasz mnie, Leno?

– Naturalnie – odpowiada kobieta, której całą sobą zaczynam nienawidzić. Dostaje od niej wszystko, sam odważnie bierze, co tylko chce, i szczerze się nią posługuje. Jej ciałem, jej duszą, jej godnością. A ona mimo to uśmiecha się do niego. Ta kobieta doprowadza mnie do szału. – Chcesz mieć troje.

– Zawsze chciałem. A ty?

Ta kobieta też zawsze chciała mieć troje. Ja sama nigdy nie chciałam ani jednego, ale moje zdanie się nie liczy. W niektóre dni pragnę się do tego przyzwyczaić. W inne wiem, że nie wolno mi do tego dopuścić. Zbieram w sobie ostatnie rezerwy, drobne szczątki złamanej woli, wspomnienia i wytłumaczenia, chowam je w bezpiecznym miejscu. Jak wiewiórka zakopująca zapasy na zimę.

Mam tylko nadzieję, że nikt – ani on, ani ta słaba kobieta – nigdy nie znajdą mojej kryjówki. Tego sekretnego miejsca z niebem i kiczowatymi obciążnikami do obrusu.

– Masz ochotę na kieliszek wina? – Odkłada nóż, którym właśnie przekroił cebulę na ćwiartki, kładzie go obok drewnianej deski i odwraca się do mnie. Ten nóż i to, jak tam leży. Pół długości ramienia ode mnie, jeden chwyt. Zmuszam się, żeby oderwać od niego wzrok. Znów z głupim uśmiechem słabej kobiety popatrzeć mężczyźnie prosto w twarz.

– Tak, bardzo chętnie.

– Cudownie. – Uśmiecha się w odpowiedzi i robi krok w stronę stołu, na którym wciąż stoją nieuprzątnięte dwie brązowe papierowe torby z zakupami. – Czerwone czy białe? Wziąłem oba, bo nie wiedziałem, jakie wolisz do spaghetti.

To, jak tam teraz stoi, lekko pochylony nad torbami, zwrócony do mnie plecami, z prawą ręką do połowy zanurzoną w torbie. To, jak nóż leży obok drewnianej deski, tylko pół długości ramienia ode mnie, tylko jeden chwyt. „Teraz!”, krzyczą we mnie chórem wewnętrzne głosy.

– Leno?

Papierowa torba szeleści, gdy wyciąga pierwszą butelkę. „Teraz!”.

– Wolalabym czerwone, jeśli miałabym wybór.

– Tak, ja też.

Ponownie się odwraca, zadowolony, z butelką w ręce. Słaba kobieta opiera się o blat. Jej palce drżą złością, ciągnie je do noża, od którego dzieli ją tylko kilka centymetrów, a jednak to nie wchodzi w rachubę. On dla mnie gotuje. Jemy razem i wznosimy toasty czerwonym winem, żebym szybko zaszła w ciążę. Chce troje dzieci. Będziemy bardzo szczęśliwą rodziną.

– Migotanie przedsionków!

Hannah

Siostra Ruth tak szybko opuszczała pokój socjalny, że aż się lekko potykała. Kazała mi tutaj grzecznie siedzieć i czekać, aż przyjdzie, więc nie ruszam się z miejsca. Należy zawsze robić to, co mówią dorośli, nawet jeśli samemu jest się mądrym, tak jak ja. Chętnie zmierzyłabym ten pokój, ale mam siedzieć, więc tylko zaczynam liczyć. Lubię liczyć, kiedy nie wolno mi się ruszać z miejsca, a nic innego nie przychodzi mi do głowy. Tak szybciej mija czas. Mój brat, gdy się nudzi, zawsze sobie podśpiewuje, ale to dopiero jest nudne, bo w kółko śpiewa tę samą piosenkę. W liczeniu ekscytuje mnie to, że nigdy się nie wie, jaką liczbę się otrzyma, nim czas się skończy.

Doliczyłam do tysiąca stu dwudziestu ośmiu przed powrotem siostry Ruth i przez to prawie zapomniałam wstać. Zawsze należy wstawać, gdy drzwi się otwierają, i trzeba pokazać ręce. Paznokcie muszą być czyste, a w dłoni nie wolno chować niczego, czym można by zranić siebie lub innych. Ale siostra Ruth właściwie nawet na mnie nie patrzy, tylko mówi, żebym znowu usiadła. Ma ze sobą blok rysunkowy i naostrzone kredki.

– Wpadłam na świetny pomysł, Hanno – mówi.

Aha, mam coś narysować. Nie jestem jednak pewna, czy ten pomysł jest naprawdę taki świetny. Kredki mają ładne kolory, to fakt. Czerwony i żółty, i niebieski, i czarny, i fioletowy, i pomarańczowy, i różowy, i brązowy, i zielony. Ale są naprawdę mocno zatemperowane. Biorę czerwoną kredkę i ostrożnie przesuwam kciukiem po wkładzie – tak, jest naprawdę bardzo szpiczasty. W domu też rysujemy, ale świecówkami. Nimi także piszemy.

– Dlaczego mam coś narysować?

Siostra Ruth wzrusza ramionami.

– Cóż, z jednej strony dla zabicia czasu, zanim będziesz mogła zobaczyć się z mamą, a z drugiej dlatego, że tak będziemy mogły powiedzieć, że jesteśmy bardzo zajęte, gdy przyjdzie policja i będzie chciała zadawać głupie pytania. Co ty na to?

– A co mam narysować?

Siostra Ruth ponownie wzrusza ramionami.

– Hmm, może narysuj to, co ci się przytrafiło, zanim trafiłaś tu dzisiaj z mamą.

Nawet nie zwracając na to uwagi, zaczynam gryźć kredkę. Odczepiły się od niej małe drewniane wiórki, które przyklejają mi się do języka. Liżę wierzch dłoni, żeby się ich pozbyć.

– Nie – mówię. – Mam lepszy pomysł. Narysuję dla mamy obrazek. Potem jej go dam.

– Jasne, w porządku. A masz już jakiś pomysł, co chciałabyś dla niej narysować?

– Tak, może tak. – Chwilę się zastanawiam. – Coś, co wiem, że na pewno ją ucieszy.

Siostra Ruth jest teraz podekscytowana. Mówi tak i też to po niej widać. Jej oczy robią się okrągłe jak spodki, a brwi wędrują tak wysoko, że marszczy się jej czoło. Odkładam na bok czerwoną kredkę i biorę niebieską. Ostrożnie przykładam ją do papieru. Takie zatemperowane wkłady bywają bardzo niebezpieczne. Najpierw rysuję twarz mamy. Siostra Ruth pyta, dlaczego na niebiesko. Prycham i przewracam oczami. Czasem jest z niej taki sam mały głuptas jak z mojego brata.

– Bo nie mam białej kredki. I dlatego że białej kredki i tak nie byłoby widać na białym papierze – wyjaśniam.

Następnie rysuję sylwetkę mamy; jest w pięknej długiej sukni, też niebieskiej, chociaż właściwie powinna być biała; a potem jej piękne, długie włosy na żółto i do tego jeszcze czarne drzewa z gałęziami jak skostniałe palce potwora, które próbują chwycić mamę.

– Ale to wygląda groźnie, Hanno – mówi siostra Ruth. – Opowiedz mi o tym obrazku.

– A więc to historia mojej mamy i taty, i tego, jak się w sobie zakochali. Mama szła późną nocą przez las. Widzi pani, jak jej włosy pięknie lśnią

w świetle księżyca?

– Tak, wygląda naprawdę bardzo ładnie, Hanno. Sama była wtedy w tym lesie?

– Tak i była straszliwie przerażona, dlatego jej usta się nie śmieją, widzi pani?

– Dlaczego niby była taka przerażona?

– Zgubiła się. Ale wtedy...

Teraz rysuję tatę, który wyłania się zza jednego z drzew.

– Wtedy przychodzi tata i ją odnajduje. To najlepszy moment tej historii. Tata wyłania się tam z nicości i ją ratuje. – Poprawiam usta mamy tak, że teraz się śmieje. Bardzo mocno, jej uśmiech przypomina gruby czerwony banan. – I zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia.

Zadowolona kładę obok kartki czerwoną kredkę, którą właśnie narysowałam kilka serduszek. Czerwone serce to popularny symbol miłości. Narysowałam ich sześć, żeby było jeszcze więcej miłości.

– Wow – dziwi się siostra Ruth. – Prawie jak w bajce.

– Nie. To nie bajka, to prawdziwa historia. Mama zawsze ją tak opowiada. Gdyby to była bajka, mama musiałaby zacząć od: „Dawno, dawno temu, za górami, za lasami”. „Dawno, dawno temu, za górami, za lasami” to powszechnie stosowany wstęp do baśni, sag i legend. Często pytam ją o tę historię, zwłaszcza wtedy, gdy zauważam, że się smuci. Kiedy ją opowiada, zawsze tak pięknie się uśmiecha. – Na dowód tego stukam palcem w gruby czerwony banan w miejscu ust mamy.

Siostra Ruth pochyła się jeszcze trochę nad stołem.

– A co twój tata trzyma w ręku?

– To chusta, którą zaraz przewiąże jej oczy, bo chce ją zaskoczyć. Mama nie może od razu się dowiedzieć, dokąd idą.

– A dokąd idą, Hanno?

– No, do domu – mówię. – Do szłaśu.

Lena

Bądź wdzięczna.

Bóg cię pobłogosławił.

Masz ładny dom.

Masz rodzinę.

Masz wszystko, co zawsze chciałaś mieć.

Głos w mojej głowie tylko skrobie po powierzchni. W żołądku mnie pali, pustka. Pustka nie może się palić. A mnie pali ta pustka, i to jak. Szczęki napięte z wysiłku, drżącymi palcami majstruję przy puszcze kakao. Wieczko nie chce puścić. Noż kurde, zaklinowało się. Czuję pot zbierający się u nasady włosów, a blizna na czole piecze. Na blacie obok kartonu z mlekiem stoją przygotowane dwie filiżanki: czerwona i niebieska, obie w białe kropki, obie z nietłukącej się melaminy. Dzieci muszą teraz zjeść śniadanie. Siódma trzydzieści – śniadanie. Co w tym trudno zrozumieć? Dzieci potrzebują regularnego trybu życia. Dzieci potrzebują zbilansowanego śniadania.

Co z ciebie za matka, Leno?

Co z ciebie za potwór?

Słyszę, jak szaleją za moimi plecami, dziko – proszę, dzieci, nie tak głośno! Kuchnia, wydzielona jadalnia i salon łączą się bezpośrednio ze sobą. Piski dzieci odbijają się od jednego kąta do drugiego jak kauczukowa piłeczka, która wymknęła się spod kontroli, podczas gdy one ganiają się wzajemnie po pokoju – proszę, bądźcie wreszcie cicho! Co jakiś czas któreś z nich przeskakuje przez podłokietnik kanapy i raz za razem klapie pupą na siedzenie, odgłos ten przypomina głośne, ciężkie westchnienie – chcę, żebyście przestali! Mam wrażenie, że rozsadza mi to czaszkę, ciśnienie w mojej głowie staje się nie do zniesienia. Pokrywka się zaklinowała. Cholerna pokrywka się klinuje.

– Mamo?

Wzdrygam się. Córka staje nagle obok mnie i zaciekawiona wsuwa brodę nad blat. Ależ jest mała. Drobniutka, delikatna dziewczynka o cienkich blond lokach

i bardzo bladej cerze. Jak mały aniołek. Ale nie jeden z tych pulchnych, rumianych cherubinów, których porcelanowe figurki moja mama zbiera na kredensie w jadalni. Raczej jak aniołek, z którym coś jest nie tak. Prawie wszystko dobrze, ale jednak nie do końca udany egzemplarz.

– Hanno – mówię. Brzmi to jak stwierdzenie, ani trochę czule.

– Pomóc ci, mamó? – Jej okrągłe bladoniebieskie oczy świadczą o tym, że nie bierze mi za złe tego chłodnego tonu, albo może raczej nie chce brać mi go za złe.

Słabo kiwam głową i przesuwam puszkę kakao w jej stronę. W kilka sekund otwiera ją umiejętnym chwytem i promienieje.

– Ta-da!

– Dziękuję – wyduszam z siebie.

Już chce się odwrócić, żeby wrócić do zabawy, ale chwytam ją za rękę, zdecydowanie za mocno; jest taka mała i krucha. Natychmiast ją puszczam.

– Przepraszam. Zrobiłam ci krzywdę?

Marszczy czoło i wykrzywia usta, jakbym właśnie powiedziała coś bardzo głupiego.

– Nie, oczywiście, że nie. Nigdy byś mnie nie skrzywdziła, mamó.

Na krótką chwilę to uczucie okrywa moją wewnętrzną pustkę jak ciężki, ciepły koc. Usiłuję się uśmiechnąć.

– Może mogłabyś mi jednak trochę pomóc? – Unoszę drżące ręce niczym dowód, ale Hannah już dawno przytaknęła, wspięła się na palce i chwyciła neonowozieloną plastikową łyżkę, która też leżała przygotowana na blacie. Odmierza po dwie łyżki kakao na filiżankę, ostrożnie zalewa proszek mlekiem i miesza, licząc przy tym okrążenia miarowym, monotonnym głosem za każdym razem, gdy z brzękiem obraca łyżkę w kubku.

– Raz, dwa, trzy...

Liczenie, stukanie. Głos w mojej głowie, który niezmiennie skrobie po powierzchni, aż powstanie pierwsze zadrapanie. Głos, który mówi: „To twoja córka, musisz ją kochać. Czy ci się to podoba, czy nie”.

– ...siedem, osiem...

Coraz trudniej przychodzi mi oddychanie. Kolana jeszcze bardziej podę mną mięknią. Szukam krawędzi blatu, żeby się go złapać, ale moje ręce trafiają w pustkę.

– ...trzynaście, czternaście...

Sufit opuszcza się w zwolnionym tempie, podłoga faluje, a ja zatapiam się w słabości, niemal bez pośpiechu wślizgując się w zbawienną czerní, dziękuję.

– Tato! – Głos Hanny dobiega jakby spod powierzchni wody. – Mama znów ma atak!

– Ustabilizować krązenie!

Hannah

Siostra Ruth pyta, co rozumiem przez „szałas”.

W pierwszym odruchu chcę pacnąć ją w głowę, żeby choć przez chwilę sama wyteżyła szare komórki, potem jednak myślę, że należałoby jej raczej pomóc. Zawsze trzeba być skorym do pomocy.

– Szałas to taki mały domek z drewna. W lesie.

Siostra Ruth kiwa głową, jakby to rozumiała, ale brwi ma ściągnięte, a szczęka wisi jej jeszcze odrobinę niżej niż wcześniej, jakby w jakiś sposób zerwała się z kotwicy. Z czyjejs twarży można bardzo dużo wyczytać, jeśli jest się sprytnym.

– Chcesz powiedzieć, że mieszkacie w lesie? W szałasie?

Bardzo powoli kiwam głową i mówię:

– Bardzo dobrze. – Też lubię być chwalona, gdy mama odpytuje mnie podczas nauki i znam poprawną odpowiedź. Mama mówi zawsze: „Bardzo dobrze, Hanno”, i samo myślenie o tym natychmiast sprawia mi dużo radości. Może siostra Ruth też tak ma.

– Mieszkałaś kiedyś gdzie indziej, Hanno? W prawdziwym domu?

– Szalas to jest prawdziwy dom! Tata zbudował go specjalnie dla nas. Mamy w nim też prawdziwe powietrze. Tylko dwa albo trzy razy doszło do niewielkiej usterki w aparacie cyrkulacyjnym. Musi zawsze bardzo cicho buczeć, inaczej coś jest nie tak. Na szczęście mam świetny słuch. Od razu zauważam, kiedy coś jest nie tak z aparatem cyrkulacyjnym, na długo przed tym, nim dopadnie nas ból głowy. I tata to natychmiast naprawił. Powiedział, że to tylko mała usterka techniczna, nic złego. Jest z niego całkiem dobra złota rączka.

Siostra Ruth bardzo często mruga. Powtarza „co?” i nic więcej. Ja też już nic więcej nie mówię, bo chyba wreszcie zrozumiała, że sama musi ruszyć głową. Mama też zawsze chwilę czeka, jeśli podczas lekcji nie mogę od razu podać właściwej odpowiedzi. Mówi: „To nic nie da, jeśli w kółko będę ci podpowiadać poprawne rozwiązanie. Musisz wyrobić w sobie ten nawyk, że czasem trzeba samemu ruszyć głową. Zastanów się, Hanno. Skup się. Przecież to wiesz”.

– Co... – powtarza siostra Ruth – co to za aparat cyrk... cyрку...?

– Aparat cyrkulacyjny; skomplikowana nazwa, prawda? Wie pani, co robię, gdy jakaś nazwa jest bardzo trudna?

Siostra Ruth znów milczy.

– Wciąż ją sobie po cichu powtarzam, dopóki jej nie utrwale. Uczę się słów znacznie lepiej niż Jonathan. Czasem wystarczy, że dwa razy wymówię w myślach jakieś słówko, chociaż zdarza się i tak, że potrzebuję powtórzyć je dziesięć razy.

Siostra Ruth nadal nic nie mówi. Może próbuje mojej sztuczki i powtarza w głowie tę trudną nazwę.

Teraz jednak znów coś się dzieje, jej usta się poruszają.

– A zdradzisz mi, co to takiego jest... – bierze dodatkowy wdech, żeby wypowiedzieć to trudne słowo – ...ten aparat cyrkulacyjny?

– Bardzo dobrze. – Jeszcze raz chwale siostrę Ruth, cieszę się z jej postępów i z samej siebie. Jestem dobrą nauczycielką. Mam to po mamie. –

Aparat cyrkulacyjny wytwarza dla nas powietrze – wyjaśniam, starając się mówić jak najwolniej, żeby nie przytłoczyć siostry Ruth nowymi informacjami. – Człowiek nie może żyć bez tlenu. Wdycha i wydycha od dziesięciu do dwudziestu tysięcy litrów powietrza na dobę. Pod względem objętości jest to około dziesięć do dwudziestu tysięcy razy więcej niż karton po mleku. Wdychane powietrze zawiera około dwudziestu jeden procent tlenu, a zero przecinek zero trzy dwutlenku węgla. Wydychane powietrze składa się w około siedemnastu procentach z tlenu i w czterech procentach z dwutlenku węgla, koniec. Aparat cyrkulacyjny dba o to, żeby do szafasu dostawało się dobre powietrze, a złe było z niego odprowadzane. Inaczej byśmy się podusili.

Siostra Ruth zakrywa usta dłonią. Widzę, że lekko się trzęsie. Nie tylko jej ręka, ona cała.

– Dlaczego po prostu nie otworzycie okna, skoro potrzeba wam więcej powietrza, Hanno.

Myślę, że to pytanie, choć wcale tak nie brzmi. Jeśli chce się o coś zapytać, należy podnieść głos na końcu zdania. Zaczynam układać kredki w długą, prostą linię, od jasnych do ciemnych; pierwszą kładę żółtą, a ostatnią czarną.

– Hanno? – Aha, głos siostry Ruth poszedł do góry.

Odrywam wzrok od linii kredek, patrzę na jej twarz.

– Zdradzisz mi przynajmniej, kim jest Jonathan?

– No, to mój brat.

– I Jonathan też mieszka w szafasie? Z tobą i rodzicami?

– Tak, oczywiście. Nie zrobił przecież nic złego. Dlaczego mielibyśmy go wyrzucać?

– Opowiedz mi o tych plamach na dywanie. – Siostra Ruth zdaje się teraz dość surowa, wygrywa nawet w zawodach mrugania. Ale to tylko dlatego, że moje oczy zaczęły łzawić. Winę za to ponoszą światło i zmęczenie.

– Hanno? Wspominałaś, że Jonathan zajmie się plamami na dywanie. Jakimi plamami, Hanno?

Kręcę głową i mówię:

– Jestem zmęczona i chcę do mamy.

Siostra Ruth sięga przez stół i bierze mnie za rękę. Pod wpływem jej ruchu z mojej linii wysuwają się dwie kredki: niebieska i zielona.

– Wiem. Ale uwierz mi, lekarze naprawdę dadzą nam znać, jeśli tylko będziesz mogła ją zobaczyć. Chciałabyś do tego czasu trochę porysować? Popatrz, jaki jest gruby. – Puszczą moją rękę i stuka palcem w blok. – Zostało ci jeszcze dużo czystych kartek.

Wzruszam ramionami. W zasadzie nie mam najmniejszej ochoty rysować.

Siostra Ruth robi ponurą minę, zwięża oczy i zaciska usta.

– Co ty na to, żebyś narysowała całą waszą rodzinę? Taki obrazek, na którym będzie także twój brat. Jonathan. – Uśmiecha się. Słuchała uważnie i zapamiętała jego imię. – Dobrze się dogadujecie, ty i Jonathan? A może czasem się kłócicie?

– Kłócimy się tylko wtedy, kiedy znów zachowa się jak głuptas.

Siostra Ruth parska krótkim śmiechem.

– Rozumiem. Ale powiedz, twój brat jest starszy czy młodszy od ciebie?

Wyrywam z bloku obrazek z mamą i tatą w lesie i odkładam go na bok. Biorę niebieską kredkę i zaczynam rysować na kolejnej stronie; tym razem rysuję twarz Jonathana.

– Młodszy – mówię. – O dwa lata.

– Dobrze, nic nie mów, niech zgadnę. W takim razie... – Siostra Ruth sprawia wrażenie, jakby się zastanawiała. – Hmm, to trudne. Obstawiam, że ma... sześć lat?

Odrywam wzrok od kartki. Biedna, głupiutka siostra Ruth najwyraźniej w ogóle nie umie liczyć.

– Trzydzieści minus dwa. – Staram się jej podpowiedzieć, ale tylko się na mnie gapi. – Ma oczywiście jedenaście lat – odpowiadam za nią. Siostra Ruth naprawdę musi się jeszcze wiele w swoim życiu nauczyć.

Hannah

Nauka jest ważna. Nie wolno być głupim. Uczenie się przychodzi mi łatwiej niż Jonathanowi, zawsze tak było. Nauczył się porządnie czytać, dopiero gdy skończył cztery lata. Oczywiście wiemy, czym jest szkoła. Szkoła to instytucja zapewniająca edukację dzieciom i młodzieży. Na szczęście jednak nie musimy tam chodzić. Droga jest bardzo niebezpieczna. Moglibyśmy się zgubić albo zostać napadnięci. I w ogóle do szkoły chodzą tylko naprawdę głupie dzieci, które same nie potrafią się niczego nauczyć. Myślę, że siostra Ruth musiała tam chodzić, gdy była mała, i to chyba prawda, co podejrzewałam już od dawna: szkoła tylko sprawia pozory, jakoby uczyła dzieci ważnych rzeczy. W rzeczywistości dalej są głupie. Widać to po siostrze Ruth. Ot, taki prosty rachunek: trzydzieści minus dwa. Myślę też, że siostra Ruth wstydzi się teraz tego, że nie jest w stanie rozwiązać tak prostego zadania. Pyta nawet, czy wszystko, co jej mówię, jest prawdą. Przestaję wtedy rysować spodnie Jonathana, odwracam kartkę i rysuję z tyłu trzydzieści kresek. Dwie z nich wykreślam, po czym liczę pozostałe, powoli i wyraźnie. Oczywiście wychodzi jedenaście. Trzydzieści minus dwa to jedenaście. A poza tym uważam, że to niemiłe z jej strony sądzić, że *ja* kłamię, skoro *ona* jest nieco głupia. Nie wolno kłamać. To też jej mówię, bo tego prawdopodobnie również nie wie, ach, biedna, głupiutka siostra Ruth.

– Hanno. – Teraz sprawia wrażenie, jakby zaraz miała się rozpląkać. – Ten szalas. I aparat cyrk... cyrku...

– Aparat cyrkulacyjny! – mówię lwim głosem.

Siostra Ruth się wzdyga. Znow jest przerażona. Duże oczy i czerwone policzki. Tym razem jednak nie jest mi jej żal. Ona po prostu nie chce się ani trochę wysilić.

– Nie będę tego tolerować! – ciągnę swoim lwim głosem i rozłożoną dłonią uderzam w stół. Kredki podskakują, zielona nawet stacza się z blatu i stuka o podłogę. Nie wolno celowo zachowywać się tak głupio. Schylam się pod stół po zieloną kredkę, a kiedy wynurzam się z powrotem, siostra Ruth przeprasza. Chociaż tyle. Zawsze należy przeprosić, jeśli zrobi się coś niewłaściwego.

– Nie chciałam cię zdenerwować, Hanno – mówi. – To dla ciebie z pewnością trudna sytuacja. Rozumiem. Ale wiesz co? Też chciałabym zrozumieć całą resztę. Naprawdę bardzo bym chciała wiedzieć, jak to jest u was w domu. Nie znam nikogo innego, kto mieszka w szałasie w lesie.

Ponownie odwracam kartkę i dalej rysuję spodnie Jonathana. To jego ulubiona para, niebieskie, wolno mu je nosić tylko w niedziele.

– Hanno?

Podnoszę wzrok.

– Możesz mi wybaczyć, proszę?

Kiwam głową, potem znow zajmuję się rysunkiem. Jonathan ma też na nim swoją ulubioną czerwoną koszulkę. Kiedy była nowa, naprawdę biła po oczach. Myślę, że Jonathan by się cieszył, gdyby wiedział, że na moim rysunku jest ubrany w swoje ulubione rzeczy. Na koniec rysuję jego kręcone włosy. Są prawie czarne, tak jak taty. Obok, na wysokości jego ramienia, zaczynam rysować swoją twarz. Samą siebie też ubiorę w ulubioną sukienkę, białą w kwiatki. Wszyscy będziemy wyglądać bardzo ładnie na moim rysunku.

– Nie możecie otwierać w domu okien, prawda, Hanno? Dlatego potrzebujecie tego urządzenia.

– Aparatu cyrkulacyjnego – mamroczę.

– Czy szałas nie ma okien?

– Oczywiście, że ma. – Do swoich kręconych włosów potrzebuję żółtej kredki.

– Ale ich nie otwieracie? Dlaczego, Hanno?

– To zbyt niebezpieczne. Dlatego są zabite płytami. – Zastanawiam się, czy byłoby to kłamstwo, gdybym narysowała sobie na głowie czerwoną opaskę. W ogóle takiej nie mam, tylko ciemnoniebieską. Czerwona pasowałaby jednak znacznie lepiej do kwiatków na mojej sukience.

– Czy to twój tata to zrobił, Hanno? Mówiłaś, że jest złotą rączką.

– Tak. – Moja ręka bardzo, ale to bardzo ostrożnie zbliża się do czerwonej kredki. Patrząc przy tym siostrze Ruth prosto w oczy. Nie może wiedzieć, że nie mam czerwonej opaski, ale martwię się, że wyczyta z mojej twarzy, że próbuję ją oszukać. Zmartwienie to nie do końca to samo co strach, ale też nie jest niczym dobrym. Przypomina bardziej nudności, tak jak wtedy, gdy ma się ból brzucha i nie wie się, czy wymiotować, czy nie.

Tata bardzo się kiedyś martwił, kiedy mama wyjechała. Powiedział nam, że nie jest pewien, czy do nas wróci, a potem się rozplakał. Tata nigdy wcześniej nie płakał. Musnęłam jego twarz i poczułam lepką łzę. Nic nie powiedział, ale od razu wiedziałam, że to moja wina, że mama w ogóle wyjechała, przez tę sprawę z Sarą. Jonathan też to wiedział. Tylko się we mnie wpatrywał i na kilka dni w ogóle zaniemówił, do czasu, aż mu przypomniałam, że sam też zbyt nie przepadał za Sarą.

– Wiesz co, Hanno, tak się zastanawiam. Zadałaś sobie tyle trudu, żeby narysować brata. Naprawdę widać, że bardzo go kochasz. Może powinniśmy wysłać kogoś do was do domu, żeby sprawdzić, jak sobie radzi z tym dywanem? Albo żeby mu pomóc?

Chwytam czerwoną kredkę, nie odrywając oczu od siostry Ruth. Wydaje się, że wcale jej to nie przeszkadza, że chcę tu coś zachachmęcić z kolorami.

– Albo – ciągnie, na nic nie zważając – moglibyśmy go tu sprowadzić, do ciebie. Wtedy moglibyście razem zaczekać na waszą mamę. Niektóre rzeczy są o wiele mniej złe, jeśli mamy przy sobie kogoś, kto jest dla nas ważny.

– Nie jestem pewna, czy Jonathanowi by się tutaj spodobało – mówię. Moja zmyślona czerwona opaska wygląda naprawdę ładnie z sukienką w kwiatki. – Myślę, że zacząłby się cały trząść, gdyby musiał tu przyjechać.

– Ty jesteś odważna i się nie trzęsiesz.

– Tak, zgadza się – potwierdzam. – Ale może jestem po prostu odważniejsza niż Jonathan. Bo jestem starsza lub odrobinę mądrzejsza, albo jedno i drugie. On był zresztą o wiele bardziej przerażony widokiem krwi niż ja. I tym hałasem.

– Jakim hałasem?

– No a jak pani myśli? Skąd się wzięły te okropne plamy na dywanie?

Siostra Ruth wygląda, jakby naprawdę się zastanawiała, ale ja już wiem, że nie jest w tym zbyt dobra.

– Takim jak po upuszczeniu arbuza na podłogę – wyjaśniam, żeby oszczędzić jej kolejnego powodu do wstydu. – Tak samo brzmi rozbijanie komuś czaszki. Pamm! – mówię lwim głosem, po czym już normalnie dodaję: – A później nagle zapada cisza.

Matthias

Cztery tysiące osiemset dwadzieścia pięć dni.

Liczyłem je i przeklinałem każdy po kolei. Włosy mi posiwiały, serce zaczęło bić nieregularnie. W pierwszym roku codziennie pokonywałem jej ostatnią trasę. Drukowałem ulotki i nie było ani jednej latarni, na której by nie wisiały. Na własną rękę przepytalem jej rzekomych przyjaciół i kilka osób przywołałem do porządku. Kilka razy dziennie dzwoniłem do mojego wieloletniego przyjaciela Gerda, Gerda Brühlinga, nadkomisarza policji i szefa grupy śledczych, którzy jej poszukiwali. Wypowiedziałem mu

przyjaźń, bo ten cały pan Brühling nie potrafił jej znaleźć. W końcu, gdy zaczynało mnie ogarniać poczucie bezużyteczności, postanowiłem zadbać przynajmniej o to, żeby nie powielano kłamstw. Udzieliłem wielu wywiadów, pięćdziesięciu, może nawet więcej.

Nie ma Leny, od czterech tysięcy ośmiuset dwudziestu pięciu dni. I nocy. To prawie czternaście lat. Czternaście lat, w czasie których każdy dzwonek telefonu mógł zapowiadać jedną, tę jedyną wiadomość, która by wszystko zmieniła. Naszą córkę porwano i zażądano wreszcie okupu. Nasza córka została wyłowiona z Izary, sina i napęczniała nie do poznania. Została znaleziona, zgwałcona, zabita i wyrzucona jak śmieć, może gdzieś za granicą, gdzieś w bloku wschodnim.

– Matthias? Jesteś tam jeszcze? – Głos Gerda ochrypl z podniecenia.

Nie odpowiadam, usiłuję po prostu oddychać. Słuchawka drży mi w spoczonej prawej dłoni. Lewą szukam komody na korytarzu, żeby się czegoś złapać. Pomieszczenie – przedpokój naszego domu – zostaje wytrącone z równowagi: schody, dywan i szafa suną na mnie, jakby porwane przez fale. Podłoga pode mną jest miękka. Obok stoi zaspana Karin, która zwlekła się po schodach z piętra, kiedy nie wróciłem do sypialni. Nerwowo dłubie przy pasku swojego kremowego szlafroka frotté i pogania mnie.

– Co się dzieje, Matthiasie? Co się dzieje?

Z trudem przełykam gulę w gardle, tę wiadomość i jej sens, blisko czternaście cholernych lat. Setki razy Karin i ja pozwalaliśmy na to, żeby Lena w najstraszliwszy sposób umierała w naszej wyobraźni, zadręczaliśmy się nawzajem tysiącami możliwości. Tylko jedną z nich w którymś momencie przestaliśmy uwzględniać w tych rozważaniach: co, jeśli telefon zadzwoni i powiedzą nam, że znaleziono ją żywą?

– Lena – sapie.

Karin zamyka oczy i robi kilka niezdecydowanych kroków do tyłu, aż uderza plecami o ścianę i osuwa się po niej na ziemię. Zakrywa twarz

dłoni i zaczyna szlochać, nie głośno i dramatycznie, nic takiego. Zbyt wiele czasu minęło, cztery tysiące osiemset dwadzieścia pięć dni, pozostało w niej już za mało nadziei. Wydaje teraz z siebie raczej drobne czknięcia, taką smutną, bezsilną czkawkę.

– Nie, nie. – W końcu udaje mi się wydusić z siebie jakieś słowa i sięgam po jej rękę.

– Matthias? – Gerd, przez telefon.

– Co: nie, nie? – Karin, pod ścianą.

– Myślą, że została porwana. Ale ją mają. Żyje – mówię głosem, który ledwie do mnie dociera. I powtarzam: – Żyje.

– Co? – Karin niezdarnie wstaje. Łapię ją za rękę, bo sprawia wrażenie, jakby zaraz znów miała stracić równowagę na swoich chwiejnych nogach.

– Tak – potwierdza zachrypłym głosem Gerd na drugim końcu linii. Informacje, które mi właśnie przekazał, są dość mgliste. Nie wiem, czy nie umie powiedzieć więcej, czy nie może. Mówi tylko, że „porównanie z bazą danych osób zaginionych wykazało pewne podobieństwa”. Z samego rana ma wyruszyć na czeską granicę, do szpitala w Cham, żeby potwierdzić tożsamość Leny. W Cham, zaledwie dwie i pół godziny drogi z Monachium, tak blisko. Lena jest tak blisko, może była nawet cały czas. A ja jej nie znalazłem.

– Pojadę z tobą – huczę. – Jedźmy od razu. Nie jutro rano, już teraz.

– Nie, Matthiasie, nie ma takiej opcji – mówi Gerd tonem dorosłego próbującego uspokoić krnąbrne dziecko. – To nie jest ogólnie przyjęte...

– Nie obchodzi mnie to – upiera się dziecko. – A nawet więcej: mam to gdzieś! Już się ubieram. Podjedź po mnie.

Słyszę, jak Gerd wzdycha do słuchawki.

– Jesteś mi to winien – rzucam jeszcze, zanim aż nadto obszernie zacnie mi objaśniać ogólnie przyjęte procedury. – Jedziemy.

Gerd jeszcze raz wzdycha, rozłączam się. Zamierzam dać mu pół godziny na to, żeby mnie odebrał. Jeśli się nie pojawi, pojadę bez niego, i basta. Do

Cham, do Leny. Przytulam Karin. Jej ciepłe łyzy przesiakają przez moją piżamę.

– Ona żyje – mruczę do jej włosów. Jak cudownie to brzmi: ona żyje.

Ubieramy się w przeciągu kwadransa, Karin nawet się czesze. Drepczemy w miejscu w przedpokoju, jedno obok drugiego, oboje zwrócenie twarzami do drzwi wejściowych, żeby przez matowe szyby od razu dojrzeć światło reflektorów, gdy tylko Gerd podjedzie. Ja tylko tak myślę, to Karin wypowiada te słowa na głos:

– Nie czekajmy.

Energicznie kiwam głową i sięgam po kluczyki do samochodu.

Do Cham, do Leny. Ona żyje.

Dopiero gdy skręcamy naszym starym volvem na wjazd na autostradę, bańka, która otaczała mnie od telefonu Gerda, pęka. Nagle zastanawiam się, czy nie powinniśmy jednak na niego poczekać. Czy dobrze zrobiłem, że zabrałem ze sobą Karin? Słowa, wypowiedziane przez Gerda przez telefon, odtwarzają się jeszcze raz w mojej głowie.

– Posłuchaj mnie, Matthias, nic nie jest pewne. Ale dzwoniли do mnie koledzy z Cham. Młoda kobieta wpadła pod samochód na zalesionym terenie niedaleko czeskiej granicy. Podobno ma na imię Lena. Podejrzewają, że wypadek może mieć jakiś związek z porwaniem, dlatego przeszukali bazę osób zaginionych. Występuje pewna zgodność, na przykład blizna na czole. Kobieta doznała jednak w wypadku poważnych obrażeń. Leży na chirurgii urazowej i w tym momencie nie ma z nią kontaktu. Jesteś tam jeszcze? Matthias?

– Lena – stęknąłem w kierunku Karin.

– Tak – potwierdził Gerd. – Jutro z samego rana ruszam na czeską granicę, do szpitala w Cham, żeby potwierdzić tożsamość tej kobiety...

I ja:

– Pojadę z tobą.

– Karin, chyba muszę cię przed czymś ostrzec – mówię, gdy zdaję sobie sprawę, że obawy Gerda mogą dotyczyć nie tylko pomijania oficjalnych procedur. Już wcześniej powinienem był wspomnieć o tym Karin, może kiedy się ubieraliśmy, ale nie dałem rady wykrztusić z siebie nic ponad: „Ona żyje”, zdumiony, oszołomiony, skonsternowany. – Gerd mówił, że leży na intensywnej terapii. Może jest ciężko ranna. Dasz radę oglądać ją w takim stanie?

– Oszalałeś? Przecież to nasza córka!

Karin ma rację. Lena potrzebuje, żebyśmy byli teraz przy niej, szczególnie gdy jest w takim stanie. Wciskam pedał gazu i przyspieszam, ile pary w volvie. Po blisko czternastu latach od naszego dziecka dzieli nas już tylko sto osiemdziesiąt kilometrów.

„Ciao, tatusiu! Do zobaczenia za kilka dni! I jeszcze raz dziękuję!”. Słyszę jej głos pełen dzwoneczków i widzę ją we wspomnieniach, schodzącą po schodach do ogrodu przed domem. Po południu w dniu, w którym zaginęła, wpadła do nas na kawę po tym, jak na terenie kampusu skradziono jej rower. Pilnowaliśmy się z Leną, żeby przekazanie pieniędzy odbyło się za plecami Karin. Karin uważała bowiem, że Lena powinna się usamodzielnic i, jak wielu innych studentów, poszukać jakiejś dodatkowej pracy. Ja uważałem, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Lena powinna się skupić na nauce. A teraz potrzebowała nowego roweru. Dałem jej więc trzysta euro.

Ciao, tatusiu! Do zobaczenia za kilka dni!

Ciao, mój aniele, do zobaczenia za cztery tysiące osiemset dwadzieścia pięć dni...

– Matthias? – Karin macha moim telefonem. Dopiero teraz słyszę, że dzwoni, i widzę, jak jeszcze przed chwilą ciemne wnętrze samochodu rozświetla się niebieskawym światłem ekranu.

– Gerd. – Domyślam się i wyobrażam sobie, jak w tej chwili stoi pod drzwiami naszego domu. Po kilku minutach dzwonienia zorientował się, że

odjechaliśmy bez niego. Rzucam okiem na tablicę rozdzielczą. Nawet by się zgadzało. – Ty odbierz – mówię do Karin.

Gerd tak głośno artykułuje swoje pretensje do jej ucha, że nawet ja to słyszę.

– Nie mogliśmy po prostu dłużej czekać, na pewno to rozumiesz – tłumaczy mu Karin.

Gerd każe jej przekazać, że zawsze był ze mnie skończony idiota – to też słyszę i aż muszę się uśmiechnąć, gdy na moment ogarnia mnie pewne uczucie, jakby lekki smutek. Gerd i ja byliśmy niegdyś najlepszymi przyjaciółmi, wtedy, w innym życiu.

– Tak, tak, nic się nie martw – zapewnia Karin Gerda, zanim się z nim pożegna i naciśnie czerwoną słuchawkę, a wewnątrz samochodu znów pociemnieje. – Mówi, że spotkamy się w szpitalu. Masz milczeć do jego przybycia, również ze względu na jego tamtejszych kolegów.

Prycham, smutek zniknął.

– Jakby interesowali mnie niby-koledzy pana Brühlinga. Chcemy tylko wiedzieć, co z naszą córką, i już.

Słyszę, jak Karin grzebie w torebce, żeby, jak sędzę, schować mój telefon. A potem dobiega mnie znajomy odgłos: Karin odrywa samoprzylepne zamknięcie paczki chusteczek higienicznych. Kątem oka widzę, jak wyciera twarz.

– Porwanie – szłocha. – Jeśli to rzeczywiście porwanie, dlaczego nigdy się z nami nie skontaktowano w sprawie okupu?

Wzruszam ramionami.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy jakaś porąbana świnia porwała młodą kobietę, żeby ją dla siebie zatrzymać. – Od razu myślę o Marku Sutthoffie. Co, jeśli koniec końców miał coś wspólnego ze zniknięciem Leny? Wielki Boże, miałem go...

– Co za okropne słowo: zatrzymać. – Głos Karin miesza się z moimi wspomnieniami. Moje dłonie na kołnierzyku Marka Sutthoffa, jego plecy

przyciśnięte do ściany, szkaradna twarz.

Gdzie ona jest, ty świniu?

– Wiem – przyznaję.

Karin pociąga nosem.

– Myślisz, że w ogóle do siebie dojdzie? Nie mam na myśli obrażeń, których doznała w wypadku.

– Jest silna, zawsze była. – Uśmiecham się, żeby dodać jej otuchy, i głaszczę ją po kolanie.

Reszta drogi mija nam w milczeniu, tylko od czasu do czasu któreś z nas odchrząkuje, gdy zaschnie mu w gardle. Mimo to wiem, co się kotłuje w Karin. Zastanawia się, czy osoba, którą dziś odzyskamy, będzie jeszcze w ogóle naszą córką – po tylu latach i tym wszystkim, co być może musiała znieść. W przeszłości Karin często mówiła takie rzeczy, jak: „Mam nadzieję, że przynajmniej szybko poszło” lub: „Modlę się, żeby było już po wszystkim”. Mówiąc „było już po wszystkim”, życzyła Lenie szybkiej śmierci, bez tortur, fizycznych czy psychicznych, bez cierpienia. Często ledwie się hamowałem, żeby nie rzucić się jej za to do gardła, chociaż w głębi duszy myślałem podobnie. Mam wrażenie, że nas dwoje, siedzących w jednym samochodzie, oddzielonych od siebie jedynie podłokietnikiem, dzieli całe mile. Karin się boi, ma wątpliwości. Ja z kolei myślę tylko o tym, że są lekarze od wszystkiego, od ciała i od duszy. Że teraz wszystko będzie dobrze. Jeśli nie, to po co Lena miałaby przeżyć, skoro nie byłaby zdolna do życia? Nie miałyby się go trzymać? Może jestem naiwny, a Karin widzi wszystko tylko w czarnych barwach, może prawda leży gdzieś pośrodku, w sam raz na podłokietniku, jest poręczna i bardzo prosta.

– Ona jest silna – powtarzam po raz kolejny, a Karin chrząka.

Lena

Ktoś krzyczy. „Nie!” i „O Boże!”.

Moje zeszywniałe ciało jest podrywane z miejsca. Potrząsane. Ciepło, do tego mocny uścisk.

– Leno! O Boże, Leno!

Mrugam. Uśmiecham się słabo. Jednak wrócił, w ostatnim momencie. Dzieci, one żyją, kurczowo trzymają go za szyję. On mnie obejmuje. Jego twarz pobladła z przerażenia. Wyciągam do niej swoją zimną dłoń. Czuję łzy.

– Tak mi przykro – mówi.

– Uratowałeś nas – odpowiadam.

– Stan pacjentki stabilny.

Hannah

Przypuszczam, że coś zrobiłam. Wiem o tym, bo policzyłam do dwóch tysięcy sześćuset siedemdziesięciu sześciu, a siostra Ruth jeszcze nie wróciła. Odtworzyłam dla niej dźwięk arbuza. *Pamm!* Powiedziała na to, że musi pilnie sprawdzić, czy możemy już iść do mamy, i że kiedy jej nie będzie, mam dalej rysować rodzinę. Tacie z boku głowy narysowałam czerwoną plamę i teraz nie wiem, co jeszcze powinnam zrobić.

Jestem zmęczona. Noc za oknami już trochę poszarzała. Dotąd niezbyt często się zdarzało, żebym tak długo się nie kładła, co najwyżej wtedy, gdy Sara jeszcze z nami była i swoim wyciem nie dawała nam spać. Zawsze trzeba spać wystarczająco długo, żeby organizm miał szansę się zregenerować. Kładę głowę na stole i zamykam oczy. Mama zawsze powtarza, że samemu można zdecydować, o czym się będzie śniło, jeśli przed snem wystarczająco mocno będzie się o czymś myśleć. Chcę, żeby przyśniło mi się coś wyjątkowo pięknego. Jakiś sen o mamie i o mnie, i o tym, jak znów wybieramy się razem na wycieczkę, tylko we dwie, bo jestem jej ukochanym dzieckiem.

Myślę więc najmocniej, jak tylko potrafię, o naszej pierwszej wspólnej wycieczce. Na początku trochę się martwiłam, ale mama powiedziała:

– To piękne miejsce, Hanno. Spodoba ci się.

I powiedziała jeszcze, że nie wolno nam się przed nikim zdradzić, że tam jedziemy.

– Pst. – Przyłożyła palec do dzióbka z warg. – Nasze wycieczki to tajemnica.

– Ale przecież nie wolno kłamać, mamo!

– Nie będziemy kłamać, Hanno. Po prostu nikomu o tym nie powiemy.

– A co z Jonathanem? Na pewno się wystraszy, kiedy się obudzi i nie zastanie nikogo w domu.

– Nie martw się. Będzie spał do późna. Wrócimy, zanim się obudzi, obiecuję.

Wystroiliśmy się. Mama pozwoliła mi nawet włożyć moją ulubioną sukienkę, białą w kwiatuszki. Potem mysim krokiem wyszliśmy z domu do samochodu. Usiadłam z przodu, obok mamy. Droga, którą jechałyśmy, była gładka jak papier i odbijało się od niej słońce. Niektóre miejsca mieniły się w upale jak małe bezbarwne ogniska. Przycisnęłam nos do chłodnej bocznej szyby. Niebo przypominało płótno malarskie ze śnieżnobiałymi chmurami na błękitnym tle. Narysowałam na oknie zarys pasącej się w chmurach krowy; mama się zaśmiała. W radiu leciała piosenka, którą znałyśmy, śmiech mamy zakłócał melodię, zanim zaczęła podśpiewywać. Zjechałyśmy z szosy i skręciłyśmy do wioski. Mama zaparkowała w cieniu dużego drzewa. Klonu. Można go rozpoznać po liściach z pięcioma klapkami, które wyglądają jak duże zielone dłonie.

Odbywało się tam przyjęcie, na które nas zaproszono; zorganizowano je w ogrodzie. Mama miała rację – to było piękne miejsce. Już nas oczekiwano; ludzie, którzy tam byli, śmiali się, machali do nas i krzyczeli: „Tu jesteście!”. Mama chciała mnie przedstawić, ale ja ze zdenerwowania nie mogłam ustać w miejscu. Zdjęłam sandały i biegałam bosą po

ogrodzie, wachałam kwiaty hortensji wielkości główek kapusty, aż w końcu rzuciłam się na brzuch na łące. Trawa pachniała środkiem do prania, którego zawsze używamy. Szarpałam źdźbła trawy i stokrotki, a po grzbiecie dłoni przebiegła mi biedronka. Mężczyzna o bardzo jasnoniebieskich oczach i siwych włosach usiadł obok mnie na trawie i powiedział:

– Dobrze, że przyjechałaś z mamą, Hanno.

Pokazałam mu biedronkę na swojej dłoni, a on mi wyjaśnił, że biedronki są bardzo pożyteczne, bo jedzą mszyce i przedziorki. Byłam zdumiona, jakie to małe zwierzątko.

– Mówią też – ciągnął mężczyzna – że biedronki przynoszą szczęście.

To mi się spodobało.

Ktoś zawołał nas na posiłek. W głębi ogrodu ustawiono długi stół. Piętę prawej stopy stawiałam przed palcami lewej, zawsze na przemian: prawa przed lewą, lewa przed prawą, aż zmierzyłam długość stołu – trzydzieści kroków. Do jedzenia było ciasto czekoladowe, tarta z truskawkami i budyń waniliowy z malinami wielkimi jak paznokieć kciuka, a także ciastka, słone paluszki i kiełbaski z grilla. Najchętniej zjadłabym to wszystko, ale mama powiedziała, że musimy wracać. Jonathan z pewnością wkrótce się obudzi. Środki nasenne nigdy nie działały tak długo, jak byśmy chciały.

– Mogę zjeść chociaż kawałek ciasta czekoladowego, mamó? Tylko mały kawałeczek, proszę? Zjem go raz-dwa.

Mama pokręciła głową. Wyjęła z torebki batonik, niezdarnie rozdarła papierek i podała mi przekąskę.

– Nadmiar cukru szkodzi zdrowiu, Hanno. Gdy tylko wrócimy do domu, poczytamy o tym, jak nadmiar cukru niekorzystnie wpływa na organizm. A teraz włóż sandałki, naprawdę musimy już iść.

Po tych słowach ruszyła pospiesznie do furtki; nawet nie pożegnała się z pozostałymi gośćmi. Kiedy dogoniłam ją przy samochodzie, jeszcze raz się odwróciłam. Przy ogrodzeniu stał mężczyzna, który opowiedział mi

o biodronkach; pomachał do mnie. Ja podniosłam tylko rękę, żeby mama nie widziała. Potem znów wróciłyśmy do domu.

– Nadmierne spożycie cukru i produktów o znacznej jego zawartości może powodować następujące objawy... – Mama zaczęła czytać z grubej książki, która zawsze wszystko wie. Gdy wróciłyśmy, zdjęła ją z półki w salonie. – Zmęczenie, brak energii, niepokój, problemy żołądkowo-jelitowe, wzdęcia, biegunki lub zaparcia, nerwowość, zaburzenia snu i koncentracji oraz próchnica. Widzisz. – Zatrzasnęła grubą książkę, bardzo głośno. – Ciesz się, że nie musiałaś jeść tego ciasta.

Przytaknęłam. Mama dobrze się mną opiekuje. Zawsze chce dla mnie jak najlepiej.

Chwilę później w drzwiach salonu stanął Jonathan. Musiał dopiero co się obudzić.

– Co robicie? – zapytał, przecierając oczy, żeby pozbyć się z nich resztek snu.

– Nic takiego, Jonathanie. – Mama się uśmiechnęła, mrugając do mnie okiem.

Mama i ja miałyśmy swój sekret. Mama i ja byłyśmy już na zawsze ze sobą połączone...

– Hanno?

Mrugam.

– Hanno?

Podnoszę głowę ze stołu.

Przedemną stoi dwoje nieznanym. Mężczyzna w szarym garniturze i wysoka, szczupła kobieta, brunetka w ładnej krótkiej fryzurze. Cała drzę ze strachu. Siedzę porządnie, z wyprostowanymi plecami, tak jak należy siedzieć przy stole podczas posiłków. Kobieta wyciąga do mnie rękę. Ja wyciągam do niej od razu obie i powoli obracam je tak, żeby najpierw mogła obejrzeć moje paznokcie, a potem dłonie. Jeszcze wszystkiego nie

pokazałam, gdy ona chwyta mnie za prawą rękę i nią potrząsa. Kobieta i mężczyzna mówią:

– Witaj, Hanno.

Wspominają też o tym, że siostra Ruth nie przyjdzie, bo potrzebuje przerwy.

– Cały czas tak troskliwie się tobą opiekowała. – Kobieta się uśmiecha. Potem mówi, że nazywa się doktor Hamstedt, chociaż wcale nie wygląda na lekarkę. Nie ma na sobie kitla. Chcę jej to nawet powiedzieć, bo może po prostu o nim zapomniała i będzie mieć przez to problemy. Nie mam jednak ku temu okazji, bo przychodzi kolej na mężczyznę. Też nie chce oglądać moich dłoni, jest policjantem. Pokazuje mi nawet swoją odznakę i uśmiecha się, bo na zdjęciu wygląda zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

– Widzisz, byłem wtedy młody i piękny.

Przypuszczam, że to miał być żart, ale gdy usta mi drgają, mężczyzna poważnieje.

– Hanno, naprawdę muszę pilnie sprawdzić, czy u ciebie w domu wszystko jest w porządku – mówi, siadając na krześle, na którym wcześniej siedziała siostra Ruth. Następnie wyciąga szyję w stronę moich rysunków i stuka palcem dokładnie w miejscu, gdzie tata ma czerwoną plamę na głowie.

– Bo na podstawie tego, co mówiła siostra Ruth, sądzę, że dziś wieczorem wydarzyło się u was coś bardzo złego. Że ty i twoja matka wystraszyłyście się czegoś tak, że uciekłyście i doszło do wypadku, w którym twoja mama została ranna.

Sięga po mój pierwszy rysunek, ten z mamą i tatą w lesie. Wskazuje na chustę, którą tata trzyma w ręce.

– Nie bój się, Hanno. Powiedz mi, gdzie jest ten szalas. Wszystkim się zajmę. I nic złego ci się już nie stanie, obiecuję.

– Posłuchaj komisarza Giesnera, Hanno. Możesz nam zaufać – dodaje kobieta.

– Gdzie jest ten szalas, Hanno? Możesz opisać drogę do niego? – Znowu policjant, a potem kobieta:

– Nie martw się, jesteś tu bezpieczna.

Nie sądzę, żeby ci ludzie byli nieuprzejmi, zwłaszcza ten policjant jest o wiele miłszy, niż to sobie wyobrażałam. Ale mimo wszystko nie mam ochoty z nimi rozmawiać. Chcę, żeby wróciła tu siostra Ruth albo żebym przynajmniej mogła położyć się spać. Myślę, że oni to rozumieją, bo dają mi spokój, gdy ponownie kładę głowę na stole i zamykam oczy. W pierwszej chwili znów zamierzam pomyśleć o czymś miłym, ale nic mi z tego nie wychodzi, bo tak uważnie nadstawiam uszu i nasłuchuję, kiedy wreszcie wstaną i opuszczą pokój socjalny. Ale oni dalej tam siedzą, doliczam aż do stu czterdziestu ośmiu. W końcu jednak słyszę, jak krzesła szurają po podłodze, a krótko potem trzaskają drzwi.

Matthias

Skrećamy na parking przed szpitalem. Za chwilę będzie czwarta.

Karin bierze mnie za rękę. Jej dłoń jest zimna i mokra. Mówi coś. W uszach nie słyszę nic poza tętnieniem własnego serca. Nie biegniemy, nie wpadamy do środka, do tego miejsca, nasze kroki są ostrożne i drobne. Wszystko odbywa się automatycznie. Drzwi. Krótki odcinek w holu wejściowym. Rejestracja, gdzie siedzi jakaś kobieta. Moje usta się poruszają. Chcę jej powiedzieć, że jesteśmy rodzicami Leny Beck, którą przywieziono tu dzisiaj z wypadku. Że musimy na chirurgię urazową. Nie wiem, jak to w ogóle brzmi. Czy zdania wychodzą tak, jak obmyślam je sobie w głowie. Kobieta w rejestracji teraz też porusza ustami i podnosi słuchawkę. Karin odciąga mnie za rękaw kilka kroków od szklanego boksu, w którym telefonuje kobieta. Jej twarz jest blada, a powieki drżą, gdy na

mnie patrzy. Kiedy zauważam, jak nerwowo przestępuje z nogi na nogę, łapię ją za rękę. Chcę powiedzieć, żeby się uspokoiła, i najwyraźniej to robię, bo Karin kiwa głową. Przychodzi doktor lub pielęgniarz, nie wiem, w każdym razie ktoś w fartuchu. Obok niego stoi mężczyzna w szarym garniturze. Padają nazwiska, ściskają mi rękę. Idziemy za nimi do windy. Jedziemy, nie wiem, czy w górę, czy w dół. Czas pociąga za sznurki. Winda się zatrzymuje, jeden z mężczyzn dotyka mojego ramienia, prawdopodobnie po to, żeby dać mi znać, że mamy wysiąść. Karin znów łapie mnie za rękę, mocno ją ściska. Nasza procesja dociera do połowy korytarza, po czym się zatrzymuje. Karin nagle puszcza moją dłoń. Tylko dlatego, że mnie to wszystko irytuje, znów odzyskuję koncentrację.

Lekarz mówi:

– Najlepiej by było, gdyby do środka weszła tylko jedna osoba. Poszkodowana otrzymała pierwszą pomoc, ale nadal jest nieprzytomna. Chcemy, żeby dochodziła do siebie w spokoju, zwłaszcza że nie możemy wykluczyć szoku.

– To znaczy, że nie mogę z nią porozmawiać – stwierdzam głupio.

Mężczyzna w szarym garniturze – teraz odkrywam, że to komisarz policji – mówi:

– Przede wszystkim potrzebujemy państwa pomocy, żeby zidentyfikować ją bez cienia wątpliwości. Potem omówimy wszystko inne.

– Wejdę tam – oświadczam zwrócony twarzą do Karin, która kiwa głową. Dokładnie tak to planowaliśmy, lata temu. Podejmę się identyfikacji zwłok naszej córki, przykrytych cienką płachtą na stole sekcyjnym. Jeszcze raz wezmę ją za rękę i pocałuję w zimne czoło. Powiem jej, że ją kochamy.

Tyle tylko, że teraz nie jesteśmy w piwnicy prosektorium, ale w szpitalu, a nasza córka żyje. Lekarz, trzymając mnie pod rękę, podchodzi do kolejnych drzwi odgradzających korytarz od wydzielonego obszaru. Za moimi plecami Karin pyta komisarza, co dalej. Nie słyszę jego odpowiedzi, bo drzwi przesuwają się za mną i lekarzem. Nagle nachodzą mnie

wątpliwości, zastanawiam się, jak może wyglądać nasza córka, z tymi obrażeniami, których doznała w wypadku. Kiedy zaginęła, była na drugim roku studiów – młoda dziewczyna, dopiero rozwijająca skrzydła. Teraz ma trzydzieści siedem lat i jest prawdziwą kobietą, która – gdyby nie wyrwano jej tamtej nocy z życia – mogłaby mieć już męża i własne dzieci.

– Proszę się nie przestraszyć – odzywa się lekarz, kiedy stoimy przed jej salą. Położył już rękę na klamce, ale wciąż zwleka z jej naciśnięciem. – Ma obrażenia twarzy, głównie rany. Wygląda to gorzej, niż w gruncie rzeczy jest.

Odpowiadam mu chrząknięciem. Na nic innego nie starcza mi tchu. Ucisk w klatce piersiowej. Lekarz naciska klamkę. Szczelina w drzwiach się powiększa.

Zamykam oczy, zalewają mnie wspomnienia. Moja Lenka, małe zawiniątko na rękach Karin. Pięćdziesiąt centymetrów, trzy tysiące czterysta trzydzieści gramów, malusieńka rączka, która ściska mój kciuk. Mówię: „Witaj na świecie, aniołku. Tata zawsze będzie się tobą opiekował”. Moja Lenka ze szczerbami między zębami i ogromną torbą ze słodyczami z okazji rozpoczęcia szkoły. Lenka, która upiera się, żeby odtąd nazywać ją Leną, bo wszystko inne brzmi zbyt dziecinnie. Lena, która ufarbowała na czarno swoje piękne, jasne włosy i siedzi na kanapie w salonie z podciągniętymi kolanami, i agrafką wydrapuje dziury w džinsach. Lena, która znów jest blondynką i całą moją dumą. Która wygląda oszałamiająco w sukience na bal maturalny, ze świetnymi ocenami na świadectwie i tyloma planami w głowie. Lena, która jest studentką, i Lena, którą widziałem po raz ostatni przed jej zniknięciem. Jak po wizycie u nas zbiega po schodach do ogródka przed domem, odwraca się i macha do mnie radośnie. *Ciao, tatusiu! Do zobaczenia za kilka dni! Jeszcze raz dziękuję!*

Potem wchodzę do sali.

Jej łóżko stoi pośrodku. Słyszę pikanie aparatury. Ma zamknięte oczy. To prawda, twarz jest poraniona. Pokrywają ją zadrapania, które wyglądają

jak małe trójkąty. Lewa połowa jest niebieskawa i opuchnięta. Wargi są popękane. Wydaje się, że zszyto jej łuk brwiowy. Mimo to dobrze widać niewielką bliznę po prawej stronie, tuż poniżej włosów. A jednak...

Wystarczyłoby już jedno spojrzenie. Ale sens tego, co widzę, musi do mnie dotrzeć, a to wymaga czasu, opada ciężko, opada bez końca. Potem zasłaniam usta dłonią i chwiejnym krokiem odsuwam się od łóżka.

– To nie jest Lena – dyszę w dłoń. – To nie jest moja córka.

Lekarz chwytą mnie pod łokieć, utrzymuje w pionie lub wypycha z pokoju, a może i jedno, i drugie.

– To nie ona. – I tak w kółko.

– Przykro mi – mówi lekarz.

Przykro mi, jakby to miało wyrazić wszystko.

Hannah

Gdybym mogła wybierać, wolałabym być teraz nad morzem. Z mamą – tylko we dwie, bo jestem jej ukochanym dzieckiem – w najpiękniejszym miejscu na świecie. Jest mi w zasadzie winna jeszcze jedną wycieczkę nad morze, bo ostatnia się nie powiodła. Kiedy się dokądś wyjeżdża, cały czas trzeba być w dobrym nastroju. Brałam każdą falę, z całych sił rzucałam się na nią brzuchem, jakbym podejrzewała, że może to być ostatni raz, gdy gdzieś razem jedziemy. Mama się zmieniała. Leżała na plecach na piasku i wpatrywała się w niebo. To przez tatę, tak sobie wtedy myślałam. Za każdym razem, gdy się oddalał, mama bała się, że już nie wróci. Nie mówiła tego, ale ja to widziałam. Była zdenerwowana i rozkojarzona, liczyła batoniki i w kółko mnie pytała, czy wszystko w porządku z aparatem cyrkulacyjnym. Miałam dobry słuch, najlepszy z nas wszystkich.

Tak bardzo chciałam ją rozweselić, że – przedzierając się przez fale – wróciłam na plażę. Odwróciłam się jeszcze raz do wody, na wypadek

gdybyśmy musiały zaraz iść, ze względu na Jonathana i dlatego że środki nasenne nigdy nie działają tak długo, jak byśmy sobie życzyły. Widziałam, jak słońce migocze na morzu, jakby wysypano tam ogromny ładunek diamentów. Niebo i woda tworzyły jedność, wszystko było niebieskie, jednolicie niebieskie, od góry do dołu, *pamiętaj, Hanno, nie zapomnij nigdy tego pięknego, niekończącego się błękitu*. Zamknęłam oczy i zaciągnęłam się słonym powietrzem, które oblepiło mi płuca. *Nie zapomnij tego, Hanno, tylko nie zapomnij*. Morze, *the sea, la mer*, zajmuje prawie trzy czwarte powierzchni Ziemi. Flora morska wytwarza do atmosfery ziemskiej około siedemdziesięciu procent tlenu.

Gdy byłam pewna, że wszystko już dobrze zapisałam w pamięci, pomaszerowałam do mamy przez gorący piasek.

– Mamo?

Nic nie powiedziała. Potrząsnęłam nad nią włosami jak mokry pies futrem, chciałam, żeby zerwała się na równe nogi i goniła mnie po plaży. Tak jak zwykle. Ale tego dnia leżała, całkowicie sztywno, i wpatrywała się w niebo, jakby tak naprawdę wcale jej tam nie było.

– Przecież też chciałaś przyjechać nad morze – wymruczałam, przysiadając obok niej na piasku.

– Och, Hanno – powiedziała i przewróciła się na bok, żeby na mnie popatrzeć. – Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego.

– Co masz na myśli, mamo?

– Tak wam ciężko, tylko przeze mnie.

Miała na myśli podbite oko.

– To tylko głupie przeoczenie – zapewniłam ją. – Nie jest chyba aż tak źle.

– Jesteś bystra, Hanno. I urośniesz. Pewnego dnia uznasz to za złe. – Złapała mnie za rękę i ścisnęła, zbyt mocno. – Jeśli ktoś cię o mnie zapyta, powiedz mu prawdę, słyszysz?

– Wiesz przecież, że nie kłamię. Tata zawsze powtarza: „Kłamstwo...”.

– Wiem – przerwała mi. W zasadzie nie wolno przerywać. To niegrzeczne. Roześmiała się. – Och, zapomnij to, co powiedziałam, Hanno. To z pewnością tylko hormony.

Hormony to biochemiczne substancje przekaźnikowe zapoczątkowujące określone procesy biologiczne. Na przykład ten, że mama teraz pochlipuje, a z jej ust wydobywają się przenikliwe tony. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby podczas płaczu wydawała jakieś dźwięki, mimo że te, które teraz wydaje, były bardzo ciche. Mam dobry słuch.

Mama pociągnęła mnie za rękę, aż usiadłam i mogła mnie przytulić.

– Kocham cię, Hanno.

– Zawsze już będziesz?

– Zawsze, zawsze, zawsze...

Słyszę drzwi i unoszę wzrok. Tym razem to siostra Ruth, która wreszcie wróciła.

– No i, Hanno? Jak się miewasz? – Pyta z półuśmiechem. To ten głupkowaty uśmiech, po który zawsze sięga, gdy się trochę wstydzi. Teraz zapewne tego, że zostawiła mnie samą i przysłała do mnie dwoje nieznajomych.

– Cieszę się, że pani wróciła – mówię.

– Tak, ja też. – Siostra Ruth się uśmiecha.

Obiegam stół, mimo że nie prosiłam o pozwolenie, żeby wstać, i przytulam się do niej. Znów zasłania mi dłonią ucho i słyszę morze. Morze, *the sea, la mer*, najpiękniejsze miejsce na świecie.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – mówi siostra Ruth przez szum morza. – Jeśli chcesz, możemy zerknąć, co u twojej mamy. Wprawdzie jeszcze się nie obudziła, ale lekarze na razie z nią skończyli.

Kiwam głową przy jej miękkim brzuchu. Chcę do mamy, ale chcę też, żeby siostra Ruth jeszcze chwilę mnie poprzytulała.

– Słyszysz? – pyta siostra Ruth.

Dopiero wtedy odsuwam od niej głowę. Ma na myśli ten dźwięk. Dziwne trzepotanie, gdzieś w oddali, jednak wyraźnie słyszalne. Siostra Ruth wskazuje na okno. W nocnej szarówce widać migające białe i czerwone światła. Białe-czerwone-białe-czerwone, blink-blink-blink-blink.

– Co to?

– Helikopter. Policja lata teraz wokół miejsca, gdzie twoja mama miała wypadek. – Siostra Ruth kuca przede mną i bierze moją twarz w swoje ciepłe dłonie. – Znajdą szalasa, Hanno. Zabiorą z niego twojego brata. – Uśmiecha się, tak naprawdę, a ponieważ nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, też się uśmiecham.

– No to co? Sprawdźmy, co u twojej mamy?

Przytakuję. Siostra Ruth bierze mnie za rękę i wychodzimy z pokoju socjalnego.

Matthias

Współczucie. Słowa otuchy. Od blisko czternastu lat wiem, jak mało to wszystko znaczy. Niektóre rzeczy mówi się z grzeczności. Karin naprawdę zadaje sobie jeszcze trud, żeby przez łzy kiwać głową, gdy komisarz marnuje czas na czcze frazesy.

– Naprawdę bardzo mi przykro, drodzy państwo.

Gerd też tu jest, stoi z nami w nieszczęsnym półokręgu na korytarzu przed oddziałem chirurgii urazowej. Wpatruję się w koszulę, którą ma pod znoszoną, rozpiętą skórzaną kurtką i którą tej nocy, w całym tym zamęcie, krzywo zapiął.

– Dlatego właśnie chciałem przyjechać tu bez was. – Ośmiela się powiedzieć.

Przełykam obelgi.

– Oczywiście wasze rozczarowanie jest teraz tym większe.

Znów przełykam.

– Więc kim jest ta kobieta? – pyta Karin, szlochając. Wystarczyło jedno jej spojrzenie na mnie, gdy wróciłem z zamkniętej części z lekarzem, i już wiedziała. „To nie ona, prawda?”, zapytała. Chciałem przytaknąć, ale nie byłem w stanie zrobić nawet tego.

– Pani Beck – odzywa się kolega Gerda. – Trwa śledztwo. Mam nadzieję, że rozumieją państwo, że nie możemy udzielić państwu żadnych informacji.

– Bo nagle nie jest to już nasza sprawa, Karin – przekładam tę wypowiedź na nasze. – To nie nasza córka, więc nie mogą nam nic powiedzieć.

– Mój kolega ma na myśli... – wtrąca się Gerd. Stara się zachować spokojny ton, ale w moich uszach zakrawa to na fałsz.

– Wyciągasz nas z łóżek w środku nocy i mówisz, że znalazłeś naszą córkę! – syczę.

– Powiedziałem, że istnieje pewne podobieństwo, które trzeba sprawdzić – odsykuje Gerd w odpowiedzi.

Drugi komisarz odchodzi na kilka kroków. Sytuacja zrobiła się dla niego niekomfortowa.

– Od początku mówiłem, że nie ma pewności, że ta kobieta to Lena. – Gerd ociera sobie czoło i wzdycha, po czym zwraca się do Karin: – Jest mi tak potwornie przykro, Karin. Nie powinienem był dawać wam złudnych nadziei. Nie było to profesjonalne z mojej strony. Wiesz, że jestem w to osobiście zaangażowany...

– Od czternastu lat zachowujesz się nieprofesjonalnie – wypalam, ale oboje mnie ignorują.

– Co to teraz dla nas znaczy? – pyta Karin.

Gerd znów wzdycha.

– To znaczy, że...

– Że możemy na nią czekać kolejne czternaście lat, Karin – przerywam mu ostro. Nie mam już ochoty słuchać wytartych frazesów, uprzejmości,

bzdurnych tekstów o tym, że trzeba wziąć się w garść i to wytrzymać. – Ona nie wróci do domu.

Czuję, jak złość zaczyna płonąć pod skórą na mojej twarzy, policzki trawi mi gorączka.

– Matthias... – Karin łapie mnie za rękę, ale ja nie chcę się uspokoić. Niech Gerd wie, co zrobić.

– Nie mamy już córki, to właśnie to znaczy! Ona nie żyje! Pewnie nie żyje od czternastu lat! Ale temu geniuszowi, panu Brühlingowi, nie udaje się sprowadzić do domu nawet jej zwłok, byśmy mogli je należycie pochować!

– Matthias... – Paznokcie Karin przebijają materiał mojej kurtki. Nagle jej twarz staje się jeszcze bledsza, oczy się rozszerzają i zamierają. – Tam – szepcze.

Nie rozumiem.

– Tam jest.

Podążam za wzrokiem Karin przez korytarz. Odbiera mi dech, serce się zatrzymuje.

– Tam jest... Lena.

Karin ma rację: to ona. Korytarzem, trzymając za rękę pielęgniarkę, idzie ku nam nasze dziecko, nasza mała Lena, moja Lenka.

Lena

Jak przez mgłę pamiętam pisk hamulców, swój własny głos, krzyk, który nagle ucichł, uderzenie i to, jak bardzo mnie zaskoczyło, że nie czuję bólu, przynajmniej nie w pierwszej chwili. Potem nadszedł, przetoczył się po mnie z tak potężnie brutalną siłą, że zemdlałam. Nie wiem, ile to trwało – dziesięć minut? godzinę? – potem nagle doszłam do siebie. Jakbym siedziała w ciemnym jak smoła pomieszczeniu i nagle ktoś włączył światło. Byłam przytomna i miałam całkowitą jasność.

Od razu wiedziałam, że doszło do wypadku. Od razu wiedziałam, że jestem w karetce. Słyszałam pikanie, które bicie mojego serca czyniło słyszalnym dla świata zewnętrznego. Słyszałam syreny. Wiedziałam, że jedziemy szybko, czułam wyboje na drodze i to, jak samochód skręca. Czułam swoje ciało; nie sposób wyrazić słowami, jak bardzo mnie bolało. Mimo to próbowałam się poruszyć, żeby sprawdzić, czy mam czucie w kończynach. „Tam, gdzie jest czucie – nawet jeśli jest to tylko ból – jest też życie, które da się przywrócić”, myślałam sobie. Gdy się wysiliłam, mogłam poruszyć palcami u nóg i zgiąć palce u rąk; to dobry znak. Tylko głową nie mogłam ruszać, szyję miałam wyciągniętą i usztywnioną stabilizatorem. Założono mi kołnierz ortopedyczny. Nie widziałam, co się dzieje po bokach. Nie było żadnej prawej ani lewej strony, tylko nieruchoma góra, poźółkły sufit karetki. Dokładnie nade mną przyklejono do niego kawałek srebrnoszarej taśmy izolacyjnej, może zakrywała małe zarysowanie lub dziurę albo demotywiącą plamę krwi, która nie chciała zejść. Poczułam delikatny nacisk na klatkę piersiową i kolana; zapewne pasy, którymi byłam przypięta. Żeby nie spaść z noszy podczas jazdy. I nie zrobić sobie niczego gorszego. Absurd, czyż nie?

– Chyba dochodzi do siebie – powiedział męski głos.

Chwilę później ratownik pochylił się i tym samym znalazł się w moim ograniczonym polu widzenia, poświecił mi latarką w oczy. Miałam podążać wzrokiem za światłem. Spróbowałam, wszystko się zamazało, świetlny punkt stał się postrzępioną jasną plamą. Ból był płynny, wybijał z mojego wnętrza.

Ratownik odłożył latarkę i powiedział:

– Proszę się nie bać. Zabierzemy panią do szpitala.

Poczułam, jak jego kciuk, odziany w lateksową rękawiczkę, ociera mi łzę z policzka. Pikanie, które przekładało bicie mojego serca, przyspieszyło i stało się nieregularne.

– Tylko spokojnie. – Ratownik starał się zachować dystans, powiedział, że mu przykro.

Zacęłam więc się pod pasami, które nagle stały się o wiele za ciasne.

– Proszę się uspokoić. Wszystko już dobrze, słyszy pani? Potrącił panią samochód, ale zaraz będziemy w szpitalu. Już prawie jesteśmy. – Ratownik przytrzymał moje nogi. Chciałam krzyknąć, ale tylko dalej szamotałam się pod pasami. – Dam jej coś na uspokojenie.

Chwilę potem moje serce znów zwolniło, a jego bicie stało się regularne. Wydało mi się to całkowicie niewłaściwe.

– Może mi pani powiedzieć, jak się pani nazywa? – zapytał ratownik. – Pamięta pani, jak się pani nazywa?

Moje powieki zaczęły trzepotać.

– Chyba nic z tego nie będzie. – Usłyszałam jego głos, jakby z oddali. – Najpewniej jest w szoku.

– Lena – powiedział drugi głos. Głos, który nie był realny, nie mógł być, brał się ze środków uspokajających, z szoku. – Ma na imię Lena – powtórzył głos, jakby po to, żeby potwierdzić swoją autentyczność.

Próbowałam przekręcić głowę, ale była mocno przytwierdzona, zwrócona ku górze, ku pożółkłemu sufitowi. I była zmęczona, ta moja głupia głowa. Bardzo zmęczona. Powieki mi się zamknęły. „Hannah”, ostatnia myśl uformowała się we mgle na tle czerni. Głos, który właśnie usłyszałam, należał do Hanny. Hannah była ze mną w karetce...

Tłumię w sobie westchnienie. Nie mogą spostrzec, że się obudziłam. Czas minął, wiem o tym. Fragment filmu, który mi się urwał między ostatnimi myślami w karetce a tą chwilą. Jestem w szpitalu, leżę w łóżku. Moja głowa jest teraz bardzo lekka, zapewne naszprycowana lekami do granic możliwości. Coś wrzyna mi się w zgięcie łokcia prawej ręki. Dali mi kroplówkę. Wyczuwam zapach środka dezynfekującego i słyszę znajomy sygnał monitora EKG. Głosy i krzątanie wokół siebie.

– Słyszysz mnie pani? Może pani dać mi jakiś znak? Poruszyć palcem?

Nic nie robię. Skupiam się na oddychaniu i jak krnąbrne dziecko zaciskam powieki. Nawet nie mrugam, gdy twój zwariowany tata stoi przy moim łóżku i wychodzi z siebie.

– To nie ona. To nie jest moja córka.

Wydaje mi się, że muszą go podtrzymywać, kiedy opuszcza salę.

Ja natomiast leżę tam jak martwy kawałek mięsa, tak jak leżałam przez wiele nocy, gdy twój mąż się do mnie dobierał. Moje powieki, mocno zaciśnięte. Wiem, że gdy tylko otworzę oczy, rozpęta się piekło. Boję się, Leno. Potwornie się boję.

Matthias

Wzrok Karin. Jej blada twarz i szeroko otwarte, wybałuszone oczy.

Lena idąca korytarzem w naszą stronę, trzymana za rękę przez pielęgniarkę.

Nasze dziecko, nasza mała Lena, moja Lenka, może sześć-, siedmioletnia. „O wiele za mała na ogromną torbę ze słodyczami z okazji pierwszego dnia szkoły”, dośpiewuje sobie moja zdezorientowana głowa, gdy wspomnienia z minionych lat znów nadpływają i mieszają się z rzeczywistością. Jasne loki, spiczasty podbródek, oczy – mój Boże, te oczy.

Szukam jakiegoś oparcia i znajduję je w ramieniu Gerda; że też akurat tam.

– Lena.

– O Boże – dobiega mnie głos Karin, potem Gerd wyrywa mi swoje ramię.

Odwracam wzrok, gdy wykonuje niezgrabny ruch, i widzę, że łapie Karin pod pachami, bo ugięły się pod nią nogi.

– Co do...? – wyrywa się Gerdowi, po czym także on odwraca głowę w lewo, do dziewczynki. – Jak... to możliwe?

Jego kolega z Cham, Giesner, który do tej pory trzymał się na dystans, również do nas doskakuje.

– Lena! – woła Karin.

Pielęgniarka, na której ręce wisi Lena, raptownie się zatrzymuje. Lenka robi niepewny krok za jej plecy. Zamieszanie zdaje się napawać ją przerażeniem.

– Psst! Cicho! Cicho! – wołam, ale Karin zupełnie traci nad sobą panowanie.

– Co to znaczy? – sapie, a potem krzyczy: – Lena! – Tak przenikliwie i przeszywająco.

Pielęgniarka popycha dziewczynkę z powrotem korytarzem.

– Nie, nie, nie! Proszę poczekać! – krzyczę, podążając za nią, ale naraz czuję szarpnięcie. Czyjeś ramiona chwytają mnie od tyłu. – Lenko! – skrzeczę jeszcze, po czym Giesner powala mnie na ziemię jak wściekłe zwierzę. Podczas gdy trzęsę się pod nim żałośnie w ostatnich podrygach, Lenka znów znika, korytarz pustoszeje, zostajemy tylko my. Cisza.

– Chodźmy, panie Beck – mówi po chwili Giesner i pomaga mi wstać.

On i Gerd idą z nami za pielęgniarem do najbliższej pustej sali. Gerd odprowadza Karin do łóżka, na które ona opada jak ktoś, komu właśnie wyciągnięto wtyczkę.

Pielęgniarz pyta, czy przyprowadzić lekarza, żeby dał jej coś na uspokojenie.

– Nie, dziękuję – decyduję, w zasadzie bez zaprzętania sobie myśli jej stanem. – Już w porządku.

Po wyjściu pielęgniarza z sali jako pierwszy odzywa się Giesner:

– Proszę mi to wyjaśnić.

– Lena – mówimy z Karin jednocześnie.

– Dziewczynka na korytarzu wygląda jak nasza córka – tłumaczę. – W dzieciństwie – dodaję szybko, gdy zdaję sobie sprawę, że najpewniej brzmi to, jakbyśmy byli wariatami.

Rodzice w szczególnym stanie psychicznym, którzy napastują obcą małą dziewczynkę – takie wrażenie musimy sprawiać na Giesnerze. Tyle tylko, że ta dziewczynka nie może być przecież obca, wygląda w końcu kropka w kropkę jak nasza córka. Może nie?

– To prawda. – Gerd niespodziewanie przychodzi nam w sukurs. – Jest jak klon.

Giesner posyła mu teraz powątpiewające spojrzenie.

– Jestem zaprzyjaźniony z tą rodziną. Znam Lenę od urodzenia.

Zaprzyjaźniony, przeżuwam po cichu to słowo, ale zaciskam zęby. Nie chodzi teraz ani o Gerda, ani o mnie, tylko o Lenę. Nie, o tę dziewczynkę.

– Chwila. – Przychodzi mi coś do głowy, sięgam po kurtkę i wyciągam z kieszeni portfel. Zza przezroczystego plastiku, w trochę wyblakłych kolorach, za każdym razem, gdy otwieram portfel, uśmiecha się do mnie moja mała Lenka ze szczerbą między zębami i z wielką torbą słodyczy. Wydłubuję zdjęcie i podaję je Giesnerowi.

– Tutaj, proszę tylko spojrzeć.

Giesner bierze zdjęcie i uważnie mu się przygląda.

– Hmm – mruczy. – Hmm.

– Kim jest ta dziewczynka? – pyta z tyłu Karin łamiącym się głosem.

Giesner podnosi wzrok znad zdjęcia.

– Dziewczyna twierdzi, że jest córką ofiary wypadku.

Kręcę głową.

– Ale to przecież nie ma sensu. Ta kobieta tam – kiwam niezdecydowany głową przez ramię w stronę drzwi – to nie jest Lena.

– Matthiasie, jesteś tego pewien? – Pytanie pochodzi od Karin. – Może po tylu latach po prostu jej nie poznałeś. Ma bliźnię? – Wykonuje palcem

małe, niezdarne ruchy z prawej strony swojej twarzy, tuż pod włosami. – Mam jeszcze raz spojrzeć na tę kobietę?

– Ma bliźnię, owszem. Ale mimo wszystko to nie ona. Chyba poznałbym własną córkę. – Niezamierzenie mówię to dość szorstko. – Przykro mi, kochanie. To naprawdę nie ona.

– A jeśli jeszcze raz bym na nią zerknęła? Tylko dla pewności?

– To nie ona, Karin!

– Najpierw wszyscy się uspokójmy – wtrąca się Gerd. – Karin, nie pójdziesz tam. Ja to zrobię. Jestem w stanie zidentyfikować Lenę.

– Naprawdę wierzycie, że nie potrafię rozpoznać własnej córki? – Nie mieści mi się to w głowie.

– Oczywiście, że potrafisz – szepcze Gerd. – Fakt jest jednak taki, że coś nam umyka. Musimy się dowiedzieć, kim jest ta kobieta i dlaczego uznaje za swoją córkę dziewczynkę, która wygląda jak Lena.

– Hmm – mruczy Giesner i oddaje mi zdjęcie Lenki. Następnie zwraca się do Gerda: – Wiesz może, czy Lena Beck ma już profil DNA?

Gerd gorliwie kiwa głową, jak wzorowy uczeń.

– Zrobiliśmy go już wtedy na podstawie próbki ze szczoteczki do zębów.

– No cóż – mówi Giesner, znów do Karin i do mnie. – Czyli potrzebujemy już tylko jednej próbki od dziewczynki. Pójdzie szybko, wystarczy odrobina śliny. Na tej podstawie stworzymy jej profil DNA, a następnie porównamy oba pod kątem zgodności. Pokaże to nam przynajmniej, czy dziewczynka jest spokrewniona z państwa córką. Natomiast otwarta pozostanie kwestia, co łączy tę dziewczynkę z ofiarą wypadku...

– Zapytajmy tę małą – postanawia Gerd z determinacją, jaką ostatnio widziałem u niego czternaście lat temu. „Znajdziemy twoją córkę, Matthiasie”, powiedział z papierosem w kąciku ust, kładąc nogi na biurku jak gliniarz z kiepskiego amerykańskiego filmu. I dodał: „Nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię. Sprowadzę naszą Lenę do domu”.

Giesner wzdycha.

– Już rozmawiałem z dziewczynką, nawet w asyście specjalistki. Niewiele to dało.

– Rozmawiał pan z nią? – sapię. – Co to znaczy: niewiele to dało?

– Doktor Hamstedt, nasza specjalistka, nie jest w stanie w tak krótkim czasie postawić jednoznacznej diagnozy. Na razie mamy jedynie różne fragmenty tej układanki, liczę jednak, że wkrótce dowiemy się więcej, gdy znajdziemy szłaś, o którym opowiedziała nam Hannah. Posłałem helikopter, żeby polatał nad tym zalesionym obszarem, a do tego wysłałem ekipę, żeby rozejrzała się po okolicy miejsca wypadku.

– Hannah... – powtarzam, tylko do siebie. Więc tak ma na imię: Hannah. Szukam oczu Karin, ale ona mija mnie wzrokiem i patrzy na Giesnera.

– Jaki szłaś? – pyta. – Czy tam, w tym szłaście, jest Lena?

Giesner chrząka.

– Nadkomisarz Brühling ma rację. Powinni państwo trochę odpocząć.

Daje znak Gerdowi, żeby kierował się do drzwi. Ten przytakuje.

Kiedy wychodzą z sali, Karin mówi:

– Co tu się dzieje, do diabła?

Lena

Przez chwilę myślę o ucieczce, ale jak by to miało wyglądać? Wciąż ledwo się ruszam, jestem podłączona do aparatury, która wywoła alarm, jeśli zacznę majstrować przy elektrodach, a do tego ciągle ktoś wchodzi do mojej sali. Tak jakby swoją aktywnością próbowali zmusić mnie do przebudzenia. Początkowo jedynie personel medyczny wpada tu na moment, żeby zmienić kroplówkę i sprawdzić EKG – aby to wytrzymać, zamykam oczy i skupiam się na oddechu.

Potem jednak zjawia się dwóch policjantów i postanawia urządzić sobie stały posterunek przy moim łóżku. Jeden, jak udaje mi się wychwycić z ich

szeptów, przyjechał tu specjalnie z Monachium. Drugi jest stąd, z rejonu komendy z Cham. Ciągłe powtarzają „ta dziewczynka”.

Hannah. Nie ubzdurałam sobie tego, ona tam była, jechała ze mną karetką. Tutaj, do szpitala. Hannah tu jest.

Wyłapuję słowa takie jak „porwanie” i „szałas”. EKG, do którego jestem podłączona, obwieszcza moje nagłe pobudzenie nerwową sekwencją tonów. Tuż koło mojej głowy jeden z policjantów, chyba „Cham”, naciska jakiś przycisk. Słyszę ich po prawej i lewej stronie mojego łóżka, najwyraźniej czekają na kogoś z personelu.

Przychodzi jakiś mężczyzna, najpierw sprawdza mi zacisk EKG na środkowym palcu, potem przystawia do mojej piersi zimną główkę stetoskopu.

– Wszystko w porządku – informuje „Chama” i „Monachium”. – Może po prostu miała zły sen.

Któryś z policjantów burczy coś w odpowiedzi.

Słyszę otwierane drzwi, mężczyzna wychodzi, szura krzesło przesuwane po podłodze do mojego łóżka, zaraz potem drugie. Wygląda na to, że policjanci chcą się tu ceremonialnie rozsiaść, żebym wreszcie doszła do siebie i odpowiedziała na ich pytania.

O tym właśnie myślałam przez tyle nocy, kiedy jego bliskość, gorący oddech na mojej szyi i lepka skóra przy mojej skórze nie dawały mi zasnąć. Co bym powiedziała, gdybym kiedykolwiek wydostała się z tej dziury?

A potem sortowałam szczegóły. Niektóre z nich od razu trafiały na stos rzeczy nie do opowiedzenia, anomalii niedających się wyjaśnić słowami, które czyniły z niego potwora, ale przede wszystkim ze mnie jego ofiarę. Nie chciałam być już do końca życia biedną kobietą z szałasu. Będę silna, opowiem absolutne minimum, z wyprostowanymi plecami i klarownym spojrzeniem. Po cichu odliczam trzy oddechy, niczym drobne, ostateczne odroczenie terminu, po czym otwieram oczy. To już czas, Leno.

Natychmiast jeden z tych dwóch mężczyzn, ten w szarym garniturze, wskazuje mi w pole widzenia. Drugi również wstaje z krzesła. Obaj stoją teraz nade mną, na ich twarzach malują się znaki zapytania, EKG kompletnie wariuje.

– Dzień dobry – odzywa się ten w garniturze. – Tylko spokojnie. Wszystko jest w porządku. Nazywam się Frank Giesner i jestem z policji w Cham, a to mój kolega Gerd Brühling z Monachium. Rozumie pani? Jesteśmy z policji.

Próbuję kiwnąć głową, ale nie mogę.

– Czy mnie pani słyszy?

– Może lepiej wezwijmy jeszcze raz pielęgniarza – mówi „Monachium” i kiwa głową w stronę przycisku. „Cham” podąża za jego sugestią.

– Trafiła pani do szpitala po potrąceniu przez samochód. Może pani powiedzieć, jak się pani nazywa?

Przewracam oczami i jęczę z bólu.

– Proszę posłuchać: wiemy o szafasie. Już go szukamy. Nic się już pani nie stanie. Tutaj jest pani bezpieczna.

Drzwi się otwierają i wchodzi pielęgniarz. „Cham” i „Monachium” cofają się od łóżka, jakby byli zsynchronizowani.

– Obudziła się – wyjaśnia „Monachium” pielęgniarzowi. Ten sprawdza mi puls i mówi:

– Przyślę tutaj doktora Schwindta, żeby dał jej jakiś zastrzyk. Ale to może chwilę potrwać, bo właśnie mamy zmianę dyżuru. Panuje chaos.

Otwieram usta, żeby zaprotestować; wydobywa się z nich dźwięk, dziwny, coś między zmęczonym westchnieniem a histerycznym chichotem. Kiedy już uda mi się mniej więcej pozbierać w sobie, pielęgniarz znowu znika. Muszę zachować jasność umysłu, to jedyne, o czym mogę myśleć.

– Znaleźliście go? – udaje mi się powiedzieć łamiącym się głosem.

„Cham” wykonuje bliżej nieokreślony ruch głową, z kolei „Monachium” nieustannie wpatruje się w bliznę na moim czole.

– Jak już mówiłem, wciąż szukamy szłaśasu. Ale proszę się nie martwić. Tu jest pani bezpieczna. Czy może mi pani powiedzieć, jak się pani nazywa?

Przekonuję samą siebie, że jego prośba jest prosta i całkowicie logiczna. Że nie ma w niej nic złego ani niebezpiecznego, wręcz przeciwnie. Jeśli policja będzie wiedzieć, kim jestem, może się skontaktować z moją rodziną. Powie mojej mamie, że wciąż żyję, że może mnie odebrać, żeby się stąd wydostać, żeby tylko się stąd wydostać. I chcę odpowiedzieć, już nabieram powietrza i otwieram usta. Tyle że poza kilkoma histerycznymi odgłosami znów nic nie mogę z siebie wykrztusić. Połknęłam swoją tożsamość i teraz z tego chichoczę.

Trwa to dość długo, policjanci znoszą to cierpliwie.

Poza bezradnością na ich twarzach maluje się jeszcze inny wyraz: współczucie. Dla nich już nią jestem: biedną kobietą z szłaśasu. Kiedy to sobie uświadamiam, odechciewa mi się śmiać. Nie od razu przestaję, śmieję się raczej zrywami. Jeszcze przez moment brzmię jak zacinający się silnik. Potem wreszcie cisza. I moja odpowiedź.

– Lena. Mam na imię Lena.

Hannah

W zasadzie od razu go rozpoznałam, z tamtego razu, z przyjęcia w ogrodzie, z pierwszej wycieczki, na którą udałam się z mamą. To on mi wyjaśnił, jak to jest z biedronkami i tym, że przynoszą szczęście. Od razu przypomniały mi się jego szare włosy i jasnoniebieskie oczy, które miały ten sam odcień co niedzielne ubrania mamy. Tyle tylko, że sukienka była jeszcze w białe paski. Potem jednak straciłam trochę pewność, bo ludzie, z którymi stał na szpitalnym korytarzu, tak głośno krzyczeli, że siostra Ruth zaprowadziła mnie z powrotem do pokoju socjalnego. Szłyśmy tak szybko,

że musiałam zadzierać palce u stóp, żeby nie pogubić po drodze różowych plastikowych kłapek.

Siostra Ruth obiecała mi, że pójdziemy do mamy, ale teraz zamyka drzwi do pokoju socjalnego i mówi:

– Myślę, że jednak musimy jeszcze chwilę poczekać, zanim ją zobaczymy, Hanno.

Wpatruję się w podłogę i dostrzegam kłaczek. Jest fioletowy, zapewne z kolorowego swetra siostry Ruth, który wciąż mam na sobie.

– Nie smuć się, maleńka – mówi siostra Ruth, unosząc mój podbródek. – Zaraz do niej pójdziemy, obiecuję. Najpierw jednak chciałabym mieć jasność co do tego, co się tam dzieje. – Opuszcza rękę i popycha mnie dalej w głąb pokoju, z powrotem do naszego stołu. – Kompletnie powariowali. – Myślę, że nie mówi tego do mnie, ale do siebie, bo tak dziwnie przy tym bełkocze i nie patrzy na mnie. Zawsze powinno się patrzeć na tego, z kim się rozmawia. – Odstawiają tam takie hece i straszą ludzi. Jakbyś niewystarczająco dużo dzisiaj przeszła. Co to za ludzie? – Kilka razy kręci głową. – Usiądź, Hanno. Zrobię ci jeszcze herbaty, a potem pójde się dowiedzieć, co ma znaczyć ta szopka.

Kiwam głową i siadam. Siostra Ruth udaje się do kuchni. Słyszę, jak odkręca kran za moimi plecami, a potem stuka czajnikiem.

– Chyba wiem co – mówię.

– Hmm? – Siostra Ruth mnie nie usłyszała, bo leci woda.

– Chyba wiem co! – krzyczę, ale ona już zakręciła wodę.

– Co masz na myśli, Hanno?

Klap robi pokrywka czajnika i *pyk* robi przycisk, którym się go włącza.

– Co to za ludzie – wyjaśniam.

Za moimi plecami zapada cisza. Siostra Ruth z pewnością znów nie może tego załapać.

– Myślę, że to mój dziadek tam tak krzyczał.

– Twój...?

– Dziadek to tata taty lub mamy albo potoczne określenie starego mężczyzny, koniec.

Odwracam się do siostry Ruth, żeby sprawdzić po wyrazie jej twarzy, czy zrozumiała. Oczywiście, że nie. Znowu wybałusza oczy. Wzdycham.

– Wołali przecież: „Lena” – wyjaśniam biednej, głupiutkiej siostrze Ruth.

– Tak ma na imię moja mama, zapomniała już pani? A poza tym go rozpoznałam.

Nie czekam, aż siostra Ruth sama się nad tym zastanowi, tylko od razu jej opowiadam o naszej pierwszej wycieczce. Jak jechałam z mamą samochodem migoczącą ulicą do ogrodu, gdzie łąka pachniała jak nasz detergent, a kwiaty hortensji były wielkości główek kapusty, na przyjęcie, na którym było samo niezdrowe jedzenie. A także o moim dziadku, który siedział ze mną na trawie i opowiadał mi o biedronkach.

– Biedronki są bardzo przydatne, żywią się mszycami i przędziorkami – powtarzam jego słowa. – A poza tym mówi się, że przynoszą szczęście.

Siostra Ruth stoi już z powrotem przy naszym stole. Przeszła tutaj mysim krokiem od kuchennego blatu i opadła na krzesło. Woda w czajniku dawno się zagotowała i na pewno znów wystygnie, zanim siostra Ruth zaleje mi herbatę.

– Naprawdę już go kiedyś spotkałaś? – To pierwsze, o co pyta, kiedy kończę mówić.

Przytakuję.

– Jeździłyśmy na wiele wycieczek, moja mama i ja. Byłyśmy nad morzem i w Paryżu. Wieża Eiffła została zbudowana na stulecie rewolucji francuskiej i ma trzysta dwadzieścia cztery metry wysokości. – Pochyliłam się nad blatem i szepczę: – Ale nie wolno mi o tym nikomu mówić.

– Nie rozumiem... – bełkocze znów siostra Ruth.

– No, o tym, że jeździłyśmy na wycieczki. To nasza tajemnica. Inaczej wpadniemy w kłopoty i będziemy miały przerąbane, moja mama i ja.

– U twojego taty?

– Tak. – Kiwam głową. – Z mojej mamy jest okropna niezdara. Nie umie nawet sama włączyć kuchenki. Tata z pewnością uznałby, że to zbyt niebezpieczne, żeby prowadziła samochód, do tego ze mną w środku, i to tak daleko. Jonathan zapewne też by się złościł.

Właściwie nie chciałam już o nim myśleć, bo było mi tak potwornie przykro z powodu całej tej głupiej mordęgi z plamami na dywanie. Żeby się rozproszyć, głaszczę dolną część sukienki. Po obu stronach ma kieszenie. Dolny szew prawej się rozchodzi, dlatego mogę coś trzymać tylko w lewej.

– Dlaczego miałyby być na was zły? Nie zabierałyście go ze sobą na te wycieczki?

– No nie, i tak by mu się na nich nie podobało.

Siostra Ruth przechyla głowę.

Z początku nie chcę tego mówić, bo trochę mi wstyd. Potem jednak myślę, że nic na to nie poradzę, że jestem ukochanym dzieckiem mamy i że woli podróżować tylko ze mną.

– To bardziej dlatego, że... myślę, że by się złościł, gdyby wiedział, że podajemy mu środki nasenne – mówię i wolę przy tym patrzeć na dół swojej sukienki niż na twarz siostry Ruth. Mama musi zszyć tę lewą kieszeń, kiedy wrócimy do domu.

Lena

Zniknęłam z tego świata w pewien czwartek w maju. Alicja została wciągnięta do króliczej nory, poleciała na łeb, na szyję i to uderzenie ją znokautowało. Myślę, że wstrzyknął mi jakiś środek odurzający, zanim zaciągnął mnie do szafasu. Pierwsze, co pamiętam, to smród potu, moczu i stęchłego powietrza. Potem, jakby gdzieś w oddali, dźwięk przekreścanego w zamku klucza i kliknięcie włącznika światła. Wzdrygnęłam się, dopiero gdy jego stopa kilka razy trąciła moją nogę.

– Jak się masz, Leno? – zapytał mężczyzna, który stał przede mną i uśmiechał się do mnie z góry.

Mój wzrok wędrował po pokoju, po regale zajmującym większą część przeciwległej ściany, po zapasach, słoikach z przetworami, workach ziemniaków, czymś ciemnym, co z powodu srebrnych, migających zamków uznałam za swoją torbę podróżną, dalej po kilku kanistrach, stosie drewna w kącie, aż po żarówki na suficie, po moich bosych stopach, okręconych brązową taśmą wokół kostek, w górę po poplamionych dżinsach i przepoconej koszulce, po rękach aż do nadgarstków, które czymś w rodzaju pętli z trytytek przytwierdzono do rury kanalizacyjnej prowadzącej do starej umywalki, wreszcie z powrotem do mężczyzny, który wciąż się uśmiechał i cierpliwym głosem powtórzył swoje pytanie:

– Jak się masz, Leno?

Lena – to nie ja, ja się tak nie nazywałam.

Trybiki w mojej głowie gwałtownie zaskoczyły. Zaszło jakieś nieporozumienie, musiał mnie wziąć za kogoś innego. Pod kneblem zaskomlałam jak pobity pies, starałam się wyjaśnić mu pomyłkę, do której najwyraźniej doszło. Szarpałam pętające mnie opaski tak szaleńczo, że poprzecinały mi skórę na nadgarstkach.

Ze współczuciem pokręcił głową, odwrócił się i ruszył do drzwi. *Klik*, światło. Potem drzwi się zamknęły, metal zakołatał w zamku, klucz przekręcił się dwa razy.

Sama w absolutnej czerni. Zaczęłam krzyczeć i ciągnęłam trytytki, obie czynności bez sensu. Przez knebel moje krzyki brzmiały jak zdławione chrząknięcia, a trytytki były zbyt ciasno zaciśnięte. Porwano mnie. Przywiązano do rury kanalizacyjnej. Okrutna pomyłka. A do tego ta ciemność, która tylko pogarszała to, co się działo. Wydawało mi się, że pokój się rozplynął. Unosiłam się w nieokreślonej czarnej sferze, a moje myśli nie mogły znaleźć przystani. Przywołałam z pamięci twarz mężczyzny. Jego szare oczy, lekko zakrzywiony nos, uśmiech, ciemne,

falujące włosy. Widziałam go tylko przez chwilę, a jednak obraz był bardzo wyraźny, wbił mi się do głowy, tak jak jego głos.

Jak się masz, Leno?

Lena, Lena, Lena... Znałam jedną Lenę. Stażystkę w agencji reklamowej, w której pracowałam, rozpieszczoną, bezczelną dziewczuchę. Bogaci rodzice, bardzo bogaci. Teraz mnie olśniło. On chciał *jej!* Leny z bogatymi rodzicami. Okup, o to mu chodziło. I co teraz? Zabije mnie, gdy zorientuje się, że to pomyłka? Wypuści? Zażąda okupu? Wyobraziłam sobie, jak ojciec układa w teczce pliki banknotów. W teczce, której już nie miał, pieniądze, których i tak zawsze mu brakowało. Widziałam matkę, w czarnym ubraniu i w czarnym kapeluszu, jak przygryzając dolną wargę, zastanawia się, co ma jeszcze o mnie powiedzieć, jako że przez większość życia byłam dla niej rozczarowaniem, i Kirsten, która po raz pierwszy w czymś się z nią zgadza. Pomyślałam nawet o starej pani Bar-Lev z drugiego piętra. Jak dołączyła do grona tych, którzy potrzęsają głowami i narzekają na to, jak niedbale posprzątałam schody w naszym domu. Diabli wzięli te złe dziewczuchy. Moje myśli krążyły, szalały, napływały jedna za drugą, żadnej przystani w tej czerni, tylko smród, pot, mocz, zatęchłe powietrze, dryfowałam – odpływałam – zniknęłam.

Obudziłam się. Znów tu byłam. Wciąż w tym samym miejscu.

W świetle żarówki zwisającej z sufitu na prowizorycznie skróconym kablu zmrużyłam łzawiące oczy.

– Jak się masz, Leno?

Wrócił, stał nade mną tak jak wcześniej i się uśmiechał.

Długość swojego uprowadzenia oceniałam teraz na mniej więcej półtora dnia. Nawet jeśli uczucia podpowiadały mi w tej kwestii coś innego. W ciemności czas nie płynie. Mimo to czułam się niemal zbyt dobrze, żebym mogła być tu dłużej. Doskwierało mi wprawdzie zmęczenie i bolała mnie głowa, co uważałam za ewidentne pierwsze oznaki odwodnienia, ale

mój umysł nadal funkcjonował. Nawet jeśli nie miał nic więcej do zaoferowania niż myśl: „Umrzesz po dwóch, trzech dniach bez wody”.

– Uspokołaś się już trochę?

Odparłam impuls, żeby krzyknąć, i tylko w milczeniu pokiwałam głową.

– Bardzo dobrze – powiedział, odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Spodziewałam się kliknięcia włącznika światła.

Nie doczekałam się. Nadal było jasno, a co więcej, wychodząc, zostawił uchylone drzwi.

Zapomniałam o oddychaniu, gapiłam się: drzwi... otwarte. Szarpnęłam więzami, nie odrywając od nich wzroku, od tych otwartych drzwi, raptem cztery, pięć czy sześć dużych kroków ode mnie, a jednak nieosiągalnych.

Mrugnęłam i pozbyłam się kilku głupich łez. I tak daleko nie ucieknę. Za chwilę wróci, inaczej zostawianie włączonego światła i otwartych drzwi nie miałoby żadnego sensu. Mogłam tylko siedzieć i czekać. Z trudem spróbowałam zmienić pozycję na tyle, na ile pozwalał mi ograniczony luz w moich więzach. Zrobiło mi się niewygodnie w moim ciele. Szorstka drewniana ściana wciskała mi się w plecy. Nogi miałam spuchnięte, szyję sztywną, barki piekły, zwichnięte od wiszenia godzinami z ramionami wyciągniętymi na boki. Umywalkę, do której rury mnie przykuł, miałam po prawej ręce. Moje ramiona znajdowały się w mniej więcej takiej pozycji jak u baseballisty czekającego na piłkę z kijem uniesionym w pogotowiu. Czekał. I czekał. Serce mi waliło. Gdzie on się podziewa?

Poszedł po nóż.

Tak właśnie robili szaleńcy. Psychopaci. Przynosili nóż, siekiere, piłę łańcuchową i śmiali się przy tym. Mieli własne porąbane kody, a jego pytanie „Jak się masz, Leno?” oznaczało w rzeczywistości coś zupełnie innego.

W swoim świecie pytał, czy jestem gotowa umrzeć, a ja to potwierdziłam cichym skinieniem głowy. Zaaprobowałam to. Zapewne w tym momencie

podziwiał długie, szerokie ostrze ulubionego noża. Obracał rękojeść w dłoni, ustawiał ją pod odpowiednim kątem, żeby przyjrzeć się ostrzu. Wyobraziłam sobie, z jaką łatwością przecina moje ciało, jak bez wysiłku kroi moje krnąbrne mięśnie, żyły i tętnice.

Z trudem łapałam powietrze pod kneblem. Lada chwila wróci przez te drzwi z nożem. Umrę, zanim w ogóle zaczną mnie szukać. „Cała ona”, pomyśli moja matka, gdy nie wpadnę na kawę w weekend, tak jak byłyśmy umówione. Tylko „cała ona”, nie: „Coś musiało się stać”. A Kirsten? Kirsten może nawet posądzi mnie o jakieś chore zamiary. „Zawsze była z niej taka *drama queen*...”, słyszałam jej głos w głowie.

Lada chwila.

Teraz. Drzwi. Wrócił.

Powieki zaczęły mi trzepotać. Bicie serca i oddech tak przyspieszyły, że zakręciło mi się w głowie. Podciągnęłam nogi i przywarłam do ściany. Jakby przez grubą tafelę matowego szkła widziałam, jak się do mnie zbliża – podchodzi bliżej, całkiem blisko – aż wreszcie stanął na wprost przede mną z czymś w ręku, z nożem.

– Chce ci się pić, Leno?

Minęło kilka sekund, zanim dotarło do mnie znaczenie jego słów, a przedmiot w jego prawej ręce zidentyfikowałam jako butelkę z wodą, nie nóż.

– Chce ci się pić, Leno? – powtórzył.

Pokiwałam głową w rytm gwałtownego walenia w piersi, gdy wyciągnął do mnie butelkę, i mruknęłam jak spragnione zwierzę, licząc, że poluzuje mi knebel. On nie wykonał jednak żadnego ruchu. Dalej stał przede mną. Powoli pomachał butelką na wysokości moich oczu. Uśmiechnął się.

Bezradnie pokręciłam głową. Opuścił prawą rękę i wyciągnął do mnie lewą, w której trzymał opakowanie farby do włosów. Kobieta na zdjęciu wyglądała na bardzo szczęśliwą z nową fryzurą w kolorze platynowy

blond. Na ten widok ogarnęło mnie pewne przecucie, złe przecucie, które wychodziło z żołądka, a ostatecznie ogarnęło całe moje ciało.

Powoli pokiwał głową.

– Najpierw ufarbujemy ci włosy. Potem będziesz mogła się napić.

Oszacowałam swoje szanse. *Umrzesz po dwóch, trzech dniach bez wody.*

– Nie śpiesz się, spokojnie się nad tym zastanów.

Wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby odejść.

Zapisałam w knebel i postukałam spętanymi nogami o podłogę.

Spokojnie się obrócił.

– Dobra decyzja. A ponieważ dobre decyzje zawsze są nagradzane, możesz wypić łyk.

Położył opakowanie z farbą na brzegu umywalki, przykucnął przede mną, butelkę z wodą postawił obok i poluzował mój knebel. Potem sięgnął po butelkę i odkręcił korek. Jedną ręką podniósł mi ją do ust, drugą podtrzymał tył mojej głowy. łyk to łyk, musiałam przyznać. Mimo to podziękowałam i possałam dolną wargę w poszukiwaniu jakiejś zbłąkanej kropli.

– A teraz sprawimy, że będziesz piękna.

Podniósł się, strzyknęły mu przy tym kolana, i podszedł do regału za swoimi plecami. Kiedy się odwrócił, trzymał w ręce nożyczki.

– Myślę, że to jakieś jedno wielkie nieporozumienie – odezwałam się ochryłym głosem, gdy ciął trytytki na moich nadgarstkach, jedną po drugiej. – Musiałeś mnie z kimś pomylić. Nie jestem Leną.

Zatrzymał się między trzecią a czwartą trytytką. Pstryknęło, gdy uwolnił moje ręce z ostatniej pętli.

– Mam na imię...

– Cicho! – warknęła tak głośno, że aż się zatrzęsłam z przerażenia. – Ile razy mam ci mówić, żebyś mnie nie okłamywała?

– Ale ja nie kłamię...

– Cicho siedź! – Jego twarz nagle poczerwieniała, pulsująca z wściekłości tętnica uwypukliła się na lewej skroni. Mój wzrok padł na nożyczki, które wciąż trzymał w ręce.

– Przepraszam – powiedziałam cicho.

Wyburczał coś, a ja wciąż wlepiałam wzrok w nożyczki.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytałam ostrożnie.

Sięgnął do zlewu i zamienił nożyczki na opakowanie farby do włosów.

– Chcę, żebyś była piękna, Leno.

To zdanie eksplodowało w mojej głowie, położyło kres wszelkim rozważaniom, doszło do zwarcia. Wściekły krzyk, silny cios w jego pierś. Uderzył głową w ceramiczną umywalkę.

– Noże kurwa!

Moje ciało, które w spazmach rzuciło się do przodu, które jakoś się dźwignęło, drzwi, oddalone tylko o kilka metrów ode mnie. Chwiałam się na nogach, które już tak długo nie utrzymywały mojego ciężaru, krążenie, *weź się w garść*, ruch za mną, klamka już tak blisko, sięgnęłam do niej, prawie jej dotknęłam, ale on szarpnął mnie do tyłu. Jego ręka złapała mnie za włosy, głowa poleciała mi do tyłu, wylądowałam na plecach, skóra na głowie płonęła mi jak ogień. Ścisnęłam jego przedramię, szukałam stopami punktu oparcia, on krzyknął, ja też.

– Jesteś niewdzięczną szmatą.

– Czego ode mnie chcesz, porąbany dupku?

Pociągnął mnie z powrotem do umywalki i cisnął mocno na podłogę. Skuliłam się i tak gwałtownie rozszłochałam, że zaczęłam się dusić.

– Świat się wali, Leno – powiedział zdyszany, choć poza tym całkowicie opanowany. – Ludzie stali się niewdzięczni. Niewdzięczni i nieokazujący szacunku. Obietnice straciły na wartości, wszystko ma być teraz niezobowiązujące. Kto jeszcze pamięta o zasadach, skoro wszędzie, absolutnie wszędzie sugerują, że nie warto ich przestrzegać? Nie winię cię,

Leno. Jesteś skołowana. Niemniej jednak muszę ci zademonstrować konsekwencje takiego niewłaściwego postępowania.

Zamilkł, pozwalając, żeby jego słowa wybrzmiały. Usłyszałam, jak bierze głęboki wdech, i ogarnięta złym przeczuciem zrobiłam to samo. Potem zamknęłam oczy. Pierwszy kopniak trafił mnie w podbrzusze.

Wiesz co, Leno, do tamtej chwili nie miałam pojęcia, co ma na myśli, mówiąc o „zasadach”, ale jedno wtedy rozumiałam. Będę tobą lub będę martwa. Możesz to nazwać błyskawicznym warunkowaniem, jeśli chcesz. Nazywaj mnie tchórzem albo wariatką, nie obchodzi mnie to. Proszę, nie mów tylko, że to dziwne, że gdy policjant spytał, jak się nazywam, w pierwszym odruchu mogłam udzielić mu tylko jednej odpowiedzi.

– Lena. Mam na imię Lena.

– Nazwisko?

Policjant z Cham wyciąga z wewnętrznej kieszeni marynarki mały notes i długopis. Nie umknął mi ton pobrzmiewający w jego zdawkowym pytaniu.

Kręcę głową. Lena nie ma nazwiska.

– No cóż, przynajmniej nie jest pani Leną Beck – mówi „Monachium” i zsuwa się na krawędź krzesła. Dotyka mojego czoła w miejscu, gdzie zaczęła płonąć mi blizna. Czy to pod wpływem jego wzroku, czy też pod wpływem potu sączącego się z każdego pora skóry, nie umiem powiedzieć.

– Kim pani jest? – pyta ponownie „Cham”, spokojnie, akcentując każde słowo.

Zdaje się, że moja odpowiedź w sekundę uczyniła ze mnie oszustkę, nie sposób tego nie zauważyć. I może nawet ma rację, jeśli chodzi o tę nieufność, której pozwolił wybrzmieć w swoim pytaniu. Może nią jestem. I może nie jest to wyłącznie wina twojego męża, może w równej mierze

jest też moja. Wciąż jest mi łatwiej wmawiać sobie, że te wszystkie okropności przydarzyły się Lenie, nie Jasmin.

Jasmin gdzieś na tym świecie wiedzie szczęśliwe życie. Nabiera w płuca powietrza po deszczu. Wyklóca się o pierwszy i ostatni kawałek czekolady. Zaciąga się zapachem frezji. Tańczy i wydziera się do muzyki Davida Bowiego. Zapija długą noc piwem i zagryza ją currywurstem, z jakimś do niczego niepodobnym poczuciem dezorientacji, które uważa za miłość. Jasmin, która – niewzruszona i wolna – robi wszystkie te dobre, głupie rzeczy składające się na życie. Rzeczy, które próbowałam sobie przypomnieć, gdy twój mąż na mnie leżał, a ja chciałam po prostu umrzeć.

Ocieram łzy z brody i pociągam nosem.

„Monachium” chrząka i mówi:

– Proszę pozwolić, że coś pani opowiem, pani *Leno*...

Matthias

Na horyzoncie zmierzch pochłania z nieba jasnoszare smugi. Dosłownie można obserwować, jak nowy dzień połyka noc. Jest tuż przed piątą. Stoję w oknie szpitalnej sali, gdzie czekamy na Gerda i Giesnera. Karin nadal siedzi na łóżku. W odbiciu w szybie widzę, jak dynda nogami. Głowę trzyma opuszczoną i masuje sobie dłonie, złożone na kolanach. Od czasu do czasu wydaje z siebie ciche westchnienie. Przewijam sobie w głowie ostatnią godzinę i próbuję zrozumieć. Kobieta, którą braliśmy za naszą zaginioną Lenę, to obca osoba. Na moment moje myśli wracają do Gerda. Gerd, nieudacznik, któremu zawdzięczamy całe to podekscytowanie. Ostatnią, żalną resztkę naszych nadziei zmiotł na stertę i z premedytacją podpalił. Teraz pozostały nam już tylko zgliszcza.

W przyływie wiary i uduchowienia wpatruję się w niebo. Jesteś tam od dawna, Leno, mam rację?

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że się rozplakałem, dopóki twarz Karin nie pojawiła się w szybie koło mnie. Czuję jej rękę na plecach. Opiera głowę o moje ramię i zamyka oczy. Wiemy to oboje. Jeśli Lena nie zjawi się dziś wieczorem, będziemy musieli ostatecznie pogodzić się z myślą, że nie wróci już do domu, nigdy. Dopiero teraz, w stalowo zimnej szpitalnej rzeczywistości, wyobrażenie to staje się nagle zupełnie inne niż dotąd, kiedy siedzieliśmy w domu na kanapie lub nocą wałkowaliśmy w łóżku to, co mogło się przydarzyć naszej córce. Aż do tej chwili były to tylko teorie, z pewnym polem manewru. Teraz do mnie dociera, że to pole przez ostatnie czternaście lat było dla nas przestrzenią życiową, jedynym mikroskopijnym skrawkiem, gdzie mogliśmy żyć, gdzie mieliśmy powietrze, żeby oddychać. Teraz nie mamy już takiego miejsca. Teraz unosimy się w próżni, wysoko na niebie, jak dwoje smutnych astronautów, którym odcięto rurki z powietrzem. Biorę Karin za rękę. Nie chcę się sam zgubić, tam na zewnątrz, w pustej czerni. Karin kiwa głową, jakby czytała w moich myślach. Przyciągam ją do siebie i przytulam, trzymam tak mocno, jak tylko mogę. Jej serce bije przy moim. Na niebie pojawia się nowy dzień. Hannah, a więc tak się nazywa. Dałaś jej imię po mojej matce. To miłe, Leno. Naprawdę miłe.

Lena

– Studentka z Monachium, dwadzieścia trzy lata, jedna z tych młodych, beztroskich dziewczyn. Studiowała pedagogikę na drugim roku. Ojciec twierdzi, że już jako mała dziewczynka marzyła o tym, żeby zostać nauczycielką. Ja bym z kolei zakładał, że będzie wykonywać jakiś artystyczny zawód. Może będzie pisarką. Miała naprawdę bujną wyobraźnię i wymyślała najbardziej niesamowite historie. Albo aktorką, to też by do niej pasowało. W każdym razie była jedną z tych dziewczyn, za którymi nie sposób się nie odwrócić. Które wchodzą do pomieszczenia

i wystarczy, że się uśmiechną, a zebrani przestają mówić. Długie, jasne włosy, niebieskie oczy, świetna figura. Zniknęła w drodze do domu z imprezy studenckiej. Bez śladu, naprawdę, po prostu zniknęła. Żadnych świadków, nic. Jako ostatni widzieli ją uczestnicy tej imprezy; przyznali, że trochę wypijała i zapewne zażyła też jakieś inne substancje, sama pani rozumie. Było wiele teorii. Droga do domu musiała prowadzić przez most Reichenbach. Mogła wpaść do Izary i utonąć. Kilkakrotnie zleciliśmy nurkom jej poszukiwania, ale nic nie dały. Sprawdziliśmy jej chłopaka, ale nie mógł mieć nic wspólnego z jej zniknięciem, nawet jeśli ojciec Leny długo nie chciał się z tym pogodzić. W rachubę wchodziło też porwanie, tyle że nikt nie zażądał nigdy okupu. Możliwe, że nie był to wcale samotny sprawca. Równie dobrze mogła wpaść w ręce gangu handlarzy ludźmi. Zostać uprowadzona i sprzedana za granicę. Zmuszona do prostytucji, słyszała pani pewnie o czymś takim. Jak widać, możliwości jest bez liku. Fakt pozostaje jednak faktem: nie wiedzieliśmy, co się stało z Leną Beck czternaście lat temu. Aż do dzisiaj. Wtedy obiecałem jej ojcu, że ją odnajdę. Wie pani, czego uczą policjantów jeszcze w szkole? Nie? Nigdy nic nie obiecuj. Obietnice łamią ludzi, kiedy nie są dotrzymywane. I tego ojca właśnie złamały, proszę mi wierzyć. Bardzo za nią tęskni, wciąż jeszcze, każdego dnia. Ja też za nią tęsknię, wszyscy tęsknimy za tą blizną, którą pani ma. Lena miała swoją, bo gdy miała cztery czy pięć lat, uderzyła głową o brzeg regału, akurat u mnie w salonie, może pani to sobie wyobrazić? Jej ojciec wychodził z siebie. Skąd wzięła się pani blizna?

Mam wrażenie, że oddycham po raz pierwszy, odkąd „Monachium” zaczął o tobie mówić. „Cham” zresztą podobnie; słyszę, jak gwałtownie nabiera powietrza.

– On mi to zrobił – odpowiadam i ostrożnie dotykam miejsca, które zapewne pozostanie moim piętnem, nawet kiedy rany z wypadku dawno się zagoją.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, kim jest ten *on*?

Kiwam głową.

– Mężczyzną, który mnie porwał...

Mężczyzną, który nazywał mnie Leną i bił.

Zwinięta w kłębek leżałam po jego ataku na swoim dawnym miejscu, na podłodze na lewo od umywalki. Ząb, który wykaszlałam w trakcie kopania, trzymałam mocno zaciśnięty w pięści. Sześć kopniaków i trzy ciosy, tyle naliczyłam. Mimo że zostawił mnie już w spokoju, wciąż widziałam eksplodujące kolorowe światła, bez względu na to, czy oczy miałam otwarte, czy zamknięte; fajerwerki odpalane bólem. Moje ciało sprawiało wrażenie jednego wielkiego siniaka, który stale ktoś naciska.

Stał nade mną i rozmasowywał sobie kości palców.

– Możemy kontynuować, Leno?

Nie czekając na odpowiedź, pochylił się, chwycił mnie za nadgarstki i postawił na nogi za pomocą uścisku mocnego jak imadło. Zakwiliłam. Nie miałam oparcia w nogach. Natychmiast runęłam z powrotem na ziemię.

– Musisz się trochę wysilić, Leno.

Tym razem złapał mnie pod pachami i dźwignął. Potem zaciągnął mnie do umywalki, nad którą wisiało lustro. Było stare, zadymione, odbijało niewiele więcej niż moją niewyraźną twarz. Dostrzegłam w nim brązowy sznureczek zaschniętej krwi prowadzący od mojego nosa przez brodę. Szukając czegoś, czego mogłabym się złapać, oparłam się o umywalkę i popatrzyłam w odpływ.

– Tak, tak, Leno – powiedział twój mąż do mojego karku. – To był naprawdę kiepski start.

Objął moje biodra i zaczął rozpinać mi dzinsy.

– Najlepiej będzie, jeśli na początek cię umyjemy. Zobaczysz, poczujesz się jak nowo narodzona.

Nawiasem mówiąc, to jedno z miejsc, które wylądowały na stosie rzeczy nienadających się do opowiedzenia, jeśli chcesz wiedzieć. To miejsce,

którego tak straszliwie się wstydzę, bo nie walczyłam. Powinnam była szturchnąć go mocno łokciem w bok, odepchnąć od siebie albo przynajmniej krzyknąć.

Jasmin nie znosiłaby czegoś takiego bez słowa protestu. Nie czekałaby beczynn timer, aż napełni umywalkę wodą z kanistra. Nie stałaby przed nim naga z opuszczonymi rękami i rozstawionymi nogami, nie dałaby mu się umyć. Nie pozwoliłaby, żeby szorował ją szorstką myjką, dopóki jej skóra się nie zaczerwieni i nie zacznie piec. Nie milczałaby, kiedy by nakładał na jej włosy utleniacz, i nie płakałaby bezgłośnie nad trzonowcem, który teraz leżał w małej brązowej kałuży krwi i rozlanej wody na krawędzi umywalki. Już zdejmując mi spodnie, zauważył, że w którymś momencie tego dnia narobiłam w majtki.

– No cóż, naprawdę musisz nauczyć się nad sobą panować – oświadczył, unosząc wysoko brwi i marszcząc nos. – Jesteś w końcu dorosłą kobietą, Leno.

Jasmin nie przeprosiłaby go za to potulnie. Naplułaby mu w twarz i krzyknęła: „Pierdol się!”. Ja natomiast uprzejmie skinęłam głową, kiedy ostatni raz wykręcił myjkę i zapytał:

– O wiele lepiej, czyż nie?

Pozwoliłam, żeby mnie osuszył, zmył mi farbę, wytarł głowę ręcznikiem i przeczesał wilgotne, świeżo ufarbowane włosy. Podziękowałam mu nawet, gdy później wcisnął mi w ręce butelkę wody. W nagrodę, jak powiedział.

– A teraz cię ubierzemy, Leno. Musisz chyba marznąć.

Na półce leżały przygotowane dla mnie ubrania. Nie wiem, czy były tam od początku, czy przyniósł je później. Biała bielizna, cienkie rajstopy z połyskiem, biała bluzka, ciemna spódnica do kolan, buty z paskami, o rozmiar za małe. Zerknęłam na własne rzeczy leżące w nieuporządkowanej stercie pod umywalką, potem z powrotem na regał,

gdzie w jednym z niedostępnych schowków na górze znajdowała się moja torba podróżna. Zapadnięta, jakby była pustą skorupą. Musiał ją opróżnić.

– Podobno nie należy oceniać po wyglądzie – powiedział.

Staralam się nie patrzeć, gdy nachylał się nade mną ze skąpymi białymi majtkami w dłoniach i dyrygował moimi nogami tak, żeby jedna po drugiej przeszły przez otwory. Odchyliłam głowę do tyłu i wpatrywałam się w sufit.

– Ale prawda jest taka: ubrana bez gustu kobieta staje się kobietą bez gustu.

Między drewnianymi belkami znalazłam wdzięczną pajęczynę, która odwracała moją uwagę od jego dotyku, gdy zakładał mi stanik. „Tyciutki pajęczek na górze rynny był”, nuciłam sobie w myślach. Mama śpiewała mi tę piosenkę, gdy byłam mała, a ją jeszcze bawiło macierzyństwo. Siadała wtedy na skraju mojego łóżka i zabawnie wykręcała palce, żeby pokazać mi, jak porusza się mały pająk. „Nagle przyszedł deszcz i w dół pajączka zmył...”.

– Będziesz przestrzegać moich zasad, Leno. Porządek, czystość, dyscyplina, szacunek, uczciwość, wierność, lojalność. Kiedy wchodzę do pokoju, ustawiasz się tak, żebym od razu mógł cię zobaczyć, i wyciągasz przed siebie ręce. Zrozumiano? Chcę widzieć, czy masz czyste paznokcie, i upewnić się, że nie ukrywasz w dłoni nic, czym mogłabyś zranić mnie albo siebie samą. Twoje wizyty w toalecie przypadają na siódmą rano, dwunastą trzydzieści, siedemnastą i dwudziestą. Z higieną osobistą będę ci pomagać. Niestety nie mamy tu bieżącej wody, tylko te kanistry. – Skinął głową w ich stronę, choć już je spostrzegłam. – Ale sprawdza się to tylko pod warunkiem, że nie marnujemy zbyt dużo wody. Mamy za to generator prądu i poza tym jesteśmy bardzo dobrze wyposażeni. Spodoba ci się tu.

Rozległ się grzechoczący dźwięk, gdy zapinał suwak spódnicy. Poprawił mi na ramionach szwy bluzki, po czym obszedł mnie i przeczesał mi włosy palcami.

– Tylko sobie nie myśl, że nie możemy ze sobą rozmawiać, Leno. Możemy, i to bardzo dobrze. Chcę, żebyś była szczęśliwa, w tym celu zrobię wszystko, obiecuję. Ale w zamian muszę czuć, że znasz zasady, a przede wszystkim, że ich przestrzegasz. Inaczej nasze wspólne życie się nie sprawdzi. – Zlustrował mnie wzrokiem. – Prawie idealnie.

Wspólne życie, dudniło mi w uszach, *wspólne życie*, jak sięgnął po szminkę, która też leżała na regale, *wspólne życie*. Kanciastymi ruchami przeciągnął mi nią usta.

– Teraz brakuje już tylko jednego.

Lewą ręką objął mnie za szyję, podczas gdy prawa odłożyła szminkę z powrotem na półkę i zamieniła ją na nożyczki, którymi wcześniej przeciął trytytki na moich nadgarstkach.

Zaczęłam gwałtownie oddychać. Jego uścisk na mojej szyi się zacieśnił. Nożyczkami zadrapał mnie głęboko na czole. Krew popłynęła mi do uszu, krew spływała mi po prawym oku.

Masz bliznę, Leno.

Ja też niedługo będę ją mieć.

– Zobaczymy, czy wystarczy – powiedział, wycierając myjką miejsce tuż pod linią moich włosów. – Inaczej trzeba będzie to poprawić. Najlepiej potrzyмай jeszcze chwilę tę ściereczkę, żeby nie pobrudzić sobie bluzki. – Przyłożył moją rękę do czoła. – Trzymaj mocno, Leno. Szkoda by było tej bluzki.

Przycisnęłam myjkę do głowy i zajęczałam.

– Powinniśmy byli to zrobić, zanim cię ubraliśmy. Że też nie pomyślałem. Przecież to twoja ulubiona bluzka.

Nic więcej już nie widziałam, krew w oku, powieki mi drżały, krążenie słabło, pokój się przechylił, dół znalazł się na górze, jakby w zwolnionym tempie osunęłam się na podłogę, uderzyłam o ziemię, zniknęłam.

Następne, co pamiętam, to jak otworzyłam szeroko oczy i zaczerpnęłam powietrza, jakbym od dłuższego czasu przebywała pod wodą. Leżałam na plecach, na czymś miękkim, a czoło pulsowało mi od palącego bólu. Nad sobą widziałam rozmyte brązowe smugi, a potem, po chwili, rozpoznałam drewniane belki stropu. Spróbowałam usiąść, ale mi się nie udało. To, czego skrawki zobaczyłam, przypominało salon. Gruby dywan, staromodny żeliwny piec na drewno, w którym buzował ogień, ściana z książkami. Podłóże, na którym leżałam, ugięło się. Kanapa, zdałam sobie sprawę, że leżę na kanapie, owinięta wełnianym kocem, z poduszką pod łydkami, prawdopodobnie po to, żeby ustabilizować krążenie. Ktoś przysiadł się do mnie. Dotknęła mnie czyjaś ręka. Mała rączka.

– Obudziłaś się już? – Usłyszałam szept dziecka, a chwilę później w moim polu widzenia pojawiła się twarz chłopca. Miał bardzo bladą skórę, wysmukłą, ładną twarz, jasne, niebieskie oczy i cienkie czarne loki. Patrzyłam na niego jak na dzieło sztuki, które uważałam zarówno za piękne, jak i wynaturzone.

– Jonathan! – zawołał inny głos.

Zacisnęłam powieki i znów poczułam pod sobą ruch, gdy chłopiec wystraszył się i zeskoczył z kanapy.

– Wcale nie chciałem jej obudzić, tato! Chciałem tylko sprawdzić, czy już wypoczęła.

Tata. To był jego syn. Ten potwór miał syna.

– Możesz już ustawić szachy, Jonathanie – usłyszałam, a potem: – Leno...

Tapicerka znów ugięła się pod dodatkowym obciążeniem.

– Otwórz oczy, Leno. Wiem, że nie śpisz.

Zamrugałam.

– Pięknie wyglądasz – powiedział, odgarniając mi kosmyk włosów z twarzy. Utkwił wzrok w specjalnym miejscu na moim czole. – Myślę, że wyszło nieźle. Poprawiłem to jeszcze nożem, a potem od razu zszyłem.

Z mojego gardła wydobył się suchy dźwięk.

– Och, daj spokój, Leno. I tak zemdlałaś, niczego nie zauważyłaś. – Uśmiechnął się. – Nie mogłabyś sobie tego lepiej wymarzyć, czyż nie?

Uniosłam drżącą rękę i dotknęłam czoła. Poczułam, jak szew i szpiczasty koniec nici przyklejają mi się do czubka palca.

Chwycił moją rękę i skierował ją z powrotem w dół.

– Nie dotykaj, Leno, inaczej rana się zakazi. Za kilka dni będziemy mogli zdjąć szwy.

Zaczęłam szlochać.

– Proszę, musisz mnie stąd wypuścić. Chcę do domu.

Pochylił się tak bardzo, że muskaliśmy się czubkami nosów. Swoim ciężarem napierał przy tym boleśnie na mój uszkodzony od ciosów i kopniaków tułów.

– Jesteś w domu, Leno – odszepnął i delikatnie pocałował mnie w czoło.

Odwróciłam głowę, przycisnęłam twarz do oparcia; lekko stęchły zapach przypominał mi meble w domu dziadków. Jego ręka bez skrupułów wśliznęła się między tapicerkę a mój policzek; z powrotem odwrócił do siebie moją twarz, tak że patrzyłam mu prosto w oczy.

– Zrób sobie tę przysługę i się zastanów, Leno. Sama siebie spytaj, czy żartuję. Czy tylko chcę cię tak nastraszyć. Czy może jestem absolutnie zdolny do tego, żeby cię zabić.

– Nie żartujesz – wydusiłam z siebie. Pod jego ciężarem coraz trudniej było mi oddychać. Ale wyglądało na to, że przynajmniej mój umysł do pewnego stopnia znowu pracuje. Zaświtała w nim bardzo konkretna myśl. Taka, która zapewne tkwiła w nim już od dawna, ale była splątana w kłębek innych myśli: ubrania, które miałam na sobie.

– Wyjaśnię ci to tylko raz, Leno. Więc słuchaj mnie uważnie.

Bielizna, rajstopy, spódnica, bluzka, a przede wszystkim buty, które były na mnie za małe. Najwyraźniej należały kiedyś do kogoś innego.

– Odtąd będziesz dobrą matką i żoną. I będziesz przestrzegać moich zasad. Zrozumiano?

– Gdzie jest matka twojego syna?

Przez moment sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Gdzie jest jego matka? – spytałam raz jeszcze, z większym naciskiem. Serce wyskoczyło mi z piersi i biło teraz w gardle.

– Ty jesteś jego matką.

Usiadł. Mimowolnie odetchnęłam z ulgą; znów mogłam swobodnie zaczerpnąć powietrza bez jego ciężaru na swoim tułowie.

– A teraz wstawaj. Odpoczywałaś już wystarczająco długo.

Było jeszcze jedno dziecko, dziewczynka. Nie zauważyłam jej, dopóki nie pomógł mi usiąść. Sztywna jak kołek, w piżamie, która była dla niej o wiele za duża, i z poważną, bladą twarzą, stała w progu wyjętych drzwi do pokoju; nie wiedziałam, od jak dawna. Wydawało się, że dziewczynka przyciska coś do piersi. Dostrzegłam rudawe, cętkowane futerko. I uszy. Małe zwierzątko.

– Hanno – powiedział mężczyzna. – Mama się obudziła.

Dziewczynce nawet nie drgnęła powieka. Obstawiałam, że jest trochę młodsza od chłopca. Była mniejsza i nieco drobniejsza od niego, miała taki sam spiczasty podbródek i takie same cienkie loki, tylko jasne. Ten potwór miał syna i córkę.

– No chodź tutaj, Hanno. – Ojciec skinął niecierpliwie. – Nie bój się i weź ze sobą Pannę Tinky. Mama wreszcie wróciła do domu.

Dziewczynka zmrużyła oczy. Oczywiście musiała zdawać sobie sprawę, że coś tu nie gra. Na kanapie w salonie garbiła się jakaś obca kobieta. Widziała przecież, że nie jestem jej matką. Moje usta bezgłośnie uformowały słowa: „Pomóż mi”.

Popatrzyła na mnie, na pozór niewzruszona, bez choćby jednego mrugnięcia okiem. Potem odwróciła się na pięcie i zniknęła za rogiem

w korytarzu lub w sąsiednim pokoju.

Oszołomiona, zasłoniłam usta dłonią i sapnęłam, a całą mnie błyskawicznie ogarnęła zimna panika. Wycie w uszach. Gdzieś z daleka usłyszałam głos mężczyzny:

– Dzieci bardzo za tobą tęskniły. Macie trochę do nadrobienia.

– To... się przecież nie uda. – Usłyszałam swój własny głos, który zdawał się obcy i zniekształcony.

– To twoje dzieci. Jestem twoim mężem. Tworzymy szczęśliwą rodzinę.

– To nie są moje dzieci – jęknął ten zniekształcony głos.

– Tworzymy szczęśliwą rodzinę. Jestem twoim mężem. – Tak w kółko. – Jestem twoim mężem, a to są twoje dzieci. Nie masz nikogo poza nami. Najlepiej będzie, jeśli przyjmiesz to do wiadomości.

Pokiwałam nieskoordynowanie głową, właściwie chciałam nią pokręcić, nagle jednak jakbym zapomniała, jak to się robi. Potem jego ręka wystrzeliła do przodu, objęła moje usta, ścisnęła mi policzki. Źrenice mu lśniły, szczęka pulsowała. Drapieżnik, myśliwy, potwór, od teraz mój mąż. Mój mąż, który nie żartuje, o czym najwyraźniej chciał mi w tym momencie przypomnieć, bo powiedział:

– Wiesz właściwie, jaki odgłos wydaje pękająca czaszka, Leno? To tak, jakby upuścić na ziemię arbuz. *Pamm!*

Zadrżałam z przerażenia.

– Tak to brzmi: *pamm!* Ciekawy odgłos.

Policjanci nic nie mówią. Siedzą tylko w milczeniu, ich twarze wydają się nagle zupełnie puste, nie potrafię nic z nich wyczytać. Ogarnia mnie bezsensowny strach, że powiedziałam coś niewłaściwego. I nagle pojawia się coś jeszcze, coś zimnego, szarpiącego: poczucie winy. Czuję się winna, że noszę bliznę, która należy do ciebie.

– Porwał mnie, żeby znaleźć swoim dzieciom nową matkę – mówię w ramach podsumowania i wyczerpana opadam na poduszkę; może robię

to też po to, żeby uniknąć ich spojrzeń. Wpatruję się w sufit. – Który dzisiaj jest? – pytam.

Hannah

Siostra Ruth zaparzyła świeżej herbaty, a teraz smaruje mi kanapkę. Nożem z szuflady na sztuce, którą ktoś musiał zapomnieć zaryglować. Mówiłam jej, że to nie pora na jedzenie, ale chyba najwyraźniej się przestraszyła, bo tak głośno burczało mi w brzuchu. Jako pielęgniarka powinna wiedzieć, że burczy tylko powietrze w brzuchu, to nic groźnego, nic, od czego od razu miałabym się rozchorować. Ale nie słuchała mnie zbyt uważnie, gdy usiłowałam jej wyjaśnić, skąd się bierze to burczenie i o co w tym wszystkim chodzi. Zamiast tego nieustannie mnie przeproszała, że dopiero teraz pomyślała o tym, że powinna dać mi coś do jedzenia, mimo że jestem tu od tylu godzin.

– Proszę, moje dziecko – mówi i stawia przede mną na stole talerz, na środku mojego obrazka z rodziną. Wystaje spod niego tylko głowa taty z czerwoną plamą po boku, bo tata jest z nas najwyższy. Reszta zniknęła pod spodem. – Barek otwierają o siódmej, wtedy możemy kupić coś jeszcze. W środy zawsze mają rewelacyjną szarlotkę. Musisz jej spróbować.

– Dziękuję – odpowiadam. Zawsze należy pamiętać o dobrych manierach.

– No i? Śmiało, Hanno! – mówi siostra Ruth.

Sięgam po złożone kromki chleba i biorę mysi kęs. Tata też zawsze przynosi ze sobą chleb, kiedy wraca z zakupów, ale tylko jeden, bo chleb szybko pleśnieje, a pleśń nie jest dobra dla zdrowia.

Siostra Ruth stoi przy stole i patrzy, jak jem.

– Kiedy skończysz, położymy cię na trochę. – Kiwa głową w stronę łóżka, które stoi pod ścianą po lewej, obok dużej metalowej szafy. – To była dla ciebie długa noc. Odrobina odpoczynku dobrze ci zrobi.

– Ale ja myślałam, że pójdziemy do mamy – mówię i odkładam chleb na talerz.

– Tak, oczywiście, że pójdziemy. Ale wcześniej chcę pomówić z policją.

– Z powodu dziadka?

Siostra Ruth sięga po kanapkę na moim talerzu i wpycha mi ją z powrotem do ręki.

– Między innymi. Proszę, spróbuj coś zjeść, Hanno. Wiem, że z tych nerwów zapewne nie uda ci się zbyt wiele przełknąć, ale może chociaż kilka gryzów, co?

Biorę pięć gryzów, bo uważam, że pięć to dobra liczba. Po jednym za każdego członka mojej rodziny. Jeden za mamę, jeden za tatę, jeden za Pannę Tinky, jeden za mnie, a nawet jeden, szczególnie duży, za Jonathana, bo musi czyścić dywan.

– Nie dasz już rady więcej? – pyta siostra Ruth.

Kręcę głową. Moja nadgryziona kanapka ma teraz zarys Afryki. Afryka jest drugim co do wielkości kontynentem na Ziemi, po Azji. Żyją tam lwy, zebry i szakale czaprakowe.

– No dobrze, no to chodźmy – mówi siostra Ruth, odsuwając się od krzesła, żebym mogła wstać.

Łóżko w pokoju socjalnym jest bardzo twarde i bez pościeli, jest tylko prześcieradło. Siostra Ruth wyjmuję z metalowej szafki poduszkę i zwinięty koc, po czym mnie nim otula. Oczy natychmiast mi się zamykają, przy czym w zasadzie nie chcę spać, żeby nie przegapić chwili, gdy wreszcie będę mogła zobaczyć mamę. Siostra Ruth siada obok mnie na brzegu łóżka. Czuję, jak głaszcze mnie po włosach, i wyobrażam sobie, że to ona jest moją mamą.

– Opowiedzieć ci coś na dobranoc?

Przytakuję.

– Jakieś życzenia?

– Lubię, kiedy mama opowiada o gwiazdach – szepczę. Nie jest to żadną tajemnicą, żebym musiała z tego powodu szeptać, ale mój głos robi się nagle bardzo zmęczony.

– O gwiazdach. Dobrze – mówi siostra Ruth. – Niech ja się tylko chwilę zastanowię... Tak, już wiem. To historia, którą moja córka przyniosła z przedszkola. Często musiałam ją jej opowiadać w domu przed snem. Zwłaszcza gdy była smutna i potrzebowała nieco odwagi.

– Nina, słodkolubek – szepczę zmęczonym głosem.

– Tak – śmieje się siostra Ruth. – Nina, słodkolubek. A więc: pewnego razu, dawno, dawno temu, były sobie dwie gwiazdki. Duża, jaskrawoczerwona, i mała, której światło było jeszcze trochę przyćmione. I były najlepszymi przyjaciółkami. Spały za dnia, żeby odpocząć przed nocą, a gdy tylko ta zapadła, szalały razem po niebie. Mała gwiazda podziwiała swoją piękną, dużą czerwoną przyjaciółkę i bardzo się starała, żeby świecić z nią jak najpiękniej. Pewnego wieczoru, gdy dopiero zapadała szarówka, a noc zwlekała z nadejściem, ogromny huk wyrwał małą gwiazdę ze snu. Rozejrzała się, zaskoczona, ale nie mogła odkryć źródła tego ogłuszającego hałasu. Usłyszała, jak jej wielka czerwona przyjaciółka mówi spokojnie: „Wszystko w porządku, moja mała gwiazdko. Nie bój się i jeszcze sobie pośpij. Obiecuję, że dziś wieczorem będę świecić wyjątkowo jasno, tylko dla ciebie”. I tak właśnie było: tamtej nocy jej wielka przyjaciółka świeciła jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej, jaśniej niż wszystkie inne gwiazdy w całej galaktyce, a mała gwiazdka wielbiła ją za to i podziwiała jeszcze bardziej. Również przez kolejne noce wielka przyjaciółka nie miała sobie równych na ciemnym niebie. Ale pewnej nocy mała gwiazdka obudziła się i spostrzegła, że jej przyjaciółka zniknęła. Rozejrzała się w panice, ale nigdzie jej nie widziała. Przestraszyła się jeszcze bardziej, gdy zdała sobie sprawę, że otacza ją niesamowita, gęsta, szara mgła. Zaczęła wołać przyjaciółkę, ale ta jej nie odpowiadała. Mała gwiazdka straszliwie płakała, bo tęskniła za swoją przyjaciółką i czuła się

bardzo samotna. Inne gwiazdy były zbyt daleko, żeby mogła znaleźć wśród nich nową przyjaciółkę, poza tym nikt jej nigdy nie zastąpi ukochanej dużej czerwonej przyjaciółki. Zdesperowana mała gwiazdka zwróciła się do Boga, największej siły, jaką знаła. I oto Bóg przyszedł do niej i wysłuchał jej skarg. O tym, że przyjaciółka odeszła i zostawiła ją samą w gęstej mgle, która ją straszliwie przeraża...

– Nie to miałam na myśli! – Naprawdę starałam się jej słuchać tak długo, jak to tylko możliwe, ale teraz muszę przerwać siostrze Ruth. To niegrzeczne, wiem o tym. Ale zawsze należy zwrócić komuś uwagę, jeśli robi coś nie tak. – Chciałam, żeby powiedziała mi pani coś o prawdziwych gwiazdach, a nie jakąś bajkę.

– Och – mówi siostra Ruth, drapiąc się po głowie. – Chodzi ci o konstelacje czy coś takiego?

Przytakuję.

– No cóż, przykro mi, Hanno. Szczerze mówiąc, niewiele o tym wiem. Nie dałabyś mimo wszystko szansy tej historii? Jest naprawdę bardzo piękna, tylko poczekaj.

Kręcę głową i odwracam się na drugi bok, plecami do siostry Ruth.

– Nie chcę, żeby Bóg występował w tej historii. Mama mówi, że Bóg jest potworem.

Lena

Na moje pytanie o datę „Cham” odpowiedział, że jest szesnasty września.

A więc cztery miesiące.

Twój mąż więził mnie przez cztery miesiące, Leno. Może sądzisz, że to nic takiego. Znosiłaś go latami. Urodziłaś mu dzieci i udawałaś z nim rodzinę.

Wciąż pamiętam, jak tamtego pierwszego wieczoru siedziałam obok niego na kanapie, oszołomiona własną konsternacją. Jak zerkałam na niego

kątem oka i nie mogłam wyjść z podziwu dla jego kamuflażu. Przystojny mężczyzna, który przebrał się specjalnie na „nasz wyjątkowy pierwszy wieczór”, nie miał już na sobie dzinsów i wyblakłego T-shirtu, był za to schludnie ubrany w ciemne spodnie i jasnoniebieską koszulę. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z biura lub wybierał się gdzieś na spotkanie. Nie był to niechlujny, śmierdzący potwór z dziobatą twarzą i pustymi czarnymi oczami prosto z horroru. Pamiętam też, że przyglądałam się waszym dzieciom, które wydawały mi się normalne, najzupełniej normalne, a zarazem ani trochę. Jak wesoło paplały, kucając w piżamach przed piecem i grzejąc sobie dłonie. Nawet dziewczynka, która wcześniej stała w progu, mrużąc podejrzliwie oczy, teraz trajkotała radośnie, posadziwszy bratu kota na gołych palcach u stóp.

– Ugryź go, Panno Tinky! – wołała, a ja myślałam sobie: „To nie może być prawda. To się nie dzieje naprawdę. To nie jest prawdziwe”.

Pamiętam też, jak opłakiwałam cię tamtego wieczoru, Leno. Kobieta, której buty teraz nosiłam. Biedną kobietę z szałasu, która musiała mieszkać tu przede mną. Która teraz, jak się domyślałam, już nie żyła, *pamm!* i rozbita czaszka. Twoje buty były dla mnie najbardziej przekonującym ostrzeżeniem. A jednak od razu wiedziałam, że nie zamierzam grać w tę jego szaloną, chorą grę. Musiałam zebrać się w sobie, nabrać sił, dojść do siebie po jego atakach, ciosach i kopniakach, a potem znaleźć jakąś drogę wyjścia z tego miejsca. On albo ja. Jedno z nas – zapewne już pierwszego wieczoru wiedziałam o nieuchronnym końcu.

Drogę wyjścia już odkryłam. Drzwi, bo o nich mowa, były drewniane, zabezpieczone dwoma zamkami. Kiedy twój mąż się poruszał, w jego kieszeni grzechotał metal. Zakładałam więc, że klucze zawsze nosi przy sobie. Drzwi były po mojej lewej, kilka metrów od kanapy, na której siedzieliśmy. Nie widziałam korytarza ani wydzielonej sieni. Ten pokój zaczynał się tuż za drzwiami i był połączeniem salonu z kuchnią. Po przeciwnej stronie, dalej w głębi szałasu, dostrzegłam przejście i mały

korytarz prowadzący do sypialni i łazienki, w której obudziłam się po porwaniu. Prawdopodobnie była tam też łazienka, a przynajmniej toaleta. Z jednej strony nie mogłam się doczekać, aż zobaczę resztę pomieszczeń, żeby móc się lepiej zorientować i rozejrzeć za innymi możliwościami ucieczki. Z drugiej strony przypuszczałam, co będzie znaczyć koniec tego wieczoru i pora udania się na spoczynek. Na krótką chwilę zatraciłam się w głupiej nadziei, że po prostu zabierze mnie z powrotem do łazienki i przywiąże na noc do umywalki.

Okna, przynajmniej te w salonie, musiałam natychmiast wykluczyć jako potencjalne drogi ucieczki. Były zabite płytami izolacyjnymi. To on wyznaczał dzień i noc. Jak Bóg. Ta myśl miała posmak żółci. Kątem oka policzyłam śruby – ponad czterdzieści w każdym oknie, bez odpowiednich narzędzi zapewne nie dam rady ich nawet odkręcić.

Pozostawały mi drzwi po lewej, na razie nie widziałam innej możliwości. Prowadziły na zewnątrz, dokądkolwiek, ale w każdym razie na zewnątrz. Musiałam zdobyć klucze. Albo zabić twojego męża. Do tego jednak również potrzebowałabym jakiejś broni. Powędrowałam wzrokiem do innej części pokoju, do jadalni. Cztery krzesła ustawione wokół stołu wydawały się zrobione z litego drewna. I przykręcone do desek w podłodze metalowymi wspornikami. Ścianę za kąciokiem jadalnianym zajmował aneks kuchenny. Dostrzegłam pusty blat i zamki w każdej przekłętej szafce. Chwilę o nich spekulowałam, widziałam oczami wyobraźni, jak wyciągam nóż, najlepiej taki ostry, który kroi wszystko, nawet mięso. Przy czym już się jednak domyślałam, że szuflady są puste.

Usłyszałam własne westchnienie.

– Jesteś zmęczona, Leno? Chciałabyś się położyć?

Wzdrygnęłam się.

– Nie, nie. Wszystko w porządku, dziękuję.

Zabrał ciężką dłoń z mojego ramienia i popatrzył na zegarek. Też zerknęłam na tarczę. Trochę po wpół do ósmej.

– Dzieci, mama ma rację. Już późno. Pora spać.

Dzieci zaczęły stroić fochy.

– Żadnych dyskusji! Macie słuchać, co mówi wasza mama!

Dziewczynka odwróciła głowę, żeby przeszyć mnie ponurym spojrzeniem.

– Możecie jeszcze chwilę posiedzieć – wtrąciłam ostrożnie.

– Nie, już późno. – Twój mąż wstał z kanapy i wykonał ręką popędzający gest. – Dalej, wy dwoje, myć zęby!

Dzieci posłusznie wstały.

– Czy Panna Tinky może dziś z nami spać, tato? – zapytała dziewczynka.

– Nie, zostaje w salonie, inaczej znów nie zaśniecie przez całą noc – odparł, po czym zwrócił się do mnie: – Pozwolisz ze mną?

Jakoś udało mi się wstać, dźwignąć tę nadmiernie wyrośniętą ranę, jaką było moje ciało, spionizować się. Twój mąż złapał mnie za rękę, żeby mnie podeprzeć. Ostrożnie stawiając stopy, ruszyłam za dziećmi, wyszłam z salonu na wąski korytarz.

Dzieci zatrzymały się przed zamkniętymi drzwiami po prawej stronie. Twój mąż przepchnął się obok mnie, sięgnął na framugę, poszukał schowanego tam klucza i otworzył drzwi. Dzieci pognały do środka. Odwrócił się do mnie i szczerząc się, wsunął klucz do kieszeni spodni, po czym zapraszająco skinął głową.

Łazienka była podłużna i tak mała, że we czwórkę ledwo się w niej mieściliśmy. Po lewej stronie wisiała umywalka z kanistrem na wodę, na wprost była toaleta, która przypominała małą białą beczkę, po prawej stara cynowa wanna bez armatury. Nad wanną, jakieś kilka centymetrów pod sufitem, zauważyłam w ścianie otwór wielkości pięści, przez który było widać kawałek odciętej rury. Podejrzewałam, że to jakiś rodzaj wentylacji, ale pracowała chyba tak sobie, bo w powietrzu czuć było coś gęstego, zatechłego. Nie było tam okna, a z sufitu, jak w pakamerze, zwisała jedynie goła żarówka.

Dzieci chwyciły szczoteczki do zębów, które były wetknięte do dwóch plastikowych kubków na półeczce nad umywalką. Widok tych dwóch kubków wydał mi się absurdalnie zły. Kiedy starałam się wyczuć językiem świeży ubytek między zębami w zuchwie, wyobrażałam sobie tego mężczyznę, twojego męża, stojącego w drogerii – jak tysiące innych klientów – przed półką z przyborami do higieny jamy ustnej i z lubością wybierającego motywy dla twoich dzieci, z których one będą się cieszyć. Na niebieskim kubku chłopca rycerz siedział na koniu, na różowym dziewczynki na kwiecistej łące tańczyła księżniczka. Jak ten mężczyzna czeka przy kasie, jak płaci za kubki na szczoteczki do zębów i nikt się nawet nie domyśla, że nie trafią one do żadnego normalnego domu, tylko tutaj, do tej dziury, w której zamknięto człowieka.

– Sprzątanie łazienki to oczywiście zadanie pani domu. Ale nie martw się, sam zajmę się toaletą.

Dopiero później dotarło do mnie, co przez to rozumie. Ponieważ w szalasiu nie było bieżącej wody, korzystaliśmy z toalety kompostującej, gdzie odchody odprowadzane są bezpośrednio do pojemnika wypełnionego ściółką z kory; od czasu do czasu trzeba było go opróżnić – *na zewnątrz*. Oczywiście tego nie mógł powierzyć pani domu, dla niej nie istniało już żadne *na zewnątrz*.

– Dobrze – powiedział, patrząc na zegarek. – Minęły trzy minuty.

Jak na komendę dzieci jednocześnie wypłuły pianę do umywalki. Następnie jedno po drugim umyły twarze wodą z kanistra.

– Mama położy was dziś spać – oznajmił im ze wspaniałomyślnym uśmiechem.

– No wreszcie, znowu! – Chłopiec się rozpromienił, wycierając policzki ręcznikiem.

Twój mąż wyprowadził mnie na korytarz; dziewczynka szła za nami i zamknęła za sobą drzwi do łazienki. Nie rozumiałam, na co tutaj czekamy, dopóki chłopiec nie wyszedł, a dziewczynka nie zniknęła

w łazience w jego miejsce. Pozwala im więc chodzić bez opieki do łazienki... Dostrzegłam w tym cień szansy, mimo że w pierwszej chwili nie przychodziło mi do głowy nic innego, jak tylko kubki na szczoteczki z obrazkami dla dzieci. O ile udałoby mi się je połamać. Pęknięty plastik może być bardzo ostrą bronią.

Dzieci dzieliły maciupeńki pokój, w którym mieściło się akurat piętrowe łóżko. Drewniane ściany były pokryte ich koślawymi rysunkami. Próbowałam dojrzeć motywy, ale światło, które i tu pochodziło z żarówki, było skąpe. Okna, rzecz jasna, zabite. Chłopiec wspiął się po drabinie na górne łóżko, dziewczynka wczołgała się na dolne.

– Musisz tu usiąść – powiedziała mało zachęcająco, raczej mechanicznie, i pogłaskała miejsce obok siebie. – Zawsze tak robisz.

Spojrzałam przez ramię na twojego męża, który z uśmiechem na twarzy opierał się o framugę i krzyżował ręce na piersi. Ruszyłam nieśmiało do przodu i przysiadłam obok dziewczynki; musiałam pochylić głowę i zgarbić plecy, żeby nie uderzyć się o górne łóżko.

– A teraz opowiedz nam historię. Tak jak zawsze.

– Ja...

– Mamo, patrz! – Twarz chłopca pojawiła się nagle obok mnie. Bez trzymanki zawisł głową w dół, przewieszony przez deskę, która miała chronić go w nocy przed wypadnięciem z łóżka. – Umiem latać!

– Przestań, Jonathanie – ofuknęła go dziewczynka. – To może być niebezpieczne. A poza tym chcemy teraz usłyszeć historię.

– No dobra – burknął chłopiec i wrócił do siebie. Materac nade mną wyginał się na stelażu, gdy Jonathan starał się znaleźć sobie odpowiednią pozycję do leżenia.

– Chcę posłuchać o samolotach!

Dziewczynka cmoknęła.

– To nie ty decydujesz. Jestem starsza, mogę wybierać.

– Zawsze chcesz decydować!

– Tak, i to jest w pełni uzasadnio...

– Dość! – Wszyscy troje podskoczyliśmy. Twój mąż. – Opowiadanie historii zostaje odwołane. Wstań, Leno.

– Ala tato – odezwał się nade mną głos chłopca.

– Nie. Wy dwoje nie potraficie się zachować. Wstawaj już, Leno.

Nie wiem, dlaczego dalej siedziałam. Czy sparaliżowała mnie nagle zmiana nastroju, czy cała ta sytuacja – ohydna normalność kłócącej się pary rodzeństwa w tych okropnych, jakże odmiennych okolicznościach. Ale tak było, po prostu tam siedziałam i się gapiłam.

Oczy twojego męża się zwięzły.

– Wstań. Ale. To. Już. Leno.

Zaparło mi dech. Każde słowo i to, jak dobitnie je akcentował, sprawiało wrażenie dźgnięcia nożem prosto w płuca; zaczęłam płytko oddychać, niemalże sapać. Wtem poczułam delikatny dotyk na swoim kolanie. Ręka twojej córki. Spojrzałam na nią.

– Musisz teraz wstać – wyszeptała ledwo słyszalnie. Patrzyłyśmy sobie w oczy przez ułamek sekundy. Potem gwałtownie przekręciła się na drugi bok, tak że widziałam teraz tylko jej chude plecy, i naciągnęła kołdrę na ramiona. Wstałam jak we śnie, jakby zahipnotyzowała mnie swoim głosem.

– Życz dzieciom dobrej nocy, Leno – powiedział twój mąż, znów z uśmiechem.

– Dobranoc, dzieci.

– Dobranoc! – rozległ się chór ich głosów, gdy zamknął za nami drzwi. Tak jak poprzednio przy drzwiach łazienki, twój mąż sięgnął na framugę po klucz i przekręcił go w zamku. Zamykał dzieci na czas snu. Zasłoniłam usta dłonią, żeby zdusić krzyk.

– A więc... – Uśmiechnął się, kiedy już odłożył klucz z powrotem na framugę. – Teraz pójdziemy do siebie...

Wzdrygam się. Dzwoni, głośno, i przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje; „Cham”, który wydaje się nieobecny, w końcu jednak również lekko się wzdryga, notes i długopis zsuwają mu się z kolan na podłogę. Tam je zostawia i krótkimi, pospiesznymi ruchami przeszukuje swoją kurtkę, sięga do wewnętrznej kieszeni i wyjmuje z niej telefon.

– Giesner – stęka swoje nazwisko. Staram się dosłyszeć, co dobiega z drugiego końca linii, ale przeszkadza mi w tym denerwujące pikanie EKG. „Cham” mówi do telefonu: – W porządku, poczekaj chwilę. – Odsuwa aparat od ucha i patrzy na mnie uważnie. – Nasi ludzie znaleźli szafas. Czy mają być przygotowani na wszystko, kiedy tam wejdą?

Kręcę głową.

– Uderzyłam go śnieżną kulą. Raz, mocno... – Łapię się za potylicę i się zacinam.

– Pobiła go pani?

Przytakuję.

– Wchodźcie – rzuca Giesner do telefonu.

Zapadam się w poduszkę i zamykam oczy. W myślach słyszę głos. Mówi: „Widzisz, jak mamy tu cudownie?”.

– Tak, kochanie, mamy tu naprawdę cudownie – odpowiadam cicho i się uśmiecham.

Lena

– Pani Leno?

– Hmm?

– Myśli pani, że może powiedzieć o tym innym?

Otwieram oczy i znów próbuję usiąść. „Monachium” natychmiast zrywa się z krzesła i poprawia poduszkę pod moimi plecami, żeby było mi wygodnie.

– Proszę dać mi jeszcze chwilę, dobrze?

Kiwa głową ze zrozumieniem, a „Cham” mówi:

– Damy pani tyle czasu, ile pani potrzebuje.

Zastanawiam się, od czego teraz zacząć. Chodzi o te niedające się opowiedzieć rzeczy, Leno. Sprytnie wzięte w nawias, o których policjanci niekoniecznie muszą wiedzieć. Ale ty, Leno, ty powinnaś wiedzieć, co on mi zrobił.

Przenoszę wzrok z „Monachium” na „Chama”. „Monachium”, zmieszany, masuje sobie dłonie. „Cham” wzdycha i pochyla się na krześle, podnosi notatnik i długopis, które zsunęły mu się z kolan, gdy zadzwonił jego telefon. Myślę, że spodziewają się teraz gwałtu, jakiegoś naprawdę brutalnego, surowego kąska. Byłoby aż nazbyt zrozumiałe, że muszę zebrać się w sobie, żeby im o tym opowiedzieć. Nie mogą sobie wyobrazić, że są też inne rzeczy.

To tutaj jest dla ciebie, Leno:

– A więc... – Uśmiechnął się, położywszy na framudze klucz do pokoju dziecięcego. – Teraz pójdziemy do siebie.

Napięłam barki, usztywniłam plecy i zacisnęłam pięści. Oczekiwałam dokładnie tego, co spodziewali się usłyszeć właśnie policjanci śledzący teraz uważnie moją historię.

Pomyślałam o Kirsten i o tym, jak przed rokiem wróciła do domu o tej nieokreślonej, szarej porze między nocą a porankiem, gdy cały świat leży w łózkach i nikt nie słyszy twoich zdławionych krzyków ani przypadkiem nie przecina twojej drogi i nie może ściągnąć z ciebie tego bydlaka i ci pomóc. Myślałam o tym, jak osuwa się po ścianie w naszym korytarzu, jej twarz jest blada i pokryta ranami, a sukienka podarta, i jak kucam obok niej i nie mam odwagi wziąć jej w ramiona.

– Dlaczego się nie broniłaś? – spytałam. Byłam głupia i zmęczona, nie obudziłam się jeszcze do końca po tym, jak w nocy zostałam wyrwana ze

snu, bo przerażona usłyszałam, że Kirsten wpada do mieszkania. Spałam jak wszyscy inni, gdy ją napadnięto na podwórku.

Kirsten zwróciła do mnie swoją bladą, obcą twarz i powiedziała:

– Bo w tym momencie byłam martwa. Nie miałam ciała. Nie miałam rąk, którymi mogłabym się bronić. Nie miałam nóg, którymi mogłabym kopać. A myślami znajdowałam się gdzie indziej.

Liczyłam się z tym, Leno. Za chwilę pod nim umrę, mając nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo. Zebrałam się jednak w sobie, zacisnęłam pięści i wygięłam plecy w łuk, mimo że wciąż mnie bolały od ciosów i kopniaków, które wcześniej tego dnia wymierzył mi twój mąż. Uniosłam brodę i popatrzyłam mu w oczy. Pomyślałam o Kirsten, która przeżyła własną śmierć. Była taka silna. Też taka będę. Może zabrać mi ciało, ale nie dostanie mojego ducha.

– No to chodźmy – wypaliłam w przypiływie przekory i buty. – Miejmy to już za sobą.

Widziałam, jak jego twarz rozpada się na kawałki, Leno. Jak spływają z niej rysy, jak konstrukcja się sypie; zajęło mu chwilę, żeby się pozbierać. Zaskoczyłam go. Lewe oko mu drgnęło, a ten uśmiech, który przybrał, wydawał się niepewny. Wciąż jednak był ode mnie silniejszy, był mężczyzną, który nie żartuje, Bogiem, a ja robakiem; musiał mi to udowodnić. Złapał mnie za ramię, pociągnął przez korytarz i wepchnął z powrotem do łazienki.

– Twoje wizyty w toalecie przypadają na siódmą rano, dwunastą trzydzieści, siedemnastą i dwudziestą – wyrecytował i wygrzebał z kieszeni klucz do łazienki. – Teraz jest dwudziesta.

Widziałam, że palce mu drżą, ledwo zauważalnie, ale jednak. Ten moment był pełen łaski, Leno.

Otworzył drzwi i weszłam do środka, po czym odwróciłam się do niego, oczekując, że zamknie za mną drzwi. Nie przeszło mi nawet przez myśl, że

może być inaczej, skoro wcześniej pozwalał dzieciom samym korzystać z toalety.

– No dalej – popędził mnie, kiwając głową do środka. Odwróciłam się, podążając za jego spojrzeniem. To musiał być jakiś test, próba siły w odwecie za tamten pełen łaski moment, który mi właśnie dostarczył.

– No dalej – powtórzył.

Znów się do niego odwróciłam. Twój mąż stał w drzwiach, obleśnie nonszalancko, z wyprostowaną lewą ręką i dłonią opartą o futrynę, z przechyloną głową i uśmiechem, z którego zniknęła wszelka niepewność.

– Nie – powiedziałam.

– Siadaj na sedesie, Leno.

Zacisnęłam usta i powoli potrząsnęłam głową.

– Powiedziałem, że masz siadać na sedesie.

– No to wyjdź. Nie będę przy tobie siedzieć na kiblu.

– Będiesz. Oj, będziesz, Leno. Będziesz robić wszystko, co ci każę.

Zebrał się w sobie, żeby zrobić krok w moją stronę. Uniosłam rękę i wysapałam:

– Czekaj. Przepraszam. Przepraszam. – Chciałam walczyć, być silna, i to jeszcze jak. Ale nie mogłam ryzykować, że kolejny raz mnie dzisiaj pobije.

Zatrzymał się i przyjrzał mi się podejrzliwie.

– Mnie... się nie chce.

Żadnej reakcji, żadnej – tylko to spojrzenie; próbowałam się mu oprzeć.

– Powiedziałem: twoje wizyty w toalecie przypadają na siódmą rano, dwunastą trzydzieści, siedemnastą i dwudziestą.

Opuściłam rękę i gorliwie pokiwałam głową.

– Wiem. Pamiętam. Na siódmą rano, dwunastą trzydzieści, siedemnastą i dwudziestą. Ale mnie się nie chce – powtórzyłam. – Możemy od razu iść do łóżka.

Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyłam cofnąć się o krok, unieść rękę, wziąć choćby jednego oddechu ani zamrugać między tym, co było

przedtem, a co potem.

Chcesz wiedzieć, Leno? Czy chcesz wiedzieć, co robi twój mąż, gdy ktoś nie zechce skorzystać przy nim z toalety? Może sama tego doświadczyłaś?

Wiesz zatem, jak to jest zostać powaloną na ziemię. Pewnie sama też się kuliłaś i przyciskałaś dłonie do twarzy, żeby chronić delikatny szew na czole. Próbowowałaś jeszcze raz, już po raz ostatni, wziąć głęboki wdech, zanim jego kopniaki trafią cię w brzuch. Mrużyłaś oczy w oczekiwaniu na wielki ból. Ale on nie nadszedł. Wzięłaś kolejny głęboki wdech, bo zaraz, już zaraz nadejdzie, ten ból... ale nie, żadnego kopnięcia, żadnego bólu, tylko dziwny grzechot. Potem odważyłaś się zamrugać przez rozczapierzone palce. I zobaczyłaś go, swojego męża, stojącego nad tobą w rozkroku, z dłonią na rozporoku. Zszokowana zapomniałaś nabrać powietrza po raz trzeci, teraz, gdy było to naprawdę konieczne, bo zaraz musiałaś wstrzymać oddech, podczas gdy on właśnie próbował nad tobą, na ciebie, sobie ulżyć, czułaś ciepło i paliło ci skórę mimo ubrania, bo twoje ubrania, twoje włosy to wchłaniały. Wiesz, jak to jest więc się i nie mieć dokąd uciec. Wiesz, jakie to uczucie, gdy ostatni bryzg trafia cię prosto w twarz, czujesz kroplę na zaciśniętych ustach, znów słyszysz rozporek, *grzechotanie*, a potem on, twój mąż, mówi najspokojniej na świecie:

– Mam nadzieję, że teraz już rozumiesz, dlaczego tak ważne jest przestrzeganie pór korzystania z toalety, Leno. Nigdy nie wiadomo, czy nie stoi za tym coś jeszcze.

Może potem zwymiotowałaś, Leno, a twój mąż, nieporuszony tym, jak gwałtownie się trzęsiesz i czkasz z obrzydzenia, kazał ci posprzątać łazienkę. Szorowałaś ją na kolanach z mokrymi włosami i w przemoczonym ubraniu, a on siedział z nogą założoną na nogę na brzegu cynowej wanny i cię obserwował. Może trwało to kilka godzin, zanim był wreszcie z ciebie zadowolony. Potem musiałaś się rozebrać

i wejść do wanny. Mył cię, bo byłaś brudna, „Och, Leno, co ty jesteś znów taka brudna”, potem cię wytarł i zaprowadził do sypialni.

Jeśli też tego doświadczyłaś, Leno, to wiesz, że nie sposób o tym opowiedzieć, bo robi to z człowiekiem coś zupełnie innego niż mocne, surowe kwestie, które co prawda są złe, ale nie nowe. Policjanci je znają, wiedzą o takich sprawach. Słuchali takich relacji wystarczająco wiele razy, żeby teraz siedzieć przede mną ze spuszczonego wzrokiem i pocierać sobie ręce. Może ich to nawet porusza, ale to tylko ich praca i zapominają o wszystkim, gdy tylko zapiszą słowo „gwałt”. Nie wymagają więcej szczegółów. Mężczyzna leży na kobiecie, ta zapewne cierpi, koniec. Mogę być taką kobietą, Leno. Taką kobietą właśnie będę, kiedy zabezpieczą ślady w szafasie, a potem zbadają prześcieradło. Nic na to nie poradzę.

Z pewnością jednak nie będę kobietą, która pełza na czworakach po łazience, zanosząc się płaczem, w kałuży moczu i wymiocin. Postawiłam swój nawias. Na stałe, nieodwołalnie.

Tymczasem policjanci wciąż cierpliwie czekają na tę nieuniknioną część. Kiwam głową na znak, że jestem gotowa mówić dalej.

– Kiedy zamknął już dzieci, żeby zasnęły, zabrał mnie do sypialni. Przy prawym słupku łóżka zwisały kajdanki. Nie miałam jak uciec. – Podciągam rękaw szpitalnej koszuli i wyciągam prawą rękę, najpierw w stronę „Chama”, potem „Monachium”. Wokół nadgarstka wciąż mam bladoczerwony pas startej skóry. – Zawsze przypinał mnie do ramy łóżka. Nawet w te noce, gdy spaliśmy. Myślę, że robił to po to, żebym nie wstała potajemnie poszukać kluczy. Albo żebym nie spróbowała udusić go poduszką.

„Cham” pisze coś w notesie.

– On... – zaczyna z wahaniem – ...panią także...

– Tak – odpowiadam.

Po prostu „tak”. To wystarczy, żeby potwierdzić te twarde, surowe kwestie, Leno. To takie proste. Może później jakaś policjantka spróbuje się dowiedzieć dokładniej, jak to się odbywało. Tak było z Kirsten po incydencie na podwórku. Przysyłają kobietę, bo uważają, że z kobietą będzie łatwiej o czymś takim rozmawiać. Koniec końców pada jednak pytanie o to, o których otworach ciała jest mowa i czy wyraźnie się komunikowało, że nie wyraża się zgody na ten „stosunek”.

„Mówiła pani «nie»?”, spytała policjantka Kirsten i to już wystarczyło, żeby Kirsten odparła: „Pyta pani poważnie?”.

Przynajmniej na krótki moment mam spokój.

Telefon „Chama” znów dzwoni. I tak nie rozumiem, o czym przez niego rozmawia, wwiercam się więc w poduszkę i się pogrążam. Dziś wieczorem bez kajdanek... Uśmiecham się. Bez kajdanek.

„Cham” odchrząkuje. Dłoń, w której trzyma telefon, opuścił na kolana. Rozmowa dobiegła końca. Albo naprawdę poszło to tak szybko, albo na chwilę odpłynęłam.

– Co się dzieje? – pytam, próbując usiąść. Tym razem „Monachium” nie pomaga mi już z poduszką. Z pewnością myśli, że akurat w tej chwili wolę zająć się tym sama, niż znieść fizyczną bliskość jakiegoś mężczyzny.

„Cham” czeka, aż znajdę odpowiednią pozycję. Potem mówi:

– Mają tego mężczyznę. I chłopca też.

– Czy wszystko w porządku?

– Mają ich – powtarza „Cham”, jak gdyby to była odpowiedź.

Mimo wszystko kiwam głową i mówię:

– Całe szczęście. – A potem, jako że to już się skończyło, naprawdę, na poważnie, na serio, wyrzucam z siebie: – Jasmin Grass. Nazywam się Jasmin Grass. Urodziłam się dwudziestego ósmego marca osiemdziesiątego drugiego roku, mieszkam w Ratyzbonie. Moja matka ma na imię Susanne, też Grass. Mieszka w Straubing. Czy mogą panowie do niej zadzwonić?

„Cham” wygląda na zaskoczonego, ale tylko przez ułamek sekundy.

– Oczywiście, żaden problem.

– Dziękuję. – Uśmiecham się.

– Ale jest coś jeszcze, pani Jasmin.

Mój uśmiech zamiera. Ze względu na sposób, w jaki akcentuje moje imię. Ze względu na jego twarz.

Pikanie urządzenia EKG wchodzi w nowy rytm.

– Co takiego? – pytam ostrożnie.

– Powiedziała pani wcześniej, że pobiła swojego porywacza. – Zerka przelotnie do notatnika. – Szklaną śnieżną kulą.

– Tak. – Energicznie kiwam głową. – A co?

„Cham” nic nie mówi, spogląda na „Monachium”, spogląda na mnie, potem podaje mu telefon. „Monachium” bierze go, uważnie przygląda się wyświetlaczowi i przenosi wzrok na mnie.

– Co jest? – pytam pośród rozbrzmiewających co milisekundę piknięć EKG. – Co się dzieje?

Matthias

Na chwilę zapanował spokój, bezprecedensowa akceptacja, tylko Karin, ja i niebo, na którym rozpoczyna się nowy dzień. Ten moment, kiedy się do siebie przytuliliśmy, był jak wyspa, jak mała, upragniona ucieczka. Bez wątplenia nie mogliśmy pozostać tu na zawsze, zaraz otworzą drzwi i ktoś wejdzie, Gerd, Giesner albo jeden z ich ludzi, i przywoła nas do rzeczywistości. Byłem tego świadom, ale tak bardzo starałem się o tym nie myśleć, że robiłem to, rzecz jasna, jeszcze usilniej. A potem Karin, że też akurat ona, kompletnie zrujnowała ten moment.

– Myślę, że powinniśmy dać znać Markowi – powiedziała przy mojej piersi.

– Po moim trupie – odparłem.

I to by było na tyle w kwestii spokoju, niebo przestało być pełne nadziei, wisało szare, ponure, ciężkie nad czarnym, przypominającym wycinankę zarysem domów w oddali. W pojedynczych oknach paliły się światła. Ranne ptaszki, które zaczynają dzień, i ewidentnie dają znać tymi światłami, że Ziemia się kręci i nie można jej zatrzymać ani z niej uciec. Nie ma żadnej wyspy, naprawdę nie.

– Co takiego chcesz mu powiedzieć? – Usiłowałem się wykręcić od nieuchronnie kielkującej dyskusji o przyjętych zasadach. Karin zawsze lubiła Marka. „Nie zrobiłby Lenie nic złego”; nie dało się zachwiać w niej tego przekonania, podczas gdy ja od razu podałem policji jego nazwisko, gdy zgłaszaliśmy zaginięcie córki w komisariacie.

– Czy państwa córka miała z kimś jakieś problemy? – zapytano nas.

– Z Markiem Sutthoffem – wyrzuciłem z siebie.

– Matthias! – ofuknęła mnie Karin i szturchnęła łokciem w bok.

Mark Sutthoff, w swoim własnym świecie model ukośnik aktor ukośnik piosenkarz, w rzeczywistości nadęty sprzedawca używanych samochodów, od którego kupiliśmy w swoim czasie polo dla Leny. Lena musiała mieć wtedy około dwudziestu lat, w każdym razie mieszkała z nami i nie wyprowadziła się jeszcze do swojego mieszkania w Haidhausen. Nie zauważyłem nawet, jak nadskakiwał jej – zapewne – już na parkingu i jak za moimi plecami wyłudził od niej numer telefonu. Pewnego wieczoru wyrósł przed naszymi drzwiami, żeby odebrać Lenę, a ona, promieniejąc, powiedziała: „Tato, na pewno pamiętasz Marka. Sprzedał nam polo”. I na tym winien był poprzestać, na niczym więcej. To było wszystko, czego od niego chcieliśmy – małe niebieskie polo. Nikt nie wspomniał, że zakres usług obejmuje też dramat, który będzie się ciągnął latami. Lena i Mark Sutthoff schodzili się, Lena i Mark Sutthoff rozstawali się – „Tylko sobie wyobraź, flirtował z inną!”, „Mark mnie pocałował!”, „Ależ tato, ja tak bardzo go kocham!”.

Lena nie widziała tego, co ja widziałem. On po prostu nie był dla niej dość dobry, nie był wystarczająco dobry. „Daj mu chociaż szansę” – w ten sposób Karin zbywała moje obawy. Wzdychała przy tym i kręciła głową.

Nikt nie widział tego, co ja widziałem.

I teraz, w szpitalu, najwyraźniej znów zmierzaliśmy do tej nieszczęsnej dyskusji. Karin chciała zadzwonić do Marka Sutthoffa i dać mu znać, co się wydarzyło tej nocy.

– Jeszcze nic nie wiemy – wycedziłem przez zęby z nadzieją, że Karin poniecha tego pomysłu.

– Nie miałam na myśli, że już teraz, na pewno nie o tak pogańskiej godzinie. Ale później, potem...

– To bez sensu – przerwałem jej szorstko, ale zaraz się opamiętałem, gdy wyrwała się z mojego uścisku i powłokła z powrotem do łóżka. – Przepraszam – wymamrotałem do niej przez ramię. – Po prostu nie rozumiem, po co to. On nie ma już nic wspólnego z Leną.

– Cierpiał tak samo jak my.

– Niby dlaczego? Z niewiedzy? – Wzburzony, wypuściłem powietrze. Zaledwie rok po zniknięciu Leny Mark Sutthoff przeniósł się do Paryża, z nową dziewczyną. – Nie trzeba mu było wiele czasu, żeby się z tym pogodzić, jeśli pamiętasz. Lena by sobie tego nie życzyła... – urwałem.

Karin to zauważyła.

– Na razie i tak musimy poczekać. Ale jeśli się czegoś dowiemy, powinniśmy do niego zadzwonić. Mówię poważnie, Matthiasie. Musimy to zrobić, tak będzie fair.

W odbiciu w szybie widziałem, jak moja twarz się wykrzywia.

– Powiedziałem „nie” – warknąłem do swojego odbicia.

– Dobrze, już dobrze – westchnęła Karin. – Tylko się uspokój. Nie chciałam, żebyś...

Zdanie zawisło w powietrzu niedokończone, przez co stało się oschłe i ciężkie.

Potem nie powiedzieliśmy już ani słowa. Powietrze wciąż nam ciąży, cisza rozpiera nam czaszki. W naszych głowach rozgrywają się scenariusze – tym gorsze, gdy nie można się nimi z nikim podzielić.

„Na razie znamy tylko fragmenty tej układanki”, powiedział Giesner. Porwanie, szalas, kobieta, która wygląda jak Lena, mała Hannah. Próbuje uporządkować te kawałki, ale nie udaje mi się, zaczynam więc przemierzać pokój niczym tygrys w klatce. Karin podciąga nogi i leży na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit i z rękami złożonymi na brzuchu. Mówię jej, żeby spróbowała się trochę przespać.

– Nie mogę – odpowiada szeptem.

Jest tak, jakbyśmy czekali na wynik poważnej operacji. Nie dam rady tego znieść.

– Pójdę zapytać.

Karin podnosi się na łokcie.

– Z pewnością trwa jeszcze przesłuchanie, inaczej dawno by już tutaj przyszli i dali nam znać.

– Może mogę jakoś pomóc?

– W czym? W przesłuchaniu? – Karen parska cichym śmiechem. – Ach, Matthiasie.

– Nie no, poważnie. Czemu to tyle trwa? Może tej kobiecie trzeba po prostu przyłożyć broń do piersi. Z pewnością dobrze wie, co z Leną.

Oczy Karin się powiększają.

– Tak sądzisz?

– Och, no jasne! Niby dlaczego podaje się za Lenę? Dlaczego zgrywa matkę przed tą małą? – Wykonałem bliżej nieokreślony ruch w stronę drzwi do sali. – Ta dziewczynka tam na zewnątrz jest córką Leny, ślepy by to zauważył! Nikt nie potrzebuje do tego testu DNA!

Karin spuszcza stopy z łóżka.

– A więc myślisz, że ta kobieta jest w to jakoś zamieszana?

– Sama chyba widzisz, że coś tu nie gra, może nie?

Ktoś puka do drzwi.

Jeden sus i Karin zeskakuje z łóżka, i wyciąga rękę do mojej dłoni. Jej palce tak gorączkowo przy tym trzepoczą, jakby grała jakiś szalony utwór na fortepianie. Chwytam ją za rękę i przyciągam ku sobie. Stoimy tak, trzymając się za ręce, obok siebie. Sekundę później do sali wchodzi Giesner, żeby poinformować nas o aktualnym stanie śledztwa.

Hannah

Na zewnątrz jest całkiem ciemno. Drzewa są czarne i mają gałęzie przypominające skostniałe palce potworów. Mama woła: „Nie dostaniecie mnie!”.

Ściółka głośno szeleści pod moimi krokami wyścigowymi, ale pod mamy też, więc wiem, w którą stronę biec, chociaż w tej ciemności mało co widać. Tylko czasem, gdy drzewa są daleko od siebie, rozpoznaję skrawek jej pięknej białej sukni, która w blasku księżyca połyskuje srebrem.

Nagle pojawia się tam dużo światła, bardzo żółte światło, jak świecąca powódź. Widzę czarne pnie drzew, a między nimi zarys sylwetki mamy, też czarny. Rozkłada ręce na boki jak anioł tuż przed lotem. Potem rozlega się bardzo głośny huk, a ja dalej stoję. I też jestem przerażona. Nie widzę już mamy, tylko żółty strumień światła. Robię kilka mysich kroków, światło staje się jeszcze jaśniejsze, muszę przesłaniać oczy ręką, bo zaczynają mi łzawić. Rozsuwam gałęzie, las się kończy i zamienia w drogę. Mama leży przed jakimś samochodem. Widzę jej twarz w reflektorach. Ma zamknięte oczy.

Nagle za mną rozlega się trzask. Odwracam się i widzę tatę. Mija mnie i wypada na szosę, do mamy, która tam leży. I woła:

– Przegrałaś! Ha, ha!

Mama otwiera oczy i się śmieje.

– To nie fair, was jest dwoje!

Wyciąga ręce do taty. Tata ciągnie je do góry i mama staje na nogi, ociera z twarzy to coś czerwonego.

– A teraz twoja kolej, Hanno – mówi do mnie tata. – Postaraj się.

Piszczę i się odwracam, żeby pobiec z powrotem przez las. Po kilku wyścigowych krokach coś łapie mnie za rękaw. To siostra Ruth, która wciąga mnie za gruby pień drzewa i mówi:

– Tu jest dobra kryjówka, Hanno... Hanno?

Las się rozmywa, tylko twarz siostry Ruth wciąż tam jest, bardzo blisko mojej.

– Hanno – powtarza. – No obudź się, Hanno.

Ziewam i mrugam.

Nie jestem w żadnym lesie, tylko w pokoju socjalnym, w łóżku.

– Obudź się, Hanno – powtarza siostra Ruth.

– Czy możemy wreszcie zobaczyć mamę? – pytam. Mój głos wciąż jest bardzo zmęczony i chropowaty.

Siostra Ruth z początku nic nie mówi, potem się jednak odzywa. Pyta, czy dobrze spałam.

– Tak – odpowiadam. – I nawet coś mi się śniło.

– Coś miłego?

Przytakuję.

Siostra Ruth robi taki głupi półuśmieszek. Stąd wiem, że coś jest nie tak.

– Czy z mamą wszystko w porządku?

Siostra Ruth patrzy teraz na podłogę.

– Muszę cię zaprowadzić do pani doktor Hamstedt.

Najpierw nie wiem, kto to, potem jednak się domyślam. To ta wysoka, szczupła kobieta o krótkich brązowych włosach, która przyszła do pokoju socjalnego z policjantem. Lekarka, która zapomniała włożyć kitel.

Chcę zapytać, dlaczego mam do niej iść, ale siostra Ruth jest szybsza i mówi:

– Ale możesz się jeszcze pożegnać.

Jasmin

Zajrzał do mnie doktor Schwindt, pomimo chaosu spowodowanego zmianą dyżurów. Było to konieczne, nawet ja musiałam to przyznać.

– To nie byłam ja! To nie ja! – krzyczałam w kółko, wymachując rękami i niechcący wyrywając sobie przy tym wenflon, co nie powinno się było zdarzyć, ale się zdarzyło, tak jak zdarzyły się te wszystkie inne rzeczy, chociaż nie powinny były. A już na pewno nie...

– Proszę teraz spróbować bardzo spokojnie oddychać, pani Grass – mówi doktor Schwindt, kładąc nacisk na moje nazwisko, jak na coś bardzo cennego.

EKG się zawiesiło, doktor musi je zresetować.

– Technika – komentuje lakonicznie, wciskając odpowiednie przyciski.

Mam wrażenie, że to urządzenie ma już dość mnie i tego mojego niesolidnego serca, tak zależnego od mojego nastroju.

– Za chwilę poczuje się pani nieco zmęczona – wyjaśnia doktor Schwindt, gdy sygnał dźwiękowy znów rozbrzmiewa jak należy.

Postanawiam lubić tego lekarza, choćby z tej prostej przyczyny, że czuję się w tym momencie bardzo samotna i pozbawiona sojuszników. Doktor Schwindt jest starszym mężczyzną ze starannie nawoskowaną brodą i okularami o szklach w kształcie półksiężyca. Chciałabym, żeby mój ojciec był tutaj. Albo w ogóle ktokolwiek.

– Może też pani poczuć drętwienie w rękach i nogach. To zupełnie normalne, nie ma powodów do obaw.

– Panie doktorze – mówię trochę słabym głosem. – Czy może mi pan wyświadczyć pewną przysługę?

– Jaką, pani Grass?

– Mógłby pan coś sprawdzić w mojej dokumentacji medycznej?

Doktor Schwindt usiłuje się obrócić wokół własnej osi, jakby czegoś szukał.

– Hmm, wydaje mi się, że policja zabrała ją do przejrzenia. Co takiego chce pani wiedzieć?

Przelykam sucho.

– Muszę wiedzieć, czy jestem w ciąży.

Doktor Schwindt dotyka swojego nosa i poprawia okulary, które mu się trochę zsunęły, gdy był zajęty aparatem EKG.

– No więc, jeśli ma pani jakiegokolwiek obawy w związku ze środkami uspokajającymi, to nie są one szkodli...

– Moje obawy są bardziej ogólnej natury – przerywam mu.

– Nie ma problemu, pani Grass. Sprawdzę to. – Kiwa głową i lubię go jeszcze bardziej, bo nie zadaje już więcej pytań.

– Dziękuję.

– Proszę się teraz chwilę przespać, dobrze?

Życzy mi szybkiego powrotu do zdrowia i kładzie małe pudełeczko z przyciskiem alarmowym w zasięgu moich rąk, po czym opuszcza salę.

Teraz tutaj leżę, zaczynam czuć się odrętwiała, mrowienie ogarnia moje palce u rąk i nóg. Mój umysł tego nie dostrzega, jest zupełnie rozbudzony, pewnie wciąż działa adrenalina.

– Jest coś jeszcze – powiedział „Cham”, gdy skończył rozmawiać przez telefon i podał go „Monachium”.

– Co takiego? – zapytałam. – Co się dzieje? – Serce waliło mi spanikowane.

„Mają tego mężczyznę”, „Cham” przecież dopiero co tak powiedział. O co więc chodzi? Czy twój mąż stawiał opór podczas aresztowania? Umknął im? Był w drodze do szpitala? To nie jest możliwe, to niemożliwe, całkowicie niemożliwe. Trafiłam go śnieżną kulą, naprawdę mocno. Runął na podłogę. Upadł i leżał tam bez ruchu.

„Monachium” westchnął i przeniósł wzrok z wyświetlacza telefonu na „Chama”.

Nie mogłam już tego znieść.

– Proszę mi wreszcie powiedzieć, co się dzieje!

Upewnili się między sobą, czy w ogóle mogą mi pokazać to zdjęcie, które „Chamowi” przysłali jego ludzie z szałas.

– Nie nadaje się do identyfikacji. – „Monachium” się nadyma.

Niecierpliwie pomachałam ręką.

„Cham” przyjrzał mi się zmrużonymi oczami.

– Pokaż pani to zdjęcie, Brühling. Nic jej nie będzie.

Potwierdziłam kiwnięciem głowy.

Tyle tylko, że to, co zobaczyłam, kiedy „Monachium” podał mi telefon „Chama”... To zdjęcie, twój mąż...

– To nie byłam ja! To nie ja! – zaczęłam krzyżeć i upuściłam telefon. Upadł w zagłębienie pościeli między moimi wyprostowanymi nogami, a ponieważ wyświetlacz świecił na czerwono, wszystko było czerwone. Odwróciłam głowę. Twój mąż już jej nie miał, w każdym razie nie w całości, jego twarz, strzępki, czerwone, wszystko czerwone.

„Monachium” zerwał się z krzesła, chwycił telefon, nacisnął przycisk w prawym górnym rogu obudowy, żeby wyłączyć wyświetlacz, a następnie oddał go „Chamowi”, który ponownie otworzył zdjęcie.

– Musimy jeszcze sprawdzić, czy te obrażenia faktycznie zadano śnieżną kulą – stwierdził bardzo rzeczowo. – Na pierwszy rzut oka jest to, no cóż...

– Nie, nie, nie! – krzyknęłam znowu. – To nie byłam ja! Ja tylko raz go... śnieżną kulą... uderzyłam tylko raz...

Głos uwiązał mi w gardle w trakcie krzyku. Teraz zupełnie zamilkłam, powoli to do mnie docierało.

Rozbiłam głowę twojemu mężowi.

Połamalam mu wszystkie kości twarzy.

Rozdarłam mu skórę.

Musiałam uderzyć go tą śnieżną kulą niezliczoną ilość razy, jak w przypiływie szału. *Pamm!*, tak właśnie było, dokładnie tak, jak mówił.

Pamm! Przypominało to odgłos arbuza upuszczonego na ziemię.

„Proszę spokojnie oddychać”, powiedział doktor Schwindt.

„Oddychaj spokojnie”, powtarzam sobie teraz, a moje powieki coraz bardziej mi ciężą. Czuję, jak tonę, jak coraz bardziej pogrążam się w tępy męczeniu, jak stopniowo robi się zimno, coraz zimniej, a ten chłód ogarnia moje kończyny i sprawia, że robią się odrętwiałe. O tym doktor Schwindt też mówił, uczucie odrętwienia w rękach i nogach, zupełnie normalne, żaden powód do zmartwień, tylko że jest mi przy tym tak szalenie zimno.

Marzniesz, mamo? – mam halucynacje, słyszę głos i słabo kiwam głową.

Tak, Jonathanie, jest mi zimno, nawet bardzo.

Coś poszło nie tak. Zabiłam go, Leno. Zabiłam twojego męża. Zmasakrowałam go nie do poznania. *Pamm!*, tak to było, raz za razem, *pamm!*

Głowa ciąży mi na bok. Czy właśnie ktoś zapukał do drzwi sali? Powieki ospale mi pulsują.

Drzwi się otwierają, pojawia się w nich kobieta, we śnie lub w rzeczywistości, jestem zbyt daleko, żeby to rozstrzygnąć.

– Dzień dobry. – Wydaje mi się, że słyszę tę kobietę. – Jest tu ktoś, kto chciałby panią zobaczyć.

Jakiś ruch za jej plecami, mrugam, sen lub rzeczywistość, zza kobiety wyłania się Hannah, zbliża się do mojego łóżka, wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie, sięga do prawej kieszeni sukienki, zauważam, że gałki oczne zaczynają mi się obracać. Czuję, jak moja dłoń zaciska się w bezsilną pięść pod wpływem dotyku Hanny. Jak Hannah ostrożnie rozwiera mi palce, jeden po drugim. Jak wkłada mi coś do ręki, potem równie starannie zaciska moją dłoń z powrotem w pięść. Trzepot moich powiek i czuły pocałunek Hanny w czoło, bezpośrednio w bliznę, i jej szept:

– Wszystko dokładnie zapamiętałam.

Lecę w dół i śpię mocno.

Kobieta uciekła z szałas po czterech miesiącach przetrzymywania

Cham/Monachium (MK) - To zakrawa na cud: po czterech miesiącach przetrzymywania Jasmin G. (35 l.), zaginionej w połowie maja specjalistce do spraw marketingu z Ratyzbony, udało się uciec z położonego na uboczu szałas przy bawarsko-czeskiej granicy. Stopniowo ujawniane szczegóły jej uprowadzenia przekraczają ludzkie pojęcie. Wraz z porywaczem, na temat którego policja na razie nie chce się wypowiadać, oraz dwójkiem jego nieletnich dzieci trzydziestopięciolatka musiała udawać rodzinę. Pierwsze doniesienia mówiły o perwersyjnych formach wykorzystywania seksualnego i psychicznego. Wspominały, że G. była tygodniami przykuta do łóżka i musiała jeść z psiej miski. We wtorek Jasmin G. udało się wreszcie uciec swojemu dręczycielowi. Ten dotąd niezidentyfikowany mężczyzna został przy tym zabity przez G., jak w środę rano przekazał jeden ze śledczych odpowiedzialnych za tę sprawę, nadkomisarz Gerd Brühling. Porwanie łączy się bezpośrednio ze sprawą monachijskiej imprezowiczki Leny Beck (wówczas 23 l.), która zaginęła w styczniu 2004 r.

Podobnie jak dwoje nieletnich dzieci porywacza (dziewczynka, 13 l., chłopiec, 11 l.) Jasmin G. jest obecnie poddawana terapii. Podobno jedno z dzieci - poza problemami psychicznymi - ma też obrażenia fizyczne, możliwe również, że cierpi na niedorozwój umysłowy. Nie zostało jeszcze potwierdzone, czy dzieci także - tak jak Jasmin G. - były wykorzystywane seksualnie.

Dwa tygodnie później

Jasmin

Sekwencja: trzy krótkie, dwa długie.

Pukpukpuk – puk – puk.

Skradam się korytarzem i na wszelki wypadek czekam jeszcze chwilę. Pod drzwiami mieszkania skrzypi deska podłogowa.

– No idź już – warczę cicho z myślą o tym, że po drugiej stronie pani Bar-Lev może przykładać ucho do drzwi, żeby usłyszeć cokolwiek z mojego mieszkania. – Nie dzisiaj, stara krowo.

Wczoraj byłem taka głodna, że zbyt szybko otworzyłam drzwi i naraziłam ją na widok tragicznej sensacji. Od tamtej pory wyobrażam sobie, jak podaje kawę reporterowi u siebie w salonie. „To biedne dziewczę jest w potwornym stanie. Jest o wiele za chuda. Przestała myć włosy, nosi poplamioną bluzkę i workowate spodnie do biegania, rozumie pan. Dobrze po niej widać, przez co przeszła”, stwierdza pani Bar-Lev i ssie ciastko w sztucznej szczęce. Reporter zawzięcie wszystko notuje. O pocałunkach i dotyku, które na stałe przykleiły się do mojej twarzy i ciała, o tym, że dałam sobie spokój z kąpielami i szorowaniem obolałej skóry, bo brakuje mi sił, a przenikliwego zapachu potu i tak nie sposób się pozbyć. Ostatki zdrowego rozsądku w mojej głupiej głowie podpowiadają mi, że pani Bar-Lev nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, ale obraz jest barwny i nachalny. Ma niewielką rentę, takie dodatkowe środki na pewno by się jej przydały. *Przestań.* Lektura na dziś: ekskluzywny wywiad z sąsiadką ofiary z szałasu. *Przestań!*

Burczy mi w brzuchu. Pod drzwiami przeciska się zapach świeżo ugotowanego jedzenia, z pewnością gulaszu. Deski na podłodze znowu skrzypią, potem słyszę kroki na schodach. Pani Bar-Lev idzie powoli, to

przez biodro. Momentalnie ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Każdego dnia, odkąd wróciłam do domu, ta cudowna staruszka wspina się po schodach do mojego mieszkania i musi się jej wydawać, że zdobywa właśnie Kilimandżaro. Już dawno mogłaby porozmawiać z reporterami. Ale mimo tego chorego biodra stoi w kuchni przy garach i dla mnie gotuje. *Wstydz się.*

Czekam, aż dwa piętra niżej zatrzasną się drzwi, potem czekam jeszcze chwilę, żeby się upewnić, że na korytarzu naprawdę jest cicho. Przekręcam klucz, naciskam klamkę, biorę rondel z wycieraczki, zamykam za sobą drzwi, znów przekręcam klucz. Rekord: niecałe trzy sekundy. Z rondelkiem w ręce opieram się na moment plecami o zamknięte drzwi i oddycham, jakbym przebiegła właśnie maraton. „Wszystko dobrze, panuje spokój, całkowity spokój”, zaklinam salwę pulsującą w piersi. Następnie podnoszę pokrywkę garnka. Gulasz. Mogłabym przysiąc, że właśnie tak to pachniało.

Mogłabym przysiąc, że uderzyłam twojego męża tylko raz.

Niosę garnek do kuchni i stawiam go na kuchence.

Tak go zmasakrowałam, że na pierwszy rzut oka wcale nie było oczywiste, czy tym – jak to nazywają – „narzędziem zbrodni” rzeczywiście mogła być kula śnieżna. Najwyraźniej szukano w szafasie innych potencjalnych narzędzi, nie było tam jednak ani młotka, który wyjaśniałby, skąd te uderzenia, ani noża, którym można by zadać za głębokie rany. To znaczy były młotki i inne narzędzia, noże, nawet bardzo ostre, takie, jakich używa się do patroszenia zwierząt. Ale były zamknięte i wyraźnie poza moim zasięgiem. Dopiero dzięki kompletnemu raportowi lekarza sądowego kula śnieżna została uznana bez żadnych wątpliwości za narzędzie zbrodni. Podobno nawet ją złożyli, prawie całą, bo brakuje jednego kawałka, którego nie udało się nigdzie znaleźć.

Twój mąż nie żyje, Leno.

Twoje dzieci są w wariatkowie.

Powinłam czuć się lepiej – ocalałam, zwyciężyłam – powinłam być wdzięczna i łaknąć życia, o które wytrwale walczyłam przez cztery miesiące. Rzeczywistość jest jednak inna. Moje mieszkanie jest zaciemnione. Niebo, za którym tak tęskniłam, słońce, ćwierkanie ptaków, nie mogę tego wszystkiego znieść. Dzwonek do drzwi mam odłączony, reaguję tylko na pukanie. Z telefonu stacjonarnego wyciągnęłam wtyczkę. Zostawiam włączoną komórkę po to, żeby policja i moja terapeutka mogli się ze mną kontaktować. Odpowiadam policji na drobiazgowo pytania, których funkcjonariusze najwyraźniej nie chcą odpuścić, terapeutce mówię, że nic mi nie jest. Że poszłam już do supermarketu za rogiem, zupełnie sama, bez towarzystwa, brawa dla mnie. Że zaraz ugotuję sobie coś pysznego do jedzenia, a potem obejrzę ostatni sezon *Kochanych kłopotów*. Że niestety nie będę mogła przyjść na kolejną sesję, bo moja mama lub dobrzy przyjaciele zapowiedzieli, że wpadną. W ustach kompletnie mi już zaschło od tego ciągłego kłamania.

Chcesz wiedzieć, jak naprawdę wygląda moje codzienne życie? Nadal budzę się punktualnie za dziesięć siódma z prawą ręką wyciągniętą nad głowę; tylko w takiej pozycji dało się spać w szalasiu, kiedy byłam przypięta do ramy łóżka. Czasami staram się buntować i od razu zamykam oczy. Zmieniam pozycję, chcę się odwrócić i zasnąć. Ale to na nic. Muszę wstać i zrobić śniadanie dzieciom. Musi trafić na stół dokładnie o wpół do ósmej, w przeciwnym razie będą się denerwować. Piszczec i skakać po salonie jak piłeczki kauczukowe, które wymknęły się spod kontroli, aż moja czaszka będzie bliska eksplozji – *proszę, dzieci, nie tak głośno!*

Jedzenie musi trafić na stół punktualnie o wpół do ósmej, w przeciwnym razie twój mąż będzie krzyżeć: *Co z ciebie za matka, Leno? Co z ciebie za potwór?*

Nie ma go tu, wiem, to bardzo dobrze. Nie żyje, sama go zabiłam. Wiem to. Policja znalazła jego ciało. Ale nadal tego nie czuję. Kiedy wspominałam o tym terapeutce, do głowy przyszło jej tylko: „To

całkowicie normalne. Wymaga czasu”. Ale ja ci powiem: ona po prostu nie słucha uważnie. Czas w moim życiu nie ma już znaczenia. Stracił je pierwszego dnia w szałasie. Pozostał już tylko jego czas. To on czyni dzień i noc. Jak Bóg. Nadal.

Oczywiście nie robię tego śniadania, bo dzieci tu nie ma, jestem tylko ja, w swoim własnym mieszkaniu, na – ha, ha – wolności. Mimo to każdego ranka stoję w kuchni o wpół do ósmej. Nawet jeśli tylko po to, żeby chwycić się blatu i spróbować stłamsić głosy szalejące w mojej głowie.

Jesteś niewdzięczna, Leno. Niewdzięczna i niedobra.

„Jestem dobra”, protestuję załośnie. Jestem dobra w krążeniu między łóżkiem, kanapą i wysiedzianym fotelem do czytania. Jestem dobra w czytaniu książek, których nie rozumiem. „Rzeka płynęła jak dawniej”¹, pisze Hemingway. Do tego momentu rozumiem. Potem litery zaczynają tańczyć mi przed oczami, a rzeka, o której mowa, zawraca, staje się dzikim strumieniem, zmienia w nieokiełznany potok, który mnie porywa, a z ciepłego dnia robi się nieznośny, kipiący upał, wyciskający pot z porów i łzy z oczu. Jestem dobra w zamykaniu książek i odrzucaniu ich od siebie. Jestem dobra w pochłanianiu jedzenia, które stara pani Bar-Lev zostawia mi pod drzwiami, a potem w zwracaniu go fontanną wymiocin. I jestem dobra w realizowaniu swoich potrzeb w zgodzie z jego codziennym harmonogramem, nadal, nadal, nadal jeszcze. *Twoje wizyty w toalecie przypadają na siódmą rano, dwunastą trzydzieści, siedemnastą i dwudziestą.*

Co zostaje z kogoś, kto powstrzymuje się przed tym, żeby się załatwić, bo jest dopiero wpół do czwartej? Co ze mnie zostało?

Często stoję w kuchni przed blokiem z nożami i czasami moja ręka owija się wokół rękojeści jednego z nich. Nie jest to największy nóż w bloku, ale najostrzejszy. Mama dała mi go kiedyś na Boże Narodzenie. „Tnie wszystko” – powiedziała. „Warzywa, chleb, mięso”. Mięso, Leno.

Jestem pusta, przeszywa mnie tylko to jedno bardzo specyficzne uczucie. Przywarło do mnie i już się go ot tak nie pozbędę. Pali mnie w żołądku,

ściska moje skronie jak imadło, zaciskające się z dnia na dzień coraz mocniej. Moja terapeutka również to uważa za normalne. Mówi, że potrzebuję czasu, żeby pogodzić się z tym, co się stało; najpierw to uporządkować, a później zrozumieć, że to naprawdę koniec.

Myślę, że się myli. Ale wobec niej nie śmiem przy tym obstawać. Policja też nic o tym nie wie. Już wydostanie się ze szpitala wymagało ode mnie sporej dozy siły i aktorstwa. Boję się, że uznają mnie za wariatkę i znowu gdzieś zamkną.

Musisz wiedzieć, że po dwóch pierwszych nocach przeniesiono mnie z intensywnej terapii na oddział zamknięty. To oddział dla pacjentów stanowiących zagrożenie dla siebie lub innych. Pomieszczenia, w których klamkę da się zdjąć jednym szybkim ruchem ręki. Nie wiem, czy poważnie się obawiali, że zrobię coś sobie lub innym. A jeśli tak, to zastanawiam się, dlaczego nikt nie wpadł na to, żeby zajrzeć do torby podróżnej, którą przyniosła mi do szpitala mama. Mogłam to zrobić, Leno. Dzięki twojej córce miałam wszystko, czego było mi trzeba. Wolałabym jednak wierzyć, że moje przeniesienie do tej sali miało na celu jedynie – jak to ujął personel szpitala – zapewnienie mi bezpieczeństwa i trzymanie na dystans nieproszonych gości. Na przykład nadgorliwców z prasy. Nie muszę ci zapewne tłumaczyć, jak na mnie oddziaływało to rzekome schronienie. Jak mi się wydawało, że między krokami strażników chodzących przez pierwszy tydzień przed moimi drzwiami słyszę też kroki kogoś innego. Kogoś, kto po mnie przyszedł, kto mnie ukarze. Jak czułam się znów uwięziona w tej zamkniętej przestrzeni, podczas gdy wszyscy wokół paradoksalnie mówili mi o „wolności”, o końcu męczarni. Wolność nie rekompensuje tego, że byłam uwięziona. Terapeutka uważa za ważne, żebym spotkała się z twoimi dziećmi. Ale ja nie mogę tego zrobić. Nie mogę spojrzeć im w oczy po tym, jak zabiłam im ojca.

No więc czy to tak, Leno? Czy to jest to uczucie, które ściska mnie jak imadło? Czy to poczucie winy?

Biorę tabletki przeciwbólowe, bolą mnie trzy żebra złamane podczas wypadku. Zawsze połykam pół tabletki więcej, niż należy, z nadzieją, że zmniejszą też ten inny ból. Jestem taka samotna, Leno. A jednak nie mogę podnieść telefonu i nikogo do siebie zaprosić. Myślę o ojcu i Kirsten, jak miło by było, gdyby jedno z nich po prostu stanęło pod drzwiami i zapukało. Trzy krótkie, dwa długie. Ale nic z tego. Zniknęli, oboje, bezpowrotnie. Mój ojciec zginął, gdy miałam siedem lat; wypadek samochodowy. Zabrał ze sobą moją mamę, choć w bardzo złożony sposób. Mama mieszka w Straubing, niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd, i cieszy się doskonałym zdrowiem. Ale po śmierci ojca nigdy już nie usiadła na brzegu mojego łóżka i nie zaśpiewała mi piosenki o tyciusieńkim pajęczku. A gdy w zeszłym tygodniu odbierała mnie ze szpitala, podała mi na powitanie rękę. Kirsten z kolei nie była w stanie mnie znieść już krótko przed moim porwaniem. Jak widzisz, Leno, twój mąż w zasadzie nie mógł wybrać do swojego porąbanego teatrzyku rodzinnego nikogo bardziej nieodpowiedniego niż ja. Byłam zapewne najgorszą możliwą odtwórczynią twojej roli. Chociaż w ciągu ostatnich kilku dni raz za razem pytam samą siebie, czy ona naprawdę jest taka jasna, ta twoja rola. Nie chodzi o to, do czego zmuszał mnie twój mąż. Mam na myśli ciebie, Leno. Zaczęłam przeglądać w internecie artykuły o twoim zniknięciu. Nie daję jeszcze rady zbyt długo czytać – tańczące litery, jasny ekran, od którego łzawią oczy, stale twoje zdjęcia, podobieństwo między nami, które ma posmak żółci. Kim w zasadzie jesteś? Kim jesteś, Leno Beck?

Matthias

Panie Rogner,

dzwoniłem do Pana kilkakrotnie do redakcji, gdzie powiedziano mi, że jest Pan na zwolnieniu lekarskim. Moim zdaniem nie zwalnia to Pana z odpowiedzialności, jaką powinien i musi Pan ponosić – jako redaktor

naczelnny – za publikowane treści, nawet podczas nieobecności. Jak Pan może pozwalać swoim podwładnym tworzyć takie artykuły? Jak może Pan dopuszczać, by raz po raz przedrukowywano takie bzdury? Niezmiernie mnie Pan tym rozczarował, Panie Rogner! Akurat Pan, spośród wszystkich ludzi na świecie, powinien doskonale wiedzieć, jak to jest znosić ciężką stratę, a mimo to ośmiela się Pan do tego stopnia mieszać moją wnuczkę z błotem? Stosownie do swojego niezadowolenia pragnę Panu jeszcze raz wyjaśnić (może Pan to zacytować): Hannah jest zdrowa, zarówno fizycznie, jak i psychicznie – na tyle, na ile to możliwe w tych okolicznościach. Ze względu na wieloletni niedobór witaminy D jest po prostu nieco poniżej średniej dla dzieci w jej wieku. Może Pan wierzyć lub nie, ale Hannah jest zupełnie normalnym dzieckiem! Potrafi trzymać łyżkę do zupy i nie upaść przy tym wszystkiego. Nie ślini się. Wie, jak korzystać z toalety, i potem nawet myje ręce. Ponadto nie wykazuje żadnych oznak przemocy fizycznej. Jej zęby są w idealnym stanie. Dentysta wręczył jej nawet naklejkę z gwiazdką. Wie pan, co znaczy taka naklejka z gwiazdką? Taką naklejkę dostają tylko te dzieci, które szczególnie starannie myją zęby. Hannah nie komunikuje się za pomocą zwierzęcych odgłosów, ale wręcz przeciwnie, ma okazałe słownictwo, dalece wykraczające ponad to, co można znaleźć w tym Pana szmatławcu. Do tego posługuje się czterema językami obcymi, jeśli to Pana interesuje: angielskim, francuskim, hiszpańskim i włoskim. Może więc Pan wybrać, w którym z nich ma powiedzieć Panu i Pana współpracownikom, żeby skończyli Państwo, do cholery, z tymi ohydztwami! Chociaż moje osobiste rozczarowanie publikacjami z ostatnich kilku dni trudno będzie jakoś zrekompensować, proszę, żeby pilnie przywołał pan ich autora/autorkę do porządku, a jednocześnie zastrzegam sobie prawo do podjęcia kroków prawnych przeciwko Pańskiej gazecie w przypadku dalszych niemoralnych i na wskroś fałszywych doniesień.

Z naciskiem

Matthias Beck

Przez chwilę waham się, czy nacisnąć „wyślij”. Zapewne ze względu na Karin. Powiedziała, że nie powinienem nawet próbować zadawać się z dziennikarzami, przecież z doświadczenia wiem, jakie to sępy. Powiedziała też, że muszę dbać o swoje serce. Że mam lepsze rzeczy do roboty niż zaszywanie się w gabinecie i wypisywanie pełnych złości – cytując Karin: „bezsensownych” – maili.

Ale jakże bym mógł? „Dziewczynka-zombi” i „dziecko-duch” – tak prasa nazywa Hanę. Jest tylko jedno zdjęcie, jedno jedyne zdjęcie, a można je znaleźć w internecie nawet z podpisami po chińsku i cyrylicą. Cieszę się, że nie mogę przeczytać, jak tam ją nazywają. „Dziewczynka-zombi” wystarczy. Wy podłe pismaki! Czy nie dość już przeszliśmy?

– No właśnie – powiedziała Karin, kiedy chciałem zniknąć w swoim gabinecie zaraz po śniadaniu, żeby włączyć komputer.

Między dwoma talerzami z nadgryzionymi tostami z dżemem leżała gazeta, której nagłówek zepsuł nam apetyt. „Wypłynęło pierwsze zdjęcie: dziewczynka-zombi z szałasu grozy!”.

– Dokładnie o to mi chodzi: przeszliśmy już o wiele za wiele. – Jej ton był łagodny, tylko towarzyszące tym słowom spojrzenie od razu zdradzało, co żona naprawdę chce mi przekazać: marnuję energię w niewłaściwym miejscu. Mamy córkę, którą powinniśmy opłakiwać. Bo tak należy lub dlatego że na to zasłużyliśmy po tylu latach niewiedzy i czekania. Powinniśmy najpierw uporać się z tym, co się wydarzyło tamtej nocy dwa tygodnie temu. Emocjonalna kolejka górską, bezlitosna jazda, gdy na kilka chwil odzyskaliśmy naszą Lenę, tylko po to, żeby zaraz ją ponownie stracić.

– Lena by sobie tego życzyła – odpowiedziałem Karin. To działało jak uderzenie kantem dłoni w gardło, za każdym razem. Z czymś takim nie sposób się kłócić, to zdanie natychmiast ją uciszało. Lena pozostawiła nam

prezent, najcenniejszy. Dlatego naciskam „wyślij” i posyłam swoją tyradę obelg do redaktora naczelnego dziennika.

Ależ okrutnym cudem mimo wszystko jest życie.

Cudem, którego dokonała Lena.

Hannah. Hanneczka...

– Matthias! – woła z dołu Karin, jakby zachodziło poważne ryzyko, że przegapię dzwonek do drzwi. Gerd zapowiedział swoją wizytę i nowe informacje. Karin nie udało się wyciągnąć z niego więcej przez telefon. Najwyraźniej nauczył się czegoś z tego chaosu, do którego doprowadził tamtej nocy. – Matthias! – Głos Karin ponownie rozbrzmiewa z przedpokoju, a ja zapadam się trochę głębiej na krzesło. Zwłok Leny wciąż nie znaleziono. – Gerd tu jest!

Kładę ręce na biurku i powoli się podnoszę.

Dla Karin to ważne. Kilka kości, które dałoby się bezsprzecznie przypisać do Leny, już by jej wystarczyło. Chce coś pochować i mieć miejsce, gdzie mogłaby płakać i sadzić kwiaty. Ja z kolei nie wiem, jak bym sobie poradził, gdyby ktoś pokazał mi kość i oświadczył: „To twoja Lena”.

Gerd z kolegami zakładają, że porywacz zakopał ją gdzieś w lesie w pobliżu szałas. Ale nie spodziewają się, że znajdą ją w jednym kawałku. Podobno na tym obszarze żyje duża populacja dzików. To przykre, kiedy ktoś uświadamia człowieka w kontekście jego własnego dziecka, że dziki czasem ciągną zdobycz przez wiele kilometrów i są wszystkożerne. „Z wyjątkiem czaszki”, wyjaśnił mi Gerd. „Zostawiają ją. Jest dla nich za duża”.

Ledwo daję radę zejść po schodach, kiedy o tym myślę. Kolana mi drżą, czuję klucie w sercu. Na drugim końcu schodów Karin postawiła już właśnie stopę na pierwszym stopniu, żeby wejść na górę i sprawdzić, gdzie się podziewam.

– Już idę. – Uśmiecham się słabo.

Karin energicznie kiwa głową. Na jej twarzy i szyi widzę czerwone plamy; jest zdenerwowana.

Gerd siedzi w salonie na jednej z dwóch podwójnych sof. Na stoliku przed nim stoi filiżanka kawy. Karin wyciągnęła lepszą zastawę, białą ze złotym brzegiem.

– Siedź – mówię, gdy zamierza wstać. Zajmuję miejsce naprzeciwko niego na drugiej sofie, Karin siada obok mnie na podłokietniku. – No więc? Co nowego?

Gerd pompatycznie nabiera powietrza.

– Możemy teraz stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że Lena była w tym szalasie.

Czekam na grom z jasnego nieba – na próżno.

– No i? To wiedzieliśmy już od dawna.

– Nie, Matthiasie, tylko to podejrzewaliśmy. To różnica. Wiedza opiera się na faktach i dowodach. Udało nam się zabezpieczyć dwa włosy, razem z cebulkami, i na tej podstawie ustalić profil genetyczny. Pokrywa się on z próbką porównawczą, którą wtedy pobraliśmy ze szczoteczki do zębów Leny.

Wzdycham i zerkam na Karin: łapie się za mostek i naprawdę wygląda tak, jakby była pod wrażeniem.

– Udało wam się za pomocą tych waszych gruchotów do badania DNA ustalić przynajmniej tożsamość porywacza?

– Nie – przyznaje Gerd i wyraźnie napina szczękę. – Nie mieliśmy niestety nic do porównania. W naszej bazie na razie brakuje profilu, który by mu odpowiadał. Innymi słowy, nigdy dotąd nie był zatrzymany za przestępstwo, przynajmniej za nic cięższego. W przypadku drobnych wykroczeń, takich jak zwykła kradzież, nie zapisuje się profilu genetycznego.

– Albo był na tyle sprytny, że nie dał się wam złapać.

Karin kładzie mi dłoń na ramieniu, uspokajająco.

– Matthias...

Pokazuję ręką na Gerda.

– Macie przecież tego typa! Albo przynajmniej to, co z niego zostało. Wiecie, że mieszkał razem z Leną i dziećmi w szałasie, może przez całe lata! I nadal nie możecie ustalić, kim on jest? Może warto skończyć potrząsać próbkami i porządnie przeszukać tę budę!

– Uwierz mi, Matthiasie, już to zrobiliśmy. I to nawet bardzo gruntownie.

– I nic tam nie ma? W ogóle nic? Ani jednego dokumentu na jego nazwisko? Żadnego pokwitowania z karty płatniczej czy czegoś takiego?

– Wczoraj przyszły wyniki analizy jego DNA i teraz będziemy z nimi pracować – podchwytuje Gerd.

Pochyliłam się i przypadkowo uciskam dłoń Karin łokciem.

– Przecież sam właśnie to powiedziałaś, Gerd: nic nie macie. To chyba raczej o tym powinien się rozpisywać ten cały Rogner z gazety: o niekompetencji policji, która od dwóch tygodni kręci się w kółko jak horda głupich szczeniaków goniących własny ogon.

Karin uwalnia dłoń z mojego uścisku i znów kładzie mi ją na ramieniu.

– Skarbie...

– Mamy teraz jego DNA – powtarza Gerd. – Nie wolno ci zapomnieć, jak skomplikowane to są procedury. W rzeczywistości nie działa to jak w *CSI* czy w innym serialu kryminalnym, gdzie przełomowe wyniki uzyskuje się w ciągu godziny.

– W ciągu godziny. – Śmieję się. – Czy naprawdę muszę ci przypominać, od jak dawna nie ma Leny?

– Co dalej? – pyta Karin, zapewne po to, żeby mnie rozproszyć. Ale nic z tego. „Sprowadzę twoją Lenę do domu”, obiecywał mi czternaście lat temu. Nagrodą pocieszenia, już to pojąłem, mogłaby być dla mnie jedna obgryziona przez dziką kostka. Ale skończy się może na dwóch włosach,

z cebulkami, wielkie dzięki. Mają za to jej porywacza, i to w jednym kawałku, a mimo to nadal nie są w stanie dojść do tego, kim jest ten typ. Czuję, jak gorąco występuje mi na twarz, gdy Gerd opowiada Karin o środku chemicznym, dzięki któremu wytarte ślady krwi znów stają się widoczne. Jeśli chodzi o Lenę, nie znaleziono żadnych większych ilości, które wskazywałyby na utratę krwi zagrażającą życiu.

– A co z tym szałasem? – wtrącam się. – Musi do kogoś należeć! Coś takiego wpisuje się przecież do ksiąg wieczystych.

Gerd wzdycha ciężko, odwraca się od Karin i spogląda na mnie.

– Nie jest jasne, czy teren, na którym stoi szałas, należy jeszcze do Bawarii, czy już do Czech. W każdym razie jest to obszar przygraniczny. Ziemia niczyja. Oficjalnie nikt tam nie budował żadnego szałasu. I wydaje się, że dotąd nikt go też nie zauważył. Bezpośrednie otoczenie jest tak zarośnięte, że prawie nie da się przez nie przejechać samochodem.

– Jezu Chryste, Gerd! – krzyczę i podrywam się na nogi. – W takim razie weźcie się jeszcze raz za tę całą Grass, do cholery! Podobno spędziła z tym typem cztery miesiące w szałasie, a mimo to nie zna jego imienia? Robi was wszystkich w konia.

Gerd też wstaje. Teraz stoimy naprzeciwko siebie, dzielą nas tylko stolik i żalosne wysiłki Karin, żeby zaprowadzić między nami zgodę.

– Matthias, oni robią wszystko...

– Pani Grass zeznała – Gerd ignoruje jej próbę, choć w przeciwieństwie do mnie stara się zachować spokojny ton – że porywacz nie wymieniał swojego imienia. Nie mamy powodu wątpić w to, co mówi. A dla dzieci jest po prostu *tatą*.

– Daj mi z nią porozmawiać, choćby przez chwilę! Zobaczysz, jak szybko sobie przypomni jego imię!

– Sam wiesz, że to absurd, Matthias.

– Absurd, aha?

– To oczywiste, że nie pozwolimy wywierać nacisków na świadka.

– Wspaniały mi świadek.

– W zasadzie sam powinieneś wiedzieć najlepiej, jak coś takiego może się skończyć – mówi Gerd z wiele znaczącym spojrzeniem.

Otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, ale daję sobie spokój.

– Posłuchaj, Matthiasie. Jestem bardzo mocno przekonany o tym, że wkrótce uda nam się ustalić tożsamość porywacza. Ale to nie oznacza, że tym samym uda nam się wyjaśnić los Leny. Musisz być tego świadom. – Odwraca się do Karin i ma czelność się do niej uśmiechać, tak głupio i protekcjonalnie. – Ale robimy, co w naszej mocy.

Łapię się za pierś, ból tłumi mój ton.

– „Sprowadzę twoją Lenę do domu”. Twoje słowa, Gerd. Twoje słowa.

Moje kroki są krótkie i rozważne, gdy idę przez salon do przedpokoju. Nie mogę się załamać, nie teraz, nie tutaj, nie przed Gerdem.

– Podaj przynajmniej jakiś powód, dla którego zabrał nam córkę – rzucam przez ramię, gdy dochodzę do wyjścia. – I daj mojej żonie jakąś cholerną kość, żeby w końcu miała gdzie posadzić kwiatki.

– Matthias! – woła za mną Gerd, kiedy dowlekam się do schodów. – Ten gruchot do DNA potwierdził również ponad wszelką wątpliwość, że Hannah i Jonathan są biologicznymi dziećmi Leny. Teraz całkowicie oficjalnie jesteś dziadkiem. Moje gratulacje.

– Idiota – mamrocze i ostrożnie idę po schodach do gabinetu.

Hannah

Czasem leżę w nocy w łóżku i pragnę, żeby moje gwiazdziste niebo powróciło. Wyciągam rękę do sufitu, jak najdalej, marząc o tym, żeby ich dotknąć, tych gwiazd. Tak jak wcześniej. Wyobrażam sobie, że dłoń mamy leży na mojej i że mama przesuwam moim palcem od jednej gwiazdy do drugiej, aż połączymy wszystkie niewidzialne linie. Mówi: „To bardzo znany gwiazdozbiór, Hanno. Wielki Wóz”, i uśmiecha się do mnie.

Odwzajemniam ten uśmiech, chociaż już dawno przeczytałam w grubej książce, która zawsze wszystko wie, że Wielki Wóz to w zasadzie nie jest gwiazdozbiór sam w sobie, ale siedem najjaśniejszych gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Kiedy myślę o tym – o mojej mamie i gwiazdach – serce boli mnie od gryzącego je smutku.

Nie podoba mi się w szpitalu dziecięcym. Brakuje mi rodziny i mojej małej Panny Tinky z jej słodkimi, niezdarnymi łapkami i miękkim futerkiem.

Nie podoba mi się mój pokój. Sufit jest o wiele za wysoko, nie mogę do niego sięgnąć bez względu na to, jak daleko wyciągam rękę. Nie ma tu gwiazd. I nie mam żadnego pożytku ze swoich pierwszych prawdziwych okien, bo żaluzje są stale opuszczone. Rzuciłam krzesłem w szybę, ale był z tego tylko hałas. I kłopoty. Pani Hamstedt nadal utrzymuje, że jest lekarką, chociaż jeszcze nie widziałam jej w kitlu. To ona jest tu szefową. Powiedziałam jej, że nie jestem chora i dlatego nic tu po mnie, w tej w klinice dziecięcej, ale mimo to nie mogę wrócić do domu. Nie wolno mi nawet wychodzić do toalety, kiedy muszę, i tylko w kółko mam opowiadać o tym, czego się boję. Ale ja się niczego nie boję. Po prostu mi się tu nie podoba. I dlatego nie chcę dłużej czekać, chcę do domu, natychmiast. Za każdym razem, gdy to mówię, powtarza: „Hanno”, takim śmiesznym tonem, jakbym była nieco głupia. Ale ja nie jestem wcale głupia! I się nie boję. Jest tu taki chłopiec, który czasem naprawdę miewa drgawki z czystego strachu. W jednym momencie siedzi całkiem normalnie przy obiedzie, chwilę później odsuwa talerz i wali głową w stół. Potajemnie liczę uderzenia. Jego rekord, zanim ktoś interweniował, to dwanaście razy. Zapytałam panią Hamstedt, dlaczego on to robi, a ona powiedziała, że to tak zwany zespół stresu pourazowego. „Można go dostać, jeśli doświadczyło się czegoś złego”, wyjaśniła. To taka jakby niewidzialna rana, która źle się goi.

Ale nie wydaje mi się, żeby oni naprawdę pomagali temu chłopcu. Nakleją mu plaster na czoło, dają niebieskie tabletki i posyłają go, żeby rysował. A on zawsze rysuje tylko czarne bazgroły, mimo że powtarzałam mu już tysiące razy: „Jonathanie, nie możesz w kółko tak brzydko bazgrolić. Trzeba się trochę wysilić, kiedy się rysuje”. Zawsze trzeba się wysilać, cokolwiek się robi. Ale chłopiec tylko patrzy na mnie dziwnie, jego oczy zrobiły się takie od tych niebieskich tabletek, a ja myślę sobie: „To już nie jest Jonathan”. To już nie jest tak naprawdę mój brat. Pani Hamstedt i jej pomocnicy coś w nim zepsuli.

Muszę się stąd wydostać. To nie jest żadna klinika dziecięca. Tak mówią, ale to nie jest prawda. Nic z tego, co tutaj mówią, nie jest prawdą. Są tu sami kłamcy i źli ludzie. To bardzo złe miejsce.

Mój dziadek też tak uważa. Odwiedza mnie codziennie i chodzi ze mną na różne wizyty, które mam. Byliśmy już razem u dentysty, który dał mi naklejkę z gwiazdką, bo mam takie zdrowe zęby, oraz u kilku innych lekarzy, którzy uznali, że potrzebuję dużo witaminy D. Witamina D jest ważna, inaczej się nie rośnie. Witaminę D dostaje się ze światła słonecznego. Mimo to nie wolno mi odsłaniać w pokoju żaluzji. Zapytałam dlaczego, ale powiedziano mi tylko: „To bardzo skomplikowane, moje dziecko”. To wcale nie jest skomplikowane. Dziadek wytłumaczył mi to bardzo prosto: „Twoje oczy muszą się powoli przyzwyczaić do światła, Hanno. Inaczej siatkówka może ci się odkleić”. Siatkówka to tkanka nerwowa wyściełająca wnętrze oka. Jeśli się odklei, oko nie jest już odpowiednio zabezpieczone i można oślepnąć. Dlatego muszę nosić okulary przeciwsłoneczne, kiedy idziemy na wizytę. Ale okularów przeciwsłonecznych też nie lubię. Sprawiają, że cały świat jest brązowy. Drzewa, niebo, wszystko brązowe. A niebo powinno być jak płótno ze śnieżnobiałymi obłokami na błękitnym tle. Miasto też wygląda zupełnie inaczej przez brązowe okulary, a do tego brzydko pachnie. Domy to duże brązowe pudła. Jeśli się na nie patrzy, boli kark. Dziadek czasem pyta, czy

ma zwolnić, gdy jedziemy samochodem na umówioną wizytę, żebym spokojnie mogła popatrzeć na miasto. Mówię mu, żeby jechał szybciej. W Paryżu było ładniej, nic tu nie tracę.

Ostatnimi czasy moje serce bardzo mnie boli, właściwie boli mnie każdego dnia i w każdej sekundzie. Jest mi smutno, ale sądzę, że dziadek jako jedyny to rozumie. Wczoraj obiecał mi, że zabierze mnie do domu. Mówi też, żebym po prostu odpowiadała na pytania, żeby pani Hamstedt, jej pomocnicy i policjanci poczuli się wreszcie usatysfakcjonowani i żebym mogła szybciej stąd wyjść. Jonathan nie jest już w stanie odpowiadać na więcej pytań. Niebieskie tabletki tak go ogłupiły, że zapomniał, jak się mówi. Nie odzywa się ani słowem, nawet do mnie. Dziadek mówi: „Wszystko w twoich rękach, Hanneczko”. Odpowiadałabym i tak na te pytania, ale oni chcą w kółko wiedzieć, co się stało z mamą i gdzie ona jest, a na to po prostu nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź. Ostatni raz widziałam ją tamtej nocy w szpitalu. Ale kiedy to mówię, ludzie kręcą głowami i zachowują się tak, jakbym kłamała. I sądzą, że dużo kłamię. Kiedyś pani Hamstedt prawie się na mnie zdenerwowała. Nie skarciła mnie, ale widziałam to po jej twarzy. Powiedziała, że istnieją dwa światy. Ten w mojej głowie i ten prawdziwy. Zapewniła, że nie ma w tym nic złego, ale jej czoło było zmarszczone, a brwi ułożone tak dziwnie, że zdawało się, że ma duże brązowe „V” tuż nad oczami. Nie powinnam była jej nic wspominać o wycieczkach. W przeciwieństwie do siostry Ruth od razu powiedziała o tym policji i mężczyzna w szarym garniturze wrócił i mnie wypytywał. Też miał duże „V” nad oczami i zmarszczki na czole. Nie wierzy bowiem, ile pięknych rzeczy doświadczyłam z mamą. Myśli, że byliśmy tylko cały czas zamknięte, jak zwierzęta w zoo.

– Jesteś taką bystrą dziewczynką, Hanno – powiedział. – Może nawet najmądrzejszą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Dlatego sądzę, że dobrze wiesz, co się działo w domu. Musisz też wiedzieć, że ta kobieta w szpitalu wcale nie jest twoją prawdziwą mamą, ale chyba to wiesz? Nawiasem

mówiąc, naprawdę ma na imię Jasmin. Ładnie, nie uważasz? Powiedz mi, jak poznałaś Jasmin, dobrze?

– Bardziej mi się podoba Lena – odparłam i nie powiedziałam już nic więcej. Nie rozmawiam z ludźmi, którzy myślą, że kłamię.

Jasmin

Jest wtorek, środa albo jakiś inny dzień tygodnia. W każdym razie wiem na pewno, że jest po wpół do dwunastej, byłam już w łazience. Pani Bar-Lev jeszcze nie przyszła. Burczy mi w brzuchu.

Od razu poznaję, że z tym pukaniem coś jest nie tak, i momentalnie podskakuję z przerażenia na fotelu. Kolejność jest błędna, nie: trzy krótkie, dwa długie, *pukpukpuk, puk – puk*.

Przecieram oczy, zeszłej nocy prawie nie spałam; nasłuchuję. W kuchni cieknie kran. Na ulicy poniżej dudni ruch, wali młot pneumatyczny.

Znowu pukanie do drzwi, zbyt silne i w niewłaściwym rytmie.

Pukpukpukpuk.

Cztery krótkie. Ostrożnie przechodzę przez salon w grubych wełnianych skarpetkach. Słabe światło małej lampki na stoliku obok fotela zniekształca mój cień, który robi się absurdalnie długi.

Pukpukpuk, trzy krótkie, zatrzymuję się. Czy to pani Bar-Lev?

Skradam się dalej, nie mogę wydać z siebie żadnego dźwięku, przemykam korytarzem, mój cień idzie przodem jak posępna awangarda, która wije się ku drzwiom po nagim laminacie; krocę za nim.

Pukpukpukpuk, cztery krótkie.

Mój wzrok pada na drzwi sypialni, upewniam się, że są zamknięte.

Na zewnątrz, przed moim mieszkaniem, deska w podłodze kilka razy skrzypi, jakby ktoś niecierpliwie dreptał w miejscu. Słyszę kobiecy głos, który nieśmiało woła:

– Halo? – I po chwili: – Pani Grass, jest pani w domu?

To nie pani Bar-Lev.

Dochodzę do drzwi, w piersi panika. Przez judasza widzę zniekształconą kobietę. Może policjantkę, którą przysłano tu z kolejnym pytaniem? Zapaloną reporterkę, która dowiedziała się, gdzie mieszkam, i chce mi zapłacić, bym opowiedziała o tych rzeczach, o których nie sposób opowiedzieć? Obie te możliwości wywołują jeszcze silniejszą panikę w mojej piersi. Chcę zignorować to pukanie, już się nawet odwróciłam, zostawiając za sobą drzwi, gdy znów słyszę głos:

– Pani Grass, jeśli tam pani jest, proszę otworzyć. Pani Bar-Lev mnie tu przysłała.

Poczucie, że coś jest nie tak – że nie zgadza się coś więcej niż tylko kolejność pukania – ogarnia całe moje ciało. Sięgam za siebie, w korytarzu po lewej stronie, pod ścianą stoi komoda, macam ją, nie odrywając oczu od zamkniętych drzwi mieszkania, bezsensownie poszukuję na niej jakiejś broni. Ramka ze zdjęciem klapie, kiedy się przewraca. Wystraszona cofam rękę.

– Pani Grass? Jest pani w domu? – pyta kobieta pod drzwiami, która prawdopodobnie usłyszała charakterystyczny stukot.

Biorę głęboki wdech, przekręcam klucz w zamku, z wahaniem uchylam drzwi, tylko na kilka centymetrów. Kobieta, mniej więcej w moim wieku, ma krótkie pomidoroworude włosy uczesane w kucyk, który po przekątnej mocno opada jej na twarz. Uśmiecha się nieśmiało.

– Och, jak dobrze, myślałam już, że pani nie ma.

Lustruję jej wygląd, notuję džinsy i bluzkę, a do tego garnek, który trzyma na wysokości brzucha.

– Mam dla pani jedzenie, pani Grass.

– Kim pani jest?

Kobieta kiwa niezdecydowanie głową za siebie, w stronę schodów.

– Ach tak, dzień dobry. Jestem Maja, sąsiadka pani Bar-Lev, to znaczy bezpośrednia sąsiadka. Mieszkam na drugim piętrze. Pani Bar-Lev

pojechała dziś rano do syna i poprosiła, żebym to pani przyniosła. – Brodą wskazuje garnek przy swoim brzuchu. – Ugotowała to specjalnie dla pani. Och, i jeszcze to. – Jej głowa przechyliła się w stronę lewej ręki. Pod pachą trzyma kilka kopert, zwiniętą gazetę i reklamy. – Przyniosłam też pani pocztę. Pani Bar-Lev powiedziała, że wraca pani do zdrowia po poważnej operacji i że jeszcze niezbyt dobrze trzyma się pani na nogach.

– Tak – mówię bardzo stanowczo, a jednocześnie zastanawiam się, czy to możliwe, że ona nie wie, kim jestem. Czy pani Bar-Lev już dawno jej wyszeptwała, że tam na czwartym piętrze mieszka taka tragiczna sensacja.

Sama pani Bar-Lev wiedziała od razu. Zgarbiona, niezgrabnymi ruchami zamiatała właśnie wycieraczkę, gdy prawie tydzień temu, świeżo wypisana ze szpitala, wlokłam się po schodach do mieszkania w towarzystwie mamy i policjanta. Szłam lekko pochylona, oddech miałam płytki. Zdaniem lekarzy złamane żebra zrastały się podręcznikowo, jednak przez ten przeszywający ból czasem łzy stawały mi w oczach, zwłaszcza przy wysiłku fizycznym. Rany na twarzy się goiły, wszystkie były już tylko małymi, brązowymi, zaschniętymi trójkątami, skóra wciąż pozostawała lekko żółtawa w miejscach, w których znajdowały się wcześniej siniaki.

Kiedy pani Bar-Lev mnie zobaczyła, opuściła zmiotkę i powiedziała: „O mój Boże”. Poza samym moim widokiem pojawienie się funkcjonariuszy policji, którzy co najmniej kilkakrotnie odwiedzali moje mieszkanie w trakcie śledztwa w sprawie mojego zniknięcia, a także z pewnością przepytywali sąsiadów, zapewne już dawno skłoniło ją do spekulacji. A do tego doszły doniesienia medialne. Byłam kobietą z szałasem, dość jednoznacznie; wprawdzie od czasu ucieczki prasa publikowała moją twarz tylko z czarnym paskiem na oczach lub rozpikselowaną na miazgę ze względu na wymóg ochrony ofiar, ale prawdopodobnie i tak nie było trudno dodać jeden do jednego.

– No cóż, na pewno pani wie, że nasza droga pani Bar-Lev też ma problemy z chodzeniem po schodach z powodu swojego biodra – mówi

kobieta, a ja wciąż się głowię, czy świat rzeczywiście się kręcił bez tej kobiety przez ostatnich kilka miesięcy, czy jest po prostu wystarczająco taktowna, żeby powstrzymać się od rzeczy, które najwyraźniej mówi się i robi, gdy się stoi przed taką ofiarą losu. „O mój Boże” i „wszystko będzie dobrze” wypowiedane ze współczuciem, a przede wszystkim prześwietlające niczym rentgen, chciwe spojrzenia, które przenikają przez ubranie i poddają człowieka sekcji w poszukiwaniu śladów piekielnego maltretowania.

Znowu kiwam głową i mówię:

– Tak, biodro. Dokucza jej od dłuższego czasu.

Dlatego pani Bar-Lev przynosi mi pocztę tylko w te dni, gdy sama musi gdzieś wyjść z domu: na zakupy albo do lekarza. Inaczej nie podejmuje wysiłku pokonywania licznych schodków na dół, bo skrzynki na listy znajdują się przy wejściu do budynku. A należałoby raczej powiedzieć, że nie wysiła się jeszcze bardziej, tylko ze względu na mnie.

– Ostatnio zauważyłam, że z pani skrzynki dosłownie się wysypuje, pomyślałam więc...

– Nigdy tu pani nie widziałam – stwierdzam.

– Mnie? Nie. To znaczy ja też jeszcze tu pani nie widziałam, mieszkam tu dopiero od kilku tygodni.

– Obok pani Bar-Lev?

– Tak. – Kiwa głową i znów się uśmiecha.

– Ale tam przecież mieszka jakaś rodzina.

– Hildnerowie. Przeprowadzili się.

– Nie wiedziałam.

– No cóż. – Kobieta wzrusza ramionami. Kiedy rusza przy tym ręką, poczta ląduje na podłodze. – O cholera. – Śmieje się i podaje mi garnek. Biorę go i patrzę, jak przykleka, żeby pozbierać przesyłki. – Nie najlepszy przykład multitaskingu, co? – Chichocze.

– Proszę poczekać – mówię i wchodzę za drzwi, żeby postawić garnek na komodzie i jej pomóc.

– Spokojnie, już zebrałam. – Podaje mi plik poczty przez szparę w drzwiach. – Ach tak, i pani Bar-Lev prosiła, żeby dała mi pani naczynia z ostatnich kilku dni.

Myślę o wczorajszym rondlu, w którym był gulasz. O niewielkim ognioodpornym naczyniu z zapiekanką ziemniaczaną i misce z sałatką makaronową, która stała pod moimi drzwiami, na środku wycieraczki z napisem *Everybody's welcome*, teraz już nieaktualnym. Znów wchodzę w szparę. Maja wciąż się uśmiecha.

– Przepraszam. – Zmuszam się do uśmiechu. – Jeszcze nie zdążyłam ich umyć.

– Och, ja to mogę zrobić. Proszę mi to po prostu dać.

Oczami wyobraźni widzę siebie krzątającą się po kuchni, ze wstydem zdrapującą do śmietnika zaschnięte resztki jedzenia, podczas gdy drzwi mieszkania się otwierają, a w progu stoi ta obca kobieta, rzekomo przysłana tu przez panią Bar-Lev. Ma teraz dostęp do mojego mieszkania. Ogarnia mnie lekka panika, na pewno zupełnie idiotyczna, ale mój rozsądek i logika nie mogą tego po prostu pojąć. Ta kobieta miała przynieść mi jedzenie i zabrać naczynia. Czego szuka w moim mieszkaniu? Co może chcieć mi zrobić?

Myślę desperacko, ale nie mogę znaleźć żadnej wymówki, żeby zatrzaskać jej drzwi przed nosem, podczas gdy ona będzie czekać na klatce. Nie ma takiego wytłumaczenia, dzięki któremu nie wyjdę na kompletną idiotkę.

– Nie wiem, ja naprawdę muszę te naczynia...

– To żaden problem, naprawdę.

Maja, która się uśmiecha. Maja, którą wysłała pani Bar-Lev, żebym nie umarła tu z głodu. Nie ma wytłumaczenia, dzięki któremu nie będę wyglądała tak, jak przysięgałam sobie, że tego nie chcę: biedna kobieta

z szalasu, z traumą na całe życie, we wszystkich i wszystkim wietrząca niebezpieczeństwo. Wystarczająco złe jest już samo to, że nie mogę się zmusić, by zaprosić nową sąsiadkę do mieszkania, kiedy będzie czekać na naczynia. Kiedyś, kiedy Kirsten jeszcze tu mieszkała, stale odwiedzali nas ludzie, o których niewiele wiedziałyśmy. Byli to po prostu znajomi sprowadzeni przez znajomych, którzy tak samo jak my lubili imprezować. „Poniżej dziesięciu osób to nie jest impreza”, powtarzała Kirsten przez śmiech. *Everybody's welcome* – wtedy, w innym życiu.

Zdecydowanie pokiwałam głową, obróciłam się jak nakręcona i pognałam korytarzem do kuchni.

Drzwi mojego mieszkania, otwarte.

Serce bije mi w gardle. Nerwowo wkładam naczynie żaroodporne i mały ronderek do dużej salaterki, w której smugi wyschniętego majonezu malują oskarżycielski wzór. Jak mogę pozwolić tej staruszce dla mnie gotować, a potem nawet nie pozmywać naczyń? *Powinnaś się wstydzić, Leno. Nie masz za krzty dobrych manier?* Gdzieś powinien jeszcze być plastikowy pojemnik. Obracam się wokół własnej osi, wełniane skarpetki ślizgają się po płytkach, chwytam krawędź blatu, szukając oparcia. Drzwi mojego mieszkania są otwarte. Maja, której nigdy wcześniej tu nie widziałam. Która podobno się tu wprowadziła. Jej głos:

– Da sobie pani radę, pani Grass? Mam pomóc?

– Nie, nie! – wołam.

Plastikowy pojemnik, pieprzony pojemnik, gdzie on jest? Pociągam za uchwyt drzwi zmywarki. Pojemnik faktycznie jakoś tam trafił, mimo to nadal jest brudny, razem z kilkoma filiżankami i sztućcami czeka, aż przekręcę włącznik na właściwy program. Ściągam pojemnik z kratki i próbując złapać równowagę, przechodzę ze stosem brudnych naczyń przez kuchnię i korytarz, z powrotem do drzwi. Które nadal są otwarte. Dzięki czemu widać naszą klatkę. Sterta naczyń grzechocze w moich drżących dłoniach.

Nie ma Mai. Maja zniknęła.

Zwariowałaś.

Nigdy nie było tu żadnej Mai, ona w ogóle nie istnieje.

Teraz jesteśmy tylko my. Tworzymy rodzinę.

Niepewnie rzucam okiem na komodę. Ale garnek i poczta poświadczają, że Maja tu była. Bez skrupułów stawiam stos naczyń na podłodze i zdobywam się na to, żeby wyjrzeć przez drzwi. Nic, tylko klatka schodowa, taka cicha. Ani śladu Mai. Nasłuchuję kroków – nic. Zamykam drzwi tak cicho, jak to możliwe, i niepewnie odwracam głowę, spoglądam przez ramię, podczas gdy moje serce bije w złowieszczym rytmie.

„Po co miałyby się zakradać do mojego mieszkania?”, pytają logika i zdrowy rozsądek. „Jest jeden powód!”, krzyczy panika.

Jasmin

Mieszkanie, do którego wprowadziłam się dobre trzy lata temu, opisywano tak:

Poszukiwany/poszukiwana współlokator/ka do trzypokojowego mieszkania w Ratyzbonie, na Starym Mieście. 74 m² w kamienicy z 12 mieszkaniami, balkon z pięknym widokiem (na ogół). Najlepiej osoba paląca – sama też palę. Na plus miłość do zwierząt, bo oprócz mnie mieszka tu pracownica gastronomii (34 l.) i kocur. Odstąpimy pokój o powierzchni 12 m² do dyspozycji wedle własnego uznania. Wspólna kuchnia i łazienka. Dostęp do zmywarki, lodówki, mikrofalówki i pralki. Czynsz: 310 euro miesięcznie plus media.

Załączone zdjęcia przedstawiały prawdziwy dom, od razu tak pomyślałam. Nie dom w czysto inżynierskim sensie – cztery ściany i dach

nad głową, ale miejsce, w którym najwyraźniej mieszkają ludzie. Pokoje zdawały się kolorowe i nieco przypadkowe, zbiór mebli z pchlich targów i małych skarbów. Z łapaczem snów w oknie sypialni i materacem w miejsce łóżka, nad nim w grubej, zdobionej złotej ramie kiczowaty obraz Marii Panny z Dzieciątkiem Jezus na rękach, żyrandol z kolorowymi kryształkami zwisający z sufitu. W kuchni duży, prosty drewniany stół, który – co było widać nawet z daleka – miał liczne rysy i wgniecenia, i jeszcze taka duża różowa lodówka w amerykańskim stylu. W salonie za wytartym fotelem do czytania piętrzyły się stosy książek, zakrywające całkowicie ścianę, metr po metrze, istne tony literatury, leżące ot tak na podłodze, bez jakiegokolwiek regału. To wszystko doprowadzało moją matkę do szaleństwa, i mnie też, ale w zupełnie inny sposób. Czułam się naładowana, musiałam tam zamieszkać. Tym bardziej gdy poznałam Kirsten, która zamieściła to ogłoszenie. Wydawało się, że pochodzi z innego świata, mogłaby mieszkać na Ibizie lub na innej hippisowskiej wyspie, miała długie, brązowe włosy, które wyglądały, jakby skrzyły się pod wpływem słonecznej wody i wiatru i od lat nie były porządnie czesane, a na sobie kwiecistą sukienkę, całą masę kolorowych naszyjników i brązowe mokasyny, sznurowane poniżej kolan. Była taka kolorowa i pełna życia, wciąż się śmiała. Późno wyprowadzałam się z domu, ale winę za to ponosiły okoliczności, a najpewniej także błędnie rozumiane poczucie odpowiedzialności za matkę. Po śmierci ojca miałyśmy tylko siebie, nawet jeśli bardziej dla zasady niż z miłości czy sympatii. Tu, w tym mieszkaniu, czułam się szczęśliwa, silna i beztroska. Do czasu gdy Kirsten i Ignaz, gruby czarny kot, wyprowadzili się jakieś dwa miesiące przed moim porwaniem. Tak samo jak kiedyś chciałam się tu wprowadzić, tak teraz chciałam tu zostać i strzec tego mieszkania oraz związanych z nim wspomnień niczym dziedzictwa, świadka historii, dzielnej pozostałości, która opiera się zmianom jak roślina wybijająca z szarego asfaltu. Którą człowiek może wyrwać tyle razy i tak brutalnie, ile tylko zechce, ale i tak nigdy nie uda

mu się dotrzeć do jej korzeni. Jak chwasty na podjeździe przed domem moich rodziców, na które mama zawsze narzeka.

Zakradam się do kuchni i wyciągam z bloku nóż. Ten ostry, który tnie wszystko, nawet mięso. Przeszukuję każdy pokój, każdy metr z tych siedemdziesięciu czterech mojego dawnego domu. Pamiętam o martwych punktach za drzwiami i za zasłonami sięgającymi podłogi, zaglądam nawet za zasłonę prysznicową. Mieszkanie jest puste, nikogo tu nie ma, poza mną i moimi upiorami. Przez moment naprawdę byłam święcie przekonana, że Maja wślizgnęła się do środka przez otwarte drzwi i teraz czeka w jakimś cichym kącie, żeby się na mnie rzucić.

Wyczerpana padam na fotel i przyciągam kolana do piersi, wciąż trzymając nóż w prawej ręce. Może tak jest, może wariuję, naprawdę wariuję w sensie medycznym. Może nawet już dawno zwariowałam i powinnam wrócić do szpitala, do pokoju z klamką, którą daje się zdjąć ze względów bezpieczeństwa. Opieram tę popsutą głowę na kolanach i zaczynam szlochać. Jestem w pułapce, wolność nic nie zmieniła. Wyczuwam zapach gulaszu w garnku – i kogoś, kto chce dla mnie dobrze, wyczuwam zagrożenie, które jestem gotowa odeprzeć nożem. I nawet teraz, kiedy czuję się szalona i głupia, moje myśli wciąż krążą wokół tego, dlaczego Maja tak nagle zniknęła. Odeszła bez pożegnania, bez jakiegokolwiek: „Nie chcę jednak tych brudnych garnków”, „Przemyślałam sprawę. Proszę to jednak pozmywać”, bez „Sorry, muszę lecieć”, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Odkładam nóż na stolik i z trudem schodzę z fotela. Chcę jeszcze raz sprawdzić drzwi, przekonać się, czy naprawdę są zamknięte. Lekarze i moja terapeutka radzili mi, żebym na początku nie przebywała sama, skoro już chcę na własne żądanie opuścić szpital, a nie trafić do jakiegoś innego specjalistycznego ośrodka. Powiedziałam im, że na jakiś czas wprowadzę się do matki, i byłam przy tym wystarczająco przekonująca.

Drzwi są zamknięte, na dwa razy, na więcej się nie da. Odwracam się do komody, zdejmuję z niej ramkę ze zdjęciem i ustawiam ją na klamce. Nikt się tu nie wślizgnie, tak żeby tłuczone o podłogę szkło mnie nie ostrzegło. Cofam się o krok, patrzę na ramkę stojącą na klamce i na zdjęcie. Kirsten i ja, nasze ramiona się stykają, nasze głowy są nachylone ku sobie. Pomiedzy nami gruby czarny łebek Ignaza. Kirsten trzyma go w stronę kamery i ściskamy go ramionami. Jego przednie nogi zwisają bezwładnie, żółte oczy są zwięzione do niezadowolonych szparek, kilka sekund po zrobieniu zdjęcia dziabnął Kirsten. „Nasze mrukliwe dziecko”, często tak o nim mówiłyśmy. Wzdycham. Mój wzrok pada na stos listów na komodzie. Na samej górze gazeta złożona na pół, wczorajsze wydanie. Na stronie tytułowej zdjęcie Hanny. W szałasie, w przytłumionym świetle czterdziestowatowej żarówki zdawała się blada. Tutaj jednak, na kolorowym zdjęciu wielkości dłoni, które wydrukowała gazeta, wygląda prawie nierealnie ze swoją białą cerą, wodnistym spojrzeniem i bardzo jasnymi włosami. Ledwo zauważalnie przejeżdżam palcem po jej górnym, drżącym łuku ust. Tak Hannah się uśmiecha.

Dziewczynka-zombi z szałasu grozy!

Cham/Monachium (MK) – Dwa tygodnie po spektakularnej ucieczce z szałasu (co relacjonowaliśmy) do naszej redakcji nadeszło anonimowo zdjęcie córki uprowadzonej Leny B. Dziewczynka (13 l.) i jej brat (11 l.) przechodzą obecnie terapię. B. zaginęła w styczniu 2004 r. Nadkomisarz policji Frank Giesner mówi, że na razie nic nie wiadomo o miejscu jej pobytu ani o tożsamości porywacza. Policja liczy, że uda jej się zdobyć nowe informacje i dowiedzieć czegoś dzięki wizualnej rekonstrukcji twarzy mężczyzny śmiertelnie ranionego podczas ucieczki Jasmin G., czyli domniemanego porywacza Leny B. i Jasmin G. G. została porwana w maju bieżącego roku i przez cztery miesiące była

przetrzymywana w szafasie, aż do wrześniowej ucieczki. Znane są tylko nieliczne szczegóły warunków ich przetrzymywania i aktualnego stanu obojga dzieci, jednak są one szokujące...

Tracę koncentrację, litery się rozmywają. Ostre pozostaje tylko zdjęcie Hanny. Zastanawiam się, kto je zrobił. Do kogo Hannah się uśmiecha? I uświadamiam sobie, że nie pytałam o nią, odkąd wypisano mnie ze szpitala. Ani o Jonathana. Imadło wokół czaszki się zaciska.

Co z ciebie za matka, Leno?

Co z ciebie za potwór?

Gazeta z szelestem leci w ką, masuję sobie skronie. Żeby o tym nie myśleć, biorę resztę poczty z komody i idę z nią do kuchni. Siadam przy stole i przeglądam koperty. Kasa chorych pisze zapewne w związku z pokryciem kosztów terapii, na którą i tak nie chodzę. List od mojego operatora komórkowego i z wodociągów. Zostawiam je wszystkie nieotwarte, z wyjątkiem jednego, który nie ma nadawcy. Zwykła biała koperta, na której widnieje tylko moje imię i nazwisko, Jasmin Grass, zapisane czarnym pisakiem, odręcznie, dużymi literami; tylko moje imię i nazwisko, bez adresu. Rozrywam kopertę i wyciągam złożoną białą kartkę. Znajdują się na niej tylko dwa słowa:

DLA LENY.

Matthias

– Nie, Matthiasie!

Cholera, wiedziałem.

– Po prostu nie.

– Ależ kochanie...

– Nie! – Sztućce Karin stukają w krawędź jej talerza. Ja także tracę apetyt, ale staram się tego nie okazywać i odkrawam sobie wyjątkowo

duży kawałek steku. To najnormalniejsza rzecz na świecie, powtarzam sobie, zupełnie normalna i absolutnie nie ma powodu, żeby przerywać przez to kolację.

– Karin, proszę cię...

– Powiedziałam: nie.

Demonstracyjnie sięga po serwetkę i wyciera nią sobie usta, potem wstaje z krzesła, bierze talerz z ledwo tkniętym stekiem, ziemniakami i fasolą i zanoszą go do kuchni. Słyszę, jak unosi pokrywę kosza na śmieci i zeskrobuje jedzenie z talerza.

– Karin! – przekrzykuję te odgłosy. – Przynajmniej o tym porozmawiajmy!

W odpowiedzi znów słyszę jedynie pokrywę kosza, a następnie drzwiczki zmywarki. Staram się jeść dalej. Mięso wydaje mi się łykowate.

– Ty naprawdę mówisz poważnie – stwierdza Karin, kiedy chwilę później pojawia się w drzwiach między kuchnią a jadalnią.

Przeżuwam fasolę i mówię:

– Oczywiście, że tak. To najnormalniejsza rzecz na świecie, żeby zabrać ją do domu. Rozmawiałem już z doktor Hamstedt. Nie ma co do tego najmniejszych zastrzeżeń, wręcz przeciwnie. Uważa, że to może nawet pomóc w terapii Hanny.

– Kiedy?

– No cóż, chyba najlepiej już jutro?

– Nie, chodziło mi o to, kiedy rozmawiałeś o tym z doktor Hamstedt.

Teraz ją chwytam za serwetkę i wycieram sobie kąciki ust.

– Kilka dni temu – mówię cicho. – O czym wiedziałabyś, gdybyś pojechała ze mną, żeby ją odwiedzić.

– Matthias, nie.

– Ale tak już jest. Bądź co bądź jesteś jej babcią.

Bez jakiegokolwiek komentarza Karin znika w kuchni. Teraz słyszę lodówkę, potem szufladę i wreszcie odgłos wyciąganego z butelki korka.

– Mnie też weź kieliszek! – wołam do niej.

Przywiozę Hannę do domu, czy Karin się na to zgadza, czy nie. Obiecałem jej to.

„Dziadku”, powiedziała mała. „Nie podoba mi się tu. To złe miejsce. Nie mogę spać w nocy, bo jest mi bardzo smutno. Chcę do domu”. *Dziadku*. To najmiłsza rzecz, jaką słyszałem od dłuższego czasu.

– Na zdrowie – warczy do mnie Karin po powrocie do jadalni i podaniu mi kieliszka czerwonego wina. – Za ciebie i twoje własne inicjatywy.

– Ach, Karin, proszę cię, przestań.

Obserwuję, jak sztywno okrąża stół i wraca na swoje miejsce z kieliszkiem w dłoni.

– Oczywiście, że nie przestanę. Rozmawiasz z doktor Hamstedt za moimi plecami, a potem stawiasz mnie przed faktem dokonanym. To nie fair, tyle ci powiem.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, czy teoretycznie istnieje w ogóle taka możliwość, żeby zwolnili Hannę, chociaż na kilka dni. Doktor Hamstedt musiała się nad tym zastanowić. Ale nie umknęło jej uwadze, że Hannah zupełnie nie reaguje, odkąd przyjęto ją do ośrodka leczenia traumy. Terapeutycznie nie posunęła się ani o krok do przodu, ani o krok do tyłu. Rozumiesz, Karin? Nie wiedzą nawet, od czego zacząć! Nie mogą nawet postawić diagnozy! Potrafią pomóc chłopcu, ale nie Hannie, Karin. Hannah... – Odstawiam kieliszek z winem i unoszę ręce do góry. – Jezu Chryste, ona jest naszą wnuczką! Musimy jej pomóc!

– A jak miałoby to wyglądać? Nie jesteśmy psychologami! Skoro oni nie wiedzą, co z nią zrobić, to co my możemy zdołać?

– Hannie brakuje rodziny, znajomego otoczenia, normalności i...

– Normalności! – wcina się Karin. – Ona nawet nie wie, czym jest normalność!

– A więc tym bardziej powinniśmy ją jej pokazać. Rozejrzyj się! – Teatralnie macham rękami. – To tutaj! To wszystko! Nasz dom! To w nim

dorastała jej matka!

Karin upija wina.

– A jak miałyby to przebiegać? – pyta, odstawiając kieliszek. – Pościelimy jej łóżko w dawnym pokoju Leny?

W jej głosie nie słyszę sarkazmu i ochoczo kiwam głową.

– I koniecznie musimy zdobyć dla niej jakieś książki, Karin! Tego też jej brakuje. W ośrodku nie może się uczyć. Pilnie potrzebuje kilku podręczników.

– A w przyszłym roku pošlemy ją do szkoły, tak? Jak całkiem normalne dziecko.

– Chcę tylko powiedzieć, że z pewnością się ucieszy, jeśli damy jej kilka książek. Jest taka spragniona wiedzy i naprawdę dużo już umie. Sama musisz się kiedyś o tym przekonać, Karin. Ona jest bardzo mądra.

Aż muszę się uśmiechnąć na wspomnienie o tym, jak Hannah powiedziała mi, jak jest dziadek po hiszpańsku.

– To tak nie działa, zastanów się tylko.

Abuelo, tak to jest po hiszpańsku. *Abuelo*...

– Matthias!

– Hm?

– Powiedziałam, że to tak nie działa. Nie możemy ot tak zacząć bawić się w rodzinę.

– Ależ proszę cię, Karin, jakie znowu bawić się. Jesteśmy rodziną! Ona jest naszą wnuczką, dzieckiem naszej córki.

Karin pociera sobie czoło.

– Na początek zaczniemy od kilku dni, kochanie – próbuję. – Tak ustaliłem z doktor Hamstedt. I będę wozić Hannę do ośrodka na jej sesje terapeutyczne. Chodzi tylko o to, żeby mała odzyskała choć trochę spokoju.

Zapada cisza. Wiem, że prawie przekonałem Karin, wiem to. Nie chce być babcią bez serca i wcale nie jest. Po prostu się boi i chce zrobić

wszystko, jak należy. Pozostawić Hannę w rękach specjalistów. „Specjalistów”, którzy sami nie wiedzą, co mają z nią zrobić.

– Tylko tyle umiem panu na razie powiedzieć, panie Beck – wymusnęło się doktor Hamstedt podczas jednej z naszych ostatnich rozmów.

Siedzieliśmy w jej gabinecie, ona za biurkiem, ja przed nim. Za nią na ścianie wisiały oprawione w ramki liczne dyplomy, które potwierdzały, że jest „specjalistką”, natomiast zielona lilia z wiotkimi, pożółkłymi liśćmi na parapecie po lewej dowodziła, że ta rzekoma „specjalistka” nie ogarnia nawet pielęgnacji mało wymagających roślin doniczkowych.

– To, jak odmiennie dzieci radzą sobie z różnymi zdarzeniami, jest zatrważające. W wypadku Jonathana wszystko przebiega w zasadzie bez niespodzianek, wszystko jest raczej – zrobiła w powietrzu niewidzialny cudzysłów – normalne, nawet jeśli to słowo może się wydawać dziwne w tym kontekście. Jonathana dręczą koszmary, krzyczy, nie chce z nami rozmawiać. Często najpierw obserwujemy, jak dotknięci traumą radzą sobie z nią sami, albo przynajmniej próbują. Wychodzimy jednak z założenia, że Jonathan z czasem się otworzy. Musi najpierw nabrać do nas zaufania i przez dłuższy czas mieć poczucie, że jest u nas bezpieczny.

Zacząłem lekko tupać. Hannah zapewne już na mnie czeka.

– No cóż, to chyba dobrze.

– Hannah natomiast... – powiedziała doktor Hamstedt z naciskiem.

– Co z nią?

Doktor Hamstedt uśmiechnęła się, jakby zaraz miała mnie na czymś przyłapać.

– U Hanny obserwujemy zupełnie inny wzorzec.

Wyprostowałem plecy i zsunąłem się na brzeg krzesła.

– To znaczy?

– Jej zachowanie.

– Co z nim?

– No cóż, proszę pozwolić, że wyjaśnię to na przykładzie Jonathana. Chłopiec spędził całe życie w szafasie. W najciaśniejszej, prowizorycznej przestrzeni, w zamknięciu, bez okien, bez kontaktu ze światem zewnętrznym. – Urwała, żeby zrobić pompatyczną przerwę, po czym, kiedy zerknąłem na zegarek, zaczęła od nowa: – Tutejszy świat, ta mnogość, ruchliwość, ten tłum ludzi, hałas, te wszystkie rzeczy, których nie poznał, żyjąc w szafasie, całkowicie go onieśmielają. Winda, katastrofa! Kiedy chcemy zabrać go na inne piętro, musimy iść schodami. I nawet to jest pewnym wyzwaniem ze względu na jego lęki. Nie wspominając o braku koordynacji fizycznej. Rozumie pan, panie Beck? Uczymy go wchodzić po schodach, jak małe dziecko. Oczywiście to również go frustruje. Czasami godzinami chowa się pod stołem albo ściąga w nocy pościel z łóżka, żeby spać na podłodze. W ten sposób bardzo wyraźnie nam sygnalizuje, że jest w tej chwili beznadziejnie przytłoczony.

Nie miałem pojęcia, co chce mi przez to powiedzieć, ale mimo wszystko poczułem się zaatakowany.

– Hannie też nie układa się tu zbyt dobrze – powiedziałem. – Żle śpi. Powtarza mi to za każdym razem, kiedy ją odwiedzam.

Doktor Hamstedt przeciągle westchnęła.

– Być może, panie Beck. Ale mimo wszystko radzi sobie zaskakująco dobrze w tak obcym dla siebie świecie. Czy może jednak wydaje się przerażona ponad miarę?

– Jest silna – oświadczyłem nie bez dumy.

– Panie Beck, istnieje taki fenomen neurologiczny, który nazywa się zespołem Aspergera. Może słyszał pan o tym wcześniej. To forma autyzmu, wpływa na sposób, w jaki dotknięte nim osoby przetwarzają bodźce i wchodzi w interakcję z innymi ludźmi...

– Hannah nie jest chora.

– Nie nazywałabym tego chorobą – odparła doktor Hamstedt i przechyliła głowę. – To raczej zaburzenie. I nie jesteśmy nawet pewni, czy

Hannah rzeczywiście je ma, ale chcielibyśmy ją dalej diagnozować pod tym kątem.

Znowu spojrzałem na zegarek.

– No dobrze, panie Beck. Jeśli chodzi o pana prośbę, żeby zabrać stąd Hannę na kilka dni, jestem skłonna podjąć tę próbę. Muszę jednak nalegać, żeby zostały spełnione pewne warunki.

– Nie ma problemu – przytaknąłem gorliwie i zacząłem wstawać. No wreszcie, przecież Hannah czeka.

– Chwileczkę, panie Beck. Chciałabym jeszcze krótko porozmawiać z panem o córce. O Lenie.

Już sam sposób, w jaki zaakcentowała to imię, sprawił, że poczułem wściekłe ssanie w piersi. Jakbym mógł zapomnieć imię swojego jedyne­go dziecka.

– Pani doktor, naprawdę muszę...

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak musi być panu trudno, że wciąż nie zna pan odpowiedzi, której tak bardzo by pan sobie życzył.

Na wszelki wypadek przygryzłem wargę. Miała rację. Jak dotąd żadne z dzieci nie zeznało nic przydatnego. Zdawało się, że nawet nie zauważyły, iż pewnego dnia na miejscu Leny w szafasie pojawiła się ta Grass.

– To musi być frustrujące. Tym bardziej cieszę się z zaangażowania, jakie wykazuje pan jako dziadek, i żeby pana w tym umocnić, chciałabym jeszcze raz wyjaśnić panu kilka podstaw psychologii.

Zostawiłem swoją wargę i westchnąłem. Wszystko to już słyszałem. Zaraz sięgnie po ten sam, w kółko wałkowany przykład. Hannah i chłopiec do tej pory obserwowali świat jedynie przez dziurkę od klucza. Przez całe życie byli zamknięci w szafasie w towarzystwie tylko dwóch osób, z którymi mogli się utożsamiać: swoich rodziców. Natura, która nakazywała dzieciom bezwarunkową miłość do rodziców. Izolacja, która nie pozwalała na porównanie. Skąd miały wiedzieć, że wokół nich dzieje się coś złego, bardzo złego, skoro nie znały niczego innego? Jak nauczyć się

wtedy odróżniać dobro od zła? Proszę dodać do tego zależność od ojca, niewolę ćwiczoną od urodzenia. Nie widzieli w nim potwora, który mógłby ich uwięzić. Byli mu wdzięczni za to, że daje im jeść, żeby nie chodzili głodni, i rozpala ogień, żeby nie marzli. A przede wszystkim nieustannie padało słowo „normalność”, także teraz. Dla Hanny i chłopca to właśnie była normalność, ich normalność. A swojej własnej normalności zazwyczaj się nie kwestionuje.

– Przyjąłem to już do wiadomości – spróbowałem pohamować potok wyjaśnień doktor Hamstedt. Hannah czekała na mnie już prawie kwadrans.

– Kiedy ojciec mówił im, że mają iść do pokoju, nie miało to dla nich innego ciężaru gatunkowego niż to, gdy oświadczał, że mają nową mamę – ciągnęła niewzruszenie lekarka. – Jego słowo stanowiło prawo. Ważne jest, żeby pan o tym nie zapominał. Nawet jeśli w tej chwili nadal pan uważa, że poradzi sobie z tym, że na razie nie wie pan, co stało się z pana córką, to z upływem czasu najprawdopodobniej odczuje pan z tego powodu frustrację.

– Proszę nie brać mi tego za złe, pani doktor, ale właśnie teraz rośnie moja frustracja, i to w nad wyraz błyskawicznym tempie. Moja wnuczka czeka na mnie już od kwadransa.

Doktor Hamstedt uśmiechnęła się z miną mądrali.

– Nie będę więc pana dłużej zatrzymywać, panie Beck.

– Czy w ogóle zauważyłeś, że mówisz tylko o Hannie? – Karin przerywa długą ciszę między nami.

Wzdycham na samą myśl o tym, że wiem, co będzie dalej.

– Nie chcę mówić teraz o Lenie.

– Nie mam wcale na myśli Leny. Chodzi mi o Jonathana. Nazwałeś go wcześniej *tym chłopcem*. Powiedziałeś: „Mogą pomóc temu chłopcu”. Nie dostrzegasz tego?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Karin siada na krześle, plecy ma teraz całkowicie wyprostowane.

– Czy to dlatego, że ma niewłaściwy kolor włosów?

– Że co?

– Bo w twoich oczach nie jest wystarczająco podobny do Leny?

– O czym ty mówisz?

– W Hannie nie dostrzegasz jej ojca, tylko Lenę.

– Karin, to jakaś kompletna bzdura. – Chcę zbyć ten przytłaczający zarzut machnięciem ręki, ale przez nieuwagę przewracam kieliszek z winem. Odpada nóżka, gdy kieliszek uderza o twarde drewno naszego stołu. Czerwona kałuża w kilka sekund wgryza się w jasny obrus. Podskakuję, Karin też.

– Przepraszam, kochanie – mówię, niezręcznie przyklepując czerwoną plamę serwetką. Karin unosi obrus do góry, żeby wino nie ściekało ze stołu na beżowy dywan.

– Każdemu może się zdarzyć. – Podnosi wzrok. – Ale czy zastanawiałeś się nad tym, co może pociągnąć za sobą sprowadzenie tutaj Hanny? Tylko sobie wyobraź, jak dziennikarze i fotoreporterzy znów oblegają nasz dom, tak samo jak po zniknięciu Leny.

– Och...

– Telefony i tak już się urywają. Pani Beck – Karin naśladuje szczebioczący głos – czy wciąż ma pani nadzieję na odnalezienie córki? Jak się miewają pani wnuki, pani Beck? Tylko krótki wywiadzik, pani Beck, nie będziemy pani długo niepokoić. – Kręci głową, zabiera się do sprzątnięcia ze stołu. – Nie chcę znowu przez to wszystko przechodzić, Matthiasie.

– Wiem, Karin. I nie sądzę, żeby do tego doszło. Co tu niby po nich? Po co mieliby tracić czas? Nie udzielamy wywiadów, a już na pewno nie Hannah. Od dawna mają też jej zdjęcie. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu i czatować tutaj z aparatem? Nazywają ją dziewczynką-zombi, Karin! Sama czytałaś! – Kręce głowę z niedowierzaniem. – Dziewczynka-zombi. A tak ładnie wyszła na tym zdjęciu.

Karin zastyga w pół ruchu.

– Matthias, nie.

Opuszczam wzrok. Karin umie przejrzeć mnie na wylot. Zna mnie blisko czterdzieści lat. Ona wie. To jej „nie” nie odnosi się wcale do mojego życzenia, żeby sprowadzić Hannę do naszego domu. Karin rozumie coś większego, czuję to.

– To ty zrobiłeś to zdjęcie Hannie i podesłałeś je prasie – mówi w końcu.

– Znów robisz to samo.

Jasmin

Siedzę w fotelu, skulona na tyle, na ile pozwala mi ból połamanych żeber. Kurczowo ściskam w palcach list. Drzę.

Marzniesz, mamo?

Cicho bądź, Jonathan!

Kocham cię, mamo.

Bądźcie cicho, oboje! Zostawcie mnie w spokoju, słyszycie? Nie radzę sobie dziś zbyt dobrze.

Zamykam oczy i liczę oddechy, tak jak radziła mi terapeutka na wypadek ataku paniki. „Te głosy nie są prawdziwe, pani Grass. Są tylko w pani głowie. Niech przepływają jak chmury, które obserwuje pani na niebie. Proszę nie próbować tłumić ich bardziej niż obrazów ze swoich wspomnień. Niech po prostu sobie przechodzą, wszystko dobrze, proszę oddychać. Proszę oddychać głęboko i spokojnie, wdech, wydech...”.

Oddycham.

Głosy – są tam. Wspomnienie unosi się do góry, przebija przez powierzchnię. Ale nie mija, chwyta mnie za kark i ciągnie w dół, daleko w głąb, gdzie jest ciemno, panuje półmrok, czterdzieści watów. Jestem z powrotem w szafasie i jest zimno, potwornie zimno. Kiedy siedzę z Hanną

i Jonathanem przy stole, wydychane przeze mnie powietrze unosi się jak chmurki. W planie mamy dzisiaj angielski.

– Musisz się skupić, mamó. Nauka jest ważna. Nie wolno być głupim.

Nie mogę się skupić. To zimno. Chmurki z oddechów, które przypominają mi, że czas płynie, a ja wciąż nie znalazłam sposobu, jak uciec z tego piekła. Nawet nie wiem, czy jestem tu od kilku dni, tygodni czy miesięcy. Może to po prostu zimny letni dzień, a może już zima.

– Marzniesz, mamó? – pyta Jonathan z naiwną oczywistością dziecka, które nie zna nic poza tym tutaj.

Ostatnio twój mąż częściej zostawia nas samych w ciągu dnia. Podobno chodzi do pracy, myśl – absurdałna – potwór ma pracę, może ma zupełnie normalną, regularną pracę, potwór z odcinkami wypłat i ubezpieczeniem społecznym.

– Mamó? Pytałem, czy marzniesz.

Nie nazywaj mnie mamą.

Nie jestem twoją mamą.

– Tak, Jonathanie, jest mi bardzo zimno. Dzisiaj jest zimno.

Jednym susem zrywa się z krzesła i pędzi do kanapy, gdzie na podłokietniku leży złożony wełniany koc, i przynosi mi go.

– To miłe, dziękuję – mówię i owijam się kocem. Od dwóch dni chodzę tylko w cienkiej, białej satynowej koszuli nocnej, która sięga mi do kostek. Za karę. Piorąc bieliznę pod nadzorem *taty*, za długo przyglądałam się butelce z płynem do prania, a raczej informacji o składnikach. Trucizna, jakieś wyjście.

Żadne wyjście.

– Możesz to wypić na śniadanie, Leno. Wszystko jest eko. – Śmiech, krótki i okrutny. – Chyba nie doceniasz tego, ile daję ci wolności.

– Ależ bardzo to doceniam.

Nie, nie doceniam – tak zdecydował Bóg i mnie ukarał. Żadnego ubrania, żadnych rajstop, żadnych butów, tylko cienka koszula nocna. Moje stopy

przypominają dwie bryły, obce ciała, które już do mnie nie należą, palce mi zdrętwiały. Zimno wgryzło się w kości z zewnątrz, przenikając przez gęsią skórę. Nawet siedzenie przychodzi mi z trudem.

– Następne słowo! – krzyczy Jonathan i promienieje.

– *Summit* – czytam mechanicznie. Przede mną na stole leży nie podręcznik, lecz ogólny słownik, *Podstawowe słownictwo angielskie*. Idziemy przez alfabet od początku do końca, mechanicznie, wszystko mechanicznie.

Palec Jonathana natychmiast wystrzeliwuje w górę, Hanny nie, to niezwykle. Odchyła głowę do tyłu i wędruje wzrokiem po suficie.

– Hanno, co z tobą? – pytam ostrożnie.

Mija wieczność, zanim wreszcie patrzy na Jonathana, potem na mnie i mówi:

– Aparat cyrkulacyjny nie działa.

– Nie martw się. Tata niedługo wróci z pracy i natychmiast to naprawi – zapewniam.

Ale się mylę. Nikt nie przychodzi.

Kwadrans po szóstej – za kwadrans siódma – wpół do ósmej – chwila przed ósmą.

Poczujemy zmęczenie – zaśniemy – udusimy się. Jonathan już ziewa.

– Nie martwcie się – powtarzam raz za razem.

Powietrze wydaje się coraz rzadsze, nie ma już różnicy między prawdą a złudzeniem. Zegar kuchenny, którego cykanie zaczyna brzmieć jak uderzenia serca, serca, które bije głośno, głucho i ospale – głośno, głucho i ospale – głośniej, głuszej, ospalej. Dzieci ziewają, najpierw zasłaniają dłońmi usta, potem szeroko je otwierają. Jonathan zamknął oczy. Hannah trzyma Pannę Tinky na kolanach i regularnie ją zapewnia, że nie musi się bać.

Kładę zimne dłonie na blacie i podnoszę się z krzesła, zataczając się, idę przez salon, docieram do drzwi szafasu, żałośnie poruszam gałką, aż uchodzą ze mnie siły i osuwam się na ziemię.

– Jestem bardzo zmęczona, mam – słyszę cichy głos Hanny.

– Wiem – odpowiadam równie cicho.

Sięgam do gałki w drzwiach, podciągam się na niej i staję na słabych, zeszywniałych od zimna nogach, wracam do dzieci, do stołu. Patrę na zegar kuchenny, którego bicie serca niesie się echem w mojej głowie; trochę po ósmej. Dotykam ramienia Jonathana, *obudź się, nie zasypiaj*, i słyszę, jak mówię zaskakująco spokojnym głosem:

– Dzieci, czas na kąpiel.

Idziemy korytarzem, pierwsza Hannah, niosąca na rękach Pannę Tinky, za nią kroczy ja i Jonathan, trzymając się za ręce. Po kolei wchodzimy do łazienki, myjemy zęby, może po raz ostatni. Proponuję, żeby dzieci spały dziś ze mną w dużym łóżku.

– Czy Panna Tinky też może? – pyta Hannah.

Uśmiecham się.

– Tak, oczywiście.

Kładziemy się, bardzo blisko siebie, nie powinni być teraz sami, to wszystko, co mogę dla nich zrobić, w tej chwili po prostu z nimi być, chociaż to nie wystarczy. Cicho płaczą. Kiedy Jonathan oddycha, w jego piersi coś grzechocze.

Hannah szepcze:

– Na pewno obudzimy się jutro rano. Nie umiera się tak szybko, prawda, mam?

– Racja, kochanie. – Uśmiecham się i całuję jej zimne czoło. Unikam pytania o to, jak długo już nie działa system napowietrzania, od jak dawna nie słyszała jego buczenia; jestem zbyt zmęczona, żeby wypowiedzieć aż tyle słów.

– Kocham cię, mam – mówi Hannah ledwo słyszalnie. – I zawsze będę, zawsze, zawsze, zawsze.

– Ja też was kocham. Dobranoc.

Otwieram oczy, chwytam powietrze. Wracam do salonu, siedzę skulona w fotelu. List drży w mojej dłoni. Biała kartka z oskarżycielskimi literami.

DLA LENY.

To niemożliwe.

A może jednak?

Jasmin

Przewyciężyłam się i zadzwoniłam, niecałe pół godziny później Kirsten stoi pod drzwiami i puka, tak jak jej poleciłam przez telefon: trzy krótkie, dwa długie, *pukpukpuk – puk – puk*.

– Chciałam się do ciebie odezwać – mówi, zamykając za sobą drzwi.

Kiwam tylko głową. Ten widok mnie urzeka. Jej wygląd przykuwa mój wzrok. Zastanawiam się, czy była latem na wakacjach. Pojechała na wakacje, kiedy ja byłam zamknięta w tym szalasiu.

– Co za masakra, Jassy. – Gładzi mnie po włosach, brązowych, gdy widziałyśmy się po raz ostatni, zawsze były brązowe, teraz są blond. Platynowy blond, z brązowymi odrostami na szerokość kciuka. Czasem wyobrażałam sobie w szalasiu, jak znów się spotkamy. Tyle tylko, że w swojej wyobraźni mówiłam: „Jak miło, że znów tu jesteś”.

– Najpierw, kiedy zniknęłaś, myślałam... – zaczyna, kiedy siedzimy już na kanapie w salonie.

– Mogę to sobie wyobrazić – przerywam jej natychmiast. Nie chcę słyszeć o tym, że moje zniknięcie równie dobrze mogło być dramatycznie zainscenizowaną akcją mającą na celu tylko to, żeby zwrócić na mnie jej uwagę.

Wyjazdem na kilka dni, wyłączeniem telefonu, *no dalej, martw się o mnie, szukaj mnie i znajdź, sprowadź z powrotem do domu*.

– Czy to wszystko prawda? Mam na myśli to, o czym piszą.

Wyjmuje z torebki paczkę papierosów i podaje mi ją.

– Nie, dzięki, odzwyczaiłam się.

– To głupie z mojej strony. Czegoś takiego z pewnością tam nie było, w tym szłaś.

– Nie, czegoś takiego tam nie było. – Zaczynam obgryzać paznokcie, natrętny nawyk, od którego w zasadzie też już dawno się odzwyczaiłam.

– No, a reszta? To znaczy to, co piszą w gazetach?

Kliknięcie zapalniczki. Sięga po popielniczkę stojącą na półce pod stolikiem i stawia ją na blacie.

– Masz na myśli to, że musieliśmy jeść z psich misek i że trzymał nas na smyczach? – Kręcę głową. – Mieliśmy naczynia.

Kirsten potrzebuje kilku sekund na podjęcie decyzji, czy się uśmiechnąć. W ostatnich dniach sporo pisano o tym w gazetach i chociaż część artykułów zawierała słuszne domysły, od lektury większości z nich włos jeżył się na głowie. Czasem marzyłam o tym, żeby się przewyciężyć i zgodzić na wywiad, odważyć się na sprostowanie. Ale obawiam się dalszych pytań, wiercenia głębiej przez jakiegoś drobiazgowego, nadmiernie ambitnego i podejrzliwego reportera. Postawiłam swój nawias, nawet jeśli to oznaczało, że biedna kobieta w szłaś była karmiona z psiej miski.

Pokazuję Kirsten list.

– Znalazłam go w dzisiaj w poczcie.

Kirsten przygląda się kartce, o wiele dłużej, niż to konieczne, żeby pojąć tylko te dwa słowa. Kiedy znów na mnie patrzy, jej spojrzenie zdradza, że ogarnął ją cień wątpliwości.

– To z pewnością tylko jakiś idiota śledzący doniesienia medialne, który próbuje cię przestraszyć. Co rusz słyszy się o czymś takim. – Przechyliła głowę i patrzy na mnie uważnie. – Bo jak myślisz, kto inny miałby to napisać?

Dalej gryzę paznokieć kciuka.

– Twój porywacz? Jassy, on nie żyje. Zabiłaś go.

– Wiem. Ale...

Kirsten kręci głową, nie rozumie.

– No co? Wyrzuć to z siebie wreszcie.

Biorę kilka głębokich wdechów.

– Dzieci.

– Co?

– Dzieci mają powód, żeby mnie nienawidzić.

Oczy Kirsten rozszerzają się, dosłownie wychodzą z orbit. Tak się wygląda, kiedy ma się do czynienia z szaleńcem.

– Dzieci? Jassy, o czym ty mówisz?

Powinnam się uśmiechnąć i zatuszować ten głupi, mały wybuch, ale zamiast tego chwytam się oparcia kanapy i bez powodzenia próbuję wstać.

– Jest coś jeszcze – dyszę z bólu. – W sypialni. W komodzie na bieliznę, w drugiej szufladzie, w zwiniętej parze skarpet.

Kirsten energicznie kiwa głową.

– W porządku, Jassy. Pójdę zobaczyć, zostań tutaj.

Wstaje, pochyla się do moich nóg i ostrożnie kładzie je na kanapie.

– Odpuść – mówi, a ja z wdzięcznością zamykam oczy.

Po chwili słyszę ten cudownie znajomy stukot obcasów na laminacie w korytarzu, a potem ostry pisk. Klamka od drzwi sypialni. Smarowałyśmy ją setki razy, ale skrzypienia nie dało się wyeliminować. Nie wiem, ile razy budziłam się z tego powodu w nocy, gdy Kirsten chciała wślizgnąć się do łóżka po powrocie ze zmiany w klubie. W końcu przyzwyczajaliśmy się do tego, żeby zostawiać drzwi otwarte... Przerazona, wybałuszam oczy, już słyszę głos Kirsten, krzykliwy z powodu szoku:

– Jassy! Co do...?

Matthias

W Monachium zaginęła studentka (23 I.)

Monachium (LR) – Monachijska policja prosi o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu Leny Beck (23 l.), zamieszkałej w Monachium-Haidhausen. Według zeznań świadków studentka bawiła się w nocy ze środy na czwartek do godziny ok. 5 rano na imprezie w dzielnicy Maxvorstadt. Wracając do domu, rozmawiała jeszcze przez telefon z przyjaciółką. Od tamtej pory jej komórka jest wyłączona. Poszukiwania prowadzone przez policję w piątek na terenie miasta nie przyniosły żadnych rezultatów. Lena Beck ma 165 cm wzrostu, filigranową posturę i jasne włosy sięgające ramion. Po raz ostatni widziano ją w srebrzystej bluzce, czarnych dżinsach, czarnych butach i granatowym płaszczu.

Oto on, pierwszy artykuł z – jak naiwnie sądziłem – niezliczonej liczby kolejnych, które będą się pojawiać, aż znajdziemy Lenę.

Był to pierwszy z dokładnie czterech artykułów – z czterech artykułów przez te wszystkie lata, kiedy Lena pozostawała zaginiona. Chociaż należałoby raczej powiedzieć: z czterech poważnych artykułów. W drugim donoszono o nieudanej akcji nurków, gdy policja chciała sprawdzić, czy Lena nie wpadła do Izary i nie utonęła. Świadkowie, również obecni na imprezie, zeznali, że Lena „wypiła znaczną ilość alkoholu i zażyła inne bliżej nieokreślone środki odurzające”. Po trzecim artykule sprawy zaczęły zbaczać na inny, całkowicie niewłaściwy tor. „Bayerische Tagblatt” przeprowadził wywiad z rzekomą przyjaciółką Leny, z którą ta rozmawiała przez telefon tuż przed zniknięciem. Tę rzekomą przyjaciółkę, Janę W. (imię zmienione przez redakcję), cytowano tak: „Lena to dziewczyna z wieloma problemami”. Chciała rzucić studia. Brała narkotyki, nie tylko wyjątkowo na tej imprezie w Maxvorstadt, ale także na wielu innych imprezach. Była „taką jedną” – „taką jedną”, która z miejsca poszłaby z każdym. Jedną z tych puszczałskich, którym wystarczy postawić piwo. Od piątego artykułu „studentka z Monachium (23 l.)” stała się

„impresowiczką z Monachium (23 l.)”. W tym czasie przystawałem na każdą cholerną prośbę o wywiad, nawet gdy wkrótce się zorientowałem, że prasy nie interesuje znalezienie Leny lub choćby wiarygodnych świadków.

Pewnego dnia, którego nigdy nie zapomnę, spotkałem się u siebie w kancelarii z pewnym dziennikarzem.

– Lena jest uosobieniem wzorowej studentki – powiedziałem i na dowód tego pokazałem jej oceny ze studiów. – Gdy była małą dziewczynką, chciała zostać nauczycielką. Dlatego studia stanowią dla niej najwyższy priorytet, oczywiście poza rodziną. Łączy nas bardzo bliska relacja.

Fotograf, przyprowadzony przez dziennikarza, zrobił zdjęcie ocenom Leny i mnie, jak siedziałem wyprostowany na krześle za biurkiem, wyprostowany z dumy i z tego, że nie miałem nic do ukrycia. Matthias Beck, wówczas lat czterdzieści osiem, doradca podatkowy na własnej działalności, pracujący w dobrze prosperującej kancelarii prawniczej, w wykrochmalonej koszuli i garniturze w paski, uczesany schludnie z przedziałkiem, zdeterminowany i racjonalny.

– Nie pozwolę, żeby moja córka, która w niewyjaśniony dla nas sposób ewidentnie stała się ofiarą, teraz padła jeszcze ofiarą medialnego polowania na czarownice. – Przewornie przygotowałem sobie notatki, zdania, które koniecznie chciałem wypowiedzieć i zawczasu sformułowałem, żeby niczego nie pominąć. – A to, jak przedstawiają to media, po pierwsze w żaden sposób nie znajduje odzwierciedlenia w faktach, a po drugie taka forma relacjonowania zdarzeń utrudnia, moim zdaniem, śledztwo prowadzone przez policję.

– A jak pan sam sobie z tym wszystkim radzi, panie Beck? – zapytał dziennikarz Lars Rogner, podstępny typ z nażelowanymi ciemnymi włosami i postawionym kołnierzykiem. Na to pytanie oczywiście nie zapisałem sobie odpowiedzi.

– Łamie mi to serce – powiedziałem cicho, kiedy już ciężko przełknąłem ślinę.

Rogner skinął głową, poruszony.

– Bardzo dobrze to rozumiem, panie Beck. To potworne. – Potem odchrząknął i zapytał: – W jakim wieku Lena zaczęła brać narkotyki?

To pytanie było jak cios, mocny prawy prosty, który mnie trafił i powalił na krzesło.

Oczywiście następnego dnia gazeta Rognera nie pokazała ani świadectw Leny, ani zdeterminowanego, dumnego i niemającego nic do ukrycia ojca. Pokazała mężczyznę – istny obraz nędzy i rozpaczy – rozwalonego na krześle przy biurku. Nagłówek: „Ojciec zaginionej imprezowiczki (23 l.) z Monachium: «Nic nie wiedziałem o podwójnym życiu Leny»”.

Karin dała mi w twarz, kiedy to przeczytała. Konieczne były niemal tydzień i połowa opakowania opipramolu, żeby w końcu mi uwierzyła, że niczego takiego nie powiedziałem. Potem przywykłem do wstawania wcześniej rano i wyciągania gazety ze skrzynki na listy, zanim zdąży to zrobić Karin. Czytałem ją potajemnie, w garażu, siedząc na krześle wędkarskim, na wypadek gdyby nogi znów się pode mną ugięły od tych wszystkich bzdur, które przyjdzie mi przeczytać o córce. Kiedy kończyłem, czekałem jeszcze chwilę, aż krążenie mi się unormuje. Potem składałem krzesło, wychodziłem z garażu i wrzucałem gazetę do śmietnika sąsiadów. Z trudem przywoływałem uśmiech na twarz, wchodziłem do domu i robiłem śniadanie. Karin i ja zgadzaliśmy się co do tego, że czegoś się nauczyłem.

„Przynajmniej prasa wciąż o niej pisze”, przekonywaliśmy samych siebie. Chociaż to bolało, nie miało większego znaczenia, czy policja i ludzie szukają wzorowej studentki, czy szalonej imprezowiczki. Najważniejsze, żeby dalej jej szukano, najważniejsze, żeby o niej nie zapomniano. Mimo to Karin kazała mi przysiąc, że w przyszłości będę się trzymać z daleka od dziennikarzy.

A teraz właśnie odkryła, że znów wchodzę z nimi w konszachty. Że to ja przekazałem prasie zdjęcie Hanny. Pstryknąłem je szybko w zeszłym

tygodniu podczas jednej z wizyt w ośrodku leczenia traumy, po tym, jak wyjaśniłem jej działanie aparatu.

– Dlaczego, u licha, to zrobiłeś?

Karin stoi przy stole i rozkłada ręce. Biorę naczynia, które ułożyła już na stertę, i w milczeniu wynoszę je do kuchni. Karin drepcze za mną.

– Zapomniałeś już, co się stało, gdy ostatnio zadawałeś się z tymi sępami? Jak rozszarpali najpierw Lenę, a potem nas?

– Chcę tylko, żeby trzymali się z dala od Hanny – podejmuję żalostną próbę, wlewając wodę do zlewu, żeby pozmywać. Przez szum wody przebija się brak zrozumienia ze strony Karin: kto inny, jeśli nie ja, powinien to wiedzieć.

– I do tego wszystkiego posłałeś to zdjęcie akurat Larsowi Rognerowi!

Tak właśnie, akurat Larsowi Rognerowi. Oczywiście, że jemu, w końcu jako jedyny przynajmniej okazjonalnie informował jeszcze o tej sprawie, podczas gdy świat po pewnym czasie zaczął się już kręcić bez Leny.

– Wie, co to znaczy być ojcem, i sam niejedno przeszedł. Kto inny nas zrozumie, jeśli nie on?

Karin uśmiecha się znużona.

– Masz na myśli tę historię, którą ci wtedy wcisnął? Że jego syn rzekomo zmarł, gdy miał osiem lat? Proszę cię. Najpewniej w ten sposób usiłował zdobyć twoje zaufanie. Lars Rogner ani przez minutę nie myślał o Lenie ani o nas. Wtedy, tak samo jak i teraz, chodziło mu wyłącznie o nakład, podobnie jak innym szmatławcom. A ty tego nawet nie zauważyłeś.

– On nie tylko stracił syna. Jego żona była w ciężkiej depresji, zabiła siebie i dziecko! I to jest prawda. Czytałem o tym...

– Mówisz tak teraz tylko po to, żebym cię nie spytała, jak można być aż tak naiwnym. Gdyby w tym faktycznie coś było, nigdy by nam nie zrobił czegoś takiego.

Wzdycham.

– Daj spokój, Karin, już dobrze. Możliwe, że pomysł ze zdjęciem nie był szczególnie rozsądny. Ale chciałem tylko, żeby ludzie zobaczyli, że Hannah jest normalnym dzieckiem. A nie jakimś zombi czy córką potwora. Jest córką Leny.

Zakręcam wodę, podwijam rękawy koszuli i zaczynam szorować patelnię, na której Karin smażyła steki na kolację.

– Najpierw kieliszki, talerze i sztucce – mówi, odpychając mnie na bok. – Patelnia zawsze na końcu, inaczej woda od razu się zabrudzi. Daj mi to.

Sięga do wody po zmywak, chociaż trzymam go w dłoni.

– Rozumiem cię, Matthiasie. Chcesz ją chronić, tak jak wtedy chciałeś chronić Lenę. Ale nie tędy droga. Wyrządzasz w ten sposób jeszcze więcej szkód. A czy nie mówiłeś, że mała potrzebuje spokoju? Dlaczego więc wyciągasz ją na widok publiczny? I nas razem z nią?

Biorę mały ręcznik kuchenny z drążka piekarnika i wycieram ręce.

– Rogner nie wie, że to zdjęcie dostał ode mnie, jeśli cię to uspokoi. Specjalnie założyłem sobie nową skrzynkę mailową.

Karin znów się śmieje, ale wcale nie brzmi przy tym, jakby była rozbawiona.

– Jasne, że założyłeś. Bo bardzo dobrze wiedziałeś, że jeśli odkryję, że znów zadajesz się z tą hołotą, przez resztę swoich dni będziesz musiał spać na kanapie.

– A będę musiał?

– Jeszcze się nad tym zastanowię.

Wieszam ręcznik z powrotem na drążku piekarnika i opuszczam rękawy do nadgarstków.

– Wszystko będzie dobrze. Zajmę się tym, obiecuję.

– Tego też się obawiam – odpowiada Karin i wzdycha. – Proszę cię, obiecaj mi, że w przyszłości nie będziesz już wykazywać żadnych własnych inicjatyw... – Urywa, ktoś zadzwonił do drzwi. – Kogo to niesie o tej porze?

– szepcze, zasłania usta dłonią i szeroko otwiera oczy, po czym sama sobie odpowiada: – Gerd! – Dyszy. – Znaleźli zwłoki Leny.

Przez kilka sekund zmysły mnie zawodzą, ostateczność ściska mi pierś, krew szumi w uszach. Oczy mojej żony są tępo wybałuszone. Przeszklify się. Ręka, którą zasłania usta, zaczyna drżeć.

Droga z kuchni przez przedpokój do drzwi wejściowych ciągnie się jak w zwolnionym tempie. Za plecami czuję Karin, słyszę jej ciężki oddech, droga jest długa i wyczerpująca. Staram się pojąć, że to moje ostatnie kroki jako ojca zaginionej córki. Moje przyszłe kroki będą krokami ojca zmarłej córki. Gerd miał rację: jest różnica między domysłem a wiedzą.

Odwracam się do Karin i podejmuję decyzję.

– Tak będzie lepiej – mówię. Następnie kładę rękę na klamce i otwieram drzwi. Ale to nie Gerd stoi przed naszym progiem.

Jasmin

Zaciskam usta i wpatruję się w sufit. Znów słyszę stukot obcasów Kirsten, tym razem stawia kroki w małych, podekscytowanych odstępach. Nie muszę odwracać głowy, wiem, że stoi teraz w drzwiach i wpatruje się we mnie, oszołomiona. Do komody z bielizną nawet nie doszła.

Wyobrażam sobie, jak niecałe dwie minuty temu położyła dłoń na skrzypiącej klamce, na klamce od drzwi sypialni, drzwi, które miały dobry powód, żeby zawsze stać otwarte, a od niedawna jeszcze lepszy, żeby być stale zamknięte. Wyobrażam sobie jej twarz i to, jak jej serce musiało eksplodować, gdy weszła do pokoju.

Białe ściany wyklejone tobą, Leno. I twoją historią.

– Jasmin – mówi bardzo cicho Kirsten, tylko to. „Jasmin”.

Ściany wykleiłam artykułami, które udało mi się znaleźć o tobie w internecie. Trzystu dwunastoma. To niemal cała ryza papieru do drukarki, wymieniony toner, noc pracy.

Mrugam słabo, gdy słyszę zbliżające się kroki Kirsten, bojaźliwe, ostrożne, jakby skradała się do niebezpiecznego zwierzęcia.

– Jasmin – wymawia moje imię po raz kolejny.

Jak ma to rozumieć, Leno? Jak ma nie uznać, że jestem szalona, że mam obsesję? Jak ma nie pomyśleć, że taplam się w swoim nieszczęściu? Odcinam słońce, wolność, świat. Powinam wziąć prysznic. Udać się do dentysty z powodu ubytku w zuchwie i brakującego trzonowca. Do fryzjerki ufarbować włosy. Albo przynajmniej poprosić Kirsten, żeby kupiła mi w drogerii farbę. Jasmin przez całe życie miała brązowe włosy. Jasmin powinna otworzyć okna, zobaczyć niebo, jakiegokolwiek niebo. Jasmin powinna żyć po ucieczce z szałas. O tym przecież jednogłośnie piszą gazety: „Ofiara, Jasmin G., przeżyła czteromiesięczną gehennę”.

Przeżyła.

– Jassy?

Kirsten siada na brzegu sofy. Nawet nie próbuję na nią patrzeć, mój wzrok uparcie wędruje do sufitu.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego rozwiesiłaś te wszystkie artykuły z gazet? Po co to?

Zamykam oczy.

– Jassy... – Kirsten mówi tak, jakby zaczęła płakać.

Czuję jej dłoń na swoim policzku.

– Nie jest z tobą najlepiej. Potrzebujesz pomocy.

Możesz krzyczeć tak głośno, jak chcesz, Leno. Nikt tu nie przyjdzie i ci nie pomoże.

– Musisz wrócić do szpitala, Jasmin.

Zapomnieli o tobie, Leno. Masz teraz tylko nas.

Już zawsze, zawsze, zawsze.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy Kirsten łapie mnie za rękę i zaczyna nimi potrząsać.

– Otwórz oczy, Jassy! Popatrz na mnie!

Otwórz oczy, Leno. Wiem, że nie śpisz.

Robię tak, jak każe.

– Słyszysz mnie, Jassy? – Blady strach pochłonął zdrową cerę Kirsten, zostawiając tylko soczysty rumieniec, który uwypukla jej kości policzkowe jak nieudane barwy wojenne. – Słyszysz mnie?

Kiwam słabo głową. Pojedyncza łza wykorzystuje moment i wskutek drobnego ruchu odrywa się z kącika oka.

– To moja wina – szepczę.

– Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą.

Kręcę głową. Kolejna łza korzysta z okazji.

– To moja wina. Chcą mi o tym przypomnieć. To przeze mnie te dzieci nie mają ojca. I nie mają domu.

– Tak, racja, list.

Sekundę później Kirsten zrywa się z sofy. „Komoda na bieliznę”, słyszę jej mamrotanie, a po chwili obcasy znów stukające po laminacie. Przecieram oczy kciukiem i pociągam nosem. Przez długi czas to jedyny dźwięk, jaki słyszę, żadnych kroków, nic, co wskazywałoby na jakiś ruch w sypialni, nie szura żadna wysuwana szuflada. Przez chwilę zastanawiam się, czy Kirsten rzeczywiście tu jest, czy jej obecność to może tylko kolejny psikus płatany mi przez zmaltretowany umysł. Torturuję się na sofie, wydycham ból, po czym wlokę się do sypialni.

Nie jest to żaden psikus, Kirsten tam jest, naprawdę. Tylko nie dotarła jeszcze do komody na bieliznę. Zamiast tego siedzi na materacu, z lekko odchyloną głową, i wodzi wzrokiem po ścianach. Z trudem siadam obok. Nie ma sensu zaprzeczać, jak się czuję. O moim stanie świadczą wytapetowane ściany, to nie do przeczenia.

– Nigdy nie podał mi powodu – zaczynam, ale łamie mi się głos. Pociągam nosem i wycieram oczy. – To znaczy, domyślam się, dlaczego wybrał akurat mnie. Znalazłam się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie i miałam pecha, bo w pewien sposób ją

przypominam. – Wskazuję głową na mnóstwo zdjęć. Nie ma prawie artykułu, który nie zawierałby dodatkowo również twojego zdjęcia, Leno, i prawie zawsze jest to ta sama fotka. Wyglądasz, jakbyś się odwróciła milisekundę przed tym, jak naciśnięto spust migawki. Odgarniasz z twarzy kosmyk jasnych włosów i się śmiejesz; cała zamieniasz się w śmiech i jesteś taka lekka. Zeszłej nocy, gdy drukarka szumiała, pracując bez przerwy, odniosłam wrażenie, że nawet słyszę twój śmiech, początkowo bardzo cichy, niczym oddech. Potem, za każdym razem, gdy drukarka wypluwała twoje zdjęcie, wydawało mi się, że jest on coraz bliżej i staje się głośniejszy, jakbyś była tutaj, u mnie, w tym samym pokoju.

– Dlaczego on ją wybrał, Kirsten? Przypominała mu kogoś, tak jak ja przypominałam mu ją? Ale dlaczego mogła zachować swoje prawdziwe imię, a ja nie? A może on ją znał?

Kirsten wzdycha.

– A może też była tylko przypadkową ofiarą i tak jak ty znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Myślisz, że byłoby lepiej, gdybyś wiedziała dlaczego? – Kręci głową. – Po tym, jak napadnięto mnie wtedy na podwórku, tysiące razy zadawałam sobie to pytanie: Dlaczego ja? Dlaczego akurat mnie musiało się to przytrafić? Wyobrażałam sobie, że ten mężczyzna obserwował mnie już w klubie. Może siedział przy barze, uśmiechał się do mnie, gdy podawałam mu drinka. Może nawet odwzajemniłam jego uśmiech, licząc na dobry napiwek. Doszczętnie pochłoneły mnie te myśli, ale jak wiesz, kompletnie się myliłam. Koleś, który mnie zgwałcił, nie był w ogóle w klubie. Nie czekał, aż moja zmiana dobiegnie końca, żeby za mną pójść. Był po prostu typem, którego spotkałam w drodze do domu, który, jak później ustaliła policja, bawił się w zupełnie innym miejscu i tam się upił.

– Tak, wiem.

– Tamtej nocy mógł spotkać każdą lub żadną. Spotkał akurat mnie, taki los. – Wzrusza ramionami. – Czasem powód po prostu nie istnieje, Jassy.

Czasem ścieżki dwojga ludzi przecinają się w bardzo niefortunny sposób i można tylko próbować to zaakceptować i jakoś iść dalej.

– Ale twojego gwałciciela złapali. Miałaś okazję go spytać, dlaczego to zrobił. Choćby po to, żeby się dowiedzieć, że tak naprawdę nie było żadnego powodu.

Prostuję nogi i ruszam palcami w grubych wełnianych skarpetkach. Stopy mam zimne, wszystko jest teraz we mnie cały czas zimne i już się nie nagrzewa.

Marzniesz, mamo?

– Ja nie mogę już o to spytać swojego porywacza, bo nie żyje. Nie znam nawet jego imienia.

– Policja to jeszcze ustali.

– Wiesz, od jak dawna prowadzą śledztwo w tej sprawie? Zresztą wszystko jedno, co im się będzie wydawało, że ustalili, już zawsze będą to tylko domysły. On nie żyje. Nie rozumiesz, Kirsten? Ona była jego pierwotną ofiarą, jego powodem, motywem.

– Jassy...

– Jak mam doprowadzić to kiedykolwiek do jakiegoś końca, skoro nie znam nawet przyczyny?

Kirsten kiwa głową w stronę przeciwległej ściany.

– I myślisz, że odpowiedź kryje się w artykułach prasowych?

– Nie wiem. Myślę, że chyba chcę po prostu wiedzieć, kim ona była.

Kirsten się śmieje. Nawet jej nie wspomniałam, jak dziwnie pocieszająco działa na mnie otaczanie się twoją historią i twoimi zdjęciami. Dzięki temu samotność staje się mniej dokuczliwa, bo już nie muszę być sama. Doświadczyłaś tego samego, Leno, jesteśmy dwie. Jesteś tu, rozumiesz mnie.

– I tak połowa z tego to bzdury. Zastanów się, Jassy. Teraz piszą o tobie, że porywacz trzymał cię na smyczy i musiałaś jeść z psiej miski; naprawdę

sadzisz, że wystarczy przeczytać kilka artykułów o Lenie Beck, żeby wiedzieć więcej niż policja?

– Zapewne nie – mówię speszona.

Kirsten wykonuje niejasny gest ręką.

– Artykuły na temat swojej sprawy też mogłabyś tak przypinać do ściany, ale tego nie robisz! Bo dobrze wiesz, ile tam jest bzdur.

– Tak.

Kręcąc głową, Kirsten wstaje i podchodzi do tapety z artykułów.

– Zostaw to! – wołam, gdy wyciąga pierwszą pinezkę. – Proszę ci, Kirsten. To mi pomaga.

– Nie, Jassy, to ci wcale nie pomaga, wręcz przeciwnie. Nie ruszysz z miejsca, jeśli będzie to pierwsza rzecz, jaką widzisz rano po przebudzeniu.

– Proszę – mówię ponownie.

Kirsten wzdycha i wciska pinezkę z powrotem w ścianę.

– Chodzisz regularnie do terapeutki?

– Jutro do niej zadzwonię, słowo.

Kirsten opuszcza wzrok i znów z westchnieniem ociera sobie czoło; wygląda tak, jakby przypomniawszy sobie coś ważnego.

– Komoda na bieliznę, mówiłaś. Druga szuflada.

Matthias

To nie Gerd stoi przed naszymi drzwiami, tylko Mark Sutthoff. Wszystko toczy się bardzo szybko. Chcę zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale wsuwa stopę w szparę; w tle Karin krzyczy:

– Matthias!

Mark Sutthoff w moim domu.

Mark Sutthoff, który ściska moją żonę. Moja żona, która ściska Marka Sutthoffa. Stoję w sieni, jakbym się zataczał.

– A ty tu czego?

– Matthias, proszę. – Znowu Karin.

– Przepraszam, że zjawiam się tak późno i niezapowiedziany, ale dzwoniłem kilka razy, tylko że nikt nie odbierał.

– Wyciągnęliśmy wtyczkę od telefonu stacjonarnego – wyjaśnia moja żona, która kładzie teraz rękę na plecach Marka Sutthoffa i prowadzi go do mojego salonu. – To przez tę prasę. Telefon dzwonił bez przerwy, nie dało się tego znieść. Jak długo jesteś w Niemczech, Mark?

Podążam za nimi jak zapomniany pies.

– Dopiero co wylądowałem. Wynająłem na lotnisku samochód i przyjechałem tutaj.

Mark Sutthoff zdejmuje kurtkę i rzuca ją na oparcie mojej kanapy, jakby był u siebie w domu. Siada na mojej kanapie, kładzie rękę na oparciu i niechlujnie zakłada nogę na nogę. A na pytanie mojej żony, czego się napije, prosi o wodę, a nawet lepiej o herbatę, oczywiście jeśli to nie kłopot. Zaczynam zgrzytać zębami, kiedy Karin drepcze do kuchni, żeby – „och, Mark, to żaden problem” – wstawić wodę na herbatę.

– Chcieliśmy zadzwonić do ciebie już dawno temu! – woła z kuchni.

– Ale potem pomyśleliśmy, że w zasadzie nie ma powodu tego robić – mówię, kiedy Karin odkręca kurek z wodą, i krzyżuję ramiona na piersi.

– Niech pan siada, panie Matthiasie. – Mark Sutthoff uśmiecha się, nieporuszony. Jego ciemnobrązowe włosy są teraz krótsze, a twarz i cała postura wyglądają na nieco pełniejsze niż podczas naszego ostatniego spotkania na komendzie. Wtedy był chudy, niemal wychudzony, przez co jego czerwony, pokryty strupami i spuchnięty nos jeszcze bardziej się wyróżniał. Nie chce mnie oskarżać, wyjaśnił wtedy w obecności Gerda, rozumie wyjątkowość sytuacji, w której się znalazłem. Najchętniej naplułbym mu w twarz, tak jak Gerdowi, który też był pod wrażeniem tego parszywego aktorstwa. Koniec końców Mark Sutthoff dostał za swoje przedstawienie gażę w wysokości siedmiu tysięcy euro.

– Dziękuję, postoję – warczę.

– Jak się masz, Mark? – pyta Karin, która wraca do salonu z tacą. Trzy filiżanki, moje filiżanki. Zawsze podejrzewałem, że Karin nadal utrzymuje z nim kontakt, ale nigdy jej o to nie pytałem. W odpowiedzi nie zrobiłaby zapewne nic innego, jak tylko policzyła, jak często z powodu mnie i moich inicjatyw realizuje w aptece recepty na opipramol i inne środki uspokajające.

– Tak, Mark. – Uśmiecham się. – Jak tam branża używanych samochodów? – Od dawna wiem z internetu, że po wyprawdzie do Francji założył szkołę aktorską, która jednak splajtowała już po kilku miesiącach.

Mark Sutthoff też się uśmiecha.

– Nie mieszkamy już w Paryżu, przenieśliśmy się na wieś, do Marnetal. Piękna okolica, cudowna przyroda. Uprawiamy winogrona. Przyślę ci pudełko, Matthias.

– Wielkie dzięki.

Karin, która w międzyczasie usiadła obok niego, odchrząkuje i kładzie torebki herbaty na osobnym spodku.

– Proszę, Mark – mówi, gestem wskazując na filiżankę. – A jak się miewają twoja żona i córka?

Mark Sutthoff ma córkę. Najpierw miał moją, teraz ma swoją. Zaczyna mi pulsować nad prawą brwią.

– Wszystko dobrze – odpowiada i popija herbatę.

– Ile lat ma teraz mała? – pyta Karin.

– Dziewięć. Czas płynie tak szybko.

– Tak. – Karin uśmiecha się tęsknie. – Czasami.

– Czy wiadomo coś nowego o Lenie?

Pulsowanie nad moją brwią nasila się, gdy wymawia jej imię.

– Od kiedy cię to interesuje? – pytam.

Mark Sutthoff odstawia z brzdękiem filiżankę i patrzy na mnie. Gdybym go nie znał, może bym i uwierzył, że mocno go tym dotknąłem; dobry strzał, celny. Kąciki jego ust opadają, mam wrażenie, że dostrzegam nawet lekkie drżenie w okolicy podbródka.

– Zawsze mnie to interesowało, dobrze pan o tym wie.

Karin zachęcająco gładzi go po kolanie, Mark bierze ją za rękę. Mark Sutthoff i moja żona trzymają się za ręce. Wyobrażam sobie, co te ręce mogły zrobić mojej córce. Jak ją złapały, jak dusiły, jak wykopały dla niej grób.

– Mark Sutthoff ma alibi – powiedział mi wtedy Gerd.

Pokręciłem głową.

– Alibi? Co to znaczy? Ludzie kłamią, żeby mieć alibi.

– Matthias, w tygodniu, kiedy zniknęła Lena, nie było go nawet w mieście. – Gerd unosi ręce, gdy widzi, że wciąż kręcę głową. – Chryste, Matthias, nie było go nawet na wsi! Był we Francji! Mamy jego bilet lotniczy, rezerwację hotelu, oświadczenia pracowników hotelu i osoby towarzyszącej.

– Jakiej osoby towarzyszącej?

Gerd przyglądał mi się przez chwilę.

– Pewnej kobiety.

– Kobiety?

– Pan Sutthoff zeznał, że on i Lena rozstali się kilka tygodni wcześniej. W jego komórce znaleźliśmy wiadomości tekstowe, które to potwierdzają, lecz także świadczą o tym, że dalej utrzymywali kontakt i zamierzali się spotkać po jego powrocie. Zapewne chcieli jeszcze raz spróbować do siebie wrócić.

Odwracam wzrok.

– Wiem, że w przeszłości mieliśmy swoje problemy, panie Matthiasie – dobiega mnie głos Marka Sutthoffa.

Kiwam słabo głową. Wspomnienie: moje dłonie na jego kołnierzu, jego plecy przyciśnięte do ściany, jego twarz czerwona jak rak.

Gdzie ona jest, ty świnio?

– Ale tak samo jak pan zawsze chciałem, żeby wyjaśniono, co się stało z Leną. Nigdy jej nie zapomniałem. – Kiedy się śmieje, brzmi to niemalże gorzko. – Proszę spytać moją żonę, od dawna nie może już słuchać o Lenie. Ale co zrobić? Przecież pierwsza wielka miłość zostaje w człowieku na zawsze.

Karin wzdycha, jakby zachwycona.

– Dlatego – ciągnie Mark Sutthoff – wsiadłem, rzecz jasna, do pierwszego samolotu, gdy tylko skontaktowała się ze mną policja.

Pulsowanie nad moją brwią nagle ustaje.

– Policja?

Mark Sutthoff gorączkowo kiwa głową.

– Tak, tak. Zadzwoił do mnie wczoraj ten Bernd Brühling. Potrzebują mojej pomocy.

– Gerd Brühling – poprawiam go głupio, jak automat, podczas gdy mój umysł próbuje znaleźć w tym jakiś sens. – Twojej pomocy? W czym?

– Tak dokładnie jeszcze tego nie wiem. Ale... – Oddycha głęboko i dramatycznie. – Jasne jest, że zrobię wszystko, co tylko mogę, żeby odnaleziono Lenę. – Zwraca się do Karin, która wydaje się poruszona. – Sam mam teraz córkę. Nie wiem, jak zniósłbym te ostatnie lata na państwa miejscu. – Teraz przenosi wzrok na mnie. – Zapewne bym oszalał.

Ignoruję jego znaczące spojrzenie.

– Ale coś Brühling musiał ci powiedzieć przez telefon.

Mark Sutthoff wzrusza ramionami.

– Tylko tyle, że być może mógłbym pomóc, skoro znaleziono drugą kobietę i mają tym samym nową teorię. A co u dzieci? To chłopiec i dziewczynka, prawda? A niech mnie... – Uśmiecha się zatopiony w myślach. – Moja Lena jako matka, niewiarygodne.

– *Twoja* Lena...

– Dzieciom układa się adekwatnie do okoliczności – wtrąca pospiesznie Karin. – Nie można jednak powiedzieć, że dobrze. Jonathan znajduje się w poważnej traumie. U Hanny psychoterapeuci podejrzewają lekki... kochanie, jak się nazywa ten zespół?

– Aspergera – warczę.

– Dokładnie, zespół Aspergera. To forma autyzmu, która utrudnia osobom nią dotkniętym kontakty z innymi ludźmi. Na przykład komunikację. Mają tendencję do brania wszystkiego dosłownie i dlatego w zasadzie nie rozumieją kontekstu...

– Tak, ale czy to nie jest normalne, skoro spędziło się życie w odosobnieniu w jakimś szałasie? Jak ta mała ma sobie radzić z innymi ludźmi? Ona przecież nawet o nich nie wie.

– Moje słowa! – krzyczę i unoszę palec. – Dokładnie moje słowa, Mark! Nie można od razu mówić o zaburzeniu! Powinieneś zobaczyć, jaka Hannah jest mądra!

– Ale Matthiasie, doktor Hamstedt już ci to wyjaśniała – wtrąca Karin. – Wiele osób z zespołem Aspergera jest nawet ponadprzeciętnie inteligentnych. Tu chodzi raczej o sposób doświadczania świata...

Mark kręci głową.

– Prawdopodobnie ta mała musi się po prostu do wszystkiego przyzwyczaić.

– Moje słowa – powtarzam, klaszcząc w dłonie.

Karin wzdycha.

– Zobaczmy, jak to się potoczy. W Ratyzbonie są przynajmniej w najlepszych rękach. Opiekująca się nimi terapeutka bardzo się angażuje.

– Co, nawiasem mówiąc, Karin może tylko przypuszczać – mówię do Marka. – Nie chce ze mną jechać, kiedy wybieram się odwiedzić dzieci.

– Nie? – Mark patrzy ze zdziwieniem na Karin, która opuszcza wzrok.

– Najpierw muszę się z tym wszystkim oswoić – wyjaśnia cicho.

– Wszystko z pewnością będzie dobrze – rzuca Mark, ponownie sięgając po jej rękę.

– Kiedy masz się spotkać z Gerdem Brühlingiem? – pytam.

– No cóż, myślę, że jak najszybciej. Nie byłem w stanie powiedzieć mu przez telefon, którym samolotem przylecę. Więc jeszcze nie wie, że jestem już w Niemczech. Ale zadzwonię do niego z samego rana.

– Będziesz nas informować na bieżąco?

– Tak, oczywiście, panie Matthiasie. To przecież jasne.

Ojciec zaginionej imprezowiczki z Monachium skazany za naruszenie nietykalności cielesnej

Monachium (LR) – Matthias Beck, ojciec Leny Beck (23 l.), zaginionej od stycznia imprezowiczki z Monachium, został uznany za winnego naruszenia nietykalności cielesnej. Sąd rejonowy w Monachium skazał czterdziestoośmiolatka na grzywnę w wysokości 70 dniówek po tym, jak ten zaatakował byłego chłopaka swojej córki, początkującego aktora Marka S. (26 l.). Jak sam oświadczył, jest przekonany, że to S. ponosi odpowiedzialność za zniknięcie jego córki. Przy zasądzeniu kary uwzględniono stan psychiczny, w jakim zdaniem biegłego znajdował się Matthias Beck podczas napaści. Wyrok jest prawomocny. Poszkodowany Mark S. wydaje się zadowolony z tego rozstrzygnięcia. „Pan Beck rzucił się na mnie jak dzikie zwierzę, bałem się o własne życie. Cieszę się, że sąd nie puścił mu tego płazem. Mimo pełnego zrozumienia dla jego bólu należy jednak położyć kres wybuchowemu zachowaniu pana Becka, żeby chronić nie tylko mnie, ale i innych ludzi.

Jasmin

Komoda na bieliznę, druga szuflada od góry. Dalej siedzę na materacu i patrzę, jak Kirsten wyszukuje właściwą parę skarpetek, a potem ją rozwija. Przyglądam się jej twarzy. Te jej zazwyczaj tak przejrzyste, choć akurat teraz zamglone oczy, wargi, które zdają się cienkie i zakrzywione. Drżącymi palcami wyciąga z kłębka skarpetek odłamek szkła, wciąż oblepiony krwią w postaci zaschniętych smug.

– Czy to...?

– To ta część śnieżnej kuli, której policja nie znalazła.

– Dlaczego zabrałaś ją ze sobą z szałasu? Chyba nie na pamiątkę?

Kręcę głową.

– Hannah mi ją dała. W szpitalu. Lekarz prowadzący podał mi środek uspokajający i byłam ledwie przytomna. Hannah weszła do mojego pokoju i włożyła mi ten odłamek w dłoń. Powiedziała: „Wszystko dokładnie zapamiętałam”. Kiedy się obudziłam, z początku myślałam, że mi się to przyśniło. Ale potem uświadomiłam sobie, że ściskam w ręce ten odłamek.

– Ale dlaczego ci go dała?

– Tego też nie potrafiłam z początku zrozumieć. Ale teraz, po tym liście, przypuszczam, że chciała mi przypomnieć o mojej winie.

Wracam myślami do karetki, do dziwnego uczucia, które mnie ogarnęło na dźwięk jej głosu. „Ma na imię Lena”, powiedziała głosem, który, jak wciąż jeszcze wierzyłam, nie mógł być prawdziwy, musiał brać się ze środków uspokajających lub szoku. Takie dziwne uczucie, które spotęgowała później informacja od „Chama” i „Monachium”, że Hannah rzeczywiście jechała karetką i że była w szpitalu, oddalona ode mnie prawdopodobnie tylko o kilka sal lub co najwyżej jedno piętro. To dziwne poczucie, że coś się tutaj nie zgadza. Hannah nigdy by przecież nie opuściła tego szałasu. Do tego na nią nakrzyczałam, zaledwie kilka godzin wcześniej. Skrzyczałam ich oboje, żeby za mną poszli: „No chodźcie, dzieci! Dalej!”. Nie poszli jednak. Jonathan klęczał na podłodze obok nieruchomego ciała i cicho łkał. Hannah stała obok i patrzyła na mnie

z niedowierzaniem. Właśnie powaliłam jej ojca, z dzikim krzykiem na ustach uderzając go z całej siły śnieżną kulą.

– Obwiniają mnie za śmierć swojego ojca.

– Jassy, to małe dzieci.

– Hannah ma już trzynaście lat, Jonathan jedenaście.

– To dzieci.

– Ten odłamek jest znakiem.

– Proszę cię.

– A list miał być przypomnieniem. Nie wolno mi zapominać o tym, co zrobiłam. Oni chcieli zachować mnie już na zawsze, zawsze, zawsze jako swoją matkę. A ja im to wszystko zniszczyłam już na zawsze, zawsze, zawsze. – Zniżam głos do szeptu. – Ona wszystko bardzo dokładnie zapamiętuje.

– Jassy, ten list nie ma nawet nadawcy. Ktoś musiał go wrzucić bezpośrednio do twojej skrzynki. Sama chyba w to nie wierzysz, że dwoje dzieci przebywających pod opieką w zakładzie psychiatrycznym dostało przepustkę, żeby wędrować po Ratyzbonie i roznosić listy. – Obraca zakrwawiony kawałek szkła w spiczastych palcach. – Dlaczego nie dałaś tego policji?

– Nie wiem. Myślę, że nie chciałam już chyba nic więcej wyjaśnić. Ukryłam więc ten odłamek w szczelinie między łóżkiem i materacem, a później w torbie, którą przywiozła mi do szpitala mama. – Przerwałam, żeby wyczytać coś z twarzy Kirsten, twarzy, której niegdyś tak ufałam. Gdzie w drganiu rzęs zawierała się odpowiedź, a w zaciśniętych ustach cała pogadanka. Z twarzy, która teraz jest mi obca, tak jak jej musi się wydawać obca moja twarz. Tak jak jej wszystko we mnie musi się wydawać obce.

– Nie rozumiesz – stwierdzam.

Kirsten nic nie odpowiada.

– W porządku. Nie musisz.

– Chciałabym, Jassy! Tylko tak szalenie trudno mi za tobą nadążyć.

Uśmiecham się niemrawo. Ma rację.

Nie masz nikogo poza nami. Najlepiej będzie, jeśli przyjmiesz to do wiadomości.

Hannah

Na początku bardziej mi się tu podobało. To znaczy w klinice dziecięcej. Nie bardzo, ale bardziej. Jonathan i ja spaliśmy w jednym pokoju. Tam mogliśmy jeść, tylko we dwoje, nie musieliśmy chodzić do innych dzieci i siedzieć z nimi w wielkiej sali. Pani Hamstedt i jej pomocnicy zostawili nas samych. Wprawdzie często przychodzili popatrzeć, ale to było w porządku. Mogliśmy iść punktualnie do toalety i zawsze też pytali, czy czegoś nam trzeba, czy czegoś chcemy. Poprosiłam o Pannę Tinky, ale pani Hamstedt powiedziała, że policji nie udało się jej znaleźć. Myślę, że się wymknęła, gdy tamtej nocy wybiegłam z mamą z szafasu. Albo kiedy do szafasu weszła policja. Z pewnością nie zamknęli dobrze drzwi. Wyobrażam sobie, jak Panna Tinky przestraszyła się tylu obcych policjantów i czmychnęła do lasu. I że siedzi gdzieś teraz w ciemnym gąszczu i się boi, bo jest głodna i nie może znaleźć drogi do domu. Albo, i myślę, że to byłoby dla mnie najgorsze, znalazła drogę z powrotem do szafasu i jest tym jeszcze bardziej przerażona, bo nikogo z nas już tam nie ma.

– Przykro mi, Hanno – powiedziała pani Hamstedt ze łzami w oczach, gdy było mi z tego powodu smutno. – Wiem, że twój kot jest dla ciebie bardzo ważny. Jestem pewna, że nic mu nie będzie. – A potem dodała, że zwierzęta i tak nie mają wstępu do kliniki. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że to nie może być szczególnie przyjemne miejsce.

I po kilku dniach się przekonałam, że miałam rację.

Powiedzieli, że dla mnie i Jonathana byłoby lepiej, gdybyśmy mieli oddzielne pokoje i jadalni w wielkiej sali z innymi dziećmi. Przestali też

pytać, czy czegoś chcemy, i zamknęli toaletę. Względnie dobrze sobie z tym radziłam, ale Jonathan sikał trzy razy dziennie. Od tamtej pory dostawał żółte tabletki, które jeszcze jakoś znosił. Przynajmniej nadal się starał podczas lekcji plastyki i ze mną rozmawiał. Z innymi nie, ale ze mną tak. Raz powiedział, że jego zdaniem musimy być tu za karę. Powiedziałam mu, że to nieprawda i że nie ma po co się martwić, bo niedługo stąd wyjdziemy. Obietnica to obietnica, nie łamie się jej. Nie wierzył mi.

Wkrótce potem zaczął walić głową w stół podczas jedzenia, na co dali mu niebieskie tabletki. Teraz już nawet ze mną nie rozmawia, gryzmoli tylko na lekcjach rysunku. Mówiłam mu, żeby bardziej się starał, ale po prostu mnie nie słuchał. Bazgrze tak paskudnie, że nie możemy mieć już razem plastyki. Zawsze chodzi na nią godzinę przede mną. Już prawie w ogóle go nie widuję, tylko wtedy, gdy po plastyce wychodzi z biura pani Hamstedt, a ja czekam na korytarzu, żeby do niego wejść. Tak jak dzisiaj.

Nie podobają mi się te jego głupie oczy. Wprawdzie wiem, że patrzy tak tylko przez te niebieskie tabletki, ale kochanie go przychodzi mi coraz trudniej. Nie mówi nawet „cześć”, gdy mnie widzi. Zawsze należy być uprzejmym i mówić „cześć”. Pani Hamstedt wypycha go przez drzwi, a potem pcha jeszcze kilka chwil korytarzem, gdzie już czeka pomocnik, który mnie tam przyprowadził.

– Zajmiesz się tym młodzieńcem, Peterze?

Pomocnik mówi: „Sierozumi”, co nie jest prawdziwym słowem, po czym zwraca się do Jonathana:

– No, mój mały, jak się dzisiaj mamy? Ładnie rysowałeś u pani doktor Hamstedt, co?

Jonathan nie odpowiada, tylko wlecze się obok niego.

– Świetnie – cieszy się mimo to pomocnik. – W takim razie, kolego, zaprowadzę cię teraz do twojego pokoju.

Odprawiam ich wzrokiem, kiedy idą korytarzem. Abstrahując od tych głupich oczu, Jonathan wygląda zupełnie inaczej. Nawet od tyłu widać, że

jest nieuczestny. Pośrodku, tam gdzie wczoraj wieczorem jego głowa dotykała poduszki, daje się zauważyć gładki placek i loki rozsunięte na prawo i lewo, a te dziwaczne szare spodnie, które mu wręczono, zwisają mu niemal do kolan. Też dostałam takie spodnie, tylko w różowym kolorze. Wolałabym swoje rzeczy z domu.

– A więc, Hanno – mówi pani Hamstedt, gdy Jonathan i jej pomocnik już prawie docierają do szklanych drzwi prowadzących na klatkę schodową. – Teraz nasza kolej, co?

Najpierw nic nie mówię, nawet na nią nie patrzę, jak co dzień czekam, aż Jonathan i pomocnik skręcą w prawo albo w lewo za szklanymi drzwiami. Winda jest po lewej, schody po prawej. Nie możemy już jeździć windą, to też z powodu Jonathana. Za pierwszym razem krzyczał tak głośno, że te jego krzyki czułam w żołądku. Mój żołądek naprawdę wibrował. A wszystko dlatego, że Jonathan, mały głuptas, nie załapał systemu. Pani Hamstedt wprawdzie twierdzi, że to dlatego, że kabina jest taka ciasna i wąska, a drzwi zamykają się na czas jazdy. Wyjaśniłam mu, że taka winda działa dzięki systemowi lin i że drzwi, oczywiście, muszą być zamknięte, inaczej można by było z niej wypaść. Ale Jonathan nie chciał mnie słuchać. Każdego dnia, gdy nie wsiada do windy, wiem, że wcale nie czuje się o wiele lepiej, tak jak wszyscy twierdzą. Nie chce się ani trochę postarać i znów być moim bratem.

Skręcili w prawo, wiedziałam.

– Idziesz, Hanno?

– Tak – mówię i wślizguję się obok pani Hamstedt do jej biura.

Okno jest otwarte. Pani Hamstedt zawsze wietrzy między lekcjami. Lubię, gdy okno jest otwarte. Żaluzje są wtedy podciągnięte i widać niebo. Czasem jest naprawdę błękitne, czasem szare, nigdy brązowe, bo do biura pani Hamstedt nie przychodzę w okularach przeciwsłonecznych. Brązowe niebo w ogóle mi się nie podoba. Czekam, aż pani Hamstedt zamknie okno i opuści żaluzje. Potem każe mi usiąść. Moje miejsce jest przy dziecięcym

stoliku, na którym już leżą blok do rysowania i zatemperowane kredki. W głębi pokoju stoi duże biurko pani Hamstedt, a przed nim krzesło, nigdy jednak na nim nie siedziałam.

– Dzisiaj dwie rzeczy będą inaczej, Hanno – mówi pani Hamstedt, także siadając przy dziecięcym stoliku.

Skubię wargę, żeby nie parsknąć śmiechem z powodu jej długich nóg, które nie pasują do niskiego stolika. Nie wolno się z nikogo śmiać, nawet jeśli dziwnie wygląda, kiedy siedzi.

– Chcesz wiedzieć co?

Przytakuję.

– Po pierwsze, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Chciałabyś ją usłyszeć?

Znów kiwam głową.

– Twój dziadek cię zabierze.

Moje serce bije szybciej.

– Do domu?

Teraz ona kiwa głową.

– Cieszysz się?

Znów chcę pokiwać głową, ale to sobie odpuszczam, bo wydaje mi się głupie, że tak na zmianę kiwamy do siebie głowami. Poza tym jej pytanie też jest głupie, przecież już setki razy mówiłam, że chcę wrócić do domu. Więc jasne, że się cieszę.

– Już teraz? – pytam zamiast tego.

– Za chwilę. Teraz jeszcze cię tu potrzebuję – mówi pani Hamstedt bardzo poważnie.

– Do czego?

– To ta druga rzecz, która dzisiaj będzie inaczej.

Przez te długie nogi z trudem wstaje z małego krzeselka i podchodzi do dużego biurka. Widzę tylko jej plecy, ale słyszę szelest papieru. Kiedy odwraca się do mnie, trzyma w ręku rysunek. Od razu wiem, że to Jonathana, czarny bazgroł. Pani Hamstedt wraca do stolika i znów wciska

się tam ze swoimi długimi nogami. Podaje mi obrazek Jonathana. Dopiero teraz orientuję się, że pod czarnym bazgrołem narysował w zasadzie coś innego.

– Tylko spokojnie – mówi pani Hamstedt i macha kartką.

Chwytam papier i kładę go na stole przed sobą. Ponieważ nie mamy razem plastyki, pani Hamstedt nigdy dotąd nie pokazywała mi żadnego z obrazków Jonathana.

– Potrzebuję twojej pomocy, Hanno, żeby zrozumieć, co Jonathan tutaj narysował.

Przesuwam palcem po tym, co zostało z jej twarzy pod czarnym bazgrołem. Całkiem nieźle mu wyszła, w drodze wyjątku naprawdę się wysilił.

– To wasza mama, prawda?

Ubrał ją w długą sukienkę. Ale z pewnością marzną jej stopy, bo ten mały głuptas zapomniał narysować buty.

– Hanno?

– Tak, tak myślę.

– Czy to twoja prawdziwa mama, to znaczy kobieta, która urodziła ciebie i Jonathana? Czy może ta kobieta, która po niej przyszła do was do szafasu?

– Tata powiedział, że to nieważne.

– Nieważne?

Kręcę głową.

– Nie chodzi o to, czy nas urodziła. Najważniejsze, że dobrze się sprawuje i nas kocha.

– Twój tata tak powiedział? Myślisz, że ma rację?

Wzruszam ramionami.

Pani Hamstedt patrzy na mnie, jakbym zaraz miała jej coś odpowiedzieć, ale ja nic nie odpowiadam, więc w końcu ma dosyć czekania i sama się odzywa:

– Jeszcze raz dobrze się przyjrzyj temu rysunkowi, Hanno.

Patrzę. Mama trzyma coś w ramionach, zawiniątko z twarzą.

– Wydaje mi się, że ma na rękach dziecko. – Pani Hamstedt stuka palcem w zawiniątko. – Czy to Jonathan?

Kręcę głową.

– A może ty, Hanno? Czy to ty?

– To pewnie Sara. Ale Jonathan nie uchwycił jej szczególnie dobrze, widzi pani? – Wskazuję na usta. – Tutaj się uśmiecha, a w rzeczywistości tylko krzyczała. – Kiedy unoszę wzrok, pani Hamstedt ma czerwone plamy na szyi i twarzy.

– A kim jest Sara?

– Naszą siostrą. – Drapię się w szyję, która zaczęła mnie swędzieć, jakbym zaraziła się plamami od pani Hamstedt. – Ale nie trzymaliśmy jej zbyt długo, bo w kółko tylko sprawiała kłopoty.

Matthias

Kiedy w szpitalu w Cham wykonano już podstawowe badania zlecone przez policję, dzieci przewieziono do Ratzbony. Chociaż w Cham też jest ośrodek psychiatryczny, nie specjalizuje się on w psychiatrii dziecięcej. Wolałbym, żeby umieszczono je w gdzieś w Monachium, ale ponieważ przed potwierdzeniem zgodności DNA nie byłem jeszcze dziadkiem, zignorowano mnie. Od dwóch tygodni jeżdżę więc codziennie z Monachium do Ratzbony. Półtorej godziny, kiedy nie ma ruchu. Karin uważa, że to niedopuszczalne. Mógłbym inaczej wykorzystać ten czas. Ciągłe mnie pyta, kiedy zamierzam znów otworzyć kancelarię, i mówi, że dobrze by było, gdybym zajął się wreszcie dokumentami podatkowymi innych osób. Oboje wiemy, że od zniknięcia Leny i późniejszego zmieszania nas z błotem przez prasę i tak prawie straciłem wszystkich klientów. Od nocy, w której doszło do wypadku, ponad dwa tygodnie temu, na drzwiach

kancelarii wisi kartka z napisem: „Zamknięte z powodu nagłego wypadku rodzinnego”. Karin co jakiś czas tam chodzi, żeby sprawdzić automatyczną sekretarkę i podlać kwiaty. Kiedyś, kiedy klienci postrzegali mnie po prostu jako rzetelnego doradcę podatkowego, a nie skazanego brutalnego przestępcę, który pobił sympatycznego młodego aktora tak, że ten trafił do szpitala, mogłem sobie pozwolić na dwóch pracowników. Jednak Karin jeszcze nie wie, że rozważam zamknięcie kancelarii na dobre. W końcu mam już sześćdziesiąt dwa lata. Dom został spłacony i trochę zaoszczędziliśmy. Mogę przejść na emeryturę i zostać dziadkiem. *Abuelo...*

– Nie, wolałbym nie – powiedziałem po śniadaniu, gdy zastanawiała się, czy wybrać się dziś ze mną do Ratzbony, skoro jadę po Hannę. – Te podróże to istny dopust boży, masz co do tego rację. Na autostradzie jest przeważnie ciasno. Wiesz przecież, ile czasu mi to zawsze zajmuje.

Prawda jest taka, że nie mogę się doczekać, kiedy sam odbiorę Hannę. Myśl o tym, że będę z nią jechać do domu, wydaje mi się odświętna. W dzieciństwie Lena uwielbiała jeździć samochodem. Od czasu do czasu podczas dłuższych podróży skutecznie zmuszała mnie do zatrzymywania się gdzieś po drodze. A to na łące, a to koło pola słoneczników, które wypatrzyła z tylnego siedzenia i zażyczyła sobie, żeby posadzić ją z przodu. Obejmowała zagłówek małymi rączkami i potrząsała nim, aż ustępowałem. Zatrzymywaliśmy się więc przy najbliższej okazji, żeby pozbiierać słoneczniki i obejrzeć jakąś formację chmur. Czasem był to też zwykły postój na MOP-ie, bo obiecałem jej, że zjemy lody, i z tego powodu musieliśmy się gdzieś zatrzymać. Sądzę, że bardzo szczegółowo opowiedziała o tym Hannie. Mówiła jej o wszystkim. Hannah wie na przykład, jak wygląda nasz ogród, jak gdyby była tam setki razy. Działka znajduje się tuż poza granicami podmonachijskiej sypialni Germering, w której mieszkamy. Jej położenie jest idylliczne, tuż pod lasem. Odziedziczyliśmy ją po mojej mamie, babci Leny – Hannie. Spędzaliśmy tam wiele weekendów. Lena uwielbiała hortensje. Zamierzam zabrać

Hannę na działkę, kiedy pobędzie już z nami kilka dni, jak najszybciej, nim hortensje przekwitną.

Siedzę więc teraz w naszym starym volvie, tylne siedzenie wciąż puste, dwanaście kilometrów od Ratyzbony. W kieszeni kurtki wibruje mi komórka. Macham na to ręką, wcale nie dlatego, że nie wolno używać telefonu podczas jazdy. Raczej dlatego, że z miejsca przychodzi mi do głowy, że to może być doktor Hamstedt, która chce mi powiedzieć, że zmieniła zdanie. Nie mogę wziąć Hanny. Albo Karin. Karin mogłaby powiedzieć to samo, tyle że z innych powodów. Pogłośniłem radio. Prognoza pogody zapowiada właśnie wspaniały późnoletni dzień. Nie chcę, żeby ktokolwiek mi go zrujnował.

Dochodzi wpół do dwunastej, gdy znajduję wolne miejsce parkingowe dla gości za dużym budynkiem. Jestem za wcześnie, umówiliśmy się na dwunastą. Wyłączam silnik i wydaję z kieszeni telefon. Cztery nieodebrane połączenia. Wszystkie od Karin. Napisała też esemesa, ale przezornie go nie otwieram. Nie ma już odwrotu. To najnormalniejsza rzecz na świecie. Hannah należy do rodziny. Wkładam telefon z powrotem do kieszeni i wysiadam z auta.

Szpital okręgowy składa się z wielu pojedynczych budynków, rozmieszczonych na terenie kampusu niczym mała wioska. Codziennie mijam drogowskaz z niemożliwym do przeoczenia napisem: „Klinika Psychiatrii, Psychosomatyki i Psychoterapii Dzieci i Młodzieży”, i spoglądam w ziemię. „Psychiatria” to brzydkie słowo. Dla Hanny to „klinika dziecięca”, dla mnie „ośrodek leczenia traumy”.

Wchodzę do budynku, który przypomina ogromną, wielopoziomową wersję dawnej szkoły podstawowej Leny, dużo szkła i pomalowanych na jaskrawe kolory stalowych podpór. Kobieta z recepcji już mnie zna i podnosi rękę.

– Dzień dobry, panie Beck!

- Dzień dobry, pani Sommer. Jestem trochę za wcześnie.
- To bez znaczenia. Proszę spokojnie iść na górę. Już na pana czekają.

Kiedy na drugim piętrze idę korytarzem w stronę gabinetu doktor Hamstedt, od razu rozpoznaję Franka Giesnera, mimo że jest odwrócony do mnie plecami. Wydaje się, że ma tylko jeden garnitur, mysioszary, zbyt szeroki w barkach, przez co jego plecy wydają się szersze, niż są w rzeczywistości. Stoi z nim umundurowany policjant i doktor Hamstedt. Rozmawiają przyciszonymi głosami, aż doktor Hamstedt spostrzega moją obecność, przerywa, a w następnej chwili wszystkie trzy głowy zwracają się ku mnie.

- Ach, pan Beck, dobrze, że pan tu jest – odzywa się Giesner.

Mój chód staje się powłóczysty. Krótko mówiąc, w głowie świta mi myśl, że doktor Hamstedt chce nagle z jakiegoś powodu uniemożliwić mi z pomocą policji zabranie Hanny. Prostuję się i wysuwam podbródek. Hannah jest moją wnuczką, jestem jej *abuelo*, sprowadzę ją do domu.

- Pani doktor Hamstedt, panie Giesner – witam się zdawkowo. Kiwam głową mundurowemu.

- Panie Beck. – Doktor Hamstedt się uśmiecha. – Dobrze, że pan już jest.

- Coś z Hanną? Gdzie ona jest?

- Proszę się nie martwić, panie Beck. Czeka z opiekunem w moim gabinecie.

- Jakiś problem?

Giesner najpierw dotyka mojego ramienia, a potem wzdycha. Następnie mówi:

- Nowe ustalenia. Pani doktor Hamstedt zadzwoniła do mnie i poinformowała o rozmowie terapeutycznej z Hanną. Panie Beck, najwyraźniej jest jeszcze trzecie dziecko.

- Sara – dodaje doktor Hamstedt.

- Sara – powtarzam głupio.

Doktor Hamstedt kiwa głową.

– Będziemy pana potrzebować, panie Beck. Proszę nam pomóc porozmawiać z Hanną.

Hannah

Martwiły mnie krzyki mamy. Zmartwienie to nie do końca to samo co strach, ale też nie jest niczym dobrym. Zeskoczyłam z krawędzi materaca i przytuliłam się do taty, który stał obok łóżka. Cóż za szczęście, że tam był. W domu było ciepło, tata nam gotował, a teraz mocno mnie przytulał. Jego wielka, ciepła dłoń spoczywała na moim prawym uchu, tak że słyszałam morze. Lewe ucho przycisnęłam do jego brzucha. Z jednej strony szumiało morze, z drugiej burczało mu w żołądku.

– Nie bój się, skarbie – powiedział, gładząc mnie po włosach. – Ból to coś dobrego. Oznacza, że dziecko wkrótce się urodzi.

Odwróciłam głowę do mamy, która wiała się na łóżku. Jej twarz wyglądała bardzo brzydko. Prześcieradło marszczyło się od jej drgawek. Jej gruba srebrna bransoletka stuknęła o słupek łóżka, nogi miała zaplątane w narzutę.

– W porządku, Hanno, wszystko w porządku – powiedziała między krzykami.

– Pomożemy mamie i potrzymany ją za rękę? – zapytał tata.

Z początku nie byłam pewna, potem przytaknęłam. Wszystko było w porządku. Ból to coś dobrego. Niedługo urodzi się dziecko.

Ale to nie była prawda. Mylili się. Dziecko po prostu się nie pojawiało.

Tymczasem mama krzyczała już od wczoraj.

Nie miałam ochoty trzymać jej za rękę aż tak długo, nikt nie miał. Byliśmy zmęczeni, żadne z nas nie mogło spać przez jej krzyki, wszyscy byli zdenerwowani. Nawet Panna Tinky. Tego ranka przewróciła mój kubek. Całe kakao rozlało się po stole i zapaćkało podłogę. Od razu

wiedziała, że nie miała czego szukać na stole. Przyszedł tata. Pewnie słyszał, jak besztam Pannę Tinky. Przyznał mi rację, że koty nie mają czego szukać na stole. Panna Tinky wciąż próbowała schować się pod kanapą, ale zauważył ją, złapał za szyję i wyniósł na zewnątrz, za drzwi. Na początku myślałam, że to w porządku, w końcu musi się czegoś nauczyć. Ale gdy tylko zamknął drzwi, zaczęłam się bać. Na zewnątrz było niebezpiecznie. A jeśli Panna Tinky się zgubi i nie znajdzie drogi powrotnej? A jeśli będzie się bała? A jeśli pomyśli, że już jej nie kochamy? Mama krzyczała teraz wyjątkowo strasznie. Tata chciał do niej zajrzeć, potem przyniósł wiadro i mop, żebym mogła posprzątać to, co nabroiła Panna Tinky.

– Tato – powiedziałam na tyle szybko, że nie zdążył wyjść z pokoju.

Odwrócił się do mnie.

– Chcesz mi coś powiedzieć, Hanno? – Uśmiechnął się, ukląkł i wyciągnął do mnie ręce. Nasze oczy spotkały się na jednym poziomie. Tata zawsze mówi: „Jeśli ktoś nie jest w stanie spojrzeć ci w oczy, to znaczy, że ma coś do ukrycia”.

– Musimy sprowadzić tu z powrotem Pannę Tinky. Na zewnątrz jest dla niej za zimno.

– Ale tylko w ten sposób czegoś ją to nauczy, Hanno – powiedział tata i pocałował mnie w czoło. – Muszę teraz zajrzeć do mamy, skarbie. Ona mnie potrzebuje.

Przytaknęłam.

Słyszałam krzyki mamy. I Pannę Tinky, która miaucząc żałośnie, drapała od zewnątrz drzwi...

– Hanno?

Dziadek. Pewnie zauważył, że przez chwilę byłam pogrążona w myślach. Widzę ich po kolei, panią Hamstedt i policjanta w szarym garniturze. Siedzą ze mną w biurze pani Hamstedt i czekają, aż opowiem im coś o Sarze. Ale ja nie chcę już więcej o niej mówić. Powiedziałam już rano

pani Hamstedt, to musi im wystarczyć. Wyjaśniłam, że Sara była naszą siostrą, ale nie trzymaliśmy jej zbyt długo. Pani Hamstedt chciała wiedzieć więcej. „Co przez to rozumiesz, Hanno?”, „Co to znaczy?”, „Chciałabyś to narysować?”.

Lwim głosem powiedziałam „nie” i oświadczyłam, że wolałabym wrócić do pokoju. Chciałam trochę odpocząć; zawsze trzeba być wypoczętym, kiedy robi się coś wyjątkowego. A ja dziś miałam w planach coś wyjątkowego.

Dziadek zabierze mnie do domu. Jestem jego ulubioną wnuczką, wiem o tym już od dawna. Z Jonathanem nie jeździ na wizyty do lekarzy, ale to nie wina dziadka. Jonathan nie chce opuszczać kliniki. Dlatego nie był też u dentysty i nie dostał naklejki z gwiazdką.

– Hanneczko – mówi teraz dziadek. – Możesz spokojnie o tym opowiedzieć. Ja też tu jestem, nie musisz się bać.

Nie boję się. Po prostu nie mam ochoty rozmawiać o Sarze. Nie wszystko kręci się wokół niej. Jest wiele ważniejszych rzeczy.

– Czy ktoś już wreszcie znalazł Pannę Tinky? – pytam. – Musi za mną tęsknić.

Matthias

Wybieramy się z Giesnerem – na jego prośbę – na krótki spacer po terenie kliniki. Jeśli o mnie chodzi, wolałbym zgarnąć Hannę od razu po rozmowie u doktor Hamstedt. Już dawno bylibyśmy na autostradzie. Ale Giesner powiedział:

– Doktor Hamstedt wspominała mi o pana planach. – I posłał Hannie powątpiewające spojrzenie. Miał chociaż tyle przyzwoitości, żeby nie omawiać moich planów przy małej. Skinął głową w stronę drzwi. – Przejdźmy się kawałek, panie Beck.

Hannah została u doktor Hamstedt. Obiecałem jej, że to nie potrwa długo, i odniosłem wrażenie, że na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Uśmiecha się naprawdę czarująco.

– Mogę zrozumieć, że chce pan zabrać dziewczynę do siebie, panie Beck – odzywa się Giesner, gdy po minięciu dużych szklanych drzwi znajdujemy się na zwirowej ścieżce okrążającej budynek kliniki.

– Pani doktor Hamstedt popiera ten pomysł – mówię przezornie. Jeśli wyruszymy stąd z Hanną w przeciągu pół godziny, będziemy mogli jeszcze zatrzymać się po drodze raz lub dwa. Inaczej zrobi się późno, co do tego Karin ma rację. Uważa, że będzie lepiej, jeśli Hannah pozna swój nowy dom za dnia. Chociaż ona argumentowała to tak, że jeśli Hannah nie będzie się u nas czuła zbyt dobrze, zdążę jeszcze odwiedzić ją z powrotem do kliniki, punktualnie na kolację. Powiedziałem: „Tak zrobimy, kochanie”, i się uśmiechnąłem.

– Owszem, słyszałem. – Giesner zapala papierosa. Nie wiedziałem, że pali. – Papierosa?

Poklepuję się po lewej klapie kurtki na wysokości piersi i mówię:

– Lekarz rozerwałby mnie na kawałki. Dwa razy było już naprawdę blisko. – Nie mam pojęcia, dlaczego wspominam mu o swoim felernym sercu. Może, żeby mi współczuł: *dajże wreszcie staremu, schorowanemu człowiekowi jego wnuczkę, i tak wiele mu już nie zostało*. I faktycznie, Giesner wygląda na lekko skonsternowanego.

– Przepraszam – mówi, wydmuchując dym przez ramię, z dala od schorowanego starca. – Może lepiej...?

– Och nie, nie przeszkadza mi to. Chciał pan ze mną porozmawiać.

– Tak. Jak już mówiłem, rozumiem, że chce pan zabrać Hannę. Pytanie, które zadałem również doktor Hamstedt, brzmi: czy nie moglibyśmy wykorzystać tej sytuacji dla dobra śledztwa? Doktor Hamstedt zdecydowanie dostrzega w tym szansę.

Nie rozumiem.

Giesner wskazuje na ławkę stojącą kilka kroków od nas, na skraju zwirowej ścieżki.

– Usiądźmy tam na chwilę.

Idziemy w milczeniu, żwir chrzęści nam pod butami.

– Panie Beck – odzywa się Giesner, gdy już siedzimy. – Hannah jest ważnym, ale też bardzo trudnym świadkiem. Nie znam się na psychologii, ale wydaje mi się sensowne, że doktor Hamstedt usilnie przestrzega nas przed wywieraniem na nią presji. Tyle tylko, że na razie Hannah nie była niestety zbyt pomocna, jeśli chodzi o śledztwo.

– Ale czy nie jest tak, że dzieci zawsze są trudnymi świadkami?

– Hmm, coś w tym jest. – Giesner zaciąga się dymem. – Kiedy przesłuchujemy dzieci, zwykle reagują na dwa sposoby. Niektóre potrzebują dużo czasu, żeby zacząć mówić, bo są zastraszone, i mówią tylko o tym, co najkonieczniejsze. Inne są z kolei od razu gadatliwe i dosłownie kipią, jakby tylko czekały na okazję, żeby z kimś porozmawiać. Wraz z opisem sprawcy dostajemy od nich sprawozdanie z tego, co jadły na obiad i co powiedział Ernie w ostatnim odcinku *Ulicy Sezamkowej*. – Uśmiecha się, ja nie. Gdy spostrzega moją niewzruszoną minę, odchrząkuje. – No cóż, chodzi mi o to, że dzieci, niektóre znacznie młodsze od Hanny, przynajmniej rozumieją, dlaczego potrzebujemy ich pomocy, i robią wszystko, co mogą, żeby nas oświecić.

– Szczerze mówiąc, nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Giesner pochyła się, żeby zgasić papierosa.

– Wydaje się, że Hannah nie należy do żadnej z tych kategorii, co jeszcze bardziej komplikuje sprawę. – Kiedy się prostuje, dostrzegam dziwny wyraz jego twarzy. – Jest taka dociekliwa, nie sądzi pan? – pyta, marszcząc brwi i badawczo mrużąc oczy. – Może na przykład niepytana wyjaśnić, jak działają niebieskie światła w radiowozie. Ale kiedy pytam ją o imię jej ojca, to albo otrzymuję odpowiedź „tata”, albo w ogóle żadnej. Zastanawiam się więc, jak to możliwe. Czy dziewczynka, która szuka

odpowiedzi na wszystkie inne kwestie, nie była zaskoczona, że nagle w miejsce Leny pojawiła się w szałasie pani Grass? I ot tak, po prostu zaakceptowała zniknięcie matki?

– Ależ proszę. – Zirytowany przecinam powietrze ręką. – Nie sądzi pan chyba, że celowo zataja informacje? – Śmieję się. – Coś takiego nazywa się *traumą*, panie Giesner. I kto wie, co ten potwór by jej zrobił, gdyby odważyła się zadać nieodpowiednie pytanie.

Giesner wpatruje się w ziemię i zaczyna rozgarniać żwir czubkiem buta.

– Ale teraz ten potwór nie żyje – mówi po chwili, podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy. – Rozmawiałem z Hanną dziewięć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, panie Beck. Dziewięć razy. – Wzrusza ramionami. – Teraz przynajmniej wiem, jak wysoka jest wieża Eiffla, którą jak twierdzi, Hannah odwiedziła razem z matką. Trzysta dwadzieścia metrów.

– Trzysta dwadzieścia cztery – poprawiam go i zaczynam się niespokojnie wiercić; twarde drewno ławki jest coraz bardzo niewygodne. – Z całym szacunkiem, panie Giesner, ale wydaje mi się, że ani pan, ani ja nie jesteśmy w stanie pojąć, co dzieje się z ludzką psychiką w tak ekstremalnej sytuacji. Ale ma pan przynajmniej szałas, zwłoki i to cudo do oznaczania DNA, które tak pana fascynuje. Rozwiąże więc pan tę sprawę nawet bez pomocy Hanny. Znajdzie pan ciało mojej córki.

– Ależ właśnie to próbujemy zrobić, panie Beck! I myślę, że Hannah mogłaby nam w tym bardzo pomóc. Wydaje mi się, że coś ją powstrzymuje. Co to może być, panie Beck?

– Dlaczego nie zostawi pan po prostu mojej wnuczki w spokoju i nie zwróci się pan do pani Grass? Chce pan, żebym przy okazji przesłuchał Hannę, prawda? Czy nie to miał pan na myśli na początku, mówiąc, że moglibyśmy wykorzystać tę sytuację dla dobra śledztwa? Mówi pan, że nie chce wywierać na nią nacisku. Nie, bo chce pan zrzucić to na mnie! Mam rozwiązać sprawę za pana, właśnie tak, nie inaczej.

– Na litość boską, panie Beck, nikt tu niczego takiego nie mówił. Pomyślałem tylko, że skoro najwyraźniej nawiązał pan z nią kontakt, to jest spora szansa, że otworzy się przed panem i powie coś, co mogłoby się okazać pomocne na dalszym etapie prowadzonych przez nas śledztw.

– Śledztw – burczę.

– Proszę pana tylko o pomoc. Chce pan znaleźć swoją córkę, my też.

– No to panu pomogę: pani Grass kłamie, nie ma za co.

– Ma pan do powiedzenia w tej kwestii coś konkretnego? Dlaczego pan tak sądzi? Czy Hannah może napomknęła coś na ten temat?

– Dlaczego tak sędzę? Na chłopski rozum, panie Giesner! Nie zostaje się porwanym, a potem nie mieszka się z jakąś rodziną miesiącami, udając matkę i żonę... – Giesner otwiera usta, żeby mi przerwać, ale podnoszę ręce w obronnym geście. – Tak, tak, wiem, została do tego zmuszona. Ale mimo wszystko nigdy nie próbowała się dowiedzieć, co się tam naprawdę dzieje. Co się stało z kobietą, która najwyraźniej była tam przed nią. Nigdy nie próbowała porozmawiać z domniemanym porywaczem? Chyba tak naprawdę wcale pan w to nie wierzy, panie Giesner!

– Panie Beck, pani Grass jest ofiarą, tak jak pańska córka.

– Ale w przeciwieństwie do mojej córki wyszła z tego ształasu żywa.

– Rozumiem pana złość. Ale nie powinien pan wyładowywać jej na pani Grass. To niesprawiedliwe, nie sądzi pan?

Wzdycham.

– Poza tym sam pan powiedział, panie Beck: ani pan, ani ja nie jesteśmy w stanie pojąć, co dzieje się z ludzką psychiką w tak ekstremalnych sytuacjach.

Bicie mojego serca, które znacznie przyspieszyło w ciągu ostatnich kilku minut, powoduje znajome ssanie w piersi. Do tego twarde drewno pod moim siedzeniem. Odwracam twarz od Giesnera i znad oparcia ławki patrzę na duży budynek, gdzie czeka na mnie Hannah. Staram się myśleć o niej, o tym, że wkrótce razem wyjdziemy z tego budynku i odjedziemy do

domu. Teraz jednak moje myśli znów potykają się o Jasmin Grass. O tę kobietę. Jakże bardzo bym chciał z nią porozmawiać i osobiście ją wysondować. A w razie czego złapać ją za kołnierz i wytrząsnąć z niej odpowiedzi na kilka pytań: „Gdzie jest moja córka, do jasnej cholery?”, „Co o niej wiesz?”, „Dlaczego ty wróciłaś do domu, a ona nie?”. Ale nie mam na to szansy. Po tym, jak nie zidentyfikowałem jej jako Leny w noc wypadku, nie mogę już z nią rozmawiać. „Dla własnego dobra”, jak ujął to Gerd. Przed jej salą ustawiono strażnika.

– To tylko przeczucie, panie Giesner – mówię jak najspokojniej, żeby serce zwolniło i znów zabiło w zdrowszym rytmie. – Z tą kobietą jest coś nie tak. Nie mówi wszystkiego, co wie.

– Hmm... – mruczy Giesner, jak gdyby nieobecny duchem, po czym z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuję złożoną kartkę. Rozkłada ją i wyciąga w moją stronę. – Zna go pan?

Sięgam do kurtki po okulary do czytania.

– Nie – stwierdzam po chwili. – Kto to?

– Według rekonstrukcji zrobionej przez lekarzy sądowych jest to mężczyzna zabity w szafasie.

– Mężczyzna, który porwał moją córkę?

– Tak, tak zakładamy.

„Normalny” – to moja pierwsza myśl. Zdaje się zupełnie normalny. To najbardziej mnie przeraża. Staram się, żeby jego twarz zrobiła na mnie jakieś wrażenie, żeby po tym wszystkim znaleźć w niej jakąś anomalię, która w osobliwy sposób by mnie pocieszyła. Żeby Lena padła ofiarą bestii, jakiejś kreatury, której okrucieństwo widać na kilometr. *Z czymś* takim nie miałyby szans. Ale rysunek w mojej ręce nie przedstawia *niczego* takiego, przedstawia *kogoś*, jakiegoś człowieka. Mężczyznę, który mógłby mieszkać po sąsiedzku. Być jednym z moich klientów. Kimś, kto mógłby być adwokatem lub blacharzem. Mężczyznę, który mógłby stanąć przed naszymi drzwiami, żeby zabrać naszą Lenę na randkę, a ja życzylibym im

miłego wieczoru. Może nawet bym go polubił od pierwszego wejrzenia. Bardziej niż Marka Sutthoffa, w którego uśmiechu od razu – jak mi się zdawało – dostrzegłem swego rodzaju przebiegłość. Przez moment nie wiem, czy mam czuć się rozczarowany, że rekonstrukcja nie przedstawia jego twarzy. A może ulgę, bo ostatniej nocy, gdy zgodził się ze mną odnośnie do Hanny, po raz pierwszy pomyślałem, że może się co do niego myliłem. Może jednak wyrządziłem mu krzywdę.

– Jest pan pewien, panie Beck? – Głos Giesnera miesza się z moimi myślami. – Proszę się dobrze przyjrzeć temu mężczyźnie. Mamy czas.

Kiwam głową. Mężczyzna, który uprowadził i prawdopodobnie zabił moją córkę. Ten całkiem normalny, niepozorny mężczyzna.

Nie odrywając oczu od rysunku, kręcę głową.

– Nie poznaję go.

Giesner wzdycha. Podnoszę wzrok.

– Pokazał go pan Hannie?

– Tak, dziś rano, przed pana przyjazdem. Przyjrzała się i pogratulowała mi, że umiem tak ładnie rysować. – Giesner znów wzdycha.

– Musi pan zamieścić ten rysunek w mediach! Powinien znaleźć się w każdej gazecie i w każdym programie informacyjnym! – Moje ręce, które trzymają kartkę, zaczynają drżeć z podniecenia. – Ktoś musi przecież rozpoznać tę świnię.

– Hmm... – mruczy znów Giesner, a potem mówi: – Zastanowimy się nad tym, panie Beck. Z naszych doświadczeń wynika, że po takiej publikacji pół świata będzie twierdzić, że rzekomo zna tego człowieka. Ludzie będą dzwonić i mówić: to mój sąsiad, nauczyciel moich dzieci, mój dentysta. Zaleją nas wskazówki i przebrnięcia przez nie zajmie mnóstwo czasu, bez jakiegokolwiek gwarancji sukcesu.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że to dla pana za dużo zachodu, panie Giesner? To pana praca!

Giesner milczy.

Serce znów zaczyna mi walić.

– A więc nic się nie stanie? Po prostu zaniechacie badania tej sprawy?

– Nie, nie, panie Beck, w żadnym wypadku.

Sięga po kartkę w mojej dłoni, znów ją składa i wsuwa do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Najpierw jednak popytamy wśród jej osobistych kontaktów.

– Ale to przecież ja jestem jej osobistym kontaktem! I mówię panu, że nie znam tego człowieka!

– Panie Beck, wiem, że miał pan bliskie relacje z córką, ale... – Urywa.

Domyślam się, co chce powiedzieć, ważąc słowa, żeby nie uderzyły zbyt mocno w biednego, schorowanego starca. Oczywiście przeczytał stare akta. Oczywiście Gerd opowiedział mu o śledztwie w sprawie zaginięcia Leny. Oczywiście zna artykuły prasowe. Te kłamstwa, o których można by pomyśleć, że są prawdą, bo wydrukowane pogrubioną czcionką wydają się takie ważne. Rodzice, którzy tak naprawdę nie znają własnego dziecka. Pamiętam każdy jeden z tych artykułów, każde słowo...

Przyjaciółka zaginionej studentki z Monachium (23 I.): Lena miała swoje problemy

Monachium (LR) – Jana W. (imię zmienione przez redakcję) siada na parapecie w swoim salonie na czwartym piętrze i wodzi wzrokiem po mieście. „Gdzie jesteś, Leno?”, to pytanie wciąż zadaje sobie przyjaciółka zaginionej od blisko dwóch tygodni Leny Beck (23 I., donosiliśmy o tym). W. była ostatnią osobą, z którą Lena Beck miała kontakt przed zniknięciem. „Zadzwoiła do mnie, wracając do domu z imprezy” – wspomina W. i stara się opanować. „Powinnam była zauważyć, że coś jest nie tak, ale byłam zła, że wyciąga mnie o tej porze z łóżka”. W. streszcza nam, o czym mówiły podczas tej ostatniej rozmowy: „Lena powiedziała, że chciałyby wreszcie zmienić swoje życie i że dłużej nie da już tak

rady". W. nie odebrała tego jednak jako wołania o pomoc. „Sprawiała wrażenie, jakby bardzo dużo wypła. Poza tym Lenie często przychodziło do głowy, że chciałyby coś zmienić. Zastanawiała się nad rzuceniem studiów, co miałyby sporo sensu. Nie była nimi specjalnie zainteresowana, częściej można ją było spotkać na imprezach niż na wykładach. Z tego powodu prawdopodobnie oblałyby w tym semestrze egzaminy". W. studiuje razem z Beck na drugim roku pedagogiki i nauczania na Uniwersytecie Ludwika i Maksymiliana w Monachium. „Mam jednak wrażenie, że bała się rozczarować rodziców. Lena, którą znają, to zupełnie inna osoba”.

Czy możliwe, że ta dwudziestotrzylatka była tak zrozpaczona, że zdecydowała się odebrać sobie życie i tamtej nocy, kiedy zniknęła, wskoczyła do Izary? Jana W. tego nie wyklucza. „Ale mogę też sobie wyobrazić, że uciekła z jakimś facetem. Wciąż mi opowiadała o swoich nowych znajomościach. W najgorszym wypadku mogła tym razem po prostu trafić na niewłaściwą osobę”. W. zapewnia jednak, że nie porzuca nadziei, iż wkrótce znów będzie mogła wziąć w ramiona swoją przyjaciółkę, i apeluje ze łzami w oczach: „Leno, jeśli gdzieś tam jesteś, wróć do domu. Tęsknimy za tobą”.

Dziś przed południem policja kontynuowała akcję poszukiwawczą nurków. „Do tej pory nie dała ona żadnych rezultatów, które mogłyby mieć jakiś związek z tym zaginięciem”, mówi nadkomisarz Gerd Brühling. Nie udziela on żadnych informacji na temat ewentualnego stanu psychicznego Leny Beck. Brühling nie chce się też obszerniej wypowiadać na temat zeznań kobiety, która jakoby widziała zaginioną studentkę w MOP-ie na autostradzie w pobliżu austriackiej granicy w towarzystwie

jakiegoś mężczyzny. Ale: „Oczywiście każdą wskazówkę traktujemy bardzo poważnie i badamy wszystkie możliwe tropy”.

– Panie Beck?

– W porządku – mówię zmęczony. – Popytajcie wśród jej – wykonuję w powietrzu niewidzialny cudzysłów – *osobistych* kontaktów. Przyjaciół, którzy rzekomo znali Lenę o wiele lepiej niż ja. Proszę ich spytać, czy ten typ był jednym z podobno niezliczonych męskich znajomych mojej córki. Proszę ich dobrze wysondować. – Żeby się o coś podeprzeć, chwytam oparcie ławki i stękając, wstaję. – Może, w przeciwieństwie do pana Brühlinga, zauważy pan, jak wielu ludzi rozpowszechniało kłamstwa na temat Leny, żeby tylko poczuć się kimś ważnym. Odkrycie już choćby tego jest sporo warte. No tak, i proszę też pomyśleć o pani Grass.

Giesner, który również wstał z ławki, przygląda mi się przenikliwie.

– Jako ojciec nie ma pan powodów, żeby wątpić w siebie, panie Beck. Rodzice chcą chronić swoje dzieci, to całkowicie naturalne. Niestety czasem zapominają, że ich dzieci to niezależne jednostki...

– Tak, tak, już dobrze – warczę i niedbałym ruchem wskazuję na jego marynarkę, gdzie w wewnętrznej kieszeni schował kartkę z rekonstrukcją twarzy tego człowieka. – Mogę zabrać ten wydruk do Monachium i pokazać go żonie? Ona również należy do *kontaktów osobistych*.

– Nadkomisarz Brühling się tym zajmie, jest na miejscu.

– Panie Giesner, nie chcę jej zbyt denerwować. – Łapię się za klatkę piersiową. – Przesłuchania są dla nas obojga takie stresujące.

– Nie mogę tego panu dać, panie Beck, naprawdę. Przykro mi.

Dłoń, spoczywająca płasko na mojej piersi, zaciska się w pięść; krzywię się.

– Mógłbym po prostu zrobić zdjęcie telefonem, jeśli na chwilę odwróci pan wzrok – wzdycham, z trudem łapiąc oddech. – Wtedy pokażę je żonie i skontaktujemy się z panem, jeśli mężczyzna wyda nam się znajomy. Bądź

co bądź właśnie postanowiliśmy, że będziemy możliwie jak najlepiej współpracować, prawda?

Giesner ledwo zauważalnie kręci głową.

– Nawet jeśli mi pan nie wierzy, panie Beck, to ja pana rozumiem. Ale nie mogę wyświadczyć panu tej przysługi. Proszę pozwolić mi wykonywać moją pracę, a samemu zająć się wnuczką. To najlepszy sposób, żeby pomógł pan nam wszystkim, proszę mi zaufać.

Hannah

Dziadek wyszedł gdzieś z tym policjantem, ale obiecał, że to nie potrwa długo. A to znaczy, że nie potrwa już długo, nim wreszcie wrócę do domu.

Pani Hamstedt zaproponowała, żebyśmy w międzyczasie coś narysowały. Zwróciłam jej uwagę, że kiedy mówi, że coś narysujemy, to w zasadzie kłamie, bo tak naprawdę tylko ja rysuję. Ale i tak nie miałam na to ochoty. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli pożegnam się teraz z Jonathanem. Przed wyjściem zawsze należy się pożegnać. Niegrzecznie jest tego nie zrobić. Pani Hamstedt mi pozwoliła.

Z jej biura idziemy korytarzem do przeszklonych drzwi. Winda jest po lewej, schody po prawej. Pytam, czy mogłybyśmy pojechać windą. Pani Hamstedt patrzy na mnie tak, jak czasem patrzy mama podczas lekcji, gdy nie spodoba jej się moja odpowiedź. Jakbym czegoś do końca nie przemyślała.

– To tylko system linowy – wyjaśniam pani Hamstedt po tym, jak przez nieuwagę przez chwilę wyglądałam na zirytowaną. Nie mogę powiedzieć pani Hamstedt, że jest głupia, bo wtedy na pewno nie pozwoli mi wrócić do domu. – A drzwi powinny być zamknięte, inaczej można wypaść z kabiny.

– Jonathan też o tym wie, a jednak boi się nią jeździć – odpowiada pani Hamstedt. – Ale wiesz co, Hanno? To też jest w porządku. Nie powinniśmy

zgrywać niesamowicie odważnych, jeśli naprawdę tacy nie jesteśmy. To zupełnie normalne, że boimy się rzeczy, których nie znamy.

– Winda, inaczej dźwig osobowy lub elewator, to kabina, która porusza się w górę i w dół w szybie w celu przetransportowania czegoś lub kogoś z jednego piętra na drugie, koniec. – Pamiętam odpowiedni rozdział w grubej książce i naciskam przycisk ze strzałką skierowaną w górę, który następnie świeci się na żółto. Tak się bowiem ściąga windę. – Po trzeciej jeździe windą już się nie boję. W końcu byłam z mamą na wieży Eiffla. Żeby dostać się na najwyższy punkt widokowy, trzeba przejechać windą prawie trzysta metrów.

Pani Hamstedt milczy. Winda cicho dzwoni, kiedy nadjeżdża. Wsiadamy. Srebrne drzwi zasuwają się za nami. Pani Hamstedt naciska okrągły przycisk z dwójką. Łącznie są tam trzy okrągłe przyciski, jeden pod drugim, jak na sygnalizatorze świetlnym. Tak człowiek określa, na które piętro ma pojechać winda.

– Dlaczego nigdy nie zabrałyście ze sobą Jonathana na którąś z waszych wycieczek?

Drgają mi kąciki ust, coś podskakuje mi w żołądku. Podczas jazdy windą najbardziej lubię to uczucie podskakiwania.

– Hanno?

Znów tłumię w sobie zirytowany wyraz twarzy.

– Bo to ja jestem ulubionym dzieckiem.

Nie wiem, ile razy muszę to powtarzać, zanim pani Hamstedt w końcu zrozumie. Aż wszyscy w końcu rozumieją. Zawsze jest ukochane dziecko, na którym można polegać.

W pokoju Jonathana jest ciemno, bo żaluzje są opuszczone. Problemy z siatkówką są u nas rodzinne. Poza tym w jego pokoju brzydko pachnie starym powietrzem pełnym pierdów; nic dziwnego, bo nikt nie zamontował tu aparatu cyrkulacyjnego. Również w moim pokoju okno jest uchylone

tylko wtedy, gdy wychodzę coś zjeść lub porysować albo kiedy jadę z dziadkiem na wizytę. Zapytałam kiedyś dlaczego, ale nikt nie udzielił mi odpowiedzi. Myślę, że to dlatego, że klamki w oknach mają małe zamki i trzeba je najpierw otworzyć kluczem, zanim da się je uchylić. Zapewne jest do nich tylko jeden klucz i pomocnik pani Hamstedt musi go zawsze szukać. Mówiłam im, że mogą to zrobić tak jak my w domu. Nie musieliśmy się nigdy zastanawiać, gdzie są klucze, ani długo ich szukać, bo tata się nimi opiekował. Radziłam pomocnikom pani Hamstedt, żeby po prostu wybrali klucznika. Oczywiście mnie nie posłuchali. Pewnie myślą, że jestem tylko dzieckiem i nie mogę być szczególnie bystra. Jestem znacznie mądrzejsza niż oni.

Jonathan kuca na podłodze w rogu pokoju i obejmuje kolana. Pani Hamstedt mówi:

– Witaj, Jonathanie.

Drzwi jego pokoju otworzyła wyjątkowo cicho, żeby go nie przestraszyć, ale jak na mój gust Jonathan bierze tyle niebieskich tabletek, że mu wszystko jedno, czy ktoś wchodzi do jego pokoju. Nie unosi nawet głowy znad kolan.

– Chcesz, żebym poczekała na zewnątrz? – pyta pani Hamstedt, a ja kiwam głową. Na zewnątrz znaczy jednak tyle, że stoi w otwartych drzwiach, zwrócona plecami do pokoju. Robię kilka mysich kroków i zbliżam się do Jonathana, chociaż wcale nie sądzę, żeby był niebezpieczny. W ogóle już go nie ma. Siadam bardzo blisko niego, żeby dobrze mnie słyszał, kiedy będę szeptać. O ile w ogóle mnie usłyszy.

– Dlaczego narysowałeś Sarę?

Wydaje mi się, że bardzo lekko drży.

– Zapomniałeś, jak strasznie mama przez nią krzyczała? Naprawdę o tym wszystkim zapomniałeś?

Ja wciąż bardzo dobrze to pamiętam. Straszne krzyki. Ohydne miny, które robiła mama. Jak kopała i się turlała, jak bransoletka przecięła jej

skórę na nadgarstku i krew spływała jej po przedramieniu. I jeszcze więcej krwi, jeszcze więcej krzyków, przez które nikt nie mógł spać, i ta sprawa z Panną Tinky. Gdyby mama tak straszliwie nie krzyczała z powodu Sary, zszokowana Panna Tinky nie przewróciłaby kubka z kakao i tata nie wystawiłby jej za karę za drzwi. Pozwolił jej wrócić dopiero wieczorem. Do tego czasu zrobiła się zimna i sztywna i całą wieczność trwało, zanim jej futro znów nagrzało się od ciepłego pieca. A to wszystko tylko przez Sarę.

Miała bardzo dziwny kolor. Była fioletowa i oślizgła, wysmarowana czymś żółtym i czerwonym. Bałam się jej dotknąć, dopóki mama jej nie wyczyściła. Wszystko było ufajdane: Sara, mama, całe łóżko. Ściągnęłam z materaca prześcieradło. Tata powiedział, że mama straciła o wiele więcej krwi niż wtedy, gdy urodziliśmy się ja i Jonathan. Plamy były naprawdę bardzo duże. Tata powiedział też, że pranie pościeli nie ma sensu. Przyniósł do sypialni rolkę dużych niebieskich worków na śmieci, po czym we troje poszli do łazienki. Rozpięłam właśnie poszewkę na poduszkę, kiedy mama wróciła z Sarą. Poruszała się bardzo dziwnie i powoli, jakby się bała, że przy każdym kroku może połamać sobie kości. Usiadła na skraju łóżka. Noworodek wyglądał już lepiej, czystiej. Mama powiedziała, że jest idealny. *Ona*, Sara, jest idealna. To imię oznacza „księżniczka”. „Idealny” oznacza „doskonały”. Nie było nic lepszego niż Sara. Byłam zmęczona, najpierw krzykami mamy, teraz skrzeczeniem Sary. Zapakowałam pościel do worków na śmieci – dwóch, tak jak kazał tata.

– Kiedy znowu gdzieś pojedziemy, mamo?

Mama początkowo nawet mnie nie usłyszała, musiałam więc powtórzyć pytanie.

– Na początku nie damy rady, Hanno – powiedziała wtedy, nie odrywając wzroku od Sary, którą trzymała na rękach.

Ten okropny pisk. Nie byłam nawet w stanie stwierdzić, czy z aparatem cyrkulacyjnym wszystko w porządku.

– Ona może jechać z nami – zasugerowałam, chociaż tak naprawdę tego nie chciałam. – Może jechać z nami – powtórzyłam. Mama powinna była na mnie patrzeć, przecież w końcu rozmawialiśmy. – Mamo? – Niegrzecznie jest na mnie nie patrzeć. – Mamo!

– Jezu, Hanno – wysyczała. Teraz na mnie popatrzyła, ale tylko przelotnie, bo Sara od razu zaczęła kwilić jeszcze głośniej. – Ciii – powiedziała mama i pogładziła ją po głowie. – Jest jeszcze taka mała, Hanno. Nie można podróżować z tak małym dzieckiem. Byłoby to zbyt męczące.

– Ale mamo...

– Nie teraz, Hanno – przerwała mi.

– Co nie teraz? – Tata stanął w progu. Już nabrałam powietrza, ale mama pierwsza się odezwała:

– Ach, nic. – Jakby nasze wycieczki nie były nic warte, jakby w jednej chwili zostały wymazane i nigdy do nich nie doszło.

– Myślę, że mama bardziej lubi Sarę niż nas – powiedziałam Jonathanowi. Poleciałam mu zostać przy drzwiach szafasu ze względu na Pannę Tinky, która wtedy jeszcze siedziała na zewnątrz. Dobrze, żeby słyszała znajomy głos, choćby przez zamknięte drzwi, bo inaczej wystraszy się jeszcze bardziej i pobiegnie do lasu. Jonathan kucał na drewnianej podłodze, oparty plecami o drzwi. Usiadłam obok niego. Panna Tinky podrapała w drzwi od zewnątrz. Od tego dźwięku tak bardzo zakłuło mnie serce, że do oczu napłynęły mi łzy.

– Co to znaczy, Hanno?

– Mama nie ujęła tego wprost, ale myślę, że już nas nie chcą. Mają teraz Sarę i mówią, że jest idealna. Idealna to inaczej doskonała.

– Już nas nie chcą?

Pokręciłam głową.

Nie może być tak, że Jonathan o tym zapomniał. I tak nie jest, bo chociaż mi nie odpowiada, to drży. Myślę nawet, że płacze, ale nie jestem pewna, bo nie widzę jego twarzy.

– Narysowałaś Sarę, żebym miała kłopoty, prawda? Bo powiedziałam, że jej nie lubię.

Teraz Jonathan wydaje z siebie dźwięk, jakby chrząknięcie.

– Wszystko w porządku? – pyta pani Hamstedt, stojąca w drzwiach. Odwróciła głowę w naszą stronę.

– Tak – mówię, a potem szepczę: – Tyle razy już powtarzałam, że jest mi przykro. Pamiętasz? Kiedy tata tak bardzo płakał. Od razu wiedziałam, że to też moja wina, że mama wyjechała z Sarą. A ty się tylko we mnie wpatrywałaś i nie odzywałaś się do mnie przez kilka dni, dopóki ci nie przypomniałam, że też nie mogłeś znieść Sary. Tak przecież było, Jonathanie.

Znów chrząka.

– To dość głupie z twojej strony, żeby ją rysować. Ale nadal jesteś moim bratem, mimo że głuptas z ciebie. Dlatego powiem ci teraz coś przyjemnego. Nasz dziadek jest bardzo miły. Zabiera mnie dziś do domu. Wszystko więc będzie dobrze. Mówiłam ci, ale nie chciałeś mi wierzyć. Obietnica to obietnica, nie łamie się jej.

Jonathan odwraca głowę w moją stronę, tylko nieznacznie, nie podnosi jej nawet z kolan. Dostrzegam jedynie to jego głupie oko, ogromne z zaskoczenia.

– Musisz się trochę postarać i zacząć zachowywać normalnie. Rozumiesz, Jonathanie? Jeśli nie będziesz się zachowywać normalnie, nie będziemy mogli cię zabrać. Będziesz musiał tu zostać, całkiem sam.

Znów obraca głowę na kolanach, ale przy tym nią kiwa. Tak, to bez wątpienia skinienie.

Jasmin

Kiedy pierwszy raz się obudziłam, było za dziesięć siódma, jak zawsze. Głos w mojej głowie kazał mi wstać i zrobić dzieciom śniadanie. Musiało znaleźć się na stole dokładnie o siódmej trzydzieści. Odwróciłam się do Kirsten, której twarz znajdowała się w zasięgu światła latarni, wpadającego do sypialni przez podciągniętą na wysokość dłoni roletę. Miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Słuchałam jej spokojnego oddechu: wdech, wydech. Głos w mojej głowie przybrał na sile. Dzieci muszą zjeść śniadanie, już. Siódma trzydzieści: śniadanie. Co w tym takiego trudnego? Dzieci potrzebują regularnego trybu życia. Dzieci potrzebują zbilansowanego śniadania. Zaczęłam naśladować oddechy Kirsten, wdech i wydech, wbrew przymusowi i głosom w głowie, po prostu oddycham w tym samym rytmie co ona, wdech i wydech. Najwyraźniej musiałam ponownie zasnąć, poskutkowało to pierwszy raz, po prostu leżałam dalej.

Teraz budzi mnie przyciszony głos Kirsten, jej głos i zapomniana jasność, od której się odzwyczaiłam. Mrugam. W promieniach słońca tańczy pył. Siadam. Kirsten podciąga rolety. Późne lato zalewa pokój. Moje serce dziko wali. Uśmiecham się. Ty uśmiechasz się do mnie ze ścian, Leno. Wędruję wzrokiem po artykułach i zdumiewa mnie, że nagle w świetle pojawia się zupełnie odmienny obraz ciebie od tego, który mam. Potrzebuję chwili, żeby zwrócić uwagę na Kirsten, rozmawiającą przez telefon w innym pomieszczeniu, najpewniej w kuchni. Słyszę, że odwołuje dzisiejszą zmianę w klubie; sprawa prywatna, tak mówi, nagły wypadek w rodzinie. Jej szef chyba to rozumie, bo Kirsten serdecznie mu dziękuje. To ten sam szef co przed napaścią na podwórku, ten sam klub, gdzie Kirsten pracuje za barem, te same godziny pracy, ta sama klientela. Po gwałcie Kirsten nie potrzebowała nawet tygodnia, żeby tam wrócić i dalej pracować, buńczucznie i z determinacją. Początkowo wracała do domu z pracy – o tej niejasnej, szarej, niebezpiecznej porze – taksówkami. Niedługo później znów chodziła pieszo, tą samą drogą, mijając to samo podwórko. Do dziś nie wiem, jak to wszystko się właściwie ze sobą wiąże. Z jednej strony ta

siła, krnąbrność, robienie swojego. Z drugiej – nasze zerwanie. W noc napaści spytałam ją, dlaczego nie podjęła walki, co było z mojej strony głupie i oczywiście pozbawione wrażliwości.

– To, że mnie o to zapytałaś, było jak uderzenie w twarz, Jasmin. W tym momencie coś się między nami popsuło.

Tysiące razy zapewniałam ją, że byłam po prostu zmęczona i przytłoczona, ale Kirsten mi nie wierzyła, nawet wtedy, gdy się uśmiechała i mówiła: „W porządku”.

Ciągnęłyśmy to jeszcze kilka miesięcy, potem się wyprowadziła.

– Nie mogę już z tobą być, Jasmin. Próbowałam, ale to na nic. – I dodała: – Możemy zostać przyjaciółkami.

Po raz ostatni słyszałam to tamtego wieczoru w dniu swojego zniknięcia. „Możemy zostać przyjaciółkami”. Ale jeśli sądzić po jej wyglądzie, najchętniej zatrzasnęłaby mi przed nosem drzwi, kiedy wtedy w nich stanęłam – idiotka z chlebem, solą i torbą podróżną. Chleb i sól w prezencie z okazji przeprowadzki do nowego mieszkania, nawet jeśli minęło już kilka tygodni, a ja wciąż na próżno czekałam, żeby zaprosiła mnie na parapetówkę. Tamtego wieczoru zjawiłam się po prostu niezapowiedziana. W torbie niezbędne rzeczy. Mogłabym u niej przenocować. Albo – jeśli znów się pokłócimy – wsiąść po prostu w pierwszy lepszy pociąg i wyjechać na kilka dni, nabrać wreszcie dystansu, wyłączyć komórkę, *ogarnąć się*, tak jak chciała tego Kirsten.

– Musisz się ogarnąć, Jasmin! Nie chcę więcej żadnych telefonów ani wiadomości. I naprawdę nie chcę, żebyś się ot tak zjawiała pod moimi drzwiami, okej? Muszę teraz trochę pobyć sama. Proszę cię, zrozum to.

Kręcę głową, żeby odpędzić wspomnienia z tamtego potwornego wieczoru. Tamten wieczór już się nie liczy. Liczy się to, że Kirsten jest teraz tutaj. Wróciła do mnie i nie myślę już o okolicznościach jej powrotu. Jest tutaj.

Naczynia stukają w kuchni, przez otwarte drzwi sypialni dolatuje mnie słaby zapach kawy, słaby zapach normalności. Opadam z powrotem na poduszkę i zamykam oczy. Chociaż zapewne tylko drzemię, bo udaje mi się dosłyszeć nieregularne pukanie do drzwi, podczas gdy Kirsten przestaje stukać naczyniami dopiero wtedy, gdy pukanie staje się ciągłe. Słyszę jej kroki po laminacie w korytarzu, kliknięcie zamka w drzwiach, gdy przekręca klucz, a potem zdziwione „Och, witam, dzień dobry” wypowiedziane przez męski głos, który rozpoznaję.

– Frank Giesner, policja w Cham – potwierdza to głos.

– Kirsten Thieme – przedstawia się Kirsten, której uwadze, jak się wydaje, nie uszło zdziwienie „Chama”, że drzwi otworzyła mu jakaś nieznana kobieta. – Jestem przyjaciółką pani Grass – wyjaśnia, uprzedzając jego pytanie.

– Pani Thieme, ach tak. Znam pani nazwisko z akt śledztwa w sprawie zaginięcia. To pani wtedy zgłosiła zaginięcie pani Grass.

– Tak, to prawda.

– No cóż, chciałbym z nią porozmawiać.

Przezornie wciskam się w poduszkę i zamykam oczy. Nie chcę teraz rozmawiać z „Chamem”, na pewno nie w obecności Kirsten.

– Przykro mi, ale jeszcze śpi.

– Może mogłaby pani jej powiedzieć, że to naprawdę ważne.

– Oczywiście, ja to rozumiem. Ale nie jest z nią zbyt dobrze. Miała ciężką noc i pilnie potrzebuje odpoczynku. Czy naprawdę nie ma możliwości, żeby zadzwoniła do pana później?

„Cham” odpowiada po krótkim wahaniu.

– Jasne. Ale może miałaby pani jeszcze chwilę? Jest pani bardzo blisko z panią Grass.

Zamieram, wszystko we mnie zamiera.

– Tak... – Teraz w głosie Kirsten słychać zaskoczenie. – Proszę wejść, panie...

– Giesner. Dziękuję.

Momentalnie robi mi się niedobrze. „Cham” w moim mieszkaniu. „Cham”, który chce porozmawiać z Kirsten. Kirsten, która w tej chwili naciska skrzypiącą klamkę, żeby zamknąć drzwi sypialni. Bo ta biedna kobieta z szałasów potrzebuje odpoczynku albo komisarz nie powinien zajrzeć do pokoju, którego ściany – z jakiegoś chorego powodu – są wytapetowane artykułami o Lenie Beck. Wiem, że powinnam wstać, zamiast tego naciągam kołdrę na głowę, mrużę oczy i oddycham, wdech, wydech.

Znowu musiałam zasnąć. Kirsten zapewne miała rację, brakuje mi snu i odpoczynku. Zwłaszcza przedwczorajsza noc, którą spędziłam na wyszukiwaniu i drukowaniu artykułów, wciąż daje mi się we znaki. Ogarnia mnie strach i nasłuchuję. Nic nie słyhać, ani Kirsten, ani „Chama”. Zwlekam się z łóżka i podchodzę do drzwi. Zanim nacisnę klamkę, która z piskiem sygnalizuje moje przebudzenie, na wszelki wypadek przykładam ucho do drewnianych drzwi, ale nadal nic nie słyszę. W mieszkaniu panuje cisza.

Znajduję Kirsten przy stole w kuchni; maluje paznokcie na jagodowy kolor.

– Hej, już się obudziłaś, Śpiąca Królowno. – Uśmiecha się, patrząc na mnie. – Chcesz kawy? W dzbanku coś jeszcze jest. Musisz tylko sobie sama nalać. – W ramach wyjaśnienia unosi lewą rękę, świeży lakier lśni na paznokciach.

Przechodzę przez kuchnię i podchodzę do szafki, wydaję z niej filiżankę.

– Co było tak pilnego?

– Co masz na myśli?

Moja ręka, która sekundę wcześniej sięgała po dzbanek z kawą, zastyga w powietrzu.

– Słyszałam pukanie, ale potem zasnęłam.

Odwracam się do Kirsten i patrzę na nią pytająco.

– Ach, tak. Twoja sąsiadka. Maja, tak mi się wydaje. Ta z drugiego piętra. Miła dziewczyna. – Kirsten wskazuje na kuchenkę, a potem wraca do paznokci. – Przyniosła obiad.

Odwracam się do kuchenki, na której stoi mały garnuszek.

– Rosół z makaronem – wyjaśnia Kirsten. – Powiedziałam jej, że nie musi już przychodzić, teraz, kiedy tu jestem, mogę się tobą zająć. Mimo to na wszelki wypadek zostawiła swój numer. Na lodówce. – Rzeczywiście wisi tam różowa karteczka z imieniem Mai, kombinacją cyfr i uśmiechniętą buźką, którą narysowała. – Och, i przyniosła pocztę. Leży w przedpokoju na komodzie.

Stawiam na blacie dzbanek z kawą, który zaczął mi ciążyć.

– Nie, Kirsten. Mam na myśli Franka Giesnera. On tu był. Słyszałam go.

Kirsten ponownie unosi wzrok i wzdycha. Może chodzi o sekundy, ale ciągną się bez końca, gdy moje czoło zaczyna płonąć. Ciepło przenika przez pory, pokrywa twarz wilgotną, gorącą powłoką, a lęki pęcznieją w bąbelki. Kirsten zaraz mi powie, że tylko sobie wyobraziłam wizytę Giesnera, jego głos. To Maja zapukała do moich drzwi. Garnuszek na kuchence i numer telefonu na lodówce to potwierdzają.

– Tak. Chciał z tobą porozmawiać o wyniku rekonstrukcji twarzy – przyznaje w końcu Kirsten, a ja uśmiecham się z ulgą, zanim dotrą do mnie jej słowa. Mój porywacz znów ma twarz, a ja mam ją obejrzeć. Zidentyfikować go. Tchnąć życie w obrazy w swojej głowie. Spojrzeć w oczy, które mnie oskarżają. *Co z ciebie za potwór?*

– Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu? – pytam, żeby zatuszować inne myśli.

– Bo nie chciałam cię znowu denerwować, kobieto. Napij się kawy i najpierw porządnie obudź. – Nie umyka mi, że zdaje się tym lekko zirytowana.

Przysuwam sobie filiżankę i nalewam kawy.

– Pokazał ci?

– Rekonstrukcję? Tak. Ale nie byłam pewna, czy kiedykolwiek widziałam tego faceta. Kiedyś przewijało się tu sporo ludzi, pamiętasz?

Tak, wciąż to pamiętam. Ludzie przyprowadzani przez inne osoby, które tak samo jak my lubiły imprezować. Poniżej dziesięciu osób to nie jest impreza.

Tłumię tłącą się melancholię i kiwam głową.

– Wydaje mi się, że sama będziesz musiała zerknąć, Jassy. Nic na to nie poradzisz. – Kirsten wygląda na zmartwioną. – Myślisz, że dasz radę?

Daję radę przynajmniej się uśmiechnąć, nawet jeśli mój uśmiech jest nieco sztuczny.

– Nie mam chyba innego wyjścia, prawda?

Biorę kilka łyków kawy; przełykanie jej przychodzi mi z trudem. Kirsten zakręca lakier rozcapierzonymi palcami i znów wzdycha. Zastanawiam się, czy żałuje, że wróciła, żeby się mną zaopiekować. Czy ze mną wytrzyma.

– Giesner czeka na twój telefon, żeby umówić się na identyfikację. Powiedział, że nie musisz koniecznie jechać na komendę. Chętnie podjedzie. W każdej chwili, nawet po pracy, jeśli będzie taka potrzeba.

– Miło z jego strony – mówię ochryple.

– Zastanawiałam się, czy nie byłoby sensownie umówić się od razu na wizytę u terapeutki. Kto wie, jak zareagujesz, kiedy pokażą ci portret twojego porywacza.

– Ona też nie jest w stanie mi pomóc.

– No cóż... samemu też trzeba tego chcieć.

– A więc tak myślisz – mówię cicho i odstawiam kawę na blat. – Po prostu powiedz, kiedy zaczniesz mieć mnie dość. Zrozumiem to.

Kirsten przewraca oczami.

– Daj spokój, Jassy. Nie o to mi chodzi. Naprawdę.

– Nie jesteś mi nic winna.

– Proszę, przestań, okej? Teraz nie chodzi o nas, ale o to, że musisz jakoś się ogarnąć.

– Ogarnąć się.

– Nauczyć się żyć z tym, co ci się przytrafiło. Nie uda ci się to, jeśli dalej będziesz robić wszystko tak jak dotychczas. Potrzebujesz fachowej pomocy.

– Czuję się lepiej, odkąd tu jesteś.

Kirsten cmoka. Widzę, jak przez chwilę przygryza w milczeniu dolną wargę, w końcu decyduje się ciągnąć tę rozmowę.

– Zsikałaś się do łóżka.

Na początku mam wrażenie, że się przesłyszałam, może nawet się śmieję.

– Co zrobiłam?

Kirsten odsuwa krzesło, żeby wstać. Stoi przede mną z zaczerwienionymi oczami i głową przechyloną na bok.

– Zsikałaś się do łóżka – powtarza powoli. – Dzisiaj w nocy. Musiało ci się coś śnić. Kopałaś i wymachiwałaś rękami. A do tego krzyczałaś: „To nie jest bransoletka, Hanno! To kajdanki! Zdejmij mi je, do cholery!”. Próbowałam cię obudzić, ale byłaś kompletnie nieprzytomna.

Kręcę głową. Zeszłej nocy nic mi się nie śniło.

– A jednak, Jassy, dokładnie tak było. Kiedy zdałam sobie sprawę, że prześcieradło jest mokre, ściągnęłam cię z łóżka. Właściwie chciałam cię zabrać do salonu, na kanapę, żebyś z powrotem zasnęła, kiedy będę zmieniać pościel. Ale przywarłaś do mnie i krzyczałaś, żebym nie zostawiała cię samej i że się boisz, że jakiś tam aparat znów się zatnie.

– Nie przypominam sobie tego.

– No, w końcu zasnęłaś.

Znowu kręcę głową, a pochmurne oczy Kirsten rozszerzają się z zatroskania; bez przerwy kiwa głową, jak w hipnozie.

– Tak było, Jassy. Właśnie tak było. A to znaczy, że nie czujesz się wcale tak dobrze, nie rozumiesz? Mogę tu być, mogę robić ci zakupy i zmieniać

pościel. Mogę cię przytulać i słuchać, gdy trzeba. Ale nie jestem terapeutką.

Bez słowa przepycham się obok niej, wychodzę z kuchni, z dala od jej zatroskanego spojrzenia, jej bliskości, która teraz mi doskwiera. Za cel obieram sobie salon – po to, żeby побыć chwilę w samotności, pomyśleć, spróbować jakoś pogodzić to uczucie spokoju, z którym się obudziłam, z okropną nocą, którą rzekomo mam za sobą.

– Nie chciałam ci sprawić przykrości – słyszę za plecami i odwracam się. Kirsten wyszła za mną na korytarz, teraz stoi przede mną, obie ręce ma uniesione, jej palce trzepoczą w powietrzu, świeży lakier do paznokci, który jeszcze nie wysechł. – Ale same sobie z tym nie poradzimy. – Wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego ramienia, ale zmienia zdanie, na pewno z powodu lakieru, który nie może się rozmazać. – Proszę, zadzwońmy do tej terapeutki.

Odwracam się.

– Poważnie, Jassy. Po co utrudniasz sobie życie? Daj sobie pomóc.

Mój wzrok przykuwa sterta listów na komodzie w korytarzu. Od razu go widzę.

– Myślisz, że zasługujesz na takie cierpienie?

Zwykła biała koperta bez znaczka pocztowego.

– Nikt na to nie zasługuje.

W połowie zakrywa ją wczorajsza gazeta, przez co widać tylko część adresu. Ale to ten sam charakter pisma, z całą pewnością.

– Dobrze. Zaraz do niej zadzwonię – mówię bezbarwnie. – Możesz zerknąć, gdzie zostawiłam telefon? Wydaje mi się, że w salonie.

Słyszę za sobą, jak Kirsten wzdycha z ulgą, po czym jej kroki oddalają się w kierunku salonu.

– Wezmę szybką kąpiel! – Wołam za nią i łapię list.

Wślizguję się do łazienki, przekręcam zamek i opieram się o drzwi. Drżącymi, zlanymi zimnym potem palcami rozrywam kopertę, jednak rozprasza mnie na chwilę dudnienie pralki. Kiedy zdaję sobie sprawę, że to

brudna pościel z zeszłej nocy kręci się w niej monotonicznie, w klatce piersiowej czuję gulę. Wyciągam kartkę z koperty.

Te same duże, grube, czarne, oskarżycielskie wielkie litery. Inne słowa, tym razem trzy.

POWIEDZ IM PRAWDĘ.

Matthias

Rozmowę, którą przeprowadziłem z Giesnerem, mógłbym równie dobrze przeprowadzić z Gerdem, z tą różnicą, że zwracalibyśmy się do siebie na ty, a na zakończenie on nazwałby mnie osłem, a ja jego idiotą. Policjanci, wszyscy są jednakowi, wymienialni, szablonowi. Wszyscy mówią to samo. *Osobiste kontakty*. Nie mogę się z tym pogodzić. To wyrażenie towarzyszy Hannie i mnie w drodze do domu. Rozeszło się po samochodzie jak duszne, ciężkie, stęchłe powietrze; moja czaszka stawia opór. Wszyscy myślą, że nie znałem swojej córki. Przymykałem oko. Od czternastu lat wegetowałem, kołysany miłością do swojej jedynaczki, i wciąż wegetuję. Przy czym znam swoją córkę. Znałem ją bardzo dobrze.

Głośno pociągam nosem i patrzę w lusterko wsteczne. Dostrzegam oczy Hanny i linię jej włosów; mogłyby to być oczy i włosy Leny. Za chwilę mógłbym zawieźć Lenkę na rytmikę lub do koleżanki ze szkoły.

– Tatku – dobiegłby jej piskliwy głos z tylnego siedzenia. – Możemy się zatrzymać i szybko kupić jeszcze lody?

– Kusząca propozycja. Kto płaci?

– Ty musisz mnie oczywiście zaprosić, tatku! Jestem przecież mała i nie pracuję.

– A niech mnie, zupełnie o tym zapomniałem. W porządku, Lenko. W drodze wyjątku, tylko ze względu na ciebie.

Pewnego dnia może Hannah też mnie tak zapyta: „Dziadku, może zjemy jeszcze lody?”. Cóż ja bym dał za taki dzień.

– Czy mamy zrobić mały postój na kolejnym MOP-ie, Hanno? – Uśmiecham się pełen nadziei do lusterka. – Czeka nas jeszcze dobre pół godziny jazdy. Krótka przerwa mogłaby nam dobrze zrobić, jak sądzisz?

Hannah nie odpowiada, wygląda tylko przez boczną szybę. Po prawej i lewej stronie autostrady przelatują drzewa i leżące odłogiem pola. Prognoza pogody się nie sprawdziła – na niebieskie nie dalej jak kilka godzin temu niebo zaciągnął się szary welon chmur. Chciałbym zajrzeć Hannie do głowy. Mieć odwagę, żeby ją spytać, jak się czuje w chwili, gdy jedziemy autostradą z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Czy ją to przeraża, czy pobudza? Czy cieszy się na powrót do domu? Ale jest tak, jak zawsze, gdy jesteśmy sami. Coś mnie powstrzymuje przed wypytywaniem jej o naprawdę ważne sprawy; może strach, że coś w niej pęknie.

Bmw, które bezczelnie wciska się tuż przede mną, wyrywa mnie z zamyślenia. Znak po prawej stronie informuje o postoju ciężarówek za pięć kilometrów.

– No więc, Hanno? – próbuję ponownie. – Co ty na to? Mały postój?

– Wolałabym jechać do domu bez zatrzymywania się, dziadku.

– Okej, jasne, w porządku – mówię wymuszenie radośnie, żeby ukryć rozczarowanie, a potem nieświadomie mamrocę do siebie: – Tak czy inaczej, to chyba głupi pomysł. Ktoś jeszcze wyciągnie telefon i robi kolejne zdjęcie dziewczynce-zombi.

– Co mówisz, dziadku?

– Że masz całkowitą rację, Hanno – odpowiadam głośniejszym głosem i znów uśmiecham się do niej w lusterku. – Lepiej szybciej jedźmy do domu. – Wyciągam szyję, żeby zobaczyć całą twarz Hanny. Teraz też się uśmiecha. Moja Lenka...

Germering leży na zachód od Monachium i jest miastem powiatowym, nie wsią, jak zwykła twierdzić Lena, przewracając oczami. Nigdy nie

rozmawialiśmy o tym, czy ta półgodzinna podróż pociągiem, niezbędna, żeby dostać się z Germering na uniwersytet w Monachium, faktycznie jest dla niej tak uciążliwa, czy może chodzi o atmosferę, która mimo czterdziestu tysięcy mieszkańców wciąż ma w sobie coś transparentnego i przytulnego. W każdym razie zaraz po tym, jak dostała się na Uniwersytet Ludwika i Maksymiliana, przeprowadziła się do małego mieszkania w monachijskiej dzielnicy Haidhausen, tuż nad Izarą. Żeby dotrzeć na uczelnię, potrzebowała tylko kwadransa, i była szczęśliwa. Oczywiście wziąłem na siebie czynsz, mimo że Karin coraz głośniej napomykała o tym, że Lena powinna partycypować w kosztach i poszukać dodatkowej pracy. Albo przynajmniej wynająć pokój w mieszkaniu z innymi studentami. Nie wchodziło to jednak w rachubę, ani jedno, ani drugie. Chciałem, żeby miała wystarczająco dużo czasu i spokoju, aby mogła w pełni skupić się na nauce. Karin i ja odwiedzaliśmy ją od czasu do czasu w Monachium. Lubimy to miasto, ale nam samym nigdy nie przyszłoby na myśl, żeby tam zamieszkać. Potrzebujemy właśnie tego, co oferuje nam Germering – przejrzystości, przytulności. Przedszkola, szkoły, place zabaw, sklepy, które zaspokajają codzienne potrzeby, i przychodnie lekarskie są tutaj łatwo dostępne. Idealne miejsce dla rodziny. Tak myśleliśmy już wtedy, gdy w latach osiemdziesiątych kupowaliśmy działkę budowlaną na nowo powstałym osiedlu. Idealne otoczenie do wychowania dziecka.

– Nie zapominaj, że Hannah w zasadzie nie jest już dzieckiem – powiedziała Karin dziś rano przy śniadaniu. Byłem tak podekscytowany wyjazdem do Ratzbony, żeby odebrać ją z ośrodka leczenia traumy, że ręce mi się trzęsły i ledwie mogłem utrzymać nóż. Karin wzięła mój talerz, na którym leżała kromka białego chleba do połowy posmarowana masłem. Podczas smarowania zrobiłem w chlebie dziurę, tak byłem niezdarny przez tę nerwowość. Teraz obserwowałem, jak Karin kończy smarować moją kanapkę, przykrywa ją mortadela, kroi na pół i w końcu ze znaczącym spojrzeniem przesuwa talerz z powrotem po stole.

– Wiem przecież – odparłem i zacząłem jeść.

Karin odsunęła trochę na bok talerz z kanapką z dżemem, żeby oprzeć łokcie o blat stołu. Złożyła dłonie przy brodzie, jakby się modliła.

– Bez względu na to, gdzie i jak dorastała, Matthiasie, prędzej czy później doścignie ją dojrzewanie. Jako że jest tak nietypowo mała jak na swój wiek, patrzysz na nią i zapominasz, że naprawdę masz do czynienia z trzynastoletnią dziewczynką.

Nie wspomniałem, że lekarze, których do tej pory odwiedziliśmy z Hanną, wcale nie byli tego tacy pewni. W przeciwieństwie do brata Hannah ma poważny niedobór witaminy D, co spowolniło jej dotychczasowy rozwój fizyczny. Lekarze przypuszczają, że Lena w trakcie ciąży z Hanną mogła cierpieć na niedobór witamin, podczas gdy w ciąży z chłopcem od początku przyjmowała specjalne suplementy witaminowe dla ciężarnych. Nie jest więc wcale powiedziane, a w istocie jest nawet dość mało prawdopodobne, żeby ciało Hanny jeszcze kiedykolwiek w pełni nadrobiło zaległości. O czym Karin by wiedziała, gdyby towarzyszyła nam podczas wizyt lekarskich. Nie wspomniałem jej też, że nie obchodzi mnie, jak i czy Hannah się rozwinie. Że jestem skłonny w pełni i bezinteresownie zaakceptować ją właśnie taką, jaka jest. Czy to jako wiecznie małą dziewczynkę, czy jako kobietę.

– Przeżyliśmy już dojrzewanie Leny – żartuję niemrawo między kęsami chleba.

Karin przytakuje niewzruszona.

– Tak, ale wtedy byliśmy młodszy, Matthiasie. Oboje mamy już ponad sześćdziesiąt lat, łamliwe kości i słabe nerwy. Do tego jeszcze twoje serce. – Kręci głową. – Hannah i Jonathan mają specyficzne potrzeby, inne niż pozostałe nastolatki. Mogą nawet do końca życia potrzebować opieki psychologicznej.

Przełykam kanapkę z wędliną.

– Myślę, że wiele kwestii da się rozwiązać, Karin. Moglibyśmy na przykład sprawdzić, czy w pobliżu jest jakaś świetlica dla pacjentów z traumą, w której Hannah mogłaby od razu zacząć się uczyć. Wtedy nie musielibyśmy martwić się o szkołę.

– *Będą mogli*, Matthiasie. *Oni*. Oboje. W której *oni* będą mogli zacząć się uczyć. Jest dwoje dzieci. Nie mówimy tylko o Hannie...

– Tak, tak. – Przerywam jej machnięciem ręki. – To dotyczy też chłopca.

– Ma na imię Jonathan.

– Tak, Jonathana.

Karin przechyla głowę i mruży oczy.

– Więc masz już tak dalekosiężne plany. Nie chodzi tylko o to, żeby wziąć ją do nas na kilka dni i wesprzeć jej terapię, prawda?

– Jak już mówiłem, sądzę, że wiele kwestii da się...

– Kiedy znowu otworzysz kancelarię? – Karin wtrąca ostrym tonem.

Biorę filiżankę i upijam łyk kawy, żeby zyskać na czasie.

– O tym możemy porozmawiać innym razem. Muszę się zbierać. – Po tych słowach wstaję od stołu i idę z jadalni w kierunku sieni.

– Co ty na to, żebym z tobą pojechała? – pyta Karin, gdy wyciągam kurtkę z garderoby. Odwracam się w stronę, z której dochodził głos. Moja żona stoi w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi i przygląda mi się podejrzliwie.

– Nie, wolałbym nie. – Uśmiecham się i podchodzę do niej, żeby ucałować ją w policzek na pożegnanie. – Te podróże to istny dopust boży...

Serce mi wali, gdy wjeżdżam starym volvem na naszą ulicę. Po obu stronach strefy ograniczonego ruchu wznoszą się zadbane domki jednorodzinne, oddzielone od siebie starannie przyciętymi żywopłotami, na drzwiach – na glinianych tabliczkach – wiszą pozdrowienia: „Witamy”, i nazwiska poszczególnych rodzin. Każdy dom ma od frontu mały ogródek

ze stelażami, po których pną się rośliny, albo kępy róż wyrastające jak małe wysepki na trawniku. *Idealne otoczenie do wychowania dziecka.*

Objeżdżam nawrotkę, która stanowi zakończenie ulicy, dopiero co wzięłam wdech, żeby obwieścić Hannie, że dotarliśmy do celu, gdy to widzę. Tłum kilkunastu osób na ulicy przed naszym domem. Chodnik jest zastawiony samochodami, jakby zjechało się tu pół miasta.

– Co do...? – mówię, naciskając hamulec tak, że volvo się zatrzymuje.

Siedząca z tyłu, za fotelem pasażera Hannah prostuje się, przesuwa na swoim siedzeniu do przodu i obejmuje zagłówek fotela przed sobą.

– Co się dzieje, dziadku?

Wataha nas zauważa, głowy synchronicznie obracają się w stronę samochodu, który zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów dalej na środku ulicy. Szczęki mi się zaciskają. Ramiona się napinają. Całe moje ciało boleśnie sztywnieje. Dłoniami ściskam kierownicę tak mocno, że pod skórą widać białe knykcie. Wstrzymuję oddech.

– Dziadku? Kim są ci wszyscy ludzie?

Moja prawa stopa drży na pedale gazu. Na sekundę świta mi w głowie myśl, żeby po prostu docisnąć gaz, wjechać w środek tłumu, wreszcie mieć spokój.

– Dziadku? – Głos Hanny traci nieco ze swojej zwykłej monotonii, staje się niemal płaczliwy. „Nie widzicie, że mała się boi?!”, chcę się wydrzeć na całe gardło, ale myślę o swojej wnuczce, która nie może wystraszyć się jeszcze bardziej. Nie sposób nie zauważyć, że ten tłum to dziennikarze. Dostrzegam podkładki do pisania i aparaty fotograficzne, nawet kamerę i mikrofon. Z tłumu wyłania się rudowłosa kobieta w jasnoniebieskim płaszczu i niepewnie robi kilka kroków w kierunku naszego samochodu.

– Ten przeklęty Rogner – warczę, chociaż Larsa Rognera najwyraźniej nie ma wśród czeredy pismaków. Nie ma go osobiście, ale założę się, że kogoś tu przysłał. Może tę kobietę w jasnoniebieskim płaszczu, która powoli, ale systematycznie zbliża się do naszego auta. Kilka innych osób

robi to samo. Podeszli już na około dziesięć metrów. – Hanno – mówię jak najspokojniej, nie odrywając oczu od dziennikarzy; w kilka sekund ściągam z siebie kurtkę i podaję ją do tyłu. – Połóż się płasko na tylnym siedzeniu i schowaj pod kurtką.

Hannah nie protestuje, słyszę tylko, jak odpina pas. Na wszelki wypadek rzucam okiem na tylne siedzenie. Naprawdę zwinęła się w kłębek pod moją kurtką. Sięgam za siebie i podciągam kurtkę, bo nad kołnierzem wystaje jeszcze kilka jasnych loków. Potem odwracam się, kładę ręce na kierownicy i ostrożnie odjeżdżam. Serce podchodzi mi do gardła. Niemalże się spodziewam, że sfora, od której dzieli nas nie więcej niż pięć metrów, obleganie nasz samochód ze wszystkich stron. Oczami wyobraźni widzę kobietę w jasnoniebieskim płaszczu rzucającą się na maskę, podczas gdy jej koledzy szarpia drzwi, pukają w boczne szyby i krzyczą. Ale się mylę. Tłum się rozstępuje, nawet zachowując bezpieczną odległość, kiedy spacerowym tempem jadę dalej w jego stronę. Bez problemu udaje mi się dotrzeć do podjazdu, prawą ręką chwytam małego pilota z podłokietnika i natychmiast uruchamiam automatycznie otwieraną bramę garażową.

– Nie podnoś się, Hanno – mówię i czekam, aż brama całkowicie się za nami zamknie, wtedy wyłączam silnik i czuję, że po raz pierwszy od kilku minut mogę normalnie oddychać. – Wszystko w porządku – odwołuję alarm i ściągam kurtkę z drobnego ciała Hanny. – Udało się.

Hannah siada i mruga.

Otwieram drzwi i wysiadam, potem pomagam Hannie wyjść z samochodu i wydaję z bagażnika małą torbę podróżną, którą spakowano dla niej w ośrodku na czas jej wizyty u nas. Są w niej rzeczy pochodzące z darów dla kliniki. Będziemy musieli wybrać się na zakupy, najlepiej już jutro. Nie chcę oglądać swojej wnuczki w znoszonych ubraniach obcych ludzi.

Z garażu wychodzimy przez ciężkie metalowe drzwi, potem po kilku schodkach idziemy na górę, do tylnej części przedpokoju. Tam czeka na

nas Karin z kredowobiałą twarzą.

– Dzięki Bogu – mówi z ulgą, gdy wpycham Hannę do przedpokoju. Silnie przyćmione światło wskazuje na to, że opuściła w oknach wszystkie rolety, żeby uchronić nas przed spragnionymi sensacji oczami. Kolana jej strzykają, gdy nie odrywając ode mnie wzroku, kuca przed Hanną. – Próbowałam się do ciebie dodzwonić już dobre pół tuzina razy! Jak mogło do tego dojść? – Jej głos stał się krzykliwy z widocznego podniecenia. – Skąd się tu wzięli ci wszyscy ludzie? Jak się dowiedzieli, że przywieziesz tu dzisiaj Hannę? Co mamy teraz zrobić?

– Na początek zachowajmy spokój – mówię i uspokajająco podnoszę rękę.

– Zachowajmy spokój? Widziałeś, co się tam dzieje!

– Ja się tym zajmę.

– A niby jak? Nie możemy nawet wezwać policji, żeby zabrała stąd tych ludzi! Nikt z nich nie wszedł na teren naszej posesji! Pamiętasz chyba jeszcze zasady z czasów, gdy byli tu w związku ze sprawą Leny. Dopóki kręcą się po ulicy, nic nie można z nimi zrobić. To teren publiczny. – Karin wyciąga rękę i wskazuje palcem na drzwi wejściowe. – Mogą stać tam niczym nieniepokojeni przez wiele dni!

– Karin... – Wskazuję na Hannę, która wciąż stoi przed nią, cicha i sztywna.

Karin wzdycha, po czym w końcu zwraca uwagę na naszą wnuczkę.

– Witaj, Hanno – mówi z uśmiechem. – Miło, że w końcu z nami jesteś.

Kiedy mała nie reaguje, Karin spogląda na mnie, lekko zakłopotana. Już chcę coś powiedzieć, żeby przełamać pierwsze lody, gdy Hannah zwraca się do mnie. Wygląda na rozczarowaną.

– Dziadku, nie mieliśmy przecież zrobić żadnego postoj.

– Nie, my... – jąkam się. – Jesteśmy na miejscu, Hanno. Jesteśmy w domu.

Hannah zaciska usta.

– Ale to wcale nie jest mój dom, dziadku.

Jasmin

– Przepraszam, że dopiero tak późno mogłam panią przyjąć, pani Grass – mówi doktor Hamstedt, zamykając za sobą drzwi gabinetu. Byłyśmy umówione na dwudziestą trzydzieści, ale już od pewnego czasu siedzę u niej, sama, czekając, aż przyjdzie. – To był szalony dzień – dodaje z uśmiechem.

Klinika psychiatryczna w Ratyzbonie, którą zarządza Maria Hamstedt, jako jedyna w okolicy specjalizuje się w leczeniu dzieci i młodzieży. Nie chcę się głębiej nad tym zastanawiać, co w tym miejscu może oznaczać słowo „szalony”, bo od razu przed oczami stają mi obrazy szamoczących się i kapiących nieletnich z padaczką, z ramionami ciasno owiniętymi wokół tułowia w kaftanach bezpieczeństwa, do tego słyszę krzyki, które niosą się po długich szpitalnych korytarzach i przyprawiają mnie o gęsią skórę.

Przymuszam się – również z uśmiechem na ustach – do powiedzenia: „W porządku”. Przy czym nic nie jest w porządku. Ta cała sytuacja, ta sprawa z listami. Ta drobna wycieczka do kliniki psychiatrycznej, to wychodzenie-znowu-na-zewnątrz, i to o takiej porze, gdy jest już ciemno, a latarnie rzucają żółte snopy światła, które z kolei najmniejszej rzeczy dodają długie, upiorne cienie. To wszystko wywołuje ucisk w mostku i rozsadza mi kończyny, jakby właśnie próbowało mnie zmóc jakieś ciężkie przeziębienie.

Doktor Hamstedt rzuca mi krótkie, podejrzliwe spojrzenie, po czym obchodzi biurko i zajmuje miejsce za nim.

– Jeśli mam być szczerą, pani Grass, zaskoczyło mnie, że zadzwoniła pani do mnie i poprosiła o spotkanie.

Tak samo jak zaskoczyło Kirsten, że nie walczyłam i nie zapierałam się rękami i nogami przed tym, żeby zadzwonić do swojej terapeutki. Wręcz przeciwnie, raz za razem niemal ochotczo wykręcałam jej numer, który był zajęty przez pół dnia, aż w końcu dodzwoniłam się i przekonałam ją, żeby jeszcze dzisiaj ze mną porozmawiała, mimo tego *szaleństwa*.

– Szczególnie – mówi doktor Hamstedt, składając ręce na stole i pochylając się nieco do mnie – że nie jest pani moją pacjentką, ale mojej koleżanki, doktor Brenner z Schützenstrasse.

Zerkam ukradkiem na drzwi, żeby się upewnić, że na pewno są zamknięte. Za nimi, na korytarzu, siedzi Kirsten, która mi tutaj towarzyszy. Podczas wizyty u – jak sądzi – *mojej* terapeutki. Dotąd spotkałam doktor Hamstedt tylko raz. Podczas anamnezy psychologicznej w szpitalu w Cham, tuż po ucieczce z szałas.

– Tak, jestem w stanie to sobie wyobrazić. To znaczy, że była pani zaskoczona – mówię przytłumionym głosem, choć nie przypuszczam, żeby Kirsten podsłuchiwała pod drzwiami. Domyślam się, że ma w uszach słuchawki iPoda lub jest pochłonięta czytaniem jakiejś gazety; nie należy do osób, które szczególnie dobrze znoszą beczynność i nudę.

Wydaje się, że doktor Hamstedt czeka na więcej, na wyjaśnienie, dlaczego nie udałam się do jej koleżanki, doktor Brenner, tylko do niej, i dlaczego tak ją ponaglałam przez telefon. Wcześniej, po drodze, wszystko sobie obmyślałam i przećwiczyłam w głowie swoje kwestie. Nagle jednak cały ten plan wyparował.

Doktor Hamstedt pochyla się nieco nad biurkiem.

– Nie może się pani dogadać z doktor Brenner?

Energicznie kręcę głową.

– Nie, nie, to nie to. Ona jest bardzo miła. Tak sądzę.

– Nie chodzi pani regularnie na sesje?

– No, niezbyt często mi się zdarza.

– A powinna pani, pani Grass. To ważne.

– Wiem. Ja tylko... – Odchylam głowę do tyłu, wbijam wzrok w sufit. Postrzępione brązowe kontury plam po wodzie strzępią się jeszcze bardziej i stają się rozproszone. „Nie rycz”, przestrzegam cicho samą siebie. „Tylko znowu nie rycz. Nie teraz, nie tutaj”. Nie przyszłam tu przecież po to, by Maria Hamstedt leczyła moje rany. Jestem tu, bo potrzebuję informacji. I ich oceny.

– Trudno pani mówić o tym, co się pani przytrafiło – mówi wyrozumiałym tonem doktor Hamstedt.

– Tak.

– Może nawet myśli pani, że ma jakiś powód do wstydu.

– Tak, może.

Na odgłos darcia papieru delikatnie się wzdrygam. Przenoszę wzrok z sufitu na doktor Hamstedt, która z nieco zbyt dużą werwą wyciągnęła papierową chusteczkę z kartonowego pudełka na swoim biurku i mi ją podaje. Biorę ją i wycieram sobie oczy, po czym prostuję ramiona i chrząkam.

– Dziękuję.

– Znam doktor Brenner od wielu lat, pani Grass. Jest naprawdę świetną słuchaczką. A co się tyczy pani: nie ma pani absolutnie najmniejszego powodu do wstydu. Jest pani ofiarą. Czegóż takiego się nie wybiera.

– Tak, w kółko to słyszę. – Uśmiecham się trochę głupio, zastanawiając się, jak zmienić temat.

– I tak właśnie jest, pani Grass. – Doktor Hamstedt uśmiecha się zachęcająco. – Niemniej jednak, jeśli nie czuje się pani komfortowo jako pacjentka u doktor Brenner, mogę, rzecz jasna, pomóc pani znaleźć innego terapeutę.

– Nie, nie o to chodzi – mówię pospiesznie, gdy dociera do mnie, że musi to brać za powód mojej wizyty. – Nie potrzebuję nowego terapeuty. Chciałam z panią tak pilnie porozmawiać na inny temat.

– Och, w takim razie w porządku. Jak mogę pani pomóc, pani Grass? Jeśli dotyczy to postępów w leczeniu dzieci, to proszę wziąć pod uwagę, że ze względu na tajemnicę lekarską nie mogę udzielić pani żadnych informacji, bo nie jest pani spokrewniona...

Kręcę głową.

– Muszę wiedzieć, czy dzieci wychodzą na przepustki.

– Na przepustki? Ma pani na myśli to, czy tymczasowo opuszczają szpital?

– Dokładnie.

Doktor Hamstedt wygląda na nieco zdezorientowaną.

– Tak, oczywiście. Jak pani wie, jesteśmy kliniką psychiatryczną. Nasze możliwości przeprowadzenia niezbędnej diagnostyki ogólnej są przez to, naturalnie, ograniczone. A więc tak. Hannę skierowałam już do innych lekarzy.

– Hannah była na zewnątrz?

– Tak, u dentysty i kilka razy w szpitalu rejonowym. Zważywszy na okoliczności, jej kondycja fizyczna jest całkiem niezła, jeśli o to się pani martwi.

– Hannah była na zewnątrz – powtarzam cicho pod nosem, a w głowie wizualizuje mi się obraz dziewczynki idącej samotnie niczym zjawa ulicami, moją ulicą, do domu, w którym mieszkam. Widzę ją bosą, w białej koszuli nocnej, z Panną Tinky na rękach. „Wszystko dokładnie zapamiętałam”, szepcze. A potem: „Zawsze, zawsze, zawsze”.

– Oczywiście nie sama, zawsze w towarzystwie kogoś z naszego personelu, a ostatnio bardzo często z dziadkiem. – Doktor Hamstedt rozwiewa tę wizję, jakby czytała w moich myślach. – Dlaczego pani o to pyta, pani Grass?

– Nie odpowiadam. Zaczynam drzeć na kawałki chusteczkę ligninową na swoich kolanach.

– Pani Grass?

Dziadek Hanny. Twój ojciec, Leno. Mężczyzna krzyczący w szpitalu przy moim łóżku.

– Pani Grass?

– A sama? To znaczy: czy jest tu coś w rodzaju czasu wolnego, kiedy pacjenci mogą wyjść na zewnątrz bez nadzoru?

– Jak już mówiłam, pani Grass, jesteśmy zakładem psychiatrycznym. Oczywiście w wypadku większości naszych hospitalizowanych pacjentów nie możemy brać na siebie ryzyka i pozwalać im na wędrówki bez nadzoru.

– Nawet po terenie kliniki?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewnia mnie bardzo stanowczo doktor Hamstedt.

– I nie ma możliwości, żeby ktoś wymknął się stąd niezauważony?

Doktor Hamstedt wzdycha i mówi bardzo dobitnie:

– Nie, pani Grass, to absolutnie wykluczone. Czy mogłabym się teraz dowiedzieć, o co chodzi?

Zamierzałam powiedzieć jej o listach. Mam je nawet przy sobie, w torebce na podłodze koło krzesła. Nagle jednak nie jestem już pewna, czy to naprawdę dobry pomysł. Co, jeśli zareaguje podobnie jak Kirsten? *Nie jest z tobą najlepiej. Potrzebujesz pomocy.* Myślę o tych pokojach, gdzie klamkę da się zdjąć jednym szybkim ruchem ręki. *Dla pani własnego bezpieczeństwa, pani Grass.* Z trudem przełykam ślinę, boli mnie gardło. Zapewne nikt nie podpisałby szybciej wniosku o przymusową hospitalizację niż szefowa kliniki psychiatrycznej, która właśnie patrzy na mnie wyczekująco.

– Pani Grass?

– No cóż...

Nagle czuję się niesamowicie głupio, przed przyjściem tutaj nawet nie uczesałam włosów, nie wspominając już o zmianie spodni dresowych i poplamionej, przepoconej bluzki. Wszystko we mnie musi aż ryczeć, że

jestem „przypadkiem budzącym obawy”. Jakby na zawołanie na czoło opada mi pasmo tłustych włosów, które pospiesznie odgarniam.

– Proszę posłuchać, pani Grass. Tajemnica lekarska obejmuje oczywiście również tę rozmowę – mówi doktor Hamstedt, a ja staję się podatna na jej głęboki, aksamitny głos i szczere spojrzenie. – Więc na wypadek, gdyby coś panią dręczyło... – Reszta zdania, jej zaproszenie, zawisa w powietrzu, a ja głęboko je wdycham.

– Ktoś przysyła mi listy – zaczynam ostrożnie, obserwując rysy jej twarzy i szukając choćby najmniejszej zmiany. Skrzywienia wąskich ust, uniesionych brwi czy zmarszczonego nosa. – No i cóż, wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale zastanawiałam się, czy to dzieci mogą mi je wysyłać.

– Listy?

Przytakuję.

– Co w nich jest?

Jak na razie nie dostrzegam w jej minie nic, co powinno mnie zaalarmować, pochylam się więc do torby i z bocznej kieszeni wyciągam dwie koperty.

– „Dla Leny” – czyta na głos doktor Hamstedt i po chwili: – „Powiedz prawdę”. Co to ma znaczyć, pani Grass? I skąd ta myśl, że mogły to wysyłać dzieci?

– Bo muszą mnie nienawidzić po tym, co zrobiłam. Inaczej się nie da, muszą mnie nienawidzić. Zwłaszcza Jonathan.

Teraz zauważam zmianę na twarzy doktor Hamstedt, jej brwi nagle się unoszą. Na szczęście dostrzegam w tym nie wątpliwości co do mojej osoby, ale raczej szczere zaskoczenie.

– Jonathan?

Kiwam z niepokojem głową.

– Bardzo go zraniłam.

– Nie rozumiem.

Znów kiwam głową, ale teraz unikam patrzenia na nią.

– W dniu, kiedy uciekłam z szałasów...

Jasmin

Z czasem poznałam codzienne zwyczaje panujące w szałasie, rozeznałam się w bezpiecznych granicach swojego terytorium i jak najskrupulatniej się tego trzymałam. Kiedy tamtego ranka twój mąż zegnał się ze mną przed pójściem do pracy i pocałował mnie w usta, nawet mnie nie zemdliło, Leno. Potem jednak dodał: „Dziś wieczorem przyniosę test”, i się rozpromienił.

Fakt, że od pewnego czasu nie miałam okresu, po prostu wypierałam. To mógł być efekt stresu, który trawił moje ciało. Mogło to wynikać z utraty wagi, czego wyraźnymi oznakami były wystające kości barków i bioder. Jednak to, że faktycznie mogłam zajść w ciążę, wydawało mi się nie do pomyślenia, dopóki nie wypowiedział tych słów: „Dziś wieczorem przyniosę test”. Tym samym wszystko runęło, podłoga popękała i się rozstała, pochłaniając mnie w ogromnej, głębokiej czarnej dziurze. Kiedy wyszedł za drzwi, resztką sił powlekłam się na kanapę i opadłam na nią.

Z jednej z wcześniejszych rozmów wiedziałam, że zawsze chciał mieć troje dzieci. Brata lub siostrę dla Hanny i Jonathana. Nawet z nim piłam za to, żeby jak najszybciej zajść w ciążę. Codziennie wzorowo połykałam witaminy, które mi dawał, a które podobno miały zwiększać płodność, i przytakiwałam, gdy wymyślał imiona. Matthias, jeśli będzie chłopiec, i Sara, jeśli dziewczynka. Matthias, jak wyjaśnił, oznacza „dar Boży”, a Sara – „księżniczkę”.

Nie było powodu wątpić, że mówi poważnie. Nie, on nie żartował. Nagle wszystko się skończyło, stało się czarne; umarłam w duchu, bo uświadomiłam sobie, że będę nosić w sobie jego trzecie dziecko. A jeśli test nie da pozytywnego wyniku dziś, to da go jutro, w przyszłym tygodniu lub za miesiąc. To ja będę ponosić winę za to, że kolejnemu dziecku przyjdzie

doświadczyć tego horroru. Urodzę więźnia, kogoś, kto ledwo przyjdzie na świat, już będzie martwy. Płakałam tak obficie, że czułam, jakby moja twarz się rozpadała.

Do złych dni lub przynajmniej kilku godzin, gdy mój nastrój gwałtownie się obniżał, gdy krzyczałam lub z czystej wściekłości deptałam ich złudzenia, dzieci już się przyzwyczyły. Krzyczałam na Hanne, gdy usiłowała mnie przekonać, żebym wybrała się z nią na wycieczkę, która i tak nigdy się nie odbędzie. Kopałam Pannę Tinky i syczałam na Jonathana, który uwielbiał udawać, że potrafi latać, choć nigdy, nigdy, przenigdy nie wsiądzie do prawdziwego samolotu. Wydzieriałam się na całe gardło: „Nie jestem waszą mamą!”. I darłam się jeszcze głośniej, gdy wydawało mi się, że to ignorują. Moje podłe wybuchy nigdy nie trwały długo. Zaraz potem zwykle się ich wstydziłam, a przynajmniej bałam się, że dzieci powiedzą o tym ojcu, i je przeproszałam.

Dziś nie byłam podła, nie byłam zła – w ogóle mnie nie było. Siedziałam na kanapie, ściskając się rękami, i kołysałam się apatycznie w przód i w tył, już od wielu godzin. Zarówno Hannah, jak i Jonathan podjęli kilka prób przemówienia do mnie. Pytali, kiedy zacznie się lekcja. Prosili, żebym przynajmniej się z nimi pogimnastykowałam, i przypominali, co może się stać, jeśli nie będzie się regularnie ćwiczyć. Zaproponowali mi coś do picia i kawałek batona energetycznego. Żeby mnie pocieszyć, każde z nich przyniosło mi własnoręcznie narysowany obrazek. Ale ja nawet na nie nie spojrzałam. Były to tylko głupie, bezsensowne bazgroły. W którymś momencie zdałam sobie sprawę, że Hannah czyta Jonathanowi grubą książkę.

– Depresja – wyrecytowała z typową dla siebie monotonią w głosie – to zaburzenie psychiczne. Charakterystyczne dla niego są przygnębienie, negatywne myśli i apatia. Często traci się przy tym radość, zdolność działania i empatii oraz ogólne zainteresowanie życiem, koniec.

– Czy to znaczy, że teraz jesteśmy jej obojętni? – zapytał Jonathan, na co Hannah odparła:

– Ty głuptasie. To znaczy, że wszystko jest jej obojętne.

– Więc my także – stwierdził Jonathan i zaczął wydawać z siebie dziwne dźwięki. Był to zapewne jedyny powód, dla którego zwróciłam na nich uwagę. Nie rozpoznawałam tych odgłosów, nie u niego, nie u Hanny. A jednak, mimo swojej dziwności, miały też w sobie coś znajomego. Przypominały mi ból po śmierci ojca, gdy zamknęłam się u siebie w pokoju i płakałam całymi dniami. Przypominały bolesne uczucie, które ogarniało mnie za każdym razem, gdy Kirsten zapierała się, że mówiła o zerwaniu poważnie i że nie ma już powrotu.

Jonathan szlochał.

Zamrugałam oczami, żeby pozbyć się łez. Faktycznie płakał i szlochał tak gwałtownie, że jego mała klatka piersiowa unosiła się i opadała jak przy elektrowstrząsach. Popatrzyłam na jego delikatną, bladą twarz, która wykrzywiła się z bólu; ledwo mogłam znieść ten widok, wyciągnęłam do niego rękę. Chłopiec nie ujął jej, zamiast tego rzucił się na mnie i prawie strącił mnie z kanapy. Początkowo siedziałam całkowicie sztywna w jego uścisku. Nie widziałam wcześniej, żeby któreś z dzieci płakało, nigdy. Możliwe, że do tego czasu przyjęłam, iż nie są w ogóle w stanie okazywać uczuć ani nawet ich nie odczuwają. Jasne, był taki jeden dzień, gdy aparat cyrkulacyjny nawalił, położyliśmy się wtedy razem w wielkim łóżku, trzymałam oboje w ramionach. „Kocham cię, mamo”, powiedziała Hannah. „I będę już zawsze, zawsze, zawsze”. Odparłam na to: „Ja też cię kocham. Dobranoc”. Teraz dostrzegam w tym coś innego, ale wtedy sądziłam, że mówiły tak tylko dlatego, iż dzięki temu ta okropna chwila była nieco znośniejsza. Strach odrobinę mniejszy. W każdym razie dlatego to zrobiłam. Dzieci wzbudzały we mnie uczucia, to prawda. Ale czy kiedykolwiek było to coś więcej niż tylko litość? Wzdrygnęłam się na myśl, że dzieci już dawno mogły mnie pokochać, tak naprawdę, a ja ani tego nie

zauważyłam, ani nie odwzajemniłam. Że wszystko, co kiedykolwiek dla nich robiłam, stanowiło tylko część mojej roli. Że robiłam to ze strachu, że ich ojciec mnie ukarze, jeśli porządnie jej nie odegram.

Nieśmiało położyłam rękę na plecach Jonathana, drugą zaczęłam głaskać go po głowie. Pod palcami czułam jego miękkie loki. Czułam jego ciepły, podenerwowany oddech na swojej szyi i drgania jego drobnego ciała pod wpływem szlochu. Czułam bicie jego serca przy swojej piersi, czułam, jak bardzo go to boli, tak jak wtedy mnie, po śmierci ojca i po rozstaniu z Kirsten. Doświadczał najgorszego możliwego bólu, bólu z miłości.

Popatrzyłam na Hanne, która stała trochę dalej przy regale z książkami, wciąż trzymając w rękach grube tomiszczce. Spodziewałam się, że popatrzy na mnie tymi swoimi lodowatoniebieskimi, wyzywającymi oczami. Spuściła jednak wzrok i wyglądała na zakłopotaną. Tego jej zachowania też nie znałam. Dotąd nie miała problemu z patrzeniem mi prosto w twarz nawet wtedy, gdy świeży siniak pod moim okiem wyraźnie wskazywał na niedawny atak jej ojca; czasem nawet się uśmiechała i mówiła: „Nie jest aż tak źle, mamo. To tylko głupi błąd”. Nie chciała tym jednak usprawiedliwić utraty kontroli przez jej ojca, ale *moje* zachowanie. To *ja* przez nieuwagę zrobiłam lub powiedziałam coś głupiego i za to jej ojciec mnie pobił. Ot, prosta konsekwencja mojej własnej głupoty.

– Już wiem! – zawołał Jonathan.

Chwilę później zeskoczył mi z kolan i zniknął w korytarzu. Kiedy wrócił do pokoju, jego twarz wciąż była czerwona od płaczu, ale promieniał. Chował coś za plecami.

– Mam dla ciebie prezent – oświadczył uroczyście i wyciągnął to coś.

Śnieżna kula.

W środku dostrzegłam mały domek z brązowymi drzwiami, czerwonymi okiennicami i spiczastym dachem. Obok, po prawej i lewej stronie, stały dwie małe choinki.

– Patrz, mamó. – Jonathan potrząsnął kulą i tysiące maleńkich sztucznych płatków śniegu uniosło się i zawirowało, po czym niektóre znów osiadły na dachu domku i czubkach choinek, a reszta pokryła ziemię.

– Patrz, jak tańczą! A my jesteśmy w środku. – Jonathan uśmiechnął się i wskazał na mały domek.

– Czy mogę potrzymać?

Jonathan podał mi kulę.

– Tylko ostrożnie. Jest zrobiona z prawdziwego szkła i bardzo ciężka.

– Bardzo ciężka – powtórzyłam niczym oszołomiona, i była to prawda. Kula swoje ważyła. Cudownie dużo ważyła. – Skąd ją masz?

– Od taty. Hannie podarował Pannę Tinky, a mnie śnieżną kulę. To mój największy skarb.

– I gdzie to dotąd ukrywałeś?

– W naszym pokoju. Pod łóżkiem jest luźna deska, a pod nią dziura. – Uśmiechnął się. – Panna Tinky też się tam czasem chowa, kiedy coś przeszkobie. – Odwrócił się do Hanny, która jednak nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– W waszym pokoju – powtórzyłam, nadal waząc w dłoniach ciężar śnieżnej kuli. W pokoju, w którym byłam setki razy, żeby ścielić łóżka lub opowiadać bajki na dobranoc.

– Tak – potwierdził Jonathan i usiadł na kanapie obok mnie. – Ale teraz chcę ci ją dać.

– Chcesz mi...?

– Tak, bo wciąż jesteś taka smutna, mamó. – Złapał kulę i ponownie nią potrząsnął. Płatki fruwały wokół małego domku. Jonathan uśmiechał się, zamyślony. – To jest nasz szałas. Siedzimy tam i jest ciepło.

Podał mi kulę.

– Widzisz teraz, jak mamy tu dobrze?

– Tak, skarbie, mamy tu naprawdę dobrze.

– A kiedy znów ci się zrobi smutno, mamó, wtedy nią sobie po prostu potrząśniesz.

– Tak, skarbie, tak zrobię.

Łzy stanęły mi w oczach, gdy mocno przytuliłam do siebie Jonathana. Cudowny mały chłopiec, który chciał mnie pocieszyć i dał mi swoją najwspanialszą i jedyną własność.

– Czy możemy już wreszcie zabrać się do lekcji? – zapytała ponurym tonem Hannah, która do tej pory zachowywała się zadziwiająco cicho.

Pocałowałam Jonathana w czoło i powiedziałam:

– Dziękuję. – Spojrzałam na zegar kuchenny (dochodziła czwarta po południu) i wstałam z kanapy. – W porządku, dzieci. Przynieście zeszyty i kredki. Dzisiaj napiszemy dyktando...

W międzyczasie zrobiło się późno, zbliżała się ósma. Nie spodziewałam się już, że tego wieczoru wróci do domu, i chciałam wysłać dzieci do łazienki, żeby przygotowały się do snu. Podczas lekcji śnieżna kula stała na stole. Mój wzrok padał na nią raz za razem i co rusz się uśmiechałam. Jonathan też się uśmiechał, kiedy mnie na tym przyłapywał. Był zapewne bardzo szczęśliwym dzieckiem, które rozpierała duma, bo czuło, że tego dnia dokonało czegoś wielkiego. Wyleczył mamę z chorobliwego smutku. Nie miał zielonego pojęcia...

Wreszcie na zewnątrz rozległ się odgłos kroków, ciężkich kroków na drewnianych schodach, które musiały prowadzić do drzwi naszego szalasu. Dzieci pognały na swoje miejsca na środku pokoju, gdzie były wyraźnie widoczne, i wyciągnęły ręce. Podążyłam za nimi – tuż po tym, jak umieściłam kulę na siedzeniu swojego krzesła, żeby nie wpadła mu w oczy od razu, gdy tylko przejdzie przez próg. Stałam obok dzieci i również wyciągnęłam przed siebie ręce. W tym samym momencie on przekreślił klucz w zamku.

Obserwowałam jego plecy, podczas gdy on zamykał drzwi od środka, i ruch jego ręki, gdy wyciągał z zamka klucz wiszący w pęku z innymi i wkładał go do kieszeni. Wszystko było jak zawsze. Poza tym, że cała stałam się biciem swojego serca, stanowiłam jedność z pulsem, gdy sprawdzał czystość moich paznokci i przy tym podszedł do mnie tak blisko, że wciąż czułam od niego chłód z zewnątrz. Zrobił zakupy, żeby dla uczczenia tego dnia ugotować nam coś pysznego. I kupił też test ciąży, który miał nam dać główny powód do świętowania. Nawet dzieci dostaną pozwolenie, żeby dłużej posiedzieć tego wieczoru; wszystko po to, żeby uczcić ten dzień. Wydawał się bardzo pewny tego, jak wypadnie test.

– Wszystko w porządku, Leno? – zapytał, przechodząc obok mnie, żeby położyć torby z zakupami na blacie w kuchni.

– Tak, tak – zapewniłam go szybko, stając między nim a swoim krzesłem i zasłaniając śnieżną kulę na siedzeniu. Dziś był ten dzień. Będę wolna albo umrę, czułam to, czułam to z każdym uderzeniem serca. I byłam przerażona, niesamowicie przerażona. Strach spowijał moje ciało jak folia, coś nieprzeniknionego, co mnie ścisnęło i ogłuszało.

Dalej wszystko potoczyło się automatycznie. Przysięgam, nie pamiętam, w którym momencie sięgnęłam po śnieżną kulę. Rozpakowywał właśnie torby z zakupami? Czy może ruszał pogrzebaczem w piecu? Widzę go przed sobą, jest odwrócony do mnie tyłem, pochyla się. Zbliżam się do niego. Kula śnieżna w mojej dłoni waży tonę, ledwie mogę ją utrzymać, mimo to udaje mi się wziąć szeroki zamach.

Gdzie w tym momencie są dzieci? Czy Hannah nie stoi metr ode mnie i nie wydaje ostrzegawczego krzyku, którego nie słyszę, bo nic nie może już przebić mojej folii? Tak, widzę ją kątem oka, ale usta ma zamknięte. Hannah patrzy w milczeniu i nie robi nic, kiedy śnieżna kula zakreśla w powietrzu niebezpieczny, szeroki łuk.

A Jonathan? Jonathan też musi tu być. Jestem pewna, że nie wychodził z pokoju. Może biega jeszcze wokół kanapy, paplając z podniecenia. Tata

już jest i Jonathan się z tego cieszy. Tata rozpali w piecu i sprawi, że w szałasie zrobi się ciepło i przyjemnie. Tata ugotuje nam coś pysznego. Co za szczęście, że tata tu jest.

W tej sekundzie twój mąż się zbiera, już ma się odwrócić – za późno, dudnienie, *pamm!* – tak jak wtedy, gdy upuści się na ziemię arbuza. Czy wydaje z siebie jakiś dźwięk? Jęczy z bólu czy może krzyczy? Nic nie słyszę poza szumem krwi w uszach i tęnym, wstrząsającym *pamm!* Uderzam go, trafiam raz, a mocno, wystarczająco mocno, żeby złożył się wpół jak marionetka, której odcięto sznurki. To wystarczy, leży teraz na podłodze, ale ja najwyraźniej się tym nie zadowolam. Wałę go i wałę, jeszcze i jeszcze, aż szkło śnieżnej kuli pęka na jego czaszce. Muszę na nim klęczeć, rozbitą kulą wciąż wałę go po głowie, ostre szklane krawędzie rozdrapują mu twarz. Krew, wszędzie musi być krew.

Opadam na plecy z narzędziem mordy w ręce, dzieci wchodzą w moje pole widzenia. Stoją tam, wrośnięte w ziemię. Hannah z nieruchomą, pustą twarzą. Jonathan przerażony. Łzy spływają mu po twarzy, usta ma otwarte z niedowierzania. Jego ramiona zwisają bezwładnie wzdłuż drobnego ciała. Oczy, to jego spojrzenie. Kula śnieżna była jego prezentem dla mnie, jego największym, najważniejszym skarbem, własnością, z której był najbardziej dumny. Jego śnieżna kula zabiła mu ojca. To *on* zabił swojego ojca, bo mi ją dał. Jego usta układają się bezgłośnie: „Mamo”.

Puszczam kulę. W moich wspomnieniach uderza z brzękiem o podłogę. W moich wspomnieniach dopiero teraz pęka. Ten odgłos przedziera się przez folię, alarmuje mnie. Padam na kolana obok nieruchomego ciała i z kieszeni jego spodni wyciągam pęk kluczy. O Boże, czy on się poruszył? Nie może być, nie może być, on nie żyje, co później stwierdzi policja. Znów się cofam. Klucze dzwonią w mojej dłoni. Biegnę do drzwi szałasu, drżącymi palcami sprawdzam klucz za kluczem, wkładając je po kolei do zamka, w końcu jeden z nich pasuje. Pasuje! Drzwi otwarte!

– No chodźcie, dzieci! – krzyczę. – Dalej!

Dzieci jednak nie ruszają się z miejsc. Stoją sztywno przy nieruchomym ciele swojego ojca.

– Chodźcie już! Musimy iść!

Jak w zwolnionym tempie widzę Jonathana padającego na kolana obok taty. Jego tułów pochyła się do przodu, drga. Chłopiec szlocha cicho, z bólu, z miłości.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Patrzę na Hannę, która wciąż tam stoi, sztywna i z twarzą bez wyrazu.

Dyszę. Już nie myślę, a jeśli tak, to tylko o jednym: *uciec stąd!* Moje nogi zaczynają się poruszać. Potykam się na drewnianych schodach prowadzących przez wąską werandę. Uderza mnie ciemność i lodowate powietrze. Przez chwilę zapominam oddychać, moje płuca wydają się zablokowane obcością tego powietrza, prawdziwego, świeżego powietrza.

Biegnę. Po zarośniętej trawą działce, która otacza szafas, po czym wpadam do graniczącego z nią lasu. Gałęzie drapią moją skórę, w ciemności ledwo widzę, pod stopami rozlegają się suche i głośnie trzaski. Miotam się, rozsuwam gałęzie, czasem walę w pustkę, potykam się, upadam, ból. Podnoszę się – *dalej, coraz dalej, jak najdalej stąd.*

Tam, nagle, za mną. Czy coś trzasnęło? Czy on wstał, czy mnie ściga?

Szybciej, biegnij!

Biegnę, potykam się, ślizgam, uderzam w pień drzewa.

Dalej, nie zatrzymuj się!

Trzaśnięcie za mną.

Przede mną, w pewnym oddaleniu, między drzewami, czy to światło?

Dwa światełka, malusieńkie, ale są. Ruszają się. Reflektory samochodu?

Biegnę w ich stronę – *Dalej, nie zatrzymuj się!* Droga, tam jest droga! Wyciągam ręce i macham. Samochód, naprawdę, nadjeżdża samochód! Biegnę do niego, macham, auto jest już blisko, bliżej – a potem... ogłuszający huk. Przed oczami eksplodują mi jaskrawe kolory. Powieki trzepoczą. Leżę na czymś twardym i zimnym. Straszliwie marznę.

Zauważam nad sobą jakiś ruch. Ktoś tam jest. Pochyliła się. Kierowca samochodu. Jego głos nie pasuje do twarzy, kiedy woła:

– Pani Grass? Pani Grass! Tylko spokojnie, pani Grass!

Matthias

Tego wieczoru nie mogę zaznać spokoju. Niczego bardziej nie pragnę niż tego, żeby szybko zasnąć i żeby szybciej było jutro; nowy, lepszy dzień. Obok mnie w łóżku leży Karin, która ledwo słyszalnie prychna przez sen, a także niespokojnie, raz za razem, przewraca się z boku na bok. Ale przynajmniej śpi, szczęściara.

Spodziewałem się czegoś innego, to jasne. Odniosłem wrażenie, że jakaś niewidzialna siekiera rozłupała mi klatkę piersiową i ktoś z pełną premedytacją wyrywał mi serce, kiedy Hannah po naszym przybyciu powiedziała: „Ale to wcale nie jest mój dom, dziadku”. I jakże zdawała się przy tym rozczarowana. Najwyraźniej sądziła, że zabiorę ją z powrotem do tego szałas. Podczas gdy mnie z początku odebrało głos, Karin udało się improwizować.

– Masz rację, Hanno – powiedziała, jakby mówiła najoczywistszą rzecz pod słońcem. – To jest nasz dom, twojego dziadka i mój. Twoja mama długo z nami mieszkała. Dlatego pomyśleliśmy, że chciałybyś nas tu odwiedzić. Chcesz zobaczyć jej stary pokój?

– Tak. – Hannah skinęła głową i pozwoliła Karin wziąć się za rękę i poprowadzić na piętro. Powlokłem się za nimi w pewnej odległości.

Mówiąc dokładniej, ten pokój to tylko szkielet dawnego pokoju Leny. Sosnowe łóżko, szafa, masywny zestaw stereo, który dostała na Gwiazdkę, kiedy odkryła muzykę, biurko i obrotowe krzesło do kompletu stoją na swoich dawnych miejscach. A na suficie nad łóżkiem wciąż są przyklejone naklejki z gwiazdami, które świecą w ciemności – sentymentalny relikw

z czasów podstawówki. W tamtym czasie Lena zrobiła sobie własne rozgwieżdzone niebo.

– Czy to nie głupie, że na dworze gwiazdy widać tylko nocą, tatku? O wiele przyjemniej zasypia się pod gwiazdami, prawda?

– Tak, Lenko, to prawda – przyznałem i pomogłem jej przykleić gwiazdy na nieosiągalnej dla niej wysokości. Lena w tym czasie instruowała mnie z dołu.

Liczne plakaty, które pokrywały ściany, dawno temu trafiły na makulaturę. Zdjęta została też korkowa tablica z barwnym miszmaszem zdjęć zrobionych polaroidem i biletów z koncertów. Ubrania, które niegdyś wisiały w szafie, zostały posortowane. Komoda i dywanik przy łóżku są nowe; Karin kupiła je, pragnąc urządzić tu pokój gościnny lub przynajmniej pokój bez duchów. Tak samo jak zasłony i białego storczyka w doniczce na parapecie, którego z lubością pielęgnuje.

Hannah niepewnym krokiem dotarła na środek pokoju i ogarnęła go wzrokiem.

– Jest bardzo duży – stwierdziła, po czym wróciła do drzwi i zaczęła go mierzyć, naprzemiennie stawiając jedną stopę przed drugą, piętą do palców. – Dwadzieścia osiem kroków pomiarowych – powiedziała, gdy dotarła do ściany.

– Podoba ci się tu? – zapytałem z nadzieją, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

Kiedy pokazywałem jej biurko, musiałem przypominać zdesperowanego sprzedawcę mebli, który tego dnia nie dokonał jeszcze żadnej transakcji.

– Tylko popatrz! Idealne miejsce do nauki. Krzesło jest bardzo wygodne. Chcesz wypróbować? Chodź, usiądź tutaj. A jeszcze to, popatrz! Mamy tu blok i kredki specjalnie dla ciebie, jeśli tylko najdzie cię ochota, możemy jutro albo któregoś następnego dnia kupić ci kilka książek. Albo Karin, to znaczy twoja babcia, może zajrzeć do piwnicy, czy w którymś pudle nie zostało jeszcze kilka podręczników twojej mamy, a potem...

– Matthias – odezwała się Karin spod drzwi i przywołała mnie ręką do siebie. – Daj jej najpierw trochę ochłonać.

Wzdychając, spełniłem jej prośbę i stanąłem obok niej.

– Co ty sobie w ogóle myślałeś? – wysyczała do mnie z boku.

Chodzi jej o to, że powiedziałem Hannie, że zabiorę ją do domu. Nikt nie był bardziej rozczarowany tym nieporozumieniem niż ja sam.

– Gwiazdy – odezwała się nagle Hannah. Stała teraz przy łóżku Leny i z uśmiechem zadzierała głowę. Ten uśmiech dodał mi odwagi.

– Tak. Twoja mama bardzo chciała mieć własne rozgwieżdzone niebo, więc je jej wykleiliśmy. Karin, zgaś światło. – Ponieważ w pokoju Leny były zaciągnięte rolety dla ochrony przed reporterami kłębiącymi się na zewnątrz, gwiazdy rozświectliły się, gdy tylko pstryknął wyłącznik, całe morze fluorescencyjnie zielonych gwiazd, dużych, małych, z ogonami i bez.

– Mnie też mama zrobiła w domu rozgwieżdzone niebo. Ale świecełki nie świecą.

– Namalowała ci gwiazdy? – Napawające ciepłem uczucie natychmiast zasklepiło moją rozdartą pierś. Jaką cudowną, kochającą matką musiała być moja Lenka.

– Tak, pod spodem na ramie łóżka Jonathana. Kiedy leżę u siebie, wystarczy, że podniosę rękę, i wtedy mogę ich nawet dotknąć. I są takie piękne, nawet jeśli nie świecą. Są niebieskie, zielone i czerwone. Tylko tych żółtych nie widać za dobrze na drewnianej ramie, ale i tak wiem, że tam są.

– Powiedz, chciałabyś może spać dzisiaj w nocy tutaj, w tym pokoju? Pod świecącymi gwiazdami twojej mamy?

Hannah nie odpowiedziała, w szczątkowym świetle, wpadającym tu przez szparę w drzwiach, odniosłem jednak wrażenie, że kiwa głową. Już myślałem, że to będzie ta chwila, moment połączenia, który splecie ze sobą wszystkie luźne wątki. Gwiazdy na suficie, które jej mama zostawiła tu

niczym ślad. Gwiazdy, które teraz na swój własny, cichy sposób musiały przekonać Hannę, że ona też tu należy.

Myliłem się jednak. Podczas kolacji zapytała:

– Jak długo muszę tu zostać, zanim będę mogła wreszcie wrócić do domu?

Znów liczyłem na Karin, ale zdaje się, że tym razem nawet ona na nic nie wpadła.

– Hanno – spróbowałem po chwili. – Policjanci zabezpieczali szafas. Na drzwiach przykleili coś takiego, co oznacza, że nie wolno tam już wchodzić.

Hannah opuściła kanapkę z masłem, którą ugryzła kilka razy.

– Już nigdy więcej?

– Sądzę, że nie.

– Ale dlaczego?

– Hanno... – zacząłem, nie wiedząc, co właściwie chcę powiedzieć, Karin mi jednak przerwała:

– Ponieważ działały się tam złe rzeczy.

Ścisnęło mnie w środku i posłałem Karin strofujące spojrzenie. Dopóki Hannah nie rozumie, co naprawdę działo się w szafasie, sądzą, że należy to zostawić specjalistom, żeby ostrożnie jej to wyjaśnili. A fakt, że do tej pory im się to nie udało, tym dobitniej świadczył w moim przekonaniu o tym, że należy się z nią delikatnie obchodzić. Nie mogłem jednak wytoczyć tego argumentu przeciwko Karin, bo natychmiast by mi przypomniała, jak często ostatnimi czasy nazywałem specjalistów niekompetentnymi idiotami.

Ku mojemu zaskoczeniu Hannah natychmiast przytaknęła.

– I tak nie sądzą, żeby Jonathanowi udało się usunąć z dywanu wszystkie plamy.

Karin głośno wciągnęła powietrze.

– Mimo wszystko musimy tam pojechać, dziadku. Z powodu Panny Tinky. Ona nawet nie wie, że ten szalas nie może być już naszym domem.

– Zrobimy to, Hanno. Nie ma problemu – zapewniłem ją, za co teraz to ja otrzymałem od Karin ostrzegawcze spojrzenie.

Nie śmiem nawet wątpić w to, że Hannie będzie u nas dobrze. Że w końcu wszystko się ułoży. A jednak najzwyczajniej w świecie nie mogę się tej nocy uspokoić. Nie chcę poświęcać zbyt dużo uwagi tej jednej, małej, dręczącej mnie wątpliwości. Karin nie może mieć przecież racji, twierdząc, że nigdy nie zostaniemy rodziną. Nie będziemy nią znów, taką jak kiedyś... Głowiąc się nad tym, musiałem w końcu zasnąć.

Przyzwyczałem się, że Karin nie przesypia nocy. Nie robiła tego od lat, od zniknięcia Leny. W pewnym momencie, w środku nocy, po prostu wstaje z łóżka. Idzie do łazienki, do kuchni, żeby wypić szklankę wody lub zrobić sobie herbatę, albo do salonu, żeby trochę poczytać, aż znów zaciągną jej powieki. Dla mnie kroki na schodach i szum wody są po tylu latach tylko tłem. Ledwie otwieram oko, co najwyżej zmieniam leniwie pozycję.

Dzisiejszej nocy zrywam się jednak z łóżka przerażony.

Krzyk.

Ręką sięgam do włącznika lampki nocnej.

Krzyk, głos Karin.

Zrywam się z łóżka, krążenie ledwo nadąża. Muskam stopami podłogę.

Krzyk dobiega z dołu. Coś się wywraca, może krzesło. Jadalnia, tak obstawiam.

Na chwiejnych nogach docieram do drzwi sypialni.

„Ktoś jest w domu”, myślę sobie. Ktoś ma Karin. „Broń – myślę – potrzebuję jakiejś broni”. Nie mam jednak żadnej. Do głowy przychodzi mi tylko pogrzebacz na stojaku przy kominku, ale kominek jest w jadalni, gdzie, jak sądzę, znajduje się też Karin.

Kuśtykam po korytarzu, przez chwilę, gdy myśl o Hannie wypiera tę o obronie Karin, próbuję zakraść się do dawnego pokoju Leny. Małej

przecież nic nie może się stać.

Potem znowu słyszę Karin i zatrzymuję się.

– Co ty, do diabła, wyrabiasz?! – krzyczy Karin. I otrzymuje speszoną odpowiedź:

– Niegrzecznie jest komuś nie odmachać.

Hannah! To Hannah jej odpowiedziała.

Pędem pokonuję resztę korytarza do klatki schodowej, potem zbiegam na dół i gnam korytarzem do jasno oświetlonej jadalni. W środku zastaję Karin trzymającą Hannę za rękę.

– Co się dzieje? – pytam, rozglądając się z niedowierzaniem. Żadnego włamywacza, żadnej walki, tylko Hannah i Karin.

– Przyłapałam ją przy oknie!

Gdy zauważam twarz Hanny, wykrzywioną się od silnego uścisku Karin, doskakuję do nich i odrywam zaciśnięte palce żony od chudego ramienia Hanny.

– Nie wiedziałam, że nie wolno podchodzić do okien. Przepraszam.

– Oczywiście, że wolno podchodzić do okien, Hanno – uspokajam ją i próbuję stworzyć między nimi dystans, łapiąc Karin za ramię i odciągając ją od Hanny. – Co się stało?

– Kiedy zeszłam na dół po szklanke wody, usłyszałam ją tu, przez roletach. Myślałam, że to włamywacz – mówi Karin bez tchu. Prowadzę ją do stołu i delikatnie sadzam na krześle. Drży. – Mówi, że ktoś rzucał kamyczkami w jej okno.

– Tak było. Nie kłamie – zapewnia Hannah. – Nie mogłam tylko zobaczyć, kto to, więc zeszłam na dół. Stąd jest lepszy widok na zewnątrz.

– W takim razie mieliśmy prawdziwe szczęście, że tylko wyjrzałaś przez okno, a nie od razu otworzyłaś drzwi, żeby popatrzeć – stwierdza Karin sarkastycznym tonem, opierając łokcie na stole i składając dłonie przed czołem.

– Ktoś kreci się pod domem? – Jak automat doskakuję do kominka po pogrzebacz.

– Nie, nikogo tam już nie ma – stopuje mnie Karin. – Hannah zapewne skłoniła go do ucieczki, gdy tak przyjaźnie mu pomachała.

– Karin, daj spokój, proszę cię – mówię i kiwam głową w stronę Hanny.

W koszuli nocnej z darów, która jest na nią zdecydowanie za duża i jednocześnie zdecydowanie za cienka na jesienną pogodę, wygląda wystarczająco żałośnie. Ponadto jej głowa zwisa ciężko, co przy jej wąskich, zwiotczonych ramionach tym bardziej zwraca uwagę.

– Hanno. – Podchodzę do niej i staram się paść przed nią na swoje stare kolana. – Powiedz mi, co się stało, dobrze?

– Ktoś stał w ogrodzie i rzucał czymś w moje okno. Na początku myślałam, że zaczęło padać. Przypominało to taki drobny, cichy brzęk. Potem jednak pomyślałam, że lepiej będzie to sprawdzić. Ponieważ widziałam tylko cień, zeszłam na dół, do drugiego pokoju.

– I ktoś stał pod oknem?

Kiwa głową.

– Pomachaliśmy do siebie.

– Widziałaś, kto to?

– Na dworze jest wciąż bardzo ciemno.

Łagodnie głaszczę ją po ramieniu.

– Nie bój się. Zaraz to sprawdzę. Idź teraz na górę do swojego pokoju i połóż się spać, dobrze?

Hannah ponownie kiwa głową i mówi przez ramię, w połowie zwrócona do Karin:

– Przepraszam. Obiecuję, że nie podejść więcej do okna bez pozwolenia.

Kiedy Karin tylko na to wzdycha, mówię zamiast niej:

– Już dobrze, Hanno. Nie zrobiłaś nic złego. Wszystko w porządku. Teraz migiem do łóżka. Pójdziemy na górę zaraz po tobie.

Wlepiam wzrok w Karin, słuchając drobnych, ostrożnych kroków Hanny oddalającej się po schodach. Kiedy podejrzewam, że jesteśmy już poza zasięgiem jej słuchu, podchodzę do Karin i mówię:

– Jak możesz?

– Proszę cię – warczy, splatając dłonie.

– Może miała po prostu zły sen. A ty się na nią rzucasz!

– Albo jest dokładnie tak, jak się tego obawiałam. – Wyprostowana dłoń Karin uderza o blat stołu, głucho i bezsilnie. – Jakieś sępy z prasy zakwaterowały się na noc pod naszym domem.

– Cóż za bzdura. Zabrali się stąd krótko przed dziewiątą. Słyszeliśmy, jak odjeżdżali. A kiedy później sprawdzałem, na ulicy nikogo nie było. Zrozumieli, że nic tu po nich.

Karin ignoruje moją uwagę.

– A Hannah wabi tych ludzi, pozując do zdjęcia i radośnie machając! Mówiłam ci, Matthiasie! Mówiłam ci od początku, że tego nie chcę. Nie chcę codziennie oglądać w gazetach tekstów na nasz temat. – Karin zrywa się z miejsca tak gwałtownie, że jej krzesło prawie się wywraca. W ostatniej chwili łapie za oparcie i przysuwa je z powrotem do stołu.

– Dla pewności jeszcze się rozejrzę – mówię, po czym odwracam się do kominka i zdejmuję z uchwyty pogrzebacz. – Wyjaśnię to, jeśli coś jest w ogóle do wyjaśnienia. A ty idź już do Hanny. Ale bądź dla niej miła, Karin, dobrze?

Na dworze panuje cisza, jeśli nie liczyć ptaków, które o świcie zaczynają trele. Zastygam na szczycie czterech stopni prowadzących do drzwi wejściowych. W rękę trzymam pogrzebacz. Przebiegam wzrokiem przez ogród przed domem. Furka jest zamknięta, nic nie wskazuje na to, że kilka minut wcześniej ktoś chodził po naszej posesji. A poza krzakami róż nie ma tu innych krzewów czy drzew o grubych pniach, za którymi jakiś intruz mógłby się schować. Mały ogródek przed domem jest dobrze widoczny

nawet o zmierzchu i panuje w nim spokój. Tak jak podejrzewałem, Hannah miała tylko zły sen.

Matthias

Nie wiem, co się dzieje z Karin. Zaczyna się już przy śniadaniu. Hannah je tylko kromkę chleba z masłem, tak samo jak poprzedniego dnia wieczorem – no i? Tak, Karin myślała, że sprawi Hannie przyjemność – coś jej *zaoferuje* – przyniosła więc z kuchni słoik nutelli i postawiła go na stole w jadalni.

– Słyszałam, że wszystkie dzieci kochają nutellę – powiedziała, konspiracyjnie mrugając do Hanny.

Ale po przestudiowaniu składu Hannah odsunęła słoik daleko od siebie.

– Nie powinno się spożywać zbyt dużo cukru. Nadmierne spożycie cukru i produktów o znacznej jego zawartości może powodować następujące objawy: zmęczenie, brak energii, niepokój, problemy żołądkowo-jelitowe, wzdęcia, biegunki lub zaparcia, nerwowość, zaburzenia snu i koncentracji oraz próchnicę.

Usta Karin ułożyły się w nieforemny uśmiech, po czym wzięła słoik i wróciła z nim do kuchni, gdzie włożyła go z powrotem do spizarni, obok tabliczek czekolady, torebki żelowych misiów i opakowań ciastek, które kupiła, gdy tylko się dowiedziała, że Hannah do nas przyjedzie. Rozumiem jej rozczarowanie. Chciała dobrze. Ale czy nie mogła poprzestać na odstawieniu tego słoika?

Najwyraźniej nie, bo zaczyna pociągać nosem. Słysząc to nawet w jadalni. Położyłem już ręce na blacie, żeby wstać i udać się do niej do kuchni. Zmieniam jednak zdanie. Hannah siedzi po drugiej stronie stołu i na mnie patrzy. Na talerzu przed nią leży goła kromka chleba, której nie tknęła po tym, jak Karin wypadła do kuchni.

– Z samym masłem? – pytam.

Hannah kiwa głową.

Sięgam przez stół i przyciągam sobie jej talerz, żeby posmarować kromkę.

– Dziękuję – mówi bardzo uprzejmie, kiedy ją jej podaję.

– Możesz zaczynać, Hanno. Ja zajrzę tylko na moment do babci.

– Czy nie możemy w spokoju zjeść razem śniadania?

Staram się szeptać, żeby Hannah nie dosłyszała, ale nawet w moim przytłumionym głosie pobrzmiwa wyraźnie surowość, która zaskakuje zarówno Karin, jak i mnie samego.

– To nie dla mnie, Matthias. – Karin wskazuje niejasno w górę. Lampa sufitowa rzuca w pomieszczeniu zimne, białe światło, niezwykle jak na tę porę dnia. A żeby być dokładnym, we wszystkich pomieszczeniach, bo w całym domu rolety są opuszczone.

– Nie ma ich nawet w połowie tyłu co wczoraj, Karin – nawiązuję do dziennikarzy, którzy bezsensownie tracą czas, stojąc na chodniku. Kiedy około wpół do siódmej rano wyjmowałem ze skrzynki gazetę, nikogo tam nie było; pomyślałem, że tak pozostanie, ale pierwszy samochód zaparkował chwilę po ósmej.

– Tak. – Karin śmieje się szyderczo. – Już dzisiaj w nocy zrobili zdjęcie Hannie.

– Nie zaczynaj znowu, proszę. Zeszłej nocy nikogo tu nie było. Hannah miała zły sen. I widziałaś przecież dzisiejszą gazetę. Nie ma w niej zdjęcia machającej Hanny, tylko... – Przerywam, kiedy to do mnie dociera. Ale nie chcę teraz dyskutować o tym, czy artykuł, w którym „Bayerisches Tagblatt” piętnuje obecne zachowanie policji, jest uzasadniony, czy nie. – Posłuchaj mnie, Karin – mówię zamiast tego. – Mnie też nie jest łatwo. Ale teraz liczy się tylko to, żebyśmy się dowiedzieli, kim był ten facet i co zrobił naszej córce. – Zasycha mi w gardle. – I gdzie się jej pozbył.

– O to ci chodzi, tak? – Oczy Karin wciąż błyszczą, zawilgotniałe, ale na jej twarzy maluje się coś dziwnie złowrogiego.

– Tak, oczywiście. Do czego pijesz?

– Nawet nie spytałeś Marka, czy spotkał się już z Gerdem.

– Dowiedziałbym się tego od Gerda.

Karin unosi przed sobą rękę.

– Nawet tego nie zauważasz!

– Nie tak głośno – syczę i wyglądam zza rogu otwartego przejścia. Hannah patrzy prosto przed siebie, powoli przeżuwając kanapkę. Na szczęście siedzi z boku, więc jej tępy wzrok mija nas i co najwyżej natrafia na kominek w jadalni.

– Czego nie zauważam? – Odwracam się do Karin.

– Gerd już z tobą nie rozmawia, jeśli nie jest do tego absolutnie zmuszony. A ten dzisiejszy artykuł w gazecie utwierdzi go w przekonaniu, że to słuszna decyzja.

– Gerd ze mną nie rozmawia? Ach tak? Chyba coś źle pamiętam. Bo wydaje mi się, że tamtej nocy, gdy panią Grass przywieziono do szpitala, od razu do mnie zadzwonił.

– Zadzwonił do *nas*, Matthiasie. I z pewnością bardzo tego żałuje. Nie chciał, żebyśmy jechali do szpitala w Cham. To *ty* o tym zdecydowałeś.

– Nie, to *my* o tym zdecydowaliśmy. – Skołowany kręcę głową. – Dlaczego teraz w ogóle rozmawiamy o Gerdzie? Pytałem cię, dlaczego robisz scenę z powodu słoika nutelli.

Broda Karin zaczyna drżeć.

– Bo twierdzisz, że chodzi o Lenę. Ale to nieprawda. Już nie. Teraz wszystko kręci się wokół Hanny.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Nie pojmuję, jak ona może. Moja Lenka, mój cały... Jedyne myśl, że to Karin przede mną stoi, Karin, kobieta, której mężem jestem od blisko czterdziestu lat, powstrzymuje

mnie przed sięgnięciem po obelgi. Gerda, Giesnera i Marka Sutthoffa z miejsca przywołałbym do porządku za tę zniewagę.

– Hannah to wszystko, co nam jeszcze pozostało – mówię zamiast tego i jednym tchem dodaję: – I Jonathan. – Nie zamierzam dawać jej kolejnego pretekstu w tej koszmarnej rozmowie.

Karin jednak nie chce nic załagodzić.

– Skąd niby możesz to wiedzieć? – pomstuje i pomstuje, podczas gdy ja syczę: „Cii”, i dla pewności jeszcze raz wyglądam zza winkla na Hannę. – Wciąż nie znaleźli zwłok Leny! Co, jeśli...?

– Karin. Wiemy, że ona nie żyje – przerywam jej, gdy zdaję sobie sprawę, że Hannah nadal siedzi przy stole, grzeczna i niewzruszona, żując chleb.

– Niby skąd? Kiedy Gerd zadzwonił do nas dwa tygodnie temu, w noc tamtego wypadku, nie wątpiliśmy, że Lena może nadal żyć!

– Karin, proszę...

– A ty nie robisz nic, żeby pomóc!

– Że co?

– Już dawno mogłeś wypytać o nią Hannę!

– Nie jestem psychologiem, Karin! Nie sposób ocenić, co można spowodować, jeśli...

– Czy to nie ty mówiłeś, że ci tak zwani specjaliści nie mają o niczym pojęcia? I mimo wszystko czujesz się wystarczająco obeznany z psychologią, żeby sprowadzić ją do naszego domu – wtrąca.

– Karin, już dobrze. – Robię krok w jej stronę i chwytam ją za ramiona. – Obiecuję, że zadzwonię później do Marka. I do Gerda też. Ale usiądź teraz z Hanną i ze mną przy jednym stole i zjedzmy śniadanie. Dobrze?

Karin otwiera usta, ale najwyraźniej zmienia zdanie, bo tylko lekko kiwa głową. Chwytam ją za rękę i ciągnę do jadalni. Ale Hannah już nie siedzi na swoim miejscu.

– Gdzie ona jest?

– Na pewno w toalecie – odpowiada Karin, ale ja dobrze wiem, że to nie może być prawda.

– Hanno! – Pędzę przez jadalnię do przedpokoju.

– Zobaczę na górze – mówi Karin, która wyszła za mną i teraz drepcze po schodach.

Toaleta dla gości w głębi przedpokoju jest pusta. Ponownie zamykam drzwi, które otworzyłem sekundę wcześniej. Oczywiście nie poszła do łazienki. To nie jest jej pora, ani też nie sposób, żeby oddalić się gdzieś bez pytania. Pewnie się przestraszyła, kiedy usłyszała kłótnię między mną a Karin. Od razu myślę o Lence, która też nienawidziła, gdy się kłóciliśmy. Zawsze się wtedy chowała, przeważnie w dużej szafie w przedpokoju. Siedziała tam, obejmując kolana, i czekała, aż będziemy jej szukać i wreszcie ją znajdziemy. Jakby swoim zniknięciem chciała nas odciągnąć od kłótni. O sprzęty domowe, na które wtedy z trudem udawało nam się uciuć trochę pieniędzy, o kancelarię, która jeszcze nie do końca działała, o wychowanie córki, zmywanie, składane, a później zapomniane obietnice, i o te wszystkie drobiazgi, które czasem daje się tak rozdmuchać.

Ostrożnie podchodzę do antycznej szafy z drewna jodłowego, która stoi pod schodami i w której Karin trzyma nieużywane na co dzień kurtki i płaszcze. Wspomnienie...

Wreszcie cię znalazłem.

Martwiłeś się o mnie, tatku?

I to jak, kochanie!

To dobrze...

Już mam otworzyć drzwi szafy, kiedy Karin schodzi z piętra.

– Jest w swoim pokoju!

Moje serce natychmiast wraca na swoje pierwotne miejsce, uśmiech na moich ustach drga; co za ulga, a jednocześnie pewne rozczarowanie. Być może nawet chciałbym znaleźć Hannę w szafie.

Martwiłeś się o mnie, tatku?

I to jak, kochanie...

– Wejdiesz, proszę, na górę, Matthiasie?

Postawiłem już stopę na pierwszym stopniu, kiedy kątem oka dostrzegam jakiś ruch, płasa niczym cień za matową szybą frontowych drzwi. Nawet się nie zastanawiam. Doskakuję do wejścia i gwałtownie otwieram drzwi; w tym momencie jakaś kobieta stawia na naszej wycieraczce duże pudło zaklejone taśmą.

– P-panie B-beck... dzień dobry – jąka się. Wydaje się równie zakłopotana jak ja. Wystraszona cofa się o krok.

Zgiełk wprawił w ruch tłumek kłębiący się przed naszą furtką, aparaty stukają jak klawisze maszyny do pisania, pytania lecą w moim kierunku jak pociski.

– Jak się czuje dziewczynka, panie Beck?

– Co z chłopcem, panie Beck?

– Są jakieś wieści o miejscu pobytu pana córki, panie Beck?

– Czy to prawda, że czuje się pan zawiedziony działaniami policji?

Moje spojrzenie krąży między brązowym kartonowym pudłem u moich stóp, kobietą, która niepewnym krokiem wycofuje się po schodkach do ogrodu, i ryczącą sforą za płotem.

– Czy Hannah będzie teraz mieszkać z panem na stałe, panie Beck?

– Jonathana także pan do siebie weźmie?

– Panie Beck! Panie Beck!

I wtedy dochodzi do wyładowania, do przypominającej błyskawicę erupcji zwątpienia, krzyczę na całe gardło:

– Wynoście się stąd, wy świnię, bo zadzwonię na policję i pozwę was wszystkich o nękanie!

Kopię ciężkie pudło stojące na naszej wycieraczce, kopię je za kobietą, która w międzyczasie dotarła już do czwartego stopnia i kontynuuje teraz swoją ostrożną akcję odwrotu po płaskiej powierzchni brukowanej ścieżki.

Znam ją. Rozpoznaję po rudych włosach i jasnoniebieskim płaszczu. Była tu wczoraj, kiedy przyjechaliśmy z Hanną z ośrodka.

– Zostaw nas w spokoju – warczę na nią, a potem znikam w domu i głośno zatraskuję za sobą drzwi.

– A więc taki nagłówek znajdziemy jutro w gazecie.

Ponury głos Karin dochodzi ze szczytu schodów. Opadły z sił odwracam do niej głowę.

– Przepraszam.

Moja żona przewraca oczami.

– Zawsze to samo. Nawiasem mówiąc, Hannah zamknęła się w swoim pokoju. Może teraz ty spróbujesz.

– Co zrobiła?

– Zamknęła się. Dobrowolnie.

Jasmin

Budzę się, wprawdzie nie za dziesięć siódma i nawet bez jego głosu w swojej głowie, ale z podobnym do kaca uczuciem, które natychmiast przypomina mi o wczorajszym wieczorze. Macam miejsce, gdzie powinna leżeć Kirsten, ale dociera do mnie, że zamierzała wrócić rano do siebie i nakarmić Ignaza, a potem miała zrobić nam zakupy. Najwyraźniej już jej nie ma, bo nie słyszę żadnych odgłosów z łazienki ani z kuchni. Może nawet dobrze, że jestem sama; to rodzaj wytchnienia. Gdy wróci, zadzwonimy do „Chama”. Muszę obejrzeć zrekonstruowaną twarz. Trzeba to zrobić, to jasne. Zwłaszcza że ostatniego wieczoru pojawił się kolejny, pilny powód, dla którego powinnam się z nim spotkać.

– To może być ważna informacja, pani Jasmin – powiedziała doktor Hamstedt. – Może nawet pomóc ustalić tożsamość i motyw porywacza. Wydaje się to bardzo osobiste, nie sądzi pani?

– Albo ten ktoś po prostu śledzi doniesienia w gazetach i teraz sobie ze mnie żartuje.

– Może być i tak. Niemniej jednak uważam, że powinna pani jak najszybciej porozmawiać z nadkomisarzem Giesnerem.

Samo myślenie o tym sprawia, że z miejsca chciałabym się położyć z powrotem na poduszkę i spać dalej. Ale jak bym mogła, Leno, skoro spoglądasz na mnie ze ścian w setkach wersji? Zachęcająco, wymagająco... Skoro uśmiechasz się do mnie z tych wszystkich zdjęć w niezliczonych artykułach, które tu rozwiesiłam? Uznaję więc swoją porażkę i wstaję.

Mieszkanie rzeczywiście jest puste, Kirsten już nie ma. Wciąż ociężale wchodzę do kuchni, napełniam szklanek wodą z kranu i biorę środki przeciwbólowe, jak zawsze o połowę więcej, niż to konieczne. W mojej głowie jeszcze raz rozgrywa się wczorajszy wieczór. Moje spotkanie z doktor Hamstedt. Bóg mi świadkiem, nie planowałam, że tak się potoczy nasza rozmowa. Chciałam jej tylko wyjaśnić, dlaczego wpadłam na taki, w pierwszej chwili chyba naprawdę absurdalny, pomysł, że listy mogą przysyłać dzieci. Nie chciałam wychodzić na wariatkę, na kogoś, kogo faktycznie lepiej by było trzymać w pokoju bez klamek. Chciałam tylko powiedzieć, że dzieci – zwłaszcza Jonathan – mają powód, żeby czuć się mną rozczarowane. Nienawidzić mnie. Wysyłać mi listy i przypominać o mojej winie. Nadużyłam czułego gestu Jonathana, jego wielkiego czynu, prezentu i zaufania, żeby zabić mu ojca. Potem pognałam na wolność, nie oglądając się za siebie, wprost pod samochód, ale bądź co bądź uciekłam. Najpierw odebrałam dzieciom wszystko – ich ojca, matkę, za którą mnie uważały, ich dom – a potem zostawiłam je na lodzie.

Kiedy jednak opowiadałam doktor Hamstedt o swojej ucieczce, coraz bardziej się od niej oddalałam, tak pogrążyłam się we własnej narracji, iż wydawało mi się, że przechodzę to wszystko jeszcze raz. Biegłam przez las. Czułam pod stopami nierówności terenu, na których się potknęłam, gałęzie uderzały mnie w twarz i drapały mi skórę. Słyszałam trzeszczenie ściółki,

moje własne wyteżone sapanie; wszystko było takie prawdziwe. Moment, w którym wybiegłam z lasu na szosę. Samochód, który we mnie uderzył. Kolorowe błyskawice, które eksplodowały mi przed oczami. Twarde, stłumione uderzenie przy upadku na asfalt. Mruganie, gdy usłyszałam jak przez szklany klosz głos kierowcy pochylającego się nade mną.

– Pani Grass – powtórzył kilkakrotnie, zanim uświadomiłam sobie, że coś jest nie tak z jego głosem. On oczywiście nie mógł zwracać się do mnie po nazwisku. Mówiła do mnie w tym momencie doktor Hamstedt, która próbowała przywołać mnie do rzeczywistości.

– Pani Grass! Tylko spokojnie, pani Grass. – Usłyszałam jej ponaglenia i poczułam, jak jej dłonie ściskają moje ramiona. Nawet nie zauważyłam, że wstała ze swojego miejsca za biurkiem, kiedy opowiadałam jej tę historię. – Wszystko już dobrze, pani Grass?

– Tak – wysapałam. – Tak. Ja... – Złapałam się za głowę i stwierdziłam, że jest rozpalona. – Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Nie musi pani przepraszać, pani Grass. Chciałaby pani może szklanek wody?

– Nie, dziękuję. Już dobrze. – Nawet się nie ważyłam spojrzeć jej w twarz, więc moje oczy znalazły sobie inny, pozornie bardziej nieszkodliwy cel. Blok do pisania, który leżał na biurku doktor Hamstedt obok dwóch listów. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, na co właściwie patrzę. Doktor Hamstedt robiła notatki.

– Notowała pani?

– Tak. – Skinęła głową, uśmiechając się przy tym. – I była pani niesamowita, pani Jasmin. Coś takiego znałam z terapii, które bazują na specjalnych technikach hipnozy. Jednak pani wróciła tam o własnych siłach, bez mojego udziału, i jeszcze raz przeżyła pani dzień ucieczki. Przy tym wspomniała pani coś... – Sięgnęła po notatnik i postukała palcem w konkretne miejsce. – Tutaj. – Zdawała się niemal podekscytowana. –

Powiedziała pani, że porywacz chciał, żeby dziecku nadać imię Sara albo Matthias. Wie pani, że ojciec Leny Beck ma na imię Matthias?

– Tak – odpowiedziałam, zachowując przy tym dla siebie, że tę wiedzę zawdzięczam rozległym badaniom, które polegały na wytapetowaniu ścian mojej sypialni. Zdawało się, że doktor Hamstedt nie uważa mnie za szaloną, i lepiej, żeby tak pozostało.

– To może być ważna informacja, pani Jasmin – powiedziała doktor Hamstedt. – Może nawet pomóc ustalić tożsamość i motyw porywacza. Wydaje się to bardzo osobiste, nie sądzi pani?

– Albo ten ktoś po prostu śledzi doniesienia w gazetach i teraz sobie ze mnie żartuje.

– Może być i tak. Niemniej jednak uważam, że powinna pani jak najszybciej porozmawiać z nadkomisarzem Giesnerem.

– Naprawdę sądzi pani, że to może być aż tak ważne?

Doktor Hamstedt gorliwie pokiwała głową.

– Oczywiście. Gdyby nie było, to czemu porywacz miałby nazywać wasze dziecko imieniem ojca swojej pierwszej ofiary?

– Nie wiem. Bo był porąbaną świnią? – Spróbowałam wyczuć czubkiem języka ubytek w zuchwie, która już dawno się wygoiła, ale ubytek pozostał.

– Pani jest specjalistką. No więc kim on był? Sadystą?

Doktor Hamstedt kilka razy zakołysała głową w przód i w tył.

– Dla Leny Beck Matthias był ważną osobą. Zapewne bardzo by cierpiała, gdyby musiała stale wołać dziecko imieniem swojego ojca, a tym samym przypominać sobie dawne życie. Ale dla pani, pani Jasmin, to imię nie miało żadnego znaczenia podczas pobytu w szalasie. Dopiero po ucieczce dowiedziała się pani, że ojciec Leny tak się nazywa. Według mnie jest w tym coś osobistego. Skoro nie mógł tym dręczyć *pani*, to w jakiś sposób to imię musiało zadowalać jego samego.

– No cóż, on uważał mnie za Lenę.

– Próbował panią zmienić w Lenę. To różnica. – Doktor Hamstedt zrobiła zamyśloną minę z ustami w dzióbek. – Może go znał.

– Kogo?

– Ojca Leny. Chociaż... – Zadumała się. – O ile wiem, pan Beck nie rozpoznał sprawcy na podstawie rekonstrukcji twarzy. Ale – machnęła ręką – najlepiej chyba będzie, jeśli porozmawia pani o tym bezpośrednio z nadkomisarzem Giesnerem.

Rekonstrukcja twarzy. Błyskawicznie ogarnęły mnie mdłości, które teraz znów czuję. Powtarzam sobie, że to tylko rysunek, kartka, ale to na nic. Ściska mnie w żołądku, policzki zapadają się od kwaśnego posmaku w ustach. Głośno stawiam szklankę z wodą na stole w kuchni i pędzę do łazienki. Chwilę później klęczę przed muszlą klozetową, mocno ściskając palcami jej krawędzie. Odruch nie ustępuje nawet po pewnym czasie, mój żołądek od dawna jest pusty i wydobywają się z niego tylko głębokie, głuche odgłosy.

– Proszę, pani Jasmin – powiedziała doktor Hamstedt, podniosła z biurka listy, złożyła je i schowała z powrotem do kopert. – Niech pani zadzwoni do nadkomisarza Giesnera. Proszę z nim porozmawiać. Również na temat tych listów. – Uniosła je demonstracyjnie. – Wprawdzie nie dopuszczam możliwości, żeby dzieci miały z tym coś wspólnego, ale sądzę, że nadkomisarz Giesner i tak powinien je zobaczyć.

Przytaknęłam.

– Jasne, tak. Jutro do niego zadzwonię, obiecuję. – Wstałam z krzesła i wyciągnęłam rękę, żeby się pożegnać, ale zauważyłam, że doktor Hamstedt jakby się wahała; natychmiast mnie to zaniepokoiło.

– Jest coś jeszcze – dodała. – Tymczasowo oddałam Hannę pod opiekę dziadków.

– Ona... jest na zewnątrz?

Serce mi przyspieszyło. Uwadze doktor Hamstedt nie uszło to, że ta informacja mnie zaniepokoiła.

– Proszę, niech pani da szansę doktor Brenner, pani Jasmin. Jestem pewna, że to pani pomoże.

Jest na zewnątrz... Wlokę się do zlewu i prostuję, bez sił. Wciąż ściska mnie w żołądku, próbuję oddychać. Odkręcam wodę i myję sobie twarz. Kobieta w lustrze wygląda, jakby była chora. Ma szarą cerę, a jej oczy otaczają ciemne cienie. Mimo to stanowczo kiwa do mnie głową. *Powinnaś zadzwonić do „Chama”.* Wiem. *Może pobrać odciski palców z tych listów, wtedy będziesz mieć pewność.* Ale przy okazji pokaże mi też wynik rekonstrukcji twarzy, a ja nie jestem pewna, czy to wytrzymam. Co, jeśli tak jak wczoraj wieczorem u doktor Hamstedt stracę nad sobą kontrolę? Tę resztkę, który mi jeszcze została? Co, jeśli zobaczę zrekonstruowaną twarz i wszystko do mnie wróci, a ja po prostu zacznę opowiadać, wszystko, i nie będę mogła przestać? Kręcę głową. Zadzwonię do „Chama”, ale potem, w obecności Kirsten. *Kirsten, która uważa cię za chorą.* Która ma rację. *Dla której jesteś ciężarem?* Uderzam otwartą dłońią o krawędź umywalki i przez zaciśnięte zęby wydycham spowodowany tym ból. Nagle kobieta w lustrze coś mówi. *Ktoś tu jest.*

Jasmin

Wypadam z łazienki na korytarz. Od razu wiem, że to nie Kirsten. Ona zapewne zabrała ze sobą klucz, bo nie ma go w zamku. Do tego pukanie nie odpowiada naszemu kodowi. Już godzę się z tym, że to „Cham”, który w tym momencie odebrał mi możliwość samodzielnego podjęcia decyzji, czy i kiedy porozmawiamy, gdy słyszę głos mieszający się z pukaniem.

– Pani Grass? Tu Maja. Przyszłam dziś trochę wcześniej z obiadem!

Zatrzymuję się.

– Pani Grass?

Cicho podchodzę do drzwi, podczas gdy Maja znów puka.

– Pani Grass, tu Maja! – Na zewnątrz kilka razy skrzypi deska; Maja się niecierpliwi.

Biorę głęboki oddech i otwieram.

– Obudziłam panią, pani Grass?

– Nie, w porządku – wzdygam.

Maja wyciąga przed siebie plastikowy pojemnik z zieloną pokrywką. Zdaje się, że nie ma ze sobą żadnej poczty.

– Niestety nie dałam rady podgrzać – mówi. – Mikrofalówka mi się popsła.

– Nic nie szkodzi, dziękuję.

Biorę pojemnik i już chcę się odwrócić, żeby od razu odstawić go na komodę, kiedy Maja popycha drzwi i nagle staje w moim przedpokoju.

– Nie, tak nie może być, pani Grass – mówi stanowczo, a ja aż się wzdrygam. – Złożyłam pani Bar-Lev uroczystą obietnicę, że będę się panią opiekować, a teraz przynoszę pani zimne jedzenie. Pani Bar-Lev mnie zabije, jeśli się dowie.

– Nic jej o tym nie powiem – zapewniam pospiesznie, wciąż próbując przetworzyć to, że Maja weszła do mojego mieszkania i w tej chwili, jakby to było oczywiste, zamyka drzwi.

– To nie wchodzi w rachubę.

Sięga po pojemnik, który wciąż trzymam sztywnymi palcami, odbiera mi go i przechodzi obok mnie.

– Szybko podgrzeję pani jedzenie. Ma pani kuchenkę mikrofalową, prawda?

Mój wzrok z niedowierzaniem wbija się we framugę drzwi do kuchni, w której właśnie zniknęła Maja. Sekundę później słyszę, jak krzyczy:

– No i co?!

Kiedy wchodzę do kuchni, właśnie przekręca minutnik na mikrofalówce. Urządzenie zaczyna buczeć.

– Mam nadzieję, że jest pani głodna, pani Grass. Dziś ma pani zapiekankę warzywną. Tak mi się akurat wzięło, mam nadzieję, że to dla pani w porządku. – Odwraca się i posyła mi przesłodzony uśmiech. – W zamrażarce mam jeszcze zapiekankę z makaronem i jakiś gulasz. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie jest łatwo rozszyfrować charakter pisma pani Bar-Lev. Proszę się zastanowić, co z tego chciałaby pani jutro.

– Dziękuję, pani Maju. Myślę, że teraz już sama sobie poradzę.

– Mogę jeszcze pozmywać, jeśli pani chce.

– Nie trzeba, dziękuję. Zajmie się tym później moja przyjaciółka.

– Ach tak, Kerstin. Spotkałam ją wczoraj. Mam nadzieję, że smakował pani rosół.

– Kirsten. Ma na imię Kirsten. W takim razie zapewne powiedziała pani wczoraj, że tymczasowo się tu przeprowadzi. Poza tym jest bardzo dobrą kucharką, więc nie umrę z głodu. – Odwracam się napominająco w stronę korytarza. – No cóż, więc... naprawdę nie chcę pani wyrzucać. Ale chętnie bym się jeszcze na chwilę położyła. Nie czuję się dziś zbyt dobrze.

Maja wciąż się uśmiecha, ale w wyrazie jej twarzy pojawiło się coś sztywnego, nienaturalnego. Jakby była rzeźbą, której twórca nigdy nie widział prawdziwego uśmiechu, a jedynie wyrzeźbił go na podstawie opowieści i własnej ograniczonej wyobraźni. Jakby ten uśmiech stworzyła Hannah.

– Najpierw musi pani coś zjeść, pani Grass. – Mikrofalówka dzwoni jak na zawołanie. – Pling! – Maja naśladuje ten dźwięk. – O, proszę, już gotowe.

Odwraca się do mnie plecami, a ja obserwuję, jak otwiera jedną szafkę po drugiej i wszystkie szuflady po kolei, szuka talerza i sztućców. „Jest za blisko”, myślę. Za blisko bloku z nożami. Wystarczyłby jeden ruch nadgarstka. Ostrożnie cofam się o krok.

– Gdzie pani ostatnio tak znikła, pani Maju? Kiedy wróciłam z kuchni z naczyniami, już pani nie było.

Maja wiruje w stronę drugiego końca kuchni, z dala od noży, znów do mikrofalówki.

– Cóż, pachnie całkiem apetycznie. – Jej głos wydaje się pogodny.

Cofam się jeszcze o krok i wpadam na kuchenne drzwi.

– Pani Maju?

– Ach tak, ostatnio. Przypomniało mi się, że mam pizzę w piekarniku. Nie ma nic gorszego od przypalonej pizzy. Chociaż, no może. Jest wiele gorszych rzeczy, prawda, pani Grass?

Łapię się za szyję, bo nagle mi się wydaje, że mam gułę w gardle.

– A tak w ogóle moja przyjaciółka zaraz wróci do domu – mówię.

Maja, niewzruszona, wyklada zawartość pojemnika na talerz.

– Proszę usiąść, pani Grass.

Drzwi kuchenne wciskają mi się w plecy. Musiałabym zboczyć o krok, żeby wycofać się przez nie na korytarz, ale moje ciało mnie nie słucha, jakby nie było już połączone z synapsami w mojej głowie, stoję więc w bezruchu, gapię się i stękam:

– Pojechała tylko na moment do siebie po kilka rzeczy. Zaraz wróci.

– Przykro mi, Jasmin. – Maja odwraca się do mnie z gotowym talerzem w jednej ręce oraz nożem i widelcem w drugiej. – Niestety, jedzenia starczy tylko dla jednej osoby.

Hannah

Niektóre rzeczy się nie zgadzają. Na przykład ogród. Nie jest wcale ogromny, nie ma co najmniej pięciuset kroków pomiarowych w każdą stronę. I nie ma w nim hortensji wielkości główek kapusty. Wiem to, bo wyglądałam przez szparę w roletcie. Na zewnątrz w ogrodzie jest tylko kilka cienkich, krzywych krzaków róż i są ludzie z aparatami fotograficznymi.

Z babcią też coś się nie zgadza. Nie jest wcale taka miła i nie opowiedziała mi jeszcze żadnej bajki na dobranoc.

Tylko dziadek, z nim wszystko się zgadza. Jest bardzo uprzejmy, kiedy puka do drzwi pokoju mamy.

– Hanno, proszę cię, otwórz.

Zawsze trzeba mówić „proszę” i „dziękuję”. Zawsze należy być uprzejmym.

Przekręcam klucz i dziadek wchodzi.

– Dlaczego się zamknęłaś, Hanno? – Wygląda na bardzo wystraszonego.

– Bo wy zapomnieliście, rzecz jasna – mówię. – Dorośli zawsze powinni zamknąć dzieci, zanim zaczną się kłócić.

– Och – wzdycha dziadek. Kładzie mi rękę na plecach i popycha mnie w stronę łóżka mamy. – Usiądź, Hanno.

Siadam, chociaż wolałabym usiąść na obrotowym krześle. Dziadek miał rację, jest bardzo wygodne. I z jednego końca pokoju można przejechać na drugi.

– Posłuchaj mnie, Hanno – mówi dziadek. Materac się kołysze, kiedy siada obok. – Tak naprawdę wcale się nie kłóciliśmy z babcią. Omawialiśmy tylko coś, na temat czego mamy odmienne zdanie. To zupełnie normalne i nie ma w tym nic złego. Nie musisz się bać.

Patrzę w górę, na rozgwieżdżone niebo na suficie. Zawsze mi się wtedy przypomina, jak leżałam w domu wieczorami, mama leżała obok mnie i wodziła wyprostowanym palcem po ramie łóżka Jonathana, od jednej narysowanej gwiazdy do drugiej, aż połączyła je niewidzialnymi liniami. Jak się uśmiechała i mówiła: „To bardzo znana konstelacja, Hanno. Wielki Wóz”, i ja też się uśmiechałam, choć już dawno temu przeczytałam w grubej książce, która zawsze wszystko wie, że Wielki Wóz sam w sobie nie jest konstelacją, ale składa się z siedmiu najjaśniejszych gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy.

Teraz jednak nie myślę o mamie, tylko o siostrze Ruth i o tym, jak w szpitalu chciała mi opowiedzieć historię o małej gwiazdce. Nie

powinam była na nią krzyżeć tylko dlatego, że jest głuptasem i źle opowiedziała mi tę historię.

– Przepraszam – mówię, chociaż siostry Ruth tutaj nie ma i mnie nie słyszy.

– Na litość boską – odzywa się dziadek, wyglądający na jeszcze bardziej przestraszonego. – Nie musisz przeproszać, Hanneczko. To nie miało z tobą nic wspólnego. Oboje, twoja babcia i ja, jesteśmy bardzo szczęśliwi, że z nami jesteś. Babcia była tylko trochę zdenerwowana, bo przed domem kręci się tak wielu ludzi.

– Ale tam wcale nie ma aż tylu ludzi. Tylko sześcioro. Wczoraj było o wiele więcej.

Dziadek kaszle, chociaż wydaje mi się, że miał to być śmiech.

– Moje słowa.

– Myślę, że siostra Ruth byłaby dla mnie dobrą babcią – mówię dziadkowi, kiedy już przestaje się śmiać. – Czasem wprawdzie zachowuje się trochę jak głuptas i bardzo słabo jej idzie liczenie. Ale jest za to zawsze miła.

Dziadek wygląda teraz tak, jakbym powiedziała coś niewłaściwego.

– Naprawdę! – dodaję szybko. – Nie kłamię! Nie wolno kłamać. Ona nawet nie wie, ile to jest trzynaście minus dwa.

– Hanno... – mówi dziadek i urywa, wyciąga z kieszeni spodni chusteczkę i czyści sobie nos, po czym ciągnie: – Rodziny się nie wybiera. I nie można też nikogo zastąpić. Albo wymienić go tylko dlatego, że pojawiły się problemy. – Bardzo niechlujnie składa chusteczkę i wsuwa ją z powrotem do kieszeni. – Ale co do jednego możesz mi wierzyć. Twoja babcia, Karin, jest najlepszą babcią, jakiej można zapragnąć. Musi się tylko przyzwyczać.

– Mój tata też tak zawsze mówił. – Uśmiecham się, chociaż od razu robi mi się trochę smutno, że ze względu na dziadka muszę myśleć o tacie.

Dziadek też wydaje się smutny, tak mocno zaciska usta, że przypominają cienką linię.

– Wiesz co, Hanno? – mówi po chwili. – Co ty na to, żebyśmy wrócili teraz na dół do babci? Już pewnie się uspokoiła i zastanawia się, gdzie się podziewamy. Może obejrzymy razem zdjęcia twojej mamy z dzieciństwa?

Przytakuję.

– Jeszcze jedno, Hanno. Proszę, nie zamykaj już więcej drzwi. Najlepiej zostawiaj je zawsze uchylone, żebym wiedział, że wszystko u ciebie w porządku. Dobrze? Obiecasz mi to, Hanno?

Znowu kiwam głową.

Dziadek uśmiecha się najpierw do mnie, potem do gwiazdzistego nieba mamy.

– Od dentysty dostałaś naklejkę z gwiazdką. Zastanów się, czy chcesz, żebyśmy ją tutaj dokleili.

Kręcę głową.

– Nie możemy tego zrobić, dziadku. Inaczej konstelacja będzie niepoprawna.

– Ach tak – mówi. I dodaje: – No cóż, to była tylko propozycja.

Kiedy dziadek i ja schodzimy na dół, w przedpokoju stoi duża paczka, a babcia właśnie zamyka drzwi.

– Nie ma ich – mówi i zdaje się przy tym szczęśliwa. W ręce trzyma list.
– To stało pod drzwiami.

– Tak – potwierdza dziadek i bierze od niej list. – Postawiła to tam wcześniej jedna z dziennikarek. Myślałem jednak, że zabierze to pudło ze sobą po tym, jak je skopałem na dół.

– Co jest w środku? – pyta babcia.

– Nie mam pojęcia.

Słysząc *brzrzrz*, kiedy dziadek rozrywa kopertę.

– Aha – mówi po przeczytaniu załączonej kartki. – To rzeczy dla Hanny i Jonathana. Napisano tu:

Wielu naszych czytelników interesuje się losem Państwa wnuków i chce jakoś pomóc. Pozwoliłiśmy sobie zebrać rzeczy, które zostały nam przesłane w ciągu ostatnich kilku dni lub przyniesione bezpośrednio do redakcji. Z poważaniem, zespół „Bayerisches Tagblatt”.

– To urocze – stwierdza babcia i odrywa z pudełka długi kawałek brązowej taśmy. – Podejź, Hanno. Zaraz zobaczymy.

Podchodzę bliżej.

Babcia wyciąga z pudełka ubrania, jedno po drugim.

– Spójrz – mówi, trzymając w ręce ciemnoniebieski sweterek robiony na drutach. – Myślisz, że spodoba się Jonathanowi?

– Lubi niebieski kolor. Jego ulubione spodnie są niebieskie.

– No to pewnie ucieszy się też z tego sweterka.

– Kolejne ubrania z darów – mówi dziadek, gniotąc w dłoni list. Zaraz potem dodaje: – Po prostu cudownie. – Choć wcale nie brzmi to tak, jakby naprawdę uważał, że to cudowne.

– Matthiasie – strofuje go babcia, która nadal wyciąga rzeczy z pudła, ogląda je i dzieli na dwa stosy na podłodze. Jeden dla mnie, drugi dla Jonathana. – To przecież miłe, nie sądzisz? I rzeczy są w całkiem dobrym stanie... Och, Hanno, spójrz tylko! To coś dla ciebie. – Podnosi białą sukienkę w małe kwiatki. – To bez wątplenia twoja sukienka!

Już mam ją spytać, skąd wie, kiedy woła:

– Och, a tutaj! Są też jakieś zabawki!

Najpierw wyciąga pomarańczową plastikową koparkę z czarną łyżką, a po chwili... od razu upuszczam sukienkę i wyciągam ręce. Babcia uśmiecha się i podaje mi czerwono-biały kłębek, po czym zwraca się do dziadka i jeszcze raz mówi, jak to miło ze strony czytelników „Bayerisches Tagblatt”, podczas gdy ja z całej siły przytulam do piersi Pannę Tinky. Z miejsca zaczyna mruzczyć.

– Ja też za tobą tęskniłam, moja maleńka – mamroczę, wciskając nos w jej miękkie futerko.

Jasmin

Żołądek mi podskakuje, jakbym schodząc na dół po schodach, ominęła jeden stopień. Klucz zgrzytający w zamku, kilkakrotnie naciskana klamka, natarczywy nacisk na plecy. Dopiero gdy po drugiej stronie słyszę wiązankę przekleństw, podnoszę się z kucek i otwieram drzwi. Siedziałam, opierając się o nie plecami i obejmując kolana ramionami, a mój ciężar był odbojnikiem, który miał chronić mieszkanie przed każdym możliwym intruzem.

– Co tu się dzieje? – pyta Kirsten, kiedy chwilę później wciągam ją do środka, wyrywam jej klucz z ręki i zamykam drzwi na dwa razy.

– Jassy?

– Była tutaj!

– Kto taki?

– Maja. No, ta z drugiego piętra, która wprowadziła się do mieszkania po Hildnerach. To było straszne.

Kirsten wzdycha przeciągle, po czym zrzuca z siebie płaszcz.

– Już jestem – mówi tylko, nie próbując wyciągać ze mnie nic więcej; przypomina mi tym mnie samą. Tę dawną, z czasów, gdy mieszkałam jeszcze z mamą. Gdy też uważałam, że powinnam tam być, choć ani na moment nie opuszczało mnie wrażenie, że ktoś wlewa mi w trzewia ołów.

– Staram się ogarnąć i naprawdę dobrze mi szło, kiedy cię nie było – wyjaśniam, gdy Kirsten wiesza płaszcz w szafie. Nie chcę być dla niej ciężarem, tak jak moja matka była dla mnie. – Serio. Jeśli wolisz wrócić do domu, żaden problem. I z pewnością musisz też wrócić do pracy. Pewnie potrzebują cię w klubie, zwłaszcza teraz, w weekend.

– Okej, czaję, Jassy – mruczy, po czym odwraca się do mnie. – Więc? I co z tą Mają z drugiego piętra?

Przez chwilę się waham.

– Jassy? – Kirsten głaszcze mnie po policzku. – Kobieto, ale jesteś rozpalona. – W jej spojrzeniu pojawia się autentyczna troska. – Zdenerwowałaś się?

Przytakuję.

– Maja. Przyszła i przyniosła mi jedzenie.

Opowiadam Kirsten o dziwnym zachowaniu Mai, jej nieprzyjemnej nadgorliwości. O chwili, kiedy powiedziała: „Przykro mi, Jasmin. Niestety, jedzenia starczy tylko dla jednej osoby”, i o tym, jak chciałam wtedy uciec, jak najdalej od tej kobiety. Wycofałam się z kuchni, potykając się po drodze, Maja postawiła na stole talerz z jedzeniem i ruszyła za mną. Nie żeby się na mnie rzuciła, jej kroki były powolne i ostrożne. Uspokajająco trzymała ręce uniesione przed sobą.

– Tylko spokojnie, Jasmin. Wiem, że przeżyłaś coś potwornego. Rzeczy, które trudno komukolwiek pojąć. Czyż nie, Jasmin?

Dotarłam na korytarz, musiałam zdecydować – na prawo do salonu, gdzie leżał mój telefon, żebym mogła wezwać pomoc. Czy na lewo, do sypialni, gdzie mogę się zamknąć.

– Człowiek czuje się bardzo samotny, kiedy nikt go nie rozumie, prawda?

Na lewo, zdecydowałam.

– Czego pani ode mnie chce, pani Maju? Co to ma znaczyć?

– Chętnie panią wysłucham, pani Jasmin.

Walę plecami w szafkę na buty.

– Rozmowa pomoże, pani Jasmin. Proszę mi zaufać.

Kirsten kręci głową z niedowierzaniem.

– I co potem?

– Wbiegłam do sypialni i się tam zamknęłam. Pukała jeszcze kilka razy do drzwi, starała się mnie przekonać, żebym wyszła. Krzyczałam, że ma się stąd wynosić, bo zadzwonię na policję. Powiedziała tylko: „To pani nie pomoże, pani Jasmin”. Potem usłyszałam drzwi wejściowe. Poszła sobie.

– Poszła sobie – powtarza Kirsten głosem bez wyrazu i mruży oczy. – Jesteś pewna, że to wszystko tak się odbyło?

– Tak! Jasne, że jestem tego pewna! – warczę, ale Kirsten tylko unosi brwi. – Jeszcze nie zwariowałam. – Staram się uspokoić. – Może to absurd sądzić, że to dzieci pisały do mnie te listy, okej. Miałaś rację, to musi być jakiś wariat, który chce mnie nastraszyć. Ale to z Mają...

Kirsten nadstawia uszu.

– O jakich *listach* mówisz? Był przecież tylko jeden.

– Nie – odpowiadam speszona. – Wczoraj przyszedł kolejny. – Wyjmuję z szafy torebkę i z bocznej kieszeni wyciągam dwie koperty, żeby dać je Kirsten. Pierwsza, którą otwiera, zawiera list już jej znany.

– „Powiedz im prawdę” – czyta z drugiej kartki, po czym komentuje to, unosząc brwi: – W punkt. – Oddaje mi list i kopertę. – Dlaczego mi go nie pokazałaś?

Milczę.

Kirsten parska śmiechem, trochę gorzkim.

– Naprawdę wiele ode mnie oczekujesz, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nie chciałam, żebyś martwiła się o mnie jeszcze bardziej. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli najpierw porozmawiam o tym z doktor Hamstedt. Zapewniła mnie, że dzieci absolutnie nie miały możliwości ich napisać.

Kirsten wzdycha.

– A wie o tym tak dobrze, bo jest terapeutką dzieci, a nie twoją, jak twierdziłaś.

– Tak – przyznaję z wahaniem.

– Pojechałam tam z tobą wczoraj wieczorem, bo sądziłam, że zaraz doznasz załamania nerwowego. – Kirsten kręci głową z niedowierzaniem. Przez chwilę panuje cisza, po czym dodaje: – Jassy, to tak nie działa. Jeśli mi nie ufasz, nie mogę tu być.

– To nie tak. Ufam ci.

Kirsten znowu się śmieje.

– Nie, nie ufasz! Zatrzymujesz dla siebie niewygodne fakty. Ale ja nie jestem głupia, Jassy. Nie lekceważ mnie.

Instynktownie cofam się o krok.

– Pamiętam dokładnie, kiedy zniknęłaś. Tak się składa, że wcześniej się pokłóciłyśmy. I miałaś ze sobą torbę podróżną, nie zapomniałam o tym. To była czarna torba podróżna ze srebrzystymi zamkami. Nie wspomniałam o tym policji, gdy dwa dni później zgłaszałam twoje zaginięcie. Chciałam, żeby podeszli poważnie do poszukiwań. Bo myślałam, że może wyjdzie ci to na dobre, jeśli znajdą cię gdzieś w jakimś pokoju hotelowym; policja, nie ja, jak to sobie najprawdopodobniej wymyśliłaś.

– Co chcesz mi powiedzieć, Kirsten? Że zaplanowałam to zniknięcie? – Zasycha mi w ustach. *No dalej, martw się o mnie, szukaj mnie i znajdź, sprowadź z powrotem do domu.* – Zdecydowanie nie taki był mój plan, żeby jakiś psychopata zamknął mnie w szalasiu i torturował przez cztery miesiące!

– Nic takiego nie powiedziałam.

– To co chcesz powiedzieć, Kirsten? Że kłamię?

– Mówię, że twoja skłonność do robienia dramy ciągle wpędza cię w kłopoty. Nie zdajesz sobie sprawy, w jaki absurd przez to popadasz. Najpierw oskarżasz dwoje małych, chorych dzieci o to, że ci grożą, a teraz jeszcze nęka cię sąsiadka z drugiego piętra.

– Ale dokładnie tak było! Maja tu przysłała i mnie nękała, tak, nękała mnie.

Kirsten wykonuje bliżej nieokreślony ruch głową. Potem obraca się, ze złością przekręca klucz w zamku i w następnej sekundzie otwiera drzwi tak gwałtownie, że uderzają o komodę, i wypada z mieszkania.

Serce podskakuje mi do gardła.

– Nie... proszę... nie odchódź – dukam ledwo słyszalnie. Szok pochłonął mój głos i kiedy słyszę, jak kroki Kirsten schodzącej na niższe piętro dudnią na schodach w krótkich, zdecydowanych interwałach, wiem, że to, co myślałam, nie jest prawdą. Nie poradzę sobie bez niej, potrzebuję jej.

Ruszam z miejsca, za Kirsten. Z każdym krokiem w dół po schodach ból w okolicy żeber eksploduje, wzdycham.

Jesteś niewdzięczna, Leno.

– Kirsten, zaczekaj... Wiem, że chciałaś dobrze! Przykro mi! Tak straszliwie mi przykro.

Doganiem ją dopiero na drugim piętrze i uświadamiam sobie, że wcale nie ma zamiaru odchodzić. Stoi przed mieszkaniem Mai i stanowczo puka do drzwi, po czym kładzie palec na dzwonku.

– Zapytamy ją zaraz, co to ma, kurna, znaczyć.

Dźwięk dzwonka. W przedpokoju za drzwiami słychać ruch.

– Pani Grass, pani Thieme! Nie widziałam was od wieków! – Nie mówi tego jednak Maja. Mówi to pani Hildner, która bynajmniej nie wyprowadziła się z mieszkania na drugim piętrze.

Jasmin

Dosłownie widzę, jak trybiki w głowie Kirsten zaczynają się poruszać, obracają się, aż wreszcie się kręcą, i jak Kirsten nagle otwiera szeroko oczy. Mimo zdziwienia pani Hildner, która wciąż stoi w drzwiach mieszkania, Kirsten odwraca się i po chwili bez słowa wbiega z powrotem po schodach. Pani Hildner wychodzi z mieszkania, żeby zdenerwowana popatrzeć za Kirsten, cofa się i przygląda mi się wyczekująco.

– My... ja... – zaczynam dukać.

– Mamusiu? Kto to? – pyta łagodny głos w tle. Synek Hildnerów, który też pojawia się w drzwiach i przytula do kolan matki.

Na końcu języka mam pytanie o Maję, ale bez Kirsten u boku wstydzę się tak tu stać, od razu czuję się niepoczytalna i chora psychicznie. Co pomyśli o mnie pani Hildner, jeśli zapytam ją o Maję? Nie mieszka tu żadna Maja, to oczywiste. W głowie naprędce sklecam wyjaśnienia, coś o pralce, która rzekomo się zepsuła, i czy w ciągu najbliższych kilku dni mogłabym skorzystać z pralki pani Hildner.

– Chciałam tylko zapytać...

Jak ręką odjął, rysy pani Hildner rozjaśniają się w pełnym zrozumieniu.

– Czy to z powodu tej König, która ostatnio stale się tu kręci?

– Tej...?

– Proszę pytać, pani Grass! – Ton Sonji Hildner jest niemal agresywny. – No proszę pytać, czy z nią rozmawiałam! Oczywiście, że nie! Mój mąż też nie! Nigdy byśmy czegoś takiego nie zrobili! Nie pisnęliśmy jej ani słówka, chociaż mocno nas urabiała. – Uśmiecha się, z pewną dumą, tak mi się wydaje. – Nawet proponowała nam pieniądze, ale nie z nami te numery! Już dość się pani nacierpiała, pani Grass. – Duma w jej uśmiechu ustępuje miejsca odrobinie litości.

– Mamusiu? O czym rozmawiacie? – Synek włącza się do rozmowy, ciągnąc swoją mamę za nogawkę.

– Przestań, Lenny, proszę cię. Mamusia rozmawia teraz z panią Grass.

Lenny sarka coś niezrozumiałego, po czym zostawia w spokoju mamę i tupta w głąb mieszkania. Pani Hildner patrzy za nim i każe mu posprzątać zabawki.

– Nie do końca rozumiem... – mówię, żeby ponownie zwrócić na siebie jej uwagę.

– Tak, ta König! Na nas się sparzyła. Potem jednak znalazła chyba sobie jakąś ofiarę. – Krzywi się. – Przepraszam, *ofiara* nie jest tutaj najlepszym

słowem. W każdym razie...

– Kirsten! – krzyczę niecałe dwie minuty później. Echo niesie jej imię po klatce. W głowie szumi mi krew, gdy wbiegam po schodach. – Kirsten! – Jedną ręką trzymam się poręczy, drugą biorę się pod bok, połamane żebra boleśnie pulsują z wysiłku. – Poczekaj! – Wiem dokładnie, co się dzieje dwa piętra nade mną. Widzę Kirsten, ogarniętą białą gorączką, która nerwowo biega po mieszkaniu z ordynarnymi obelgami na ustach, najpierw bez jakiegokolwiek ładu i składu, aż wreszcie przypomina sobie o karteczce przyklejonej do lodówki.

I faktycznie, kiedy docieram do mieszkania, właśnie wystukuje w telefonie numer z małej różowej karteczki.

– Nie, Kirsten, nie rób tego!

Podbiegam do niej i wyrywam jej tę karteczkę z ręki.

– Co robisz, Jassy? Daj mi ten numer, zadzwonię do niej i przemówię jej do rozsądku!

Sprawia wrażenie, jakby chciała mnie chwycić i odebrać mi karteczkę, którą zgniatam w pięści za swoimi plecami.

– Czekaj, Kirsten! – sapię – Już wiem, co to znaczy! Najpierw mnie posłuchaj!

– Pani Bar-Lev?

Gałki oczu Kirsten wychodzą niemal z orbit, usta ma otwarte. Jej mina wyraża także moje uczucia – przerażenie, oszołomienie. A jednak... Czy nie myślałam już o tym dawno temu? Pani Bar-Lev serwująca reporterowi kawę w salonie. Ssąca ciastko przytrzymywane sztuczną szczęką i przedstawiająca mu swoje spostrzeżenia na temat biednej, o wiele za chudej kobiety z czwartego piętra, która nie myje włosów i chodzi w kółko w poplamionych ubraniach. Po której od razu to widać, to wszystko. Pani

Bar-Lev skorzystała z okazji, żeby nieco dorobić do swojej niewielkiej emerytury.

– I ta Maja ma być dziennikarką?

Przytakuję.

Sonja Hildner powiedziała mi o tej kobiecie, która – zgodnie z jej opisem – musi być bez wątpienia Mają. Około trzydziestu pięciu lat, farbowane na rudo włosy i kucyk opadający po skosie na twarz. Najwyraźniej chodziła po mieszkaniach, szukając odpowiedniego partnera do rozmowy, i najpierw natknęła się na oporną Sonję Hildner, a potem – również na drugim piętrze – na wylewną panią Bar-Lev. Kirsten ponownie sięga po telefon, tym razem jednak szuka w internecie Mai. Robi to niemalże gorączkowo, a przy tej jej gorączkowości moja rzekoma skłonność do dramatyzowania zdaje się nagle nic niewarta, co z ulgą sobie uświadamiam.

– To ona. – Kirsten macha podniecona telefonem. – Maja König, „Bayerisches Tagblatt”, redakcja Monachium. Monachium, Jassy! Ona chyba nie pokonuje codziennie trasy z Monachium do Ratyzbony, żeby przywieźć ci obiad? Musi mieć obsesję na twoim punkcie! – Kirsten wręcza mi telefon, zdjęcie Mai podświetla się na ekranie. – Powinniśmy najpierw wziąć w obroty panią Bar-Lev, a potem poinformować policję.

– Według Sonji pani Bar-Lev jest w tej chwili u syna – wtrącam roztargniona, patrząc na zdjęcie Mai. Maja König, kobieta w białej bluzce z postawionym kołnierzykiem, uśmiecha się zalotnie do aparatu. – Dwa tysiące czwarty praktyka, między dwa tysiące piątym i dwa tysiące ósmym staż, od dwa tysiące ósmego do dwa tysiące jedenastego młodszy redaktor, a od dwa tysiące jedenastego roku redaktor działu Ludzie i Aktualności – czytam Kirsten skrótkowe CV pod zdjęciem.

– No to dzwoniemy od razu na policję – zarządza Kirsten. – Okłamywanie ludzi, żeby wdrzeć się do ich mieszkania, musi być przestępstwem. Czy dziennikarze nie mają jakiegoś kodeksu honorowego?

– Czy ja wiem, Kirsten. Jak dotąd nie napisała jeszcze żadnego artykułu. Ale co zrobi, jeśli naślemy na nią policję? – Palcem rysuję w powietrzu niewidzialny nagłówek. – Ofiara utrudnia pracę dziennikarzom, straszy ich policją. Czy Jasmin G. ma coś do ukrycia?

– Ale to nawet nie wchodzi w rachubę! Z pewnością nie postępuje tak tylko z tobą...

Słowa Kirsten zmieniają się w stłumiony szept, gdy świta mi w głowie pewna myśl, i wzdrygam się w duszy.

– Listy! – rzucam.

– Co?

– Były od Mai! Pierwszy przyszedł tego samego dnia, gdy Maja zjawiła się tu po raz pierwszy z jedzeniem. Nawet sama go tu przyniosła, rzekomo wyjęła go ze skrzynki na listy. – Zakrywam usta dłonią. – Czego ona ode mnie chce?

– No cóż, wywiadu!

– I po to tyle zachodu?

Kirsten wzrusza ramionami.

– Nawet nie przypuszczasz, ile wart jest w tej chwili wywiad z tobą na wyłączność. Może w ten sposób próbuje cię złamać, żebyś dostarczyła jej jakieś wybuchowe story. – Kręci głową. – Serio, Jassy. Zadzwońmy do Giesnera. – Bierze mnie za rękę. – I tak musimy to zrobić, wiesz o tym.

Przytakuję.

– Rekonstrukcja twarzy.

Kirsten też kiwa głową.

– Im dłużej będziesz zwlekać, tym będzie to dla ciebie trudniejsze.

– Nie, zrobimy inaczej. Zadzwońmy do Mai. Dowiemy się, czego chce.

– Jassy – wzdycha Kirsten.

– A potem zadzwonimy do Giesnera. Zadowolona?

Po drugim sygnale Maja odbiera.

– Halo? – Głos brzmi bardzo przyjaźnie.

– Pani Maja? Dzień dobry, mówi Jasmin Grass.

– Pani Grass! Co za niespodzianka! Wszystko w porządku? Czuje się pani już lepiej? Chyba muszę panią przeprosić za dzisiejszy poranek. Musiałam panią wystraszyć...

– W porządku – przerywam jej. – To nie pani wina. Chciała pani być miła, a ja przesadnie na to zareagowałam. To ja powinnam panią przeprosić.

Kirsten, która siedzi po turecku obok mnie na kanapie, przewraca oczami.

– Wiem, że w tej chwili nie radzę sobie zbyt dobrze.

– Tak – mówi Maja skonsternowana. – Moja oferta jest oczywiście nadal aktualna, pani Jasmin. Jeśli chciałaby pani z kimś porozmawiać...

– Tak, pani Maju. Potrzebuję z kimś porozmawiać.

– Szybko poszło – mówi Kirsten, kiedy niedługo później się rozłączam. – Co powiedziała?

– Że na razie jest jeszcze w pracy, ale zajrzy tu, kiedy skończy. Koło dziewiątej, dziewiątej trzydzieści.

– To znaczy, że właśnie frunie jak na skrzydłach do biura swojego szefa i chwali mu się, że załatwiła wywiad na wyłączność – wyjaśnia Kirsten, a jej uśmiech zdradza, że jej także spodobał się ten pomysł. Gdyby to zależało od niej, wystarczyłoby zadzwonić do Mai i zmyć jej głowę; wiem, że Kirsten chętnie by to dla mnie zrobiła. Byłoby to jej nawet na rękę, w ten sposób mogłaby dać trochę upust emocjom, które zebrały się w niej przez ostatnie kilka dni w związku z presją i całą tą sytuacją. Ale ja nie chciałam dać Mai szansy na to, żeby po prostu się rozłączyła. Żeby wywinęła się z tej hecy jednym naciśnięciem przycisku. To zaszło za daleko: pod fałszywym pretekstem niemalże włamała się do mojego mieszkania. Podczas gdy ja i tak nie miałam już prawie żadnego miejsca na

świecie, ona zinfiltrowała te ostatnie kilka metrów kwadratowych, które jeszcze dawały mi jako takie poczucie bezpieczeństwa i kontroli. Kirsten też musiała to rozumieć.

– Zapewne – mówię, odwzajemniając uśmiech Kirsten, chociaż tak naprawdę nie jest mi wcale do śmiechu.

Kirsten sięga po moją dłoń.

– A teraz...

A teraz.

Teraz biorę głęboki oddech.

Hannah

Dziadek jest na dole w piwnicy. Chce poszukać starych albumów ze zdjęciami.

On i babcia jeszcze raz się pokłócili. I wcale im nie przeszkadzało, że stoję obok i wszystko słyszę. Dziadek był zły, bo babcia schowała albumy ze zdjęciami do piwnicy. Uważał, że zdjęcia mamy z dzieciństwa nie powinny leżeć w jakichś przeklętych pudłach, a już na pewno nie w piwnicy, bo w piwnicy jest wilgoć i zdjęcia mogą się zniszczyć. Babcia powiedziała, że lepiej wzięłyby się do dzwonienia, tak jak jej obiecał.

– Później zadzwonię do Marka – burknął dziadek i zniknął w piwnicy.

Babcia jest teraz w pralni.

Wyjaśniła mi, że zawsze trzeba najpierw wyprać cudze ubrania, zanim włoży się je na siebie, i że zaraz wypierze rzeczy z paczki z darów, żebym jutro mogła sobie coś z tego wybrać. Chciała też zabrać moją sukienkę, ale kurczowo ją trzymałam. Na początku patrzyła na mnie dziwnie, już miałam jej powiedzieć, że sukienka nie jest przecież cudza i dlatego nie trzeba jej prać, ale wtedy ona powiedziała:

– No dobrze, możesz ją przymierzyć i upierzemy ją później.

Powiedziała tak z pewnością dlatego, że nie chciała mieć więcej zatargów z dziadkiem. Dziadek wie, że w razie czego siostra Ruth mogłaby być moją babcią, więc babcia Karin musi wziąć się w garść i dobrze sprawować. I myślę, że sama też coś podejrzewa, bo wystarczyło, że raz bardzo krótko krzyknęłam, gdy chciała zabrać Pannę Tinky do pralni.

– Ten zwierzak jest wyświechtany i cały brudny...

Dalej już się nie posunęła; mój lwi głos uratował Pannę Tinky. Myślę wprawdzie, że babcia miała trochę racji, ale Panna Tinky jest zdecydowanie za słaba na pralkę. Muszę ją chronić i przy niej być. Tak jak Panna Tinky była przy mnie i często brała na siebie kary, gdy coś upadło lub przewróciło się w domu albo przytrafiło mi się jakieś inne głupstwo. Siedziała już z mojego powodu przez całą noc za drzwiami.

Dziadek jest w piwnicy, babcia w pralni, a ja w pokoju mamy. Drzwi są uchylone, tak jak mówił dziadek.

Już się przebrałam i ładnie wyglądam. Obracam się przed lustrem na drzwiach szafy. Za mną, na łóżku mamy, leży Panna Tinky. Mówię:

– Tylko popatrz, Panno Tinky.

Znów się obracam, bardzo szybko, tak że dolna część sukienki wiruje szeroko.

Ale Panna Tinky tylko zmęczona kołysze głową. Przysiadam się do niej i kładę ją sobie na kolanach.

– Zawsze tak siedziałyśmy w domu przy piecu. Pamiętasz, Panno Tinky?

– Głaszczę ją po łebku. Nadal jest bardzo zimna i sztywna. Nic dziwnego, pewnie siedziała na zewnątrz w pudle z darów przez wiele godzin, zanim babcia przyniosła je do domu.

– Widziałaś już te piękne gwiazdy na górze? – Wskazuję na sufit. – Mama zrobiła to dla nas. Wiedziała, że tu trafimy. – Zaciskam oczy i rysuję palcem w powietrzu niewidzialne linie w Wielkim Wozie. – Jeśli chcesz, mogę ci opowiedzieć pewną historię, Panno Tinky.

Panna Tinky miauczy bardzo cicho.

– No dobrze, posłuchaj mnie uważnie. Zawsze trzeba uważnie słuchać. Niegrzecznie jest kogoś nie słuchać. Ale co ty możesz o tym wiedzieć, prawda, Panno Tinky? A więc: pewnego razu, dawno, dawno temu, były sobie dwie gwiazdki. Duża, jasnoczerwona, i mała, której światło wciąż zdawało się trochę przyćmione. I były one najlepszymi przyjaciółkami. W ciągu dnia odpoczywały, ale gdy tylko zapadła noc, brykały razem po niebie. Mała gwiazdka podziwiała swoją piękną, dużą czerwoną przyjaciółkę i bardzo się starała emitować równie ładne światło. Pewnego wieczoru, gdy dzień dopiero co poszarzał, a nocy jeszcze się nie spieszyło, okropny hałas wyrwał tę małą gwiazdę ze snu. Rozejrzała się, zaskoczona, ale nie mogła nigdzie dojrzeć przyczyny tego ogłuszającego huk. Usłyszała, jak obok niej wielka czerwona przyjaciółka mówi spokojnym głosem: „Wszystko w porządku, moja mała gwiazdko. Nic się nie bój i zdrzemnij się jeszcze trochę. Obiecuję, że dziś wieczorem będę świecić wyjątkowo jasno, tylko dla ciebie”.

I tak było: od tamtej nocy jej wielka przyjaciółka świeciła jaśniej niż kiedykolwiek, jaśniej niż wszystkie inne gwiazdy w całej, całej galaktyce, a mała gwiazdka kochała ją za to i podziwiała jeszcze bardziej. Jednak pewnej nocy mała gwiazdka obudziła się i odkryła, że jej przyjaciółka zniknęła. Mała gwiazdka rozejrzała się w panice, ale przyjaciółki nigdzie nie było. Była przerażona, tym bardziej że – jak zauważyła – otaczała ją jakaś niesamowita mgła. Rozplakała się straszliwie, bo tęskniła za przyjaciółką i czuła się bardzo samotna. Inne gwiazdy były zbyt daleko, żeby mogła znaleźć wśród nich nową przyjaciółkę, a poza tym nikt nie był w stanie zastąpić jej ukochanej dużej czerwonej gwiazdy. Nagle we mgle rozległ się głos, który brzmiał jak głos jej przyjaciółki: „Nadszedł mój czas, mała gwiazdko. Spożytkowałam wszystkie swoje siły, jestem już wypalona”.

„Ależ to niemożliwe!”, krzyknęła mała gwiazdka. „Szczególnie przez kilka ostatnich nocy iskrzyłaś tak jasno, jak nigdy dotąd!”.

„Tak”, przyznał głos. „Tak to już jest ze śmiercią. Kiedy my, gwiazdy, zużywamy paliwo, stajemy się wielkimi czerwonymi olbrzymami i świecimy szczególnie pięknie. Potem następuje eksplozja i pękamy”.

Mała gwiazdka była zszokowana tymi okrutnymi słowami.

„W takim razie ja też wolałabym już wybuchnąć”, powiedziała swoim najbardziej wyzywającym lwim głosem. „Teraz, od razu! Wolałabym umrzeć, niż musieć spędzić resztę życia sama i bez ciebie”.

„Ale przecież wcale nie jesteś sama”, powiedział jej głos przyjaciółki. „Widzisz mgłę, która cię otacza. To mój duch, zrodzi się z niego wiele innych gwiazd. Będą cię potrzebować jako swojej wielkiej przyjaciółki, która będzie je chronić i stanie się dla nich wzorem”.

„Ale jak mam to zrobić?”, zapytała z niedowierzaniem mała gwiazdka. „Sama jestem mała i moje światło jest przyćmione. Jak mam się stać wspaniałą przyjaciółką i wzorem do naśladowania?”.

„Rozejrzyj się tylko! Nowe gwiazdy to te maleńkie pyłki w mgławicy. Jak duża i promienna musisz im się teraz wydawać?”.

„Głos ma rację”, pomyślała mała gwiazdka. Nowe gwiazdy są mniejsze niż pyłki, tak małe, że sama nawet ich nie zauważyła.

„Jestem teraz wielką przyjaciółką”, powtórzyła głęboko poruszona i rozejrzała się wokół we mgle, która niedawno napawała ją przerażeniem, a teraz obiecywała jej tyle wspaniałości. „I będę dobrą wielką przyjaciółką”, przyrzekła uroczyście i rozbłysła jak nigdy dotąd, wzmocniona nową odpowiedzialnością i pewnością, że duch jej najlepszej przyjaciółki już zawsze będzie ją otaczać. Nawiasem mówiąc, odpowiedzialność oznacza dbanie o to, żeby postępować właściwie, chociaż jeszcze się tego nie wie, Panno Tinky. – Uśmiecham się i dodaję: – Koniec.

Siostra Ruth zapewne sądziła, że nie znam tej historii. Ale ja znam ją od dawna, od mamy i bez Boga. Bez jego udziału ta historia jest znacznie lepsza.

Podciągam nogi na łóżko i zwijam się w bardzo mały kłębek z Panną Tinky na rękach.

– Nie bój się – szepczę jej do ucha. – To już nie potrwa długo.

Jasmin

Już prawie siódma. Otwieram drzwi, dopiero gdy pukanie staje się nieprzerwane i rozpoznaję głos „Chama” wołającego przez drzwi:

– Pani Grass, tu nadkomisarz Frank Giesner!

Przyszedł z policjantem, który tydzień wcześniej towarzyszył mnie i mamie w drodze do domu. Wpuszczam ich do środka.

– Dzień dobry – mówi Kirsten, która właśnie wyszła z łazienki i teraz wyciąga rękę do „Chama”, a potem do jego towarzysza.

„Cham” wita się z Kirsten i dziękuje mi za telefon i za to, że jeszcze dzisiaj zgodziłam się z nim spotkać. Przepraszam, że wczoraj byłam niedyspozycyjna, i jestem mu wdzięczna, iż nie wspomina przy Kirsten, że dzisiaj już kilka razy próbował się ze mną skontaktować. To jeden z powodów, dla których się przemogłam i jeszcze tego dnia się z nim umówiłam. Pomyślałam, że jeśli nie przestanę go ignorować, tylko kwestią czasu będzie, kiedy zjawi się tu niezapowiedziany. Podobnie jak to, kiedy Kirsten przyłapie mnie przy majstrowaniu w telefonie, żeby ukryć jego połączenia. Zwłaszcza teraz, gdy rozmawiałam z Mają przez telefon, nie zrozumiałaby zapewne, jak mogę wykazywać taką determinację, żeby zwabić do mieszkania dziennikarkę i przywołać ją do porządku, a zarazem migać się od pomagania w śledztwie. W końcu to moja sprawa, nas obu, Leno. Chciałabym, żeby chodziło tylko o ciebie. Chcę pomóc ci znaleźć spokój. Pomóc cię znaleźć. Wiem, że na mnie liczysz, i z tego właśnie staram się czerpać siły. Myślę o twoim uśmiechu, twoim zdjęciu, beztrosce tego ujęcia, gdy byłaś szczęśliwa i nie miałaś pojęcia, przez co nam obu przyjdzie przechodzić.

– Może usiądźmy – proponuje Kirsten i kieruje się do salonu.

Gdy „Cham” podąży za nią i przechodzi obok mnie, zauważam, że pod lewą pachą trzyma cienką, zieloną tekturową teczkę. To w niej musi się to znajdować – kartka ze zrekonstruowaną twarzą.

– Zobaczysz, pójdzie raz-dwa – zapewniała mnie Kirsten wcześniej, żebym wykrzesła z siebie resztkę odwagi, odrobinę wysiłku, których mi brakowało, by wybrać jego numer. – To czysta formalność. Spojrzysz na rysunek i zidentyfikujesz tego mężczyznę. Po prostu: tak, to on. I załatwione. Nie musisz nic więcej mówić. Znosiłaś tę twarz przez cztery miesiące, Jassy. I dałaś radę. Te kilka sekund, których teraz potrzebuje Giesner, żeby odnotować to w aktach, też wytrzymasz.

Naprawdę chciałam jej wierzyć, ale najwyraźniej nie sprawiałam wrażenia szczególnie przekonanej, bo dodała:

– Uwierz mi, poczujesz się potem o wiele lepiej. To dla nas pierwszy krok, żeby iść dalej.

Dla nas – to usłyszałam najwyraźniej.

– Z pewnością nie jest pani łatwo, pani Grass – mówi „Cham”, siadając na sofie obok Kirsten. Tekturową teczkę kładzie przed sobą na stoliku kawowym. Staram się nie zważać na to, jak taksuje mój zaniedbany wygląd, tę samą poplamioną bluzę i workowate spodnie, które miałam na spotkaniu z doktor Hamstedt i które zdają się potwierdzać, że w tej chwili nie należy wymagać ode mnie zbyt wiele. – Ale mam nadzieję, że pani rozumie, że niestety nie możemy tego pani oszczędzić.

– Jasne, w porządku. – Siadam na fotelu i tłumię w sobie odgłos bólu. – Miejmy to już za sobą – mówię, spoglądając na Kirsten, która zachęcająco potakuje. „Cham” też kiwa głową, po czym wyciąga z teczki kartkę i mi ją podaje. Biorę głęboki wdech, oddycham wbrew przyspieszającemu tętnu, wbrew sercu, które pompuje krew i napiera, żeby zwiększyć swoją siłę bicia, aż czuję je nie tylko w piersi, lecz w całej sobie. Potem trzymam kartkę w dłoniach i przyglądam się twarzy, jej rysom, jednocześnie

zdumiona i przerażona. Przesuwam palcem po liniach. Wspomnienie przelatuje mi przez głowę, wręcz niesamowicie dobrze pokrywa się z wizerunkiem na kartce A4 i rozmywa na moich oczach, obraz ten miesza się z plastyczną rzeczywistością, strzępy wspomnień dudnią mi w głowie jak strzały, porywają mnie. Wciąga mnie wir, zabiera ze sobą, mrużę oczy, a kiedy znów je otwieram, jestem z powrotem w lesie.

Wypadek. Jasne barwy eksplodują przede mną. Ból. Leżę zeszywniała i zimna. Ktoś się nade mną pochyla. Jego głos:

– Cholera, jest pani ranna? Słyszysz mnie pani?

Mrugam słabo, krew cieknie mi do oka. Jego twarz cały czas się rozmywa.

– Słyszysz mnie pani? Zadzwoń po karetkę, okej? Wszystko będzie dobrze.

Chcę pokiwać głową, ale nie mogę. Powieki mi trzepoczą.

– Proszę nie zasypiać, dobrze? Nie może pani. Halo? Słyszysz mnie pani?

– Pani Grass? – pyta w oddali głos z innej rzeczywistości. To „Cham”.

– Proszę dać jej jeszcze chwilę – postuluje inny głos. Kirsten.

Reflektory, oślepiają mnie, z powodu bólu zachowuję się jak pijana. Mężczyzna, który prowadził samochód, klęczy nade mną. Mglisto dostrzegam, jak sięga do kieszeni kurtki.

– Już wzywam pomoc, słyszysz pani? Karetka zaraz tu będzie.

Na sekundę mogę się odprężyć. Jeśli teraz umrę, umrę wolna. I ten człowiek mnie ocali. Ubóstwiam ją, tę twarz mojego wybawcy...

– Czy to on, pani Grass?

Nagle jednak pojawia się coś innego. Dźwięk, jakiś syk, który przecina powietrze. Znam ten rodzaj hałasu. Już go słyszałam, wcześniej sama go nawet spowodowałam, podnosząc kulę śnieżną i wymachując nią w powietrzu. I znam też ten następujący później odgłos. Przypomina upuszczenie arbuza na podłogę – *pamm!* Tak to brzmi, kiedy rozbija się komuś czaszkę. Mrugam przerażona. Najpierw kierowca klęczy, potem,

kiedy mrużę oczy po raz kolejny, pada na ziemię. Jego twarz znajduje się teraz bardzo blisko mojej, tak blisko, że powinnam czuć na skórze jego oddech. Nic jednak nie czuję, on nie oddycha. Oczy ma szeroko otwarte, nieruchome. Chcę krzyczeć, nie mogę. Nie tutaj, nie w tym momencie. Gdzie indziej tak. Po salonie echem niesie się mój krzyk i rozdziera wspomnienia. Zwijam się na fotelu, trzęsę się, jakbym miała atak epilepsji, wszystko się we mnie spina. Kirsten zeskakuje z sofy. Bierze mnie w ramiona, a ja kopię i rzucam się, moja twarz jest rozpalona i mokra, skóra płonie.

– Jassy! Wszystko w porządku, jesteś bezpieczna. Jesteś w domu i ja jestem z tobą. Słyszysz, Jassy?

– Poznaje go pani, pani Grass?

Tak, poznaję go. I krzyczę – ze strachu. I z żalu – z powodu mojego wybawcy. I kopię – wierzgam, walcząc z sensem tego wszystkiego. Kirsten trzyma mnie mocniej.

– Proszę ją już zostawić, panie Giesner! Nie widzi pan, jak ona się czuje?

Nie jest z tobą najlepiej. Potrzebujesz pomocy.

Wracam. Biegnę. Przez porośniętą trawą działkę, która łączy szalas z pobliskim lasem. Gałęzie drapią moją skórę, ledwo widzę w ciemności. Nagle za mną... Czy coś trzasnęło?

– Czy to ten mężczyzna panią uprowadził, pani Grass?

Mogłabym przysiąc, że czułam gulasz.

Mogłabym przysiąc, że uderzyłam go tylko raz.

Jego twarz, strzępy, czerwone, wszystko czerwone.

Pokój bez klamek. Dla pani własnego bezpieczeństwa, pani Grass.

– Oddychaj, Jassy, już spokojnie. Jestem tu, wszystko jest dobrze. Spróbuj oddychać.

To czysta formalność. Spojrzysz na rysunek i zidentyfikujesz tego mężczyznę. Po prostu: tak, to on. I załatwione. Nie musisz nic więcej mówić.

– Jestem z tobą, Jassy. Nie bój się. To już koniec.

Mrugam. Czuję bicie serca Kirsten, silne i niezawodne. Jej ramiona, które mocno mnie trzymają. Jej ciepło. I wtedy słyszę swój głos, jak mówi:

– Tak, to on.

Matthias

Hannah leży na łóżku i śpi. Wygląda jak aniołek, jak moja Lenka. Jedyne, co mnie niepokoi, to widok starego pluszaka od czytelników „Bayerisches Tagblatt” w jej objęciach, podobnie jak wyblakła sukienka, którą ma na sobie. Nie udało nam się pójść dzisiaj na zakupy, ale jutro zabiorę Hannę do miasta, ubiorę ją w nowiutkie rzeczy i kupię jej nową zabawkę. No dobrze, może pójde bez Hanny, żeby nie wzbudzać sensacji w centrum handlowym. Ale muszę mieć pewność, że Karin będzie nad sobą panować, jeśli zostawię je same w domu na godzinę lub dwie. Ostrożnie przykrywam narzutą drobne ciało Hanny i szepczę:

– Dobranoc, kochanie.

Po raz ostatni zerkam na śpiącego aniołka i przymykam drzwi, zostawiając szparę. Karin pojechała do koleżanki z jogi do pobliskiego Gilching, prawdopodobnie po to, żeby mnie zdenerwować.

Kiedy właśnie schodzę na dół, dobiegający z salonu dzwonek komórki przypomina mi, że Karin może nawet mieć powód, by się złościć. Zapomniałem zadzwonić do Marka. Ostatnie stopnie pokonuję szybciej, żeby przenikliwy dźwięk nie obudził Hanny.

„Gerd Brühling, praca”, widać na wyświetlaczu.

– Halo? – mówię krótko. Tylko tyle jestem w stanie powiedzieć, bo Gerd od razu wypala z grubej rury: brak piątej klepki, trąba z koziej dupy, do tego postradanie rozumu, stary, głupi cep, który najadł się szaleju, jest bezużyteczny, a w porywach groźny. Rozumiem słowa, ale nie to, na czym polega problem Gerda. – Etap, na którym mnie obrażasz, mamy więc już za sobą – korzystam z chwili, gdy bierze oddech, co w trakcie tej tyrady robi

dopiero po raz pierwszy. – Mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

– Rozwodziłeś się w prasie o naszej pracy! – dyszy Gerd, któremu od obelg wyraźnie brakuje tchu. Widzę go siedzącego za biurkiem z brzuszyskiem rozsadzającym źle zapiętą koszulę i z otyłym, mocno czerwonym łbem. – Artykuł, który ukazał się dziś w „Bayerisches Tagblatt”!

– No i?

– Ty! – warczy przeciągle Gerd, po czym czyta mi fragment dzisiejszego wydania: – „Jako że dwa bezowocnie połączone ze sobą organy policji, w nawiasie Cham i Monachium, zdają się błędzić we mgle już blisko trzy tygodnie po spektakularnej ucieczce ofiary porwania, Jasmin G., nasz dziennik jako poczuwające się do odpowiedzialności i naświetlające różne sprawy medium uważa za swój obowiązek donieść opinii publicznej, że stworzono obraz fantomowy, który może pomóc w identyfikacji domniemanego sprawcy. Niemniej jednak policja zwleka z jego upublicznieniem, bo wydaje jej się, że dzięki temu uniknie obciążenia pracą, do którego mogłoby dojść, gdyby społeczeństwo przyłączyło się do wyjaśniania tożsamości nieznanego dotąd mężczyzny. Niepodpisany z nazwiska świadek pamięta oświadczenie, którym dzieli się teraz z naszą redakcją, a które podobno skierował do niego jeden z oficerów śledczych w tej sprawie: «Zależą nas wskazówki i przebrnięcie przez nie zajmie nam mnóstwo czasu». Dlatego też do tej pory nie zdecydowano się zaangażować opinii publicznej, chociaż w ten sposób najpewniej opóźni się ostateczne dostarczenie ofiarom i ich rodzinom wyjaśnienia tej sprawy, która uchodzi za jedną z najbardziej spektakularnych w ostatnich latach. Nieznany dotąd mężczyzna, zabity przez Jasmin G. w trakcie ucieczki, może być też powiązany ze sprawą monachijskiej imprezowiczki Leny Beck, która zaginęła w styczniu dwa tysiące czwartego roku, początek nawiasu: wówczas dwudziestotrzyletniej, koniec nawiasu. My, redakcja «Bayerisches Tagblatt», nie zgadzamy się z decyzją policji o zatajaniu przed opinią

publiczną ważnych informacji, które z Waszą pomocą, Drodzy Czytelnicy, mogłyby ostatecznie doprowadzić do odnalezienia Leny Beck...”. Jesteś sobie w stanie wyobrazić, co się tutaj teraz dzieje? Nasze telefony nie urywają się dlatego, że jacyś pomyleńcy za wszelką cenę chcą rozpoznać tego faceta, ale dlatego, że chcą wnieść na nas skargę! Tak było dziś przez cały dzień! Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty? Czy nie powinienem szukać twojej córki? Czy nie tego ode mnie oczekujesz? Zamiast tego muszę teraz ogarniać ten syf! Spójrz na zegarek! Widzisz, która jest godzina? A ja wciąż siedzę w swoim pokoju i odbieram bezsensowne telefony!

– Ktoś musi przecież wreszcie coś zrobić... – warczę, ale Gerd najwyraźniej jeszcze nie skończył.

– Robimy wszystko, Matthias! Robimy wszystko, żeby znaleźć Lenę! Ale nie będziemy w stanie się na tym skupić, jeśli będziesz sabotować nasze śledztwo, nastawiając przeciwko nam ten szmatławiec, a wraz z nim całą Bawarię!

– Co mam ci powiedzieć, Gerd? Że mi przykro, że ten jeden jedyny raz musisz zostać trochę dłużej w pracy? Nie, nie jest mi przykro! Najwyższy czas, żeby wreszcie zaczęło się wam palić pod dupskami! Teraz bowiem musicie się wykazać, żeby ludzie doszczętnie nie stracili wiary w was i w cały ten system!

– Powiedz, czy tobie jeszcze w ogóle chodzi o córkę, czy robisz to dla jakiejś posranej zasady?

– Nie pozwalaj sobie! – szczekam do telefonu. – Czy nie powinieneś był przypadkiem przyjechać tu już dawno temu, żeby pokazać Karin rekonstrukcję, tak jak zapowiedział to Giesner? Czy nie powinniście przypadkiem warować u nas na wycieracze nie później niż o ósmej rano, żeby – parskam pogardliwie – przepytać *osobiste kontakty* Leny? Gdzieżeś był, co? Skoro rzekomo tak poważnie podchodzisz do śledztwa? A gdyby

Karin rozpoznała tego mężczyznę? To wtedy być może już dawno byśmy wiedzieli, gdzie szukać Leny!

Gerd chrząka.

– Powiedz mi, proszę, jeszcze tylko jedno, Matthias. Żebym od razu mógł się na to nastawić: czy powiedziałeś tej cholерnej redakcji, że Mark Sutthoff robił u nas testy DNA?

– On robił... co? – Opadam na jedną z dwóch podwójnych sof w naszym salonie; tak się składa, że na to samo miejsce, gdzie w środę wieczorem siedział Mark Sutthoff i pił herbatę serwowaną mu przez moją żonę.

– To dobrze – wzdycha z ulgą Gerd i chce się ze mną pożegnać.

– Gerd, nie, poczekaj, nie rozłączaj się! Przepraszam, że poskarżyłem się Rognerowi. Musisz mi jednak powiedzieć, dlaczego robiliście Markowi testy DNA!

– Akurat – śmieje się sucho Gerd.

– Nie, Gerd, naprawdę! Przysięgam na życie mojej wnuczki, że nie będę z nikim o tym rozmawiać!

Gerd milczy, przez chwilę słychać tylko cichy szum na linii.

– Ja sam też już dawno pożałowałem, że znów zaufałem temu Rognerowi – ciągnę. – W ramach podziękowania nasłał na mnie bandę reporterów, gdy wracałem z Hanną do domu z ośrodka leczenia traumy.

Gerd nadal milczy, szum na linii.

– Proszę – próbuję dalej. – Mark złożył nam niespodziewaną wizytę dwa dni temu. Powiedział, że poprosiłeś go o pomoc, ale nie wspominał, że chodzi o próbki DNA.

– No cóż, *prosiliśmy* to pojęcie względne – mówi Gerd, i po kolejnej przerwie dodaje: – Przysięgnij, że nie piśniesz nikomu ani słowa.

– Tak! To znaczy nie. – Pospiesznie kiwam głową. – Nikomu ani słowa, obiecuję. Ale mówże wreszcie.

Gerd znowu wzdycha i przez kilka sekund poważnie się obawiam, że tym razem się nie ugnie, jako że moja wiarygodność po publikacji tego

artykułu musi być w jego oczach równie marna co tusz drukarski na papierze gazetowym, dotykany wilgotnymi od gniewu palcami. Tak, to fakt. Naprawdę nie mogłem zrobić nic lepszego, niż zadzwonić do redakcji „Bayerisches Tagblatt” zaraz po rozmowie z Giesnerem przed ośrodkiem leczenia traumy i wyłożyć asystentowi Rognera to, co leżało mi na wątrobie o niewystarczających staraniach policji. Ale niestety zbyt wiele rzeczy poszło nie tak. Przez te czternaście lat, kiedy konsekwentnie należało szukać Leny, a zwłaszcza teraz, gdy wszystkie elementy układanki leżą na stole. Tyle tylko, że – jak mi się wydaje – nikt nie chce zadać sobie choćby odrobiny trudu i ich uporządkować, a ja po prostu nie mogę się na to zgodzić. Jak można mieć sprawcę i miejsce zbrodni, a mimo to nie potrafić znaleźć ofiary? Jak to możliwe, że nie przesłuchali jeszcze najważniejszego świadka, tej całej Grass, żeby w końcu wyśpiewała wszystko, co wie? Dlaczego wciąż nie wyjaśniono ucieczki kierowcy z miejsca wypadku i dlaczego w poszukiwaniu Leny przekopano teren wokół szałasu tylko w marnym promieniu półtora metra? Powinni rozkopać cały ten cholerny las! W zasadzie już tylko czekam, aż Gerd się rozłączy. Najwyraźniej nauczył się czegoś od swojego niewzruszonego kolegi Giesnera, który nie pozwolił mi nawet sfotografować dla żony rekonstrukcji twarzy sprawcy. I to nawet pod groźbą zawału serca. Choćby koniec końców niewiele by to zmieniło. Tak czy inaczej, skontaktowałem się z redakcją. Jedyna różnica polega więc na tym, że zamiast wysłać im tę rekonstrukcję, dałem upust złości przez telefon. Wydrukowałiby rekonstrukcję w dzisiejszym wydaniu i otrzymali być może cenne informacje od ludzi. Na szczęście dla mnie Gerd nie jest nieugiętym Giesnerem. Na szczęście dla mnie Gerd pozostaje Gerdem, moim byłym najlepszym przyjacielem, kumplem z wypadów na ryby, ojcem chrzestnym mojej córki. I na tym Gerd znów się wyklada, mówiąc:

– W porządku. Jak już wiesz, w ramach śledztwa mamy obowiązek przeprowadzić testy na pokrewieństwo, nawet jeśli sprawa wydaje się

jasna. Tak jak musieliśmy potwierdzić pokrewieństwo między Leną a dziećmi. Pojawiła się jednak pewna niezgodność.

Ściska mnie w klatce piersiowej, w głowie pojawia się szaleńcza myśl: Hannah nie jest moją wnuczką. To wszystko to jedna wielka pomyłka. Łapię się na tym, że kręcę głową. „To niemożliwe, nic się nie martw, Hannah jest twoją wnuczką. Wygląda jak twoja Lenka”.

– Sprawa przedstawia się następująco, Matthiasie.

„Wygląda jak twoja Lenka”.

– Nie udało nam się stwierdzić pokrewieństwa między zwłokami z szałasu a dziećmi.

Moje serce opada z ulgą do żołądka. Hannah jest oczywiście moją wnuczką, wszystko się zgadza.

– To znaczy...

– To znaczy, że denat znaleziony w szałasie nie jest biologicznym ojcem dzieci. Badania to wykluczyły.

– Mark Sutthoff – sapię do telefonu, nie pojmując prawdziwego znaczenia tych słów.

– Giesner wpadł na pomysł, żeby przetestować Sutthoffa, bo Lena co rusz schodziła się z nim i zrywała na krótko przed zniknięciem. Wprawdzie oficjalnie nie byli razem w chwili porwania, ale jeśli pamiętasz, analiza esemesów w jej telefonie wykazała, że byli w stałym kontakcie i chcieli jeszcze raz spróbować, gdy tylko Mark wróci z Francji.

– Dalej – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– No cóż, po prostu trochę policzyliśmy! Nie znamy dokładnych dat urodzenia dzieci, musimy więc polegać na ich zeznaniach i szacunkach zajmujących się nimi lekarzy. Jeśli więc Hannah faktycznie ma trzynaście lat, a Lena zniknęła trzynaście lat i dziewięć miesięcy temu, to są tylko dwie możliwości. Albo Lena zaszła w ciążę natychmiast po porwaniu, a Hannah jest wcześniakiem, albo Lena w momencie porwania była już w ciąży.

– Z Markiem Sutthoffem – mówię i zasłaniam usta dłonią.

– Tak – potwierdza Gerd, ale nie brzmi to specjalnie przekonująco. – DNA denata nie pasuje jednak także do Jonathana, a on jest o około dwa lata młodszy od Hanny.

– No i? Czy DNA Marka pasuje?

– Tego jeszcze nie wiemy. Laboratorium przyśle wyniki najwcześniej w poniedziałek.

– Cholera, Gerd! Jeśli Mark jest ojcem, to... – Brakuje mi słowa, gdy sens wypowiedzi Gerda opada głęboko, coraz głębiej, i przytłacza mnie niczym kilkutonowa bryła, tak że ledwie mogę oddychać.

Wielki Boże, miałem go. Naprawdę go miałem.

Moje ręce na jego kołnierzu. Plecy przyciśnięte do ściany. Twarz czerwona jak u raka.

Gdzie ona jest, ty świniu?

Miałem go w chwili, kiedy Lena z pewnością jeszcze żyła.

– No tak – mówi Gerd.

– Ale kim jest ten mężczyzna z szafasu?

– Był, Matthiasie, okej? Kim był ten mężczyzna? Dopóki nie otrzymamy wyników z laboratorium, są to tylko teorie, rozumiesz? Dopóki nie dostaniemy wyników, Mark Sutthoff jest tylko świadkiem, który życzliwie pomaga nam wykluczyć pewną możliwość. I szczerze mówiąc, ja sam nie sędzę, żeby wynik wyszedł pozytywny. Bardzo kochał Lenę, jest z niego całkiem miły facet, co nie? Poprosił mnie nawet o adres Jasmin Grass, żeby wysłać jej kartkę z życzeniami. Oczywiście nie wolno mi udostępniać nikomu jej adresu, ale sama ta prośba pokazuje, jakim jest człowiekiem.

– A jak...

– *Jeśli* – poprawia mnie Gerd. – Jeśli denat z szafasu jest niewłaściwym mężczyzną, to albo było więcej sprawców...

– Wśród których mógł być Mark Sutthoff. – Nad moją brwią znów zaczyna coś nieznośnie pulsować; czułem to już przedwczoraj, gdy Mark

nas odwiedził.

– Wkrótce się dowiemy. Ale... – Gerd urywa.

– Ale?

– Posłuchaj, Matthiasie. Chciałbym, żebyś dał mi teraz do telefonu Karin.

– Nie mogę. Poszła do przyjaciółki.

– Okej, więc do niej zadzwoń, dobrze? Poproś, żeby wróciła do domu.

Nie chcę, żebyś był teraz sam i zrobił pod wpływem impulsu coś, przez co ostatecznie wszyscy będziemy mieli tylko kłopoty. Przysięgłeś mi na życie swojej wnuczki...

Gerd dalej mi perswaduje – żadnych głupot, musimy poczekać i zobaczymy, zadzwoń do Karin. Spoglądam prosto przed siebie, jego słowa przelatują obok mnie. Nawet jeśli siedzę plecami do korytarza, wyczuwam to. Jakiś cień w kącie okna przemyka w tym momencie do drzwi wejściowych.

Jasmin

Jakaś cząstka mnie się odizolowała, kuca skulona w wąskim, ciemnym pokoju o grubych, nieprzeniknionych ścianach, podczas gdy reszta nadal siedzi w salonie z Giesnerem i Kirsten, których właśnie okłamałam. Na kartce przyniesionej przez Giesnera nie widnieje twarz mojego porywacza, lecz kierowcy samochodu, pod który wpadłam. I powoli, bardzo powoli, kropelka po kropelce sens tego zaczyna przenikać do mojej świadomości.

– Chciałbym z panią jeszcze o czymś porozmawiać, pani Grass – mówi „Cham” i odklikuje wkład długopisu z powrotem do obudowy. Właśnie zanotował, o czym zaświadczył drugi policjant, że bez cienia wątpliwości zidentyfikowałam porywacza.

Porywacza, który nie umarł. Uświadamiam sobie, że było właśnie tak, jak myślałam, gdy przyjmowano mnie do szpitala. Uderzyłam go tylko raz,

nie kilka razy, jak twierdzi policja, i nie tak mocno, żeby kula śnieżna pękła na jego czaszce. Był to tylko jeden jedyny, bezużyteczny raz.

– Chwileczkę – wtrąca się Kirsten. – Z całym szacunkiem dla pańskiej pracy, panie Giesner, ale Jassy chyba dzisiaj już wystarczająco panu pomogła. Myślę, że powinna teraz odpocząć.

Kula śnieżna pękła, dopiero gdy upuściłam ją na ziemię po ciosie.

No chodźcie dzieci! Dalej!

– W porządku, Kirsten.

– Jesteś pewna, Jassy?

Teraz jestem. Nie uroiłam sobie trzeszczenia ściółki, gdy biegłam przez las. On mnie ścigał, powalił kierowcę samochodu, pod który wpadłam, a potem umieścił go na swoim miejscu w szałasie. Dokładnie tak musiało się to rozegrać. Potem, gdy Hannah jechała ze mną karetką do szpitala, zmasakrował mu twarz nie do poznania.

– Tak, jestem pewna.

Znów to jarzące się dziwne uczucie, które naszło mnie już w karetce, gdy usłyszałam głos Hanny. Hannah tam po prostu nie pasowała. Zastanawiam się teraz dlaczego. Dlaczego pozwolił, żeby ratownicy mnie zabrali? Dlaczego mnie też nie zabił, tak jak kierowcy? Po moim ataku i ucieczce musiałam na to bardziej niż zasługiwać w jego oczach.

– Dobrze, pani Grass.

Ale nie, on nie zaciągnął mnie z powrotem do szałasu ani do lasu, żebym tam umarła. Mało tego, nawet posłał ze mną Hannę.

– Proszę od razu mówić, jeśli będzie pani potrzebowała przerwy.

Kiwam głową nieobecna.

Dlaczego? Dlaczego nie złapał dzieci i nie wziął nóg za pas? Musiał przecież zdawać sobie sprawę z tego, że policja będzie prowadzić śledztwo, bez względu na to, czy umrę wskutek odniesionych obrażeń, czy z tego wyjdę i złożę zeznania. Musiał zdawać sobie sprawę także z tego, że policja

znajdzie szalas – oczywiście, było to dla niego jasne, w przeciwnym razie nie umieściłby kierowcy na swoim miejscu. Więc dlaczego? Dlaczego?

– To świetnie. Przejdźmy więc dalej, pani Grass. Zaraz będzie po wszystkim. – Mam wrażenie, że „Cham” się uśmiecha, ale ja nie mogę odwzajemnić tego uśmiechu, moje rysy są jakby odrętwiałe. – Czy coś pani mówi imię Sara?

A więc była już jedna Sara. Trzecie dziecko, którego zawsze pragnął twój mąż. Już dawno mu je urodziłaś, Leno. Przyjmuje się, że nie żyje, że on chciał zastąpić swoje trzecie, martwe dziecko, tak jak ciebie. Tej części mnie, która kuca w czarnym, ciasnym pokoju, zaczynają migotać myśli. Ta druga część, ta siedząca z „Chamem” i Kirsten, jest zupełnie pusta, to sama skorupa, manekin, który mnie reprezentuje, beznamiętnie odpowiada na pytania, nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Oczywiście wiem dlaczego. To naprawdę nie jest takie trudne. Twój mąż żyje. Twój mąż darował mi życie. Twój mąż ma jakiś plan. „Cham” zaczyna mówić o najnowszych wynikach badań DNA, które w zasadzie niepodważalnie dowodzą, że policja ma niewłaściwego mężczyznę. Tylko nie mogą dojść do tego, jak to się stało, a nie mogą, bo nadal milczę. „Cham” może nawet sądzi, że to jakieś przeoczenie, skażenie próbki, które doprowadziło do uzyskania błędnych wyników w laboratorium. Jego słowa zmieniają się w paplaninę, która mnie otacza i z każdą sekundą staje się coraz bardziej przytłaczająca. Zaczynam oddychać płytko, płytko, bardzo płytko. Jakbym mogła wydmuchać z siebie tę okrutną wiedzę. Przez krótką chwilę zdaje to egzamin. Potem znów wzbiera we mnie gorąco, bezlitosne, palące gorąco, duszę się.

Musisz im to powiedzieć. Otwórz te usta. Policja może ci pomóc.

Nikt nie przyjdzie ci na pomoc. Odtąd masz już tylko nas.

Na zawsze, zawsze, zawsze.

Twój mąż żyje. Twój mąż pozwolił mi żyć. Twój mąż ma jakiś plan. I mnie dopadnie. W tym momencie manekin zapada się w mój fotel do czytania.

Tato! Mama znów ma atak!

Matthias

Cień, który przemyka przez nasz przedpokój.

Jak w zwolnionym tempie odwracam głowę i słyszę, że drzwi się zamykają. Telefon wyślizguje mi się z ręki i ląduje na dywanie w salonie. Zrywam się z sofy. Moje kroki, które miały być szybkie, stają się ociężałe. Serce. Moje serce. Dłonią sięgam do klamki. Otwieram drzwi frontowe. Na dworze zapadł już zmierzch, tylko wokół latarni rozlewają się odizolowane żółte wysepki światła na czarnym asfalcie. Moje oczy biegają dookoła. Wciąż ją widzę: Hannę, która mniej więcej trzysta metrów dalej wsiada do jakiegoś samochodu. I wysoką ciemną postać, zatrzasnącą za nią drzwi od strony pasażera. Sparaliżowany przyglądam się mężczyźnie, który obiega samochód, żeby usiąść za kierownicą.

– Hannah – skrzeczę, ledwo słyszalnie.

Uruchamiany silnik. Ruszający z miejsca samochód. Jedzie. Odjeżdża. Mój szok mija dopiero w momencie, gdy zbiegam po schodach przed dom, wybiegam przez otwartą furtkę na ulicę i krzyczę:

– Mark! Nie!

Ale po Marku i Hannie pozostają w ciemności tylko dwa małe czerwone światełka.

Jasmin

Jest zbyt ciemno. Odkąd wyszłam ze szpitala, zawsze musi się gdzieś palić światło. Kirsten to wie. Wszystko, co ciemne, to pakamera w szafasie, bolesne uczucie rozciąganych na boki ramion i nadgarstków przypiętych

do rur kanalizacyjnych, to przerażająca czarna sfera, w której myśli nie znajdują przyczółku, to strach i oczekiwanie, że on wróci i mnie zabije. Mrugam, dalej czarno. Usiłuję się szybko zorientować, co się stało. Był tu „Cham”. Pokazał mi rysunek zrekonstruowanej twarzy. Skłamałam, zidentyfikowałam niewłaściwego człowieka. „Cham” powiedział, że DNA dzieci nie pasuje do zwłok znalezionych w szałasie. Zapytał, czy potrafię to jakoś wytłumaczyć. Oczywiście potrafiłam to wytłumaczyć. Sobie. Ale nie jemu. Zbyt bardzo się bałam, że weźmie mnie za wariatkę. Zbyt bardzo się bałam, że – po wszystkim, co mi się przytrafiło – mogę faktycznie nią być. I co z Kirsten, gdy przejdę do kolejnej dramatycznej historii? Jak bardzo mogę ją jeszcze wystawiać na próbę? Musiałam zemdleć, coś się we mnie zamknęło i najprostszym wyjściem okazała się krótkotrwała utrata świadomości. Tak jak wtedy, w tamtym szałasie. Ileż to razy sufit się przechylał, podłoga marszczyła, a pokój wirował, gdy tylko czułam się przytłoczona? Jakże wdzięczna byłam za każdy raz, gdy wślizgiwałam się w opiekuńczą czerń, oddając się temu, co Hannah nazwała „atakiem”.

Wyczuwam obok poduszkę. Kirsten musiała położyć mnie do łóżka, kiedy upadłam przed nią i „Chamem”. A więc do tego już doszło i jakże wiele to mówi. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby wezwać lekarza czy choćby karetkę. Nie sposób brać mnie poważnie. Nie jestem chora, co najwyżej rozhisteryzowana. Wyobrażam sobie, jak Kirsten, ciężko dysząc, zbiera mnie z podłogi w salonie i zapewnia „Chama”, że nie ma powodu do obaw. W końcu to tylko z emocji, bo przez dwa dni bałam się momentu konfrontacji z wizerunkiem porywacza. Brakuje mi też snu i odpoczynku. *Nie jest z nią najlepiej. Wie pan, że ostatnio nawet moczy łóżko?* I wyobrażam sobie reakcję „Chama”. Jak sumiennie zwraca uwagę na to, jak ważne są regularne wizyty u psychoterapeutów – uniwersalne lekarstwo dla kogoś w mojej sytuacji, to chyba jasne.

I znów to robię, może nie? Zahaczam o absurd, gdy poważnie próbuję się zastanowić, co inni teraz o mnie myślą, rzucam się do banalnej ucieczki

w głąb mojej głowy. I znów to robię, gdy próbuję ignorować to, co się dzieje, nie zauważając paniki dudniącej mi w piersi, paniki z powodu otaczającej mnie czerni.

Mrugam jeszcze raz; czerń pozostaje czernią, pozbawioną jakichkolwiek konturów, absolutną czernią. Sięgam ręką w bok w poszukiwaniu włącznika lampki. Znajduję go i naciskam. Klika, czerń jednak pozostaje. Jakiś obcy dźwięk wydobywa się z mojego gardła, nic potężnego ani głośnego, raczej jakby coś wstrzymanego, zapomniany na chwilę oddech, który się uparł, żeby nadrobić zaległości. Siadam. Spoglądam tam, gdzie przez szczelinę w rolegie powinna wpadać do pokoju odrobina światła latarni stojącej pod oknem. Żadnego światła, tylko czerń i łomotanie serca.

– Kirsten?! – wołam i nasłuchuję odpowiedzi. Nie pada. Nasłuchuję jakiegokolwiek dźwięku. Nic nie słyszę. Cisza, czerń i moje bijące serce. Myślę, że śnię; wiem, że śnię. Ale tak trudno mi się uspokoić. Odnaleźć się w tej przytłaczającej czerni, w tej kompletnej dezorientacji, która przywodzi mi na myśl pakamerę. Dzień mojego porwania. Najpierw z powrotem tonę, zamykam oczy, chłonę znajomy zapach domu, ślad perfum Kirsten, frezje, które wciąż tam są niczym ślad na poduszce. Dam radę to wytrzymać, ten sen.

Nie wytrzymuję. Otwieram oczy, znów z nadzieją i znów z próżną – wszystko jest czarne. Siadam więc ponownie. Dotykam krawędzi materaca, pełnę do drzwi, z ręką wyciągniętą przed siebie, po podłodze. Ostrożnie wstaję, nadal macam, tym razem w poszukiwaniu klamki. Naciskam ją. Piszczy jak zwykle. Raz i dwa, jeszcze wiele razy, w coraz krótszych odstępach czasu, aż zdaję sobie sprawę, że drzwi nie da się otworzyć. Zamknięto mnie tu. Wodzę ręką przy framudze, szukam włącznika. *Klik* – wciąż otacza mnie czerń. Jeszcze raz *klik*, nadal czerń. Walę pięścią w drzwi i krzyczę:

– Kirsten! Co to ma być?! Wypuść mnie!

Łomocę w drzwi, krzyczę zdezorientowana; to sen, zły sen, bardzo zły sen. Oddycham zrywami, sapię. Potem słyszę cichy śmiech z drugiego końca pokoju. Jego śmiech.

I pytanie:

– Jak się masz, Leno?

Matthias

Jedź szybciej. Jedźjedźjedźjedź.

Igła prędkościomierza trzęsie się przy stu osiemdziesięciu. Ten stary rzęch więcej nie wyciąga.

Gdzie on ją zabrał?

Gerd! – przelatuje mi przez głowę. Słowa Gerda, wcześniej tego dnia, przez telefon.

Poprosił mnie nawet o adres Jasmin Grass, żeby wysłać jej kartkę z życzeniami. Oczywiście nie wolno mi udostępniać nikomu jej adresu, ale sama ta prośba pokazuje, jakim jest człowiekiem.

Człowiekiem, który z pewnością był w stanie zdobyć adres Jasmin Grass nawet bez pomocy Gerda. Każdy może to zrobić, wystarczy kilka kliknięć w internecie. Mrużę oczy, żeby lepiej widzieć w oddali. Ale autostrada jest pusta i czarna. Żadnych tylnych świateł, nigdzie.

A jeśli jednak zabierze ją gdzie indziej?

Straciłem cenny czas, kiedy wróciłem do domu po kluczyki do samochodu. Trwało całe lata, nim drzwi garażowe się podniosły, i kolejne, nim samochód wyjechał z garażu na ulicę. Niemalże czternaście lat.

Przewagi Marka nie dało się nadrobić.

Nie marnowałem już czasu na wciąganie kurtki lub wkładanie butów. Dociskam pedał gazu w kapciach.

Powinienem był jednak dać sobie czas na wzięcie telefonu, który leży teraz do niczego nieprzydatny na dywanie w naszym salonie.

Brak telefonu. Brak możliwości, żeby zadzwonić po pomoc. Żadnego wsparcia.

Jestem sam.

Już go miałem.

Moje ręce na jego kołnierzu. Plecy oparte o ścianę. Twarz czerwona jak u raka.

Gdzie ona jest, ty świniu?

Pozwoliłem mu odejść.

W głowie słyszę, jak opowiada o Dolinie Marny: „piękna okolica, cudowna przyroda”. Kłamca. Drwi sobie z nas. Nawet przyznał, że ma córkę. Mówił o Hannie. Jak mogłem nie przejrzeć go na wylot?

– Tatku – dobiega mnie piskliwy głos z tylnego siedzenia. W lusterku widzę tylko jasną linię włosów i blask oczu, które kontrastują z ciemnością z tyłu. – Musisz mi pomóc, tatku.

– Wiem, kochanie – odpowiadam zdławionym głosem.

– Tym razem naprawdę musisz mi pomóc.

– Tak, Lenko, wiem. – Przecieram oczy dłonią, gdy droga zaczyna mi się przed nimi zamazywać. – Przyjadę i ci pomogę. Tym razem cię nie zawiodę, obiecuję.

– Ale musisz się pospieszyć, tatku.

Igła prędkościomierza trzęsie się przy dwustu, stary rzęch szumi.

Jasmin

– Gdzie jest Kirsten? – chrypię.

– Nie przyjdzie – mówi jego głos. – Nikt tu nie przyjdzie.

Uderzam dłonią w drzwi, wydzieram się na całe gardło:

– Kirsten! Pomocy!

– Przestań – syczy głos. – Nie chcesz chyba, żeby sąsiedzi się martwili.

Dalej walę dłonią w drzwi, łomocę w nie, krzyczę jeszcze głośniejsze, szarpie i naciskam klamkę, która skrzypi i skrzypi, i skrzypi. Chwilę później pojawia się tam jego ręka, początkowo – zdeorientowana, tak samo jak moja, w tej pozbawionej zarysów czerni – kilka razy chybia, w końcu jednak znajduje swój cel, zaciska się na moim nosie i ustach, mocno, zbyt mocno, nie mogę zaczerpnąć powietrza. Jego ciało stawia opór moim plecóm, jego dłoń na mojej twarzy. Zaczynam kopać, robię krok do przodu, do drzwi, on ciągnie do tyłu, upadam, twarde lądowanie, cisnął mnie na podłogę. Wyję z przerażenia, bólu, konsternacji.

– Proszę, otwórz te drzwi.

Cisza.

– Proszę, włącz światło.

Gdzieś w tej czerni jego głos mówi:

– Niestety, to nie takie proste, Leno. Wykręciłem bezpieczniki.

Pełzną do tyłu, aż dotykam plecami ściany. Ostrożnie gramolę się do góry, opierając się jedną ręką o ścianę; szelest, papier, któryś z powieszonych przeze mnie artykułów. Drugą ręką sięgam w pustkę. Gdzie on jest?

– Jak to zrobiłeś? Kto ci pomógł to wszystko zaaranżować?

– Pomógł? Mnie? – Parska śmiechem, gdzieś z prawej strony. – Nikt, Leno. Jestem Bogiem, nie potrzebuję niczyjej pomocy. – Kroki zbliżają się do mnie powoli, słyszę szept: – Mogę nawet zmartwychwstać.

Przesuwam się wzdłuż ściany, jak najdalej od niego, ocieram się o kartki z artykułami, szeleszczą.

– Nie jest tak, że nie trafiłaś mnie porządnie tą śnieżną kulą, jeśli to dla ciebie jakaś pocięcha. Miałem wstrząśnienie mózgu i z tego powodu musiałem nawet iść na zwolnienie. – Trzęsę się, a on się śmieje. – Ale spójrzmy na to pozytywnie. Dzięki temu miałem przynajmniej trochę czasu, żeby przygotować wszystko inne.

– Zabiłeś tego kierowcę – sapię w czerń.

– A ty? Ty prawie mnie zabiłaś. Nie jesteś więc chyba lepsza ode mnie, co? Chociaż szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że dopiero teraz to do ciebie dotarło. Sądziłem, że jesteś bystrzejsza, naprawdę.

– Hannah... – szepczę. Słaniam się na nogach, *weź się w garść*, dalej, pod ścianą, może już tylko kilka kroków. – Posłałeś za mną Hannę.

– Nie, w zasadzie sama za tobą poszła. Na starcie miałyście nawet ogromną przewagę. Zwłaszcza że przez ten cios w głowę nie byłem, niestety, w optymalnej formie. Na szczęście jednak potem wybiegłaś przed samochód. – Przez moment w czerni panuje cisza, potem słyszę, jak się śmieje. – Ale widzę, że oczekujesz jakiegoś rozwiązania. Jak w filmie, co? W tym miejscu należałoby teraz pokazać to, co się działo po wypadku, w retrospekcji z punktu widzenia czarnego charakteru. Przedstawić, jak masakruje twarz swojego zamiennika, pakuje absolutne minimum najpotrzebniejszych rzeczy, instruuje syna, żeby tam czekał i w międzyczasie wytarł wszystkie powierzchnie, podczas gdy on sam przejeżdża samochodem z wypadku przez czeską granicę i się ukrywa. Jak się przy tym szczerzy, bo dobrze wie, że będzie już daleko, gdy policja znajdzie samochód. – Znowu się śmieje, po prawej stronie, zbyt blisko, biorę zamach, trafiam w pustkę. – Ale jeśli o mnie chodzi, to sama możesz sobie dośpiewać coś takiego. Nie mamy zbyt wiele czasu, skarbie.

– Bo teraz złoczyńca przybył, żeby doprowadzić to wszystko do końca i zabić główną bohaterkę.

– Główną bohaterkę? – Tuż przede mną. Zamieram. Jego oddech na mojej twarzy. – Ale jesteś pewna siebie, podoba mi się to. Możesz w to wierzyć lub nie, ale zawsze lubiłem, kiedy mi się stawiałaś. Ale nie, nic się nie bój. Jeślibym tylko chciał, już dawno bym cię zabił. Jeszcze na miejscu wypadku. Jak sądzisz, dlaczego zadzwoniłem pod sto dwanaście? Przeżyłaś, bo ja tego chciałem.

Sięgam ręką w prawo, chwytam sznurek od rolety, ciągnę go raz, a mocno. Szczelina, może na szerokość dłoni, w świetle latarni jego

uśmiech.

– A mówiąc dokładniej: bo twoja córka tego chciała.

Hannah

Mam rysować, tak powiedział tata. Żebym się nie nudziła, gdy on będzie budził mamę. Przyniósł mi dodatkowy blok i świecówki w metalowym pudełku, całkiem nowe. Są naprawdę długie, dłuższe niż mój palec wskazujący, i są tam nawet trzy odcienie czerwieni: karmin, cynober i bordo. Tata dał mi też batonika, już wcześniej w aucie, i po raz pierwszy naprawdę się z niego cieszyłam. Tak bardzo, że batonik smakował niemal lepiej niż zwykle. Ależ byłam głodna. U dziadków jadłam tylko chleb z masłem. Tata pochwalił mnie za to, że tak dobrze wszystko zapamiętałam. Nawet o wiele lepiej, niż się tego spodziewał. Jego zdaniem to niesamowite; tak, tak powiedział. Lubię być chwalona, więc teraz mogę być chyba z siebie dumna. Chociaż zastanawiam się, czy tata czasem we mnie nie wątpi, bo „niesamowite” nie oznacza tylko „imponujące”, lecz także „nieoczekiwane”. A to wydaje mi się niewłaściwe, bo w końcu to wszystko było moim pomysłem. Z początku sam nie mógł na nic wpaść, gdy mama popełniła to wielkie głupstwo i tata leżał niczym martwy na podłodze, a krew ciekła na dywan. Mama otworzyła drzwi szafasu i powiedziała lwim głosem: „No chodźcie dzieci! Dalej!”. Ale ja z Jonathanem jeszcze się zastanawialiśmy. „No chodźcie już! Musimy iść!”. Jonathan padł na kolana obok taty na zakrwawiony dywan. Mama wybiegła z szafasu.

Powiedziałam Jonathanowi, że musimy się rozdzielić. Z jednej strony bowiem dywan był brudny i trzeba było go wyczyścić. Czystość jest ważna. Z drugiej zaś mama powiedziała, że mamy z nią iść, a zawsze trzeba robić to, co mówią dorośli.

– Zobacz tylko, co ona zrobiła – skomlał Jonathan, podczas gdy mnie pochłaniały rozważania. Nie wiedziałam, czy ma na myśli tatę, który wciąż leżał nieruchomo na podłodze, czy może stłuczoną kulę śnieżną, której odłamek trzymał w dłoni.

– Daj mi to! – Wzięłam od niego kawałek szkła i włożyłam go do kieszeni sukienki, żeby się nim nie zranił. Ostre przedmioty mogą być bardzo niebezpieczne, a na dywanie było już wystarczająco dużo plam. Potem powiedziałam, że wymyśliłam, co zrobimy. On wyczyści dywan, a ja pójdę za mamą.

Chociaż jestem szybka, dogoniłam ją dopiero po tym, jak rozległ się wielki huk. Leżała z zamkniętymi oczami na środku drogi, a nad nią klęczał jakiś obcy mężczyzna. Słyszałam, jak coś do niej mówi.

Nagle dobiegł mnie trzask. To tata, z boku głowy miał czerwoną plamę i niósł w ręce pogrzebacz. Przyłożył palec do zaciśniętych ust i zrobił: „Cii!”. Potem chwycił mnie za ramię i wyszeptał mi do ucha przez lejek sekretów:

– Usiądź tutaj i zamknij oczy, Hanno.

Siedziałam więc w gąszczu z zamkniętymi oczami, tak jak kazał tata. Tylko czasem potajemnie mrugałam. Zamrugałam po *pamm!* i zamrugałam drugi raz, gdy obok mnie coś zaszeleściło i trzasnęło – tata chował tego obcego mężczyznę w krzakach. Potem znów otworzyłam szeroko oczy. Nie chciałam przegapić tego, co się stanie z mamą.

Tata chwycił ją pod pachy, głowa zwisała jej krzywo, kołysząc się na szyi, a nogi wlekły się po asfalcie, gdy tata ciągnął w krzaki także i ją. Wskoczyłam z kryjówki i powiedziałam lwim głosem:

– Karetka!

Tata się wystraszył, przy okazji niemal upuścił mamę.

– Ten mężczyzna powiedział, że wezwie karetkę. Karetka jej jednak nie znajdzie, jeśli teraz ją zabierzesz!

– Hanno.

Tata położył mamę z powrotem na drodze i podszedł do mnie. Przykucnął i pogładził mnie po twarzy. Był cały mokry, czerwony pot ciekł mu z czoła w stronę podbródka i już zafarbował kołnierzyk koszuli.

– Skarbie, nie wiesz, o czym mówisz.

– Wiem! – zapewnił go mój lwi głos. – Karetka pogotowia to specjalnie wyposażony pojazd, który służy do ratowania życia i udzielania pierwszej pomocy rannym i chorym oraz do przewożenia ich do szpitala, koniec.

– Tak, Hanno, to prawda, ale...

– A szpital to budynek, w którym udziela się pomocy medycznej osobom chorym lub takim, które doznały jakiegoś urazu.

– To wszystko nie takie proste, skarbie...

– Musi tu przyjechać karetka!

– Hanno, widzisz przecież, co ona zrobiła. – Wskazał na czerwony pot na swojej twarzy i na to, co pozostało ze śnieżnej kuli.

– To przecież tylko głupie niedopatrzenie. Proszę cię, tato. – Zawsze trzeba mówić „proszę” i „dziękuję”.

Teraz tata chodził tam i z powrotem, pocierając czoło i rozmazując sobie czerwony pot na twarzy.

– A niech tam – powiedział nagle. – Zabierzmy ją do szpitala.

Ten obcy mężczyzna miał w kieszeni kurtki telefon komórkowy. Telefon komórkowy to taki bezprzewodowy telefon, który działa prawie wszędzie.

– Zadzwoń zaraz po pogotowie, a potem musimy bardzo szybko wrócić do szafasu i spakować rzeczy.

Ale ja wcale nie chciałam pakować rzeczy. A już na pewno nie *spadać* stąd, jak to określił tata. Wyjaśniłam mu, że to przecież bez sensu, jeśli w szpitalu wyleczą mamę, bo my ze zdrowej mamy nie będziemy mieli w ogóle żadnego pożytku. I już niemal myślałam, że z taty też jest mały głuptas, skoro jeszcze nie pojął, że chcę zachować mamę. I sama zresztą też bym nigdy nie pomyślała, że ze wszystkich ludzi na świecie będę chciała zatrzymać akurat tę mamę. Kiedy do nas trafiła, martwiłam się, że będzie

tylko jedną z tych, z którymi i tak nam nie wyjdzie. Wprawdzie naprawdę dobrze wyglądała jak na mamę, bo miała bliznę, piękne, długie, jasne włosy i wyjątkowo bladą twarz. Tata naprawdę się postarał; zawsze trzeba się starać, szczególnie dla dzieci. Może był już lekko poirytowany, bo z Jonathanem w kółko mu powtarzaliśmy, że chcemy mieć nową mamę, żeby nie czuć się w domu tak samotnie, kiedy on jest w pracy. Bycie lekko poirytowanym nie znaczy, że jest się naprawdę złym, krzyczy się i wymierza kary, ale z drugiej strony nikt naprawdę nie lubi tego, że nikt z nim nie rozmawia. Zwłaszcza że już dawno zasłużyliśmy sobie na nową mamę. Byliśmy bardzo grzeczni, Jonathan i ja. Zawsze starannie odrabialiśmy lekcje, a ja mówiłam poważnie, kiedy się zaprzysięgałam, że nauczyłam się czegoś od Sary. Ale kiedy tata wreszcie spełnił nasze życzenie i zamieszkała u nas nowa mama, to wtedy, gdy leżała na kanapie, wcale nie wyglądała, jakby się cieszyła, że została wybrana. A przecież dzieci są największym darem, jaki można otrzymać, i trzeba być za nie wdzięcznym. Zapewne zrozumiała to dopiero tamtego dnia, gdy zaciął się aparat cyrkulacyjny, wskutek czego prawie się udusiliśmy. Nic jednak nie szkodzi, tyle przynajmniej rozumiała. Niektórzy potrzebują po prostu więcej czasu, co bynajmniej nie czyni z nich automatycznie złych ludzi, co najwyżej małych głuptasów. Uczą się z opóźnieniem, tak jak Jonathan, który nauczył się poprawnie czytać dopiero w wieku czterech lat.

– Dobrze – powiedział tata, gdy wreszcie to pojał. – Ale będę potrzebować twojej pomocy. Skup się, Hanno. Dasz radę? Jasne, że dasz, prawda? Jesteś już dużą dziewczynką. A więc teraz mnie posłuchaj, bardzo uważnie...

Zdjął kurtkę z obcego mężczyzny i zarzucił mi ją na ramiona, żebym nie marzła w tę zimną noc. Trudno się skupić, gdy człowiekowi jest zimno. Potem rozmawialiśmy o tym, co muszę zrobić, i naprawdę dałam z siebie wszystko, choć nie zawsze było to łatwe. Nie można kłamać, ale nie można też robić tak jak Jonathan i po prostu nic nie mówić, bo wtedy ludzie albo

myślą, że jest się bardzo chorym, i dają człowiekowi pigułki, albo myślą, że coś się ukrywa, stają się podejrzliwi i w końcu niszczą cały misterny plan. Chociaż wiedziałam, że robię wszystko jak należy, czasem się martwiłam, że tata zmienił zdanie. Potem z kolei myślałam, że może bez mojej wiedzy zmodyfikował plan i dał znać dziadkowi, bo ten nagle zaczął mówić o zabraniu mnie do domu. Niestety, myliłam się co do tego i popadłam w całkowitą dezorientację. Nie byłam nawet pewna, czy to naprawdę tata stał tamtego wieczoru na podwórku u dziadków i rzucał kamyczkami w okno dawnego pokoju mamy. Mogła to być jedna z osób, które od mojego porannego przyjazdu czatowały na zewnątrz z aparatami, „objając się”, jak to ujęła babcia. Ale już następnego dnia, kiedy przyszła paczka z moją sukienką i z Panną Tinky, wiedziałam, że nadszedł czas. Znowu będziemy rodziną i znajdziemy nowy dom. Tata powiedział, że mama na nas czeka. Wydaje mi się jednak, że trochę ją zmęczyło to czekanie, bo aż musiała się położyć. No ale dobrze, zawsze trzeba być wypoczętym, kiedy robi się coś wyjątkowego. Tata zabrał mnie więc do kuchni w mieszkaniu mamy, wziął świeczkę z parapetu i ją zapalił, żebym miała trochę światła i mogła rysować, on sam natomiast poszedł obudzić mamę. Powiedział, że na razie musiał wykręcić bezpieczniki, żeby mamie nie przeszkadzała jasność, kiedy się obudzi. Problemy z siatkówką są u nas rodzinne. Niestety w kuchni jest bardzo ponuro, a pozostała część mieszkania jest wręcz całkowicie skąpana w czerni. Byłoby lepiej, gdyby mama po prostu używała słabszych żarówek w lampach. Światło świec wystarczy jednak do tego, żeby odróżnić trzy odcienie czerwieni w pudełku z kredkami. Maluję w końcu kobietę leżącą na podłodze w kuchni i wyraźnie potrzebuję do tego karminu. W rzeczywistości ten barwnik nie jest wcale krwią wszy. To wytwarzany przez nie kwas, który ma odstraszać drapieżniki. Żeby pozyskać ten barwnik, suszy się wszy i gotuje w wodzie z dodatkiem kwasu siarkowego. Mimo wszystko to niezmiennie najlepszy kolor do malowania świeżej krwi.

Bordowy sprawdza się przy starszej krwi, a do bardzo starej najlepiej pasuje brązowa kredka.

Jasmin

Dziwna, przypominająca cement warstwa przerażenia i wzruszenia pokrywa moją twarz i ją paraliżuje.

On to zauważa.

– Po tym wszystkim, co zrobiłaś, dzieci nadal cię kochają.

Kiwam głową. Rozumiem. Ten odłamek szkła, który Hannah dała mi w szpitalu. Nie chciała mi nim wcale grozić, chciała mnie pocieszyć, teraz to sobie uświadamiam. A to jej zapewnienie, że wszystko dokładnie zapamiętała. Miała na myśli to, co przykazał jej tata.

– Dlaczego po prostu nie zabrałaś dzieci? Dlaczego wystawiłaś je na kontakt ze światem zewnętrznym, którego nie są nawet w stanie pojąć?

Myślę o Hannie, dziewczynce-zombi, której uśmiechu nikt nie rozumie. O starych historiach z gazet, o prawdzie i kłamstwach. Taksujących spojrzeniach, na które narażone są dzieci. Dwie kolejne tragiczne sensacje. I łzy stają mi w oczach. Ze wstydu, ze współczucia, z powodu tych wszystkich uczuć, które w tej chwili dają o sobie znać. Płaczę, płaczę nad nami wszystkimi.

Wyciąga rękę do mojej twarzy, ociera mi kciukiem łzę. Wytrzymuję to.

– Wiem, że to nie było idealne rozwiązanie. Ale przecież ktoś musiał się nimi zająć, prawda? Mam życie poza szalasem. Jak miałbym wytłumaczyć to, że nagle mam dwoje dzieci? Potrzebowałem też trochę czasu na przygotowanie wszystkiego innego. Na rezygnację z pracy i mieszkania. Na poszukanie nowego domu. Jak by to wyglądało, gdybym zniknął z dnia na dzień? Co pomyśleliby ludzie?

Próbuję sobie wyobrazić to jego drugie życie, jego samego jako część normalnego społeczeństwa, jako mężczyznę, który nie zwracając na siebie

uwagi, kupuje w drogerii pstrokato zadrukowane kubki na szczoteczki do zębów. I mi się to nie udaje, wciąż mi się to nie udaje.

– A teraz? Co teraz zrobimy? Zabierzemy dzieci i stąd wyjedziemy?

– Mam już Hanneę. Musimy tylko odebrać Jonathana.

– I jak by się to miało stać?

– Zapewne nie słyszałaś o dodającej otuchy akcji zbierania darów przez „Bayerisches Tagblatt”. Czytelnicy przekazali dwa duże pudła ubrań, książek i zabawek. Jedno z nich trafiło na psychiatrię dziecięcą. Jonathan rozpoznał swoje ulubione spodnie i czerwoną koszulkę. Wie, że nadchodzimy.

– Nie możesz po prostu wejść na oddział psychiatryczny i zabrać ze sobą dziecka.

– Nie musiałem też wcale wchodzić do Becków. Hannah sama wyszła.

– Hannah – sapię. – Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć.

Przechyliła głowę, to spojrzenie.

– Proszę – mówię, bo wydaje mi się, że w jego oczach dostrzegam reprimendę. Zawsze należy mówić „proszę” i „dziękuję”. – Proszę, zabierz mnie do mojej córki.

Kolejna chwila, gdy tylko na mnie patrzy, przygląda mi się, przechylając głowę, tym spojrzeniem. Potem parska śmiechem, który jest po prostu okrutny, śmiechem, który znam. Sekundę później sięga po coś obok mnie, chwyta sznurek rolety, trzask i pokój znów robi się czarny, absolutnie czarny. Łapie mnie za ramię i ciska mną w głąb pokoju, prosto w czerń.

– Ależ jesteś żalosna – syczy jego głos. – Zachowujesz się nagle tak, jakby dzieci cię interesowały.

Kroki, słyszę powolne kroki przecinające pokój, a potem na podłogę zostaje ciśnięte coś metalowego. Klucz od pokoju.

– Prawda jest taka, że wcale się nimi nie przejmujesz.

Przesuwam się na kolanach, macając podłogę drobnymi ruchami, przenikniętymi paniką.

– Pozwoliłaś, żeby gazety wypisywały o nich te bzdury. Pozwoliłaś, żeby mówiono o Hannie, że jest niedorozwinięta. Mogłaś udzielić wywiadu i to wszystko naprawić. Przynajmniej mogłaś napisać skargę do redakcji.

Klucz, mam go. Przesuwam się dalej, mocno ściskam go w dłoni.

– Wykorzystywanie seksualne, już choćby samo to wyrażenie w kontekście dzieci! Czyste spekulacje! Nigdy ich nie tknąłem! I świetnie o tym wiesz! Czegóż takiego nigdy bym nie zrobił!

Jego głos, który nade mną grzmi, kroki, które wydają się dochodzić ze wszystkich stron. Docieram do ściany, ale nie wiem do której.

– Co z ciebie za matka, skoro pozwalasz, żeby tak pisano? Co z ciebie za matka, skoro nie walczysz o własne dzieci? Nawet ich nie odwiedziłaś!

Szafa, czuję szafę. Wiem, gdzie jestem. Dokąd mam się kierować.

– Ani razu! – grzmi głos.

Drzwi, dziurka w zamku. Wyciągam klucz, wyślizguje mi się z rąk, upada na podłogę.

– Kobieta, która w zasadzie nic nie jest warta!

Mój umysł podchwytuje urywki tego, co się tu właśnie wydarzyło – wykręcone bezpieczniki, koło, które właśnie się zamyka, znów się obudziłam, wystawiona na jego łaskę i ciemność, jak wtedy, w pakamerze szalasu, czarny pokój jako ostrzeżenie, jako demonstracja absolutnej władzy, która wciąż pozwala mu być Bogiem, wciąż pozwala mu decydować o moim życiu, o dniu i nocy, nawet tutaj, w moim własnym mieszkaniu, w realnym świecie, na wolności, która jest tylko pozorna, dopóki istnieje on, Bóg – sięgam po klucz, próbuję po raz drugi. Jest w zamku, przekręcam go, naciskam klamkę, drzwi skrzypią – otwieram je, potykając się, wypadam na ciemny korytarz, zamykam za sobą drzwi i napieram na nie, próbując jednocześnie włożyć klucz do zamka. Opór stawiany drzwiom z drugiej strony, klucz znów upada na podłogę pod wpływem uderzenia. Zostawiam go tam – to bez znaczenia, byle tylko wydostać się z tego mieszkania, wyjść z niego, wyjść na zbawienną klatkę.

Już prawie dotarłam do drzwi wejściowych, jeszcze tylko kilka kroków – wtem głos za moimi plecami, blisko, mówi:

– Jesteś pewna, że naprawdę chcesz stąd odejść bez swojej dziewczyny?

Matthias

Stary rzech wtacza się na chodnik przed domem Jasmin Grass. Jedną ręką otwieram drzwi, drugą wyłączam silnik. Wyskakuję z samochodu i gnam do wejścia. Starsza kobieta właśnie w nim zniknęła i piszczy przerażona, gdy wpadam za nią na klatkę, a zaraz potem niemalże potykam się o walizkę, którą ustawiła na podłodze tuż za drzwiami.

– Proszę dzwonić na policję! – wołam do niej, chwytając ją za ramiona. Kobieta drży. – Słyszysz pani? Musi pani natychmiast wezwać policję!

Puszczam ją i wbiegam po schodach. Jasmin Grass mieszka na trzecim lub czwartym piętrze, o czym wiem, bo już dawno przestudiowałem domofon.

A jeśli się mylę?

A jeśli on wcale jej tutaj nie przywiózł?

Wtedy znowu mi się wymknie.

Tłumię w sobie wszelkie wątpliwości i skupiam się na schodach.

Na trzecim piętrze nie ma dzwonek z nazwiskiem Jasmin Grass, muszę wspiąć się po schodach jeszcze wyżej. Z tego wysiłku pot wpływa mi pod kołnierzyk, moje stare, sztywne ciało głośno protestuje. Docieram na czwarte piętro. Pierwsze dwie tabliczki przy dzwonekach, które pospiesznie sprawdzam, okazują się nie tymi, co trzeba. Potem znajduję właściwe mieszkanie i przez sekundę stoję zeszywniały. Drzwi. Są uchylone. „Hannah”, myślę od razu.

„Proszę, nie zamykaj już więcej drzwi”, prosiłem ją, nie dalej jak dziś rano, po tym, jak zamknęła się w dawnym pokoju Leny. „Najlepiej zostawiaj je zawsze uchylone, żebym wiedział, że wszystko u ciebie

w porządku”. Hannah, grzeczne, kochane dziecko, które zawsze robi to, o co się je prosi. Biorę głęboki wdech, po czym ostrożnie otwieram drzwi i wślizguję się do mieszkania.

Na korytarzu jest ciemno, ale w jednym z pomieszczeń dostrzegam światło. I słyszę stłumione głosy. Skradam się dalej i zmieniam się cały w bicie mojego serca. Tym razem dorwę tego Marka. Kipiący ból w piersi podpowiada mi, że może to być ostatnia rzecz, jaką zrobię, ale nie obchodzi mnie to. Tym razem cię nie zawiodę, Lenko. Przez ostatnie kilka kroków staram się trzymać jak najbliżej ściany, żeby nie rzucać ostrzegawczego cienia, dzięki któremu Mark mógłby się przygotować na moją obecność. Głosy stają się teraz wyraźniejsze.

– Nadal możemy być rodziną.

To musi być Jasmin Grass.

Ktoś w oddali wzdycha. Mężczyzna, Mark.

Na kolejną sekundę wszystko pogrąża się w ciszy. Potem, bez ostrzeżenia, tak nagle, że z szoku nogi prawie się pode mną uginają, szura krzesło, coś dudni, a piskliwy krzyk miesza się z trzaskiem. Wyskakuję ze swojego ukrycia, gotów, żeby wreszcie dopaść Marka.

Jasmin

To już koniec, to dla nas wszystkich jasne.

Moja kuchnia, nasza kuchnia, kiedyś była miejscem, gdzie się śmiano, biesiadowano, gdzie biło serce naszego domu, teraz stała się miejscem bólu, areną gniewu i strachu, rozpacz i żalu. Nie ma już z tego wyjścia, nie takiego, na jakie liczył Bóg, włamując się dziś wieczorem do mojego mieszkania, żeby mnie zabrać. Ta chwila jest jakby oderwana od normalnego biegu czasu, w tym pomieszczeniu świat się zatrzymał.

Wszystko się skomplikowało.

Poprowadził mnie ciemnym korytarzem, wepchnął do kuchni, gdzie za stołem siedziała Hannah i rysowała przy świetle świecy. Rysowała martwą naturę – Kirsten, cichą, wygiętą i leżącą nieruchomo na kuchennych kafelkach. Z kraciastym kneblem z ręcznika w ustach i zakrwawioną twarzą. Krew spływa jej ze skroni po zamkniętych powiekach. Mogła być martwa lub nieprzytomna. Czasem nie widać tego na pierwszy rzut oka, od dziś wiem to już z własnego doświadczenia.

Hannah, która jak na te warunki zdawała się pogodna, przywitała mnie słowami:

– Cześć, mamó.

Ja, skamieniała, stałam w progu kuchni, a wszystko wokół mnie drżało, trzęsło się jak na najsroźszym mrozie. Jak na mrozie, który nie pozwolił mi złapać tchu, przeszył mnie, a teraz mną wstrząsał.

– Usiądź – powiedział Bóg, zanim zniknął za rogiem. Usłyszałam go na korytarzu przy skrzynce elektrycznej, usłyszałam, jak bezpieczniki kilka razy kliknęły, gdy przełączył małe dźwignie z powrotem w ich pierwotne położenie.

– Kirsten – wyszeptałam.

Kirsten nie odpowiedziała.

– Mówiłem, że masz usiąść. – Bóg wszedł do kuchni, pochwalił Hanę za jej rysunek i zapalił światło nad kuchenką. – Nie będę tego trzeci raz powtarzać.

Ostrożnie podeszłam do stołu i usiadłam. Na lewo, nie dalej niż pół metra ode mnie, leżała Kirsten, skrecona, nieruchoma, krwawiąca.

– Tak lepiej. – Uśmiechnął się, zadowolony.

Starłam się wytrzymać jego spojrzenie, nie pozwolić, żeby rozprasał mnie stojący za nim na blacie blok z nożami. Nie pozwolić, żeby rozpraszała mnie Kirsten, której puls powinnam była sprawdzić, którą powinnam była ratować lub oplakiwać. Niczego nie podejrzewając, musiała

otworzyć drzwi, kiedy leżałam w łóżku i spałam. A on musiał ją powalić na ziemię.

– Nikt nie musiał być ranny – powiedział, jakby czytał w moich myślach.

– Wiem. To moja wina.

– Właśnie.

– Nie jest źle, mamó – odezwała się Hannah, odrywając wzrok od bloku do rysowania. Usta miała wygięte w ledwie zauważalny łuk, tak Hannah się uśmiecha. – To tylko głupie niedopatrzenie.

Pociągnęłam nosem.

– Tak, Hanno, właśnie tak.

Cichy jęk. Kirsten.

– Sama widzisz. – Bóg też ją usłyszał. – To małe, uparte babsko wciąż żyje.

– Proszę, zostaw ją w spokoju – wykrztusiłam z siebie z trudem. – Chodzi ci przecież o nas. Popełniłam błąd, wiele błędów. – Kątem oka dostrzegłam ruch. Kirsten leżała teraz na wyciągnięcie ręki od progu. Zsunęłam się trochę na krzesło, żeby zasłonić ją przed jego wzrokiem. – Zawiodłam cię. Przykro mi.

– Czy na pewno?

– Może mogłabym ci to jakoś wynagrodzić. Nadal możemy być rodziną.

Nie wiem, w którym dokładnie momencie zauważył, że Kirsten próbuje wyczołgać się z kuchni. Czy cały czas obserwował tę jej żalospną próbę i skrycie był nią rozbawiony? Czy tylko czekał na odpowiedni moment, aż jej drżące palce dotkną progu? A może uświadomił to sobie nagle, nie tyle dlatego, że dostrzegł Kirsten, ile raczej z powodu mojego widocznego wysiłku, żeby zyskać na czasie. Zanim zdążyłam choćby mrugnąć, okrążył stół, rzucił się na Kirsten i wywlókł ją za włosy z powrotem na środek kuchni. Ledwie zdążyłam mrugnąć, a już zerwałam się z krzesła, zaczęłam walić go pięściami w plecy, kopać po nogach, krzyczeć. Ledwie zdążyłam mrugnąć, a Kirsten znów leżała na podłodze, sapiąc. Ledwie zdążyłam

mrunąć, a leżałam obok niej, strząśnięta przez niego jak irytujący owad. Dopiero teraz dostrzegłam drugiego mężczyznę, który padł na kolana w progu, z ręką przyciśniętą do piersi, szeroko otwartymi oczami, twarzą niczym bezbarwny wosk z ostro wyrzeźbionymi rysami, zniekształconymi przez szok. Jego Bóg nie zaatakował, nie musiał. Tego mężczyznę sprowadziła do parteru prawda.

– Rogner? – sapnął.

Przez pokój niczym ogromna lodowata fala przetoczyły się uczucia i mną owładnęły. Znałam to nazwisko, ale nie pamiętałam skąd.

– Pan Beck – powiedział krótko Rogner, po czym dodał: – No dobrze.

To już koniec, to dla nas wszystkich jasne.

Zapewne nawet dla samego Rognera, który rozpina teraz guzik koszuli pod szyją, jakby kołnierzyk zaczął go uwierać. Matthias Beck, Kirsten i ja siedzimy rzędem pod ścianą po lewej stronie pokoju, wszyscy troje niezdolni do zrobienia czegokolwiek, obezwładnieni, słabi. Rogner nie ma nawet broni. Nie potrzebuje jej, żeby zaprowadzać spokój. Matthias Beck zasłabł, boję się, że to przez serce. Jego twarz wciąż jest biała jak ściana i skrzywiona, prawą rękę, zaciśniętą w pięść, przyciska do lewej piersi. Kirsten, którą Rogner powalił, ma obrażenia głowy i nie przestaje krwawić. Przyciskam do jej rany ścierkę do naczyń, którą wcześniej miała zakneblowane usta; ona, zmęczona, kładzie mi głowę na ramieniu. A ja, powód tego wszystkiego, powód całego tego bólu, nawet nie daję rady się zbuntować, rzucić na niego, zrobić czegokolwiek lub choćby spróbować. Po tym, jak Rogner powalił mnie na podłogę najpierw w sypialni, a potem w kuchni, żebra bołą mnie tak samo mocno i dotkliwie jak tuż po wypadku, każdy oddech jest jak dźgnięcie nożem. I za to siebie nienawidzę. Powinnam zostać naszą zbawczynią, choćby po to, żeby mu się jakoś za to odpłacić, nawet gdybym miała stracić przy tym życie.

Rogner chodzi przed nami tam i z powrotem. Zastanawia się, widzę to po nim. Myśli, jak to zakończyć. Będzie musiał zabić Matthiasa Becka

i Kirsten, nie ma innego wyjścia. Jeśli chodzi o mnie, nie jestem pewna. Może nadal chce mnie zabrać dla Hanny. Powinnam była się domyślić. Nie mogę przestać robić sobie wyrzutów, powinnam była się tego domyślić. Zmarnowałam cenny czas na uzalanie się nad sobą i podejrzewanie dzieci. Powinnam była się tego wszystkiego domyślić. Przecież go znam.

– Posłuchaj – próbuję znowu. – Pójdę z wami, okej? Mogę być twoją żoną, dobrą matką. Tylko pozwól teraz odejść Kirsten i panu Beckowi.

Rogner się obraca. Wydaje z siebie bezradny, oschły śmiech.

– Nie wydurniaj się. Jasne, że pójdziesz ze mną, jeśli tylko tego zechcę. – Podchodzi do mnie i patrzy mi prosto w oczy. – Pytanie brzmi, czy ja tego w ogóle chcę, *Jasmin*.

Kilka razy przełykam ślinę, podczas gdy Rogner dalej wędruje zamyślony po kuchni. Tam i z powrotem, z prawej do lewej i odwrotnie, jak tygrys w klatce, nieprzewidywalne, dzikie zwierzę. Mój wzrok zawiesił się na wyświetlaczu zegara w mikrofalówce. „Maja”, przelatuje mi przez głowę. Maja, o której zupełnie zapomniałam. Chciała zajrzeć tu po pracy. Na pewno zajrzy, nie ma pojęcia, że mój telefon miał ją tylko zwabić do mojego mieszkania, żebym mogła wygłosić jej kazanie. Musi wierzyć, że chcę się jej wypłakać, dostarczyć materiałów do artykułu życia. Co prawda jest już spóźniona, mówiła, że wpadnie o dziewiątej albo dziewiątej trzydzieści, a teraz jest prawie jedenasta, ale tak, tak, na pewno przyjdzie, po prostu musi. Maja może się okazać naszym zbawieniem. Z emocji płytko oddycham. Będę musiała krzyczeć, krzyczeć naprawdę głośno, gdy tylko usłyszę ją w drzwiach. Zdaję sobie sprawę, że będę miała raptem kilka sekund, potem on mnie uderzy lub uciszy w jakiś inny sposób, może wyciągnie rękę w bok, do bloku z nożami, chwyci jeden i mnie nim dźgnie. Ale ja wykorzystam te kilka sekund. Włożę całą swoją siłę w wołanie o pomoc i mam nadzieję, że Maja zareaguje prawidłowo i z miejsca zaalarmuje policję. Moje myśli mnie przerażają, wtem ręka Rognera chwyta mnie za podbródek i odrywa mój wzrok od zegara.

– Przykro mi, Jasmin – mówi i się szczyrzy. – Ona nie przyjdzie.

Próbuję pojąć sens jego słów, ale mi się nie udaje. Moja poirytowana mina wydaje się go bawić. Puszczą moją brodę i głaszczą mnie po głowie, jakbym była głupiutkim szczeniakiem.

– Wiem, że umówiłaś się z Mają. Niestety, będziesz musiała się zadowolić mną.

– Nie rozumiem...

– Ach tak, cóż za rozczarowanie, czyż nie? Znów miałem cię za bystrzejszą. Ale jeśli cię to pocieszy: Maja też tego z początku nie rozumiała. Miała mnie przecież zastępować, kiedy byłem chory. Pomijając kilka artykułów, które, tak przy okazji, cenię w równie małym stopniu co pan, panie Beck, a które niestety przeszły pod moją nieobecność, muszę przyznać, że odwalila kawał dobrej roboty. Oczywiście pod moim nadzorem. Najpierw zaprzyjaźniła się z twoją sąsiadką. Ta stara... no, jak jej tam? Ech, nieistotne. Okazała się bardzo gadatliwa, od razu jej powiedziała, że dla ciebie gotuje, bo nie masz nikogo innego. A kiedy się okazało, że musi pojechać zobaczyć się z synem, martwiła się o ciebie. Kto ci będzie teraz gotował? Oczywiście Maja z chęcią się tym zajęła.

Jego słowa są jak strumień zimnej wody puszczony prosto na twarz. Nasłał na mnie Maję. Z oddali cały czas miał wgląd w mój stan. Bawił się mną.

– To znaczy...

– Lars Rogner – mówi bardzo oficjalnym tonem, nie bez cienia rozczarowania w głosie. – Redaktor naczelny „Bayerisches Tagblatt”. Naprawdę powinnaś czytać więcej gazet, Jasmin. – Znów się szczyrzy i teraz do mnie dociera, skąd znam to nazwisko. Napisał o tobie wiele artykułów, Leno. Może większość z nich. Ależ to musiała być dla niego okrutna zabawa. – Na obronę Mai trzeba powiedzieć – ciągnie – że cały czas myślała, że w tym wszystkim chodzi o wywiad. Miała za zadanie trochę się z tobą zaprzyjaźnić, wzbudzić w tobie ufność i mieć na ciebie

oko. I była bardzo podekscytowana, gdy dzisiaj do niej zadzwoniłaś i poprosiłaś ją o spotkanie, słodka mała myszka. W końcu jednak musiała się pogodzić z tym, że odtąd będzie to już sprawa jej szefa.

Wyobrażam sobie open space i podekscytowanych ludzi rozmawiających przez telefony za cienkimi, szarymi ściankami działowymi. Słyszę stukot palców dziko walących w klawiatury. Widzę Maję w wykrochmalonej białej bluzce z podniesionym kołnierzykiem, w którą była ubrana na zdjęciu na stronie internetowej redakcji, i nie mogę przy tym uwierzyć w to, że gdybyśmy z Kirsten jeszcze chwilę poklikały, zapewne natknęłybyśmy się na zdjęcie Larsa Rognera. Poinformowałybyśmy policję i Rogner od dawna siedziałby skuty kajdankami na posterunku. Oczami wyobraźni widzę go przemykającego po korytarzach redakcji, szukającego kogoś, kogo mógłby na mnie nasłać, i to, jak jego wybór pada na Maję, bo jej zależy i chce zrobić karierę, a na domiar złego może jeszcze jest podatna na jego urok. I nie ma pojęcia, że w tej chwili nie robi wcale kariery, ale staje się częścią jego gry. I obawiam się, że nawet się z tego cieszy, czuje się zaszczycona. On ją wybrał.

– Czy ty ją...?

– Och, proszę cię. – Podnosi ręce w obronnym geście. – Maja siedzi teraz w redakcji i wyrabia nadgodziny. Niestety, kiedy Hanne wypuszczono wczoraj z psychiatrii, nie była u Becków jedyna. A jeśli już straci się ekskluzywność newsu, trzeba się później trochę wysilić, żeby się jakoś wybić na tle konkurencji. Zasugerowałem, żeby skontaktowała się z twoim byłym szefem w agencji reklamowej. Spotkali się dziś po południu. Słyszałem, że zwolniono cię trzy tygodnie przed zniknięciem, bo z dnia na dzień przestałaś się pojawiać w pracy. Powiedział, że nie mogłaś do siebie dojść po rozstaniu z dziewczyną. Może od dawna sprawy nie układały się dla ciebie zbyt dobrze. Nie miałaś łatwego dzieciństwa, prawda? Po śmierci ojca mieszkałaś przez kilka lat w domu dziecka, aż matka zabrała cię z powrotem do siebie. Przy okazji, miła kobieta, ta twoja matka. Ładna

i dość mocno doświadczona przez życie. Byłaś podobno naprawdę... jak ona to ujęła?... *trudnym* dzieckiem. – Rogner cmoka z dezaprobatą, a ja kilka razy, charcząc, łapię powietrze. – Odpowiednie wychowanie jest przecież bardzo ważne, prawda? Cóż, artykuł ma się znaleźć w jutrzejszym wydaniu, więc Maja pewnie ma jeszcze sporo pracy. Ale założmy, że przekazuje swoje przeprosiny.

– Na twoim miejscu uciekałabym stąd jak najszybciej – wtrąca trzeźwo Kirsten. Mimo że jest wykończona, pozostaje silna i wyzywająca, nikt tego nie zmieni. Nawet rozgniewany Bóg. – Bo jeśli Maja wie, że tu jesteś...

On lekceważąco macha ręką.

– To co? Kto niby powiedział, że dziś wieczorem przeprowadzałem wywiad z Jasmin? Może w oficjalnej wersji przyjdę tu dopiero jutro rano i znajdę kilka ciał. Mam sporo możliwości.

– On nigdzie stąd nie pójdzie, dopóki nie powie mi, co się stało z moją córką – warczy Matthias Beck. To pierwsze słowa, jakie wypowiedział, odkąd rozpoznał Rognera, a potem osunął się bezwładnie po ścianie. Twój ojciec, Leno. Trudno mi sobie wyobrazić, jak prawda musi rozdzierać mu serce. Jest cytowany w wielu artykułach Rognera, musiał być z nim, z porywaczem własnej córki, w stałym kontakcie, nieświadomy, niewinny, pełen nadziei.

– Cicho! – grzmi Rogner, ale zaraz się opanowuje. Wzdycha, odsuwa krzesło i siada na nim jak okrutny generał, który wziął troje jeńców. Na twarzy maluje mu się wyczekiwanie. – Zawsze pana szanowałem, panie Beck. I wciąż w najwyższym stopniu pana szanuję. Powiedziałbym nawet, że pana podziwiam. To, że walczył pan o Lenę i swoją rodzinę jak lew. Oczywiście pan zawiódł, a pana działania często były po prostu idiotyczne. – Śmieje się. – Ale nigdy się pan nie poddał. Ależ mi się podobało czytanie pana maili, ta zawarta w nich złość, determinacja. Setki gróźb, że więcej się pan do mnie nie odezwie. A potem nic nie mógł pan na to poradzić. Ciągle pan do mnie wracał ze skargami, informacjami, wskazówkami,

zawsze mając nadzieję, że coś pan zmieni. Jest pan ojcem, panie Beck, prawdziwym ojcem. Powinien pan mnie chyba rozumieć, prawda? Prawdziwy ojciec po prostu nie może inaczej.

– Jesteś czubkiem – sapie Beck i znów chwyta się za pierś.

– A pan jest tutaj, panie Beck! Co to mówi o panu? Dobrze pan wie, że nie odzyska Leny. Ale i tak już dawno zastąpił ją pan Hanną. – Rogner salutuje. – Aż tak bardzo się od siebie nie różnimy, panie Beck.

– Powiedz mi, co zrobiłeś z moją córką, potworze!

W tym momencie Rogner uśmiecha się półgębkiem, niewyraźnie.

– Nie masz pan o niczym pojęcia, panie Beck. Córka, której tak pan bronił przez te wszystkie lata, nigdy nie istniała. Mieliśmy romans. Taka była pana córka. Miała romans z żonatym mężczyzną. – Jego uśmiech się poszerza, staje się wyzywający. – Co pan na to, panie Beck?

– To kłamstwo!

– Nic podobnego – oponuje Rogner. – Sama prawda. Da pan radę jakoś to znieść, panie Beck? – Przechyla głowę w udawanym współczuciu. – Czy pana słabe serce wytrzyma?

Kątem oka widzę, jak Matthias Beck zgrzyta zębami.

– Tak? – Rogner odsłania zęby w uśmiechu, a potem, jak po naciśnięciu guzika, wyraz jego twarzy pochmurnieje. Znam tę twarz. To ostatnia rzecz, jaką się widzi przed oberwaniem pięścią, nieubłaganym kopniakiem, to ostatnia rzecz, jaką się widzi, zanim ból eksploduje i wszystko stanie się czarne. – Zakłamany, zepsuty podłotek nadziany gotówką tatusia jak tłusta świąteczna gęś. Nieodpowiedzialna, lekkomyślna, pozbawiona szacunku. Taka właśnie była córka, dla której pobił pan mężczyznę tak, że ten trafił do szpitala, i której świadectwa pan sfalszował. – Przechyla głowę w drugą stronę, żeby spotęgować efekt własnych słów. – Pamięta pan chyba nasze pierwsze spotkanie? Jak z dumą pokazywał mi pan świadectwa Leny. Pogodna prymuska! Mój fotograf zrobił nawet zdjęcia, a ja w najmniejszym stopniu nie wątpiłbym w jej osiągnięcia, gdybym nie przeprowadził

wywiadu z wychowawczynią Leny. Pana córka miała średnią trzy przecinek jeden. Ale o tym pan przecież wiedział, czyż nie? – Rogner kręci głową z uśmiechem. – Od samego początku kłamał pan ze względu na córkę. Wtedy pomyślałem, że obaj będziemy się świetnie razem bawić. I tak chyba było, panie Beck? Cóż, przynajmniej ja świetnie się bawiłem.

– Mów dalej – warczy Beck. – Chcę to usłyszeć. Wszystko.

Rogner mruczy coś pod nosem. Patrzy na Becka. Wydaje się, że się zastanawia.

Na moment ogarnia mnie nadzieja. Modłę się o jego dalszą reakcję. Kto chce uciec, nie ma czasu na długie opowieści. Ten, kto ma coś do stracenia, zachowuje nieopowiedziane historie dla siebie.

– Na pana odpowiedzialność, panie Beck – mówi Rogner, a ja zamykam oczy. – Poznaliśmy się, gdy była na pierwszym roku. Przypuszczalnie nasza ją krótkotrwała ochota, żeby stanąć na własne nogi lub przynajmniej przestać wysłuchiwać irytujących komentarzy matki, i postanowiła aplikować na staż w naszej redakcji. Już podczas rozmowy kwalifikacyjnej podejrzewałem, że marny z niej materiał na dziennikarkę. Świat wokół Leny Beck nie istniał, to Lena Beck była całym światem. Przynajmniej tak jej się wydawało. Ale i tak dałem jej szansę. W ciągu tygodnia miała dostarczyć przykładowy artykuł na określony temat. – Śmieje się. – Oczywiście nie zrobiła tego. Kiedy zadzwoniłem, żeby o to spytać, odparła, że zmieniła zdanie i woli skupić się na nauce. „Co za okropna dziewczucha”, pomyślałem. Jednak nie mogłem wybić jej sobie z głowy. Ta jej lekkość, jak u małego, delikatnego ptaszka, ta beztroska, która jednocześnie mnie fascynowała i odpychała. – Rogner znów kręci głową, tym razem pogrążony we wspomnieniach. – Od słowa do słowa... Musieliśmy tylko uważać, w końcu byłem żonaty. Z Simone, od dwunastu lat. Nigdy jej nie zdradziłem. Obiecywałem Simone kochać ją aż do śmierci i traktowałem tę obietnicę poważnie. Dopóki nie pojawiła się Lena. Początkowo spotykaliśmy się tylko na kilka godzin, wkrótce jednak przestało nam to

wystarczać. Zaczęliśmy więc spędzać razem weekendy. Mówiłem Simone, że wyjeżdżam służbowo. Dziennikarze dużo podróżują, żona nie miała powodu, żeby mi nie wierzyć. Zabierałem Lenę do szałas, który istniał już w czasach, gdy byłem dzieckiem. Pochodzę z okolic Cham. Szałas... Bawiłem się w nim w dzieciństwie. Udawałem, że tam mieszkam. Jest tam naprawdę pięknie. Niestety, nigdy nie widziałaś okolicy za dnia – zwraca się do mnie, w jego głosie pobrzmiewa nuta smutku, ale nie daję jej wiary. – Szałas całkowicie zarósł, stał się jakby miejscem poza czasem i przestrzenią. Nie sposób dojechać do niego samochodem. Przynajmniej tak było, dopóki nie przyjechała tam policja i nie przetarła ścieżki, której nie przewidziała natura. Niegdyś trzeba było parkować dobre pół kilometra dalej, przy szlaku turystycznym, i resztę drogi pokonywać pieszo przez las. Dla mnie było w tym zawsze coś pierwotnego. Wręcz romantycznego, gdy tam szedłem, trzymając Lenę za rękę, i gdy razem przedzieraliśmy się do tego tajemniczego, zaczarowanego miejsca, które należało tylko do nas. Byliśmy tam we dwoje, bezpieczni, z dala od świata. Szałas prezentował się wtedy dość nędznie. Razem go odnowiliśmy i urządziliśmy. – Patrzy na mnie. Uśmiecha się szyderczo. – To Lena wybrała dywan do salonu.

Sama pomogłaś zbudować sobie więzienie, Leno.

Spoglądam na Matthiasa Becka, na którego czole wystąpiła żyła. Siedzi całkiem cicho, jak zaklęty. Ale podejrzewam, że to tylko kwestia czasu. Nie wytrzyma zbyt długo.

– Żyłem już tylko naszymi weekendami w szałasie. I myślałem, że ona odczuwała to samo. – Rogner szorstko przeczesuje palcami swoje ciemne włosy. Tam, gdzie dotąd leżały porządnie uczesane, teraz, gdy znów gwałtownie je mierzwi, panuje chaos. – Ale się myliłem. Po pewnym czasie zaczęła w kółko wynajdywać wymówki, żebyśmy się nie spotkali. A to nie miała czasu, a to musiała się uczyć do kolokwium. Musiała iść na czyjeś urodziny. Ojca, matki, babki, nagle wciąż ktoś obchodził urodziny. Przestała też odbierać telefon, który specjalnie dla niej kupiłem. Dla nas

obojga, nie chciałem przecież, żeby Simone się o czymś dowiedziała. – Prycha, pobrzmiwa w tym zarówno pogarda, jak i dezorientacja. Czuję, jak coraz bardziej zagłębia się w tę historię, jak staje się ona dla niego doświadczeniem, które w tej chwili przeżywa od nowa. – Za kogo ona się uważa? – grzmi teraz jego głos w pomieszczeniu. – Za kogo ona mnie ma? Jestem najlepszym dziennikarzem w tym kraju, wiem, kiedy ktoś mnie okłamuje. I ona kłamie. Idę więc za nią. I mam rację. Znów spotyka się ze swoim byłym. I to akurat wtedy, gdy powiedziałem o nas żonie. Bo w końcu jej o nas powiedziałem, Lena tak chciała. Chciała, żebym wybrał. Więc powiedziałem Simone, że ją zostawię. Że chcę być z Leną. – Urywa. Coś się dzieje, czuję to. Nagle wygląda niesamowicie staro. Może to wyobraźnia albo dziwny kąt, pod jakim skąpe światło kuchenki pada na jego twarz i zniekształca mu rysy.

– I to dlatego... – mówi Matthias Beck, do którego najwyraźniej coś dotarło.

Rogner kiwa głową.

– Nie mogłem nic poradzić na to, że niektóre gazety o tym pisały. Na szczęście w naszej branży krótko pisze się o samobójstwach, żeby jeszcze bardziej nie zachęcać tych biednych, zrozpaczonych istot. – Pociera czoło, zmęczony, a może także pełen nadziei, że uda mu się wreszcie wyprzeć z głowy te obrazy. Na próżno. – Zatrucie tlenkiem węgla. Zaciągnęła grill do łazienki, uszczelniła wszystko, a potem wrzuciła węgiel drzewny. To ją ją znajduje, kiedy wracam do domu po pracy. Leżą w wannie, Pascal w ramionach Simone, niemalże jakby spali. Ale nie śpią. Nie żyją. – Opuszcza rękę. Wyraz jego twarzy zdradza, że właśnie w tej chwili przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. – Lena jest wszystkim, co mi jeszcze zostało. Już nigdy nie stracę kontroli. Taka katastrofa już nigdy się nie powtórzy, obiecuję ci, Pascalu. Odtąd tata już zawsze będzie uważać.

Na moment robi się całkowicie cicho, napięcie przeszywa tę ciszę niemal nie do zniesienia. Jakby w pomieszczeniu unosił się niewidzialny,

śmiercionośny gaz, tak jak wtedy w łazience Rognera. Rogner odchrząkuje i – jak się zdaje – powraca z przeszłości, do nas, do kuchni, gdzie rozgrywa się nieuchronny koniec.

– Lena nawet się nie przestraszyła, gdy ją złapałem, wracając do domu z imprezy. „Cześć, Lars”, powiedziała i się zaśmiała. Czuć było od niej alkoholem i trawką. „Dawno się nie widzieliśmy”. Minęło dokładnie trzynaście dni. Trzynaście dni, podczas których pochowałem rodzinę i przebudowałem szałas. Kiedy ją tam zabrałem, z początku myślała, że żartuję. Myślała, że to zabawa, może nawet o charakterze seksualnym. Mała gierka na pożegnanie. Potem powiedziałem jej o Simone i Pascalu. Wtedy to do niej dotarło. Już nigdy nie wyjdzie z tego szałasu. Teraz, po raz pierwszy w życiu, weźmiesz na siebie odpowiedzialność, już ja o to zadbam.

– Ty... pisałeś o niej artykuły – mówi z niedowierzaniem Matthias Beck.

Rogner patrzy na niego i widzę, że ból zniknął z jego twarzy, jakby za naciśnięciem guzika. Teraz nawet znów się szczerzy.

– To był mój sposób, żeby ci uświadomić, kim naprawdę była twoja córka. Poza tym dzięki temu pozostawałem cały czas blisko śledztwa. To ważne, gdy popełni się przestępstwo i nie jest się szczególnie zainteresowanym ujawnieniem prawdy.

Widzę, jak Matthias Beck walczy. Tętnica na jego czole pulsuje, bezszelestnie porusza ustami. Jednak pytanie, to jedno pytanie, ciśnie mu się na usta – nawet jeśli prawdopodobnie wszyscy podejrzewamy, że będzie jego ostatnim.

– Dlaczego Lena musiała zginąć?

Rogner buja się na krześle i wzdycha, odchyła głowę do tyłu.

– Myślisz, że zabiłem Lenę – mówi powoli. – To nieprawda. To był wypadek, wkrótce po narodzinach Sary. Naszej najmłodszej. Na początku tylko krzyczała...

Hannah

Zawsze trzeba uważnie słuchać, szczególnie kiedy tata mówi. Już dawno odłożyłam więc czerwoną kredkę. Ale ma to też związek z tym, że rysowany przeze mnie obiekt się poruszył. Kobieta nie leży już na podłodze, teraz siedzi pod ścianą między dziadkiem a mamą. Do plam na jej twarzy potrzebna mi jest teraz kredka w kolorze bordowym, karminowa czerwień już nie pasuje. Tata bardzo mocno uderzył jej głową o ścianę na korytarzu po tym, jak otworzyła nam drzwi. Tak mocno, że naprawdę rozległo się *pamm!* Ale bez względu na wielkość rany krew na ogół bardzo szybko zasycha. Tak się to rozwinęło podczas ewolucji. Szybkie krzepnięcie krwi zwiększa szanse na przeżycie po zranieniu. Kiedyś mieliśmy w domu mamę ze skazą krwotoczną. Niemal przez trzy dni z rzędu krwawiła na karminowo. Sprytnie jednak położyliśmy ją na folii, inaczej zapewne wszystko by nam ufajdała. Tata w każdym razie właśnie opowiedział smutną historię o chłopcu w wannie. Był moim bratem, tak jak Jonathan nim jest. Słuchałam uważnie, mimo że już ją znałam. Tata opowiedział mi tę historię po tym, co się stało z mamą i Sarą. Potem się rozplakał i powiedział, że należy cenić rodzinę, inaczej się ją straci. Musiał tak powiedzieć, bo nie lubiłam Sary i bardzo się tego wstydziłam. Teraz opowiada dziadkowi, mamie i kobiecie o Sarze i o tym, jak po urodzeniu w kółko krzyczała. A potem, niedługo potem, zaczął się jeszcze ten kaszel. Na szczęście nie trwało to wszystko długo. Wciąż pamiętam, jak bardzo się cieszyłam, gdy po raz pierwszy zamilkła; myślałam, że wreszcie znów będzie można przespać całą noc. Mama powiedziała: „To niedobrze”, ale wcale tak nie było. Sen jest nawet bardzo dobry i przede wszystkim ważny, bo organizm się wtedy regeneruje. „Musi jechać do szpitala!”. Mama przekonywała tatę przez kilka dni, ale tata tylko powtarzał: „To nic takiego, trochę się przeziębila. Wyjdzie z tego”. Zazwyczaj mama się tym zadowalała, ale nie tego konkretnego wieczoru. Upierała się, że Sara ma

zapalenie płuc. Zapalenie płuc, zwane również pneumonią, to ostre lub przewlekłe zapalenie tkanki płucnej wywołane infekcją bakteryjną, wirusową lub grzybiczą. Tata powiedział, że mama nie jest lekarką. I nie jest dobrą matką, jeśli nie może sprawić, żeby Sara poczuła się lepiej. Mama płakała, z dźwiękiem.

Właściwie dorośli powinni zawsze najpierw zamknąć dzieci, zanim zaczną się kłócić. Ale oni zapewne wcale nie chcieli się kłócić, poza tym tata dawno powiedział: „Wystarczy już!”. Mama jednak i tak płakała, i robiła to coraz głośniej.

– Co się w ogóle dzieje? – szepnął Jonathan, który też się chował za drzwiami. Właśnie skończyliśmy myć zęby, gdy usłyszeliśmy podniesione głosy dochodzące z sypialni.

– Sara znów sprawia kłopoty – odszepnęłam.

– Powiedziałem: wystarczy! – Lwi głos taty. Jonathan się pochylił.

– Proszę, nie muszę przecież nawet z wami jechać – suszyła mu głowę mama. – Zostanę tutaj. Zabierz ją po prostu do szpitala.

Tata złapał mamę pod rękę.

– Jeśli zaraz nie przestaniesz... – syknął do niej.

– Ona ma gorączkę!

– Wyjdzie z tego.

Plwociny mamy trafiły tatę prosto w twarz. I ona też miała lwi głos.

– Jesteś okropny! Zostawisz tak własną córkę na pewną śmierć! Nie przeżyje tej nocy!

Tata chciał uspokoić mamę. Nigdy wcześniej nie miała tak okropnego ataku. Złapał ją za szyję. To naprawdę często pomagało, kiedy mama miała atak.

Odwróciłam się do Jonathana i wyszeptałam:

– Chodźmy do łóżek.

Właściwie nie chcieliśmy spać, dopóki mama nie przyjdzie i nie opowie nam bajki na dobranoc. Ale jak tylko się położyliśmy, zmógł nas sen. To

dlatego, że przez te wszystkie noce, podczas których Sara tak krzyczała, mieliśmy jego niedobór. Tej nocy było jednak naprawdę tak cudownie cicho.

Dokładnie to mówi teraz tata:

– Ale tej nocy...

Jasmin

– ...jest potwornie cicho. – Rogner wzdycha smutno, po czym milknie. – Wiem, że to nie powinno było się zdarzyć – zaczyna po chwili. – Nie znowu. Znowu nie uważałem wystarczająco. Zawiodłem. Tak jak pan, panie Beck. Tak jak wszyscy dobrzy ojcowie od czasu do czasu zawodzą.

– Nawet się nie waż – warczy Matthias Beck z bólu, jak mi się wydaje.

Rogner wzrusza ramionami, nie obojętnie, raczej jak człowiek, który właśnie doznał do końca swojej historii i zastanawia się, co jeszcze ma powiedzieć.

Cisza ogarnia kuchnię, cisza, którą znów przerywa słaby, irytujący dźwięk. Wszystkie oczy zwracają się na Hannę, która zaczęła szlochać i delikatnie łkać.

– Wciąż myśli, że to jej wina – wyjaśnia Rogner, wstając z krzesła. – Bo nie mogła znieść tego dziecka. Po prostu nie przyzwyczaiła się jeszcze do nowej sytuacji.

Patrzę, jak podchodzi do Hanny i całuje ją w czubek głowy.

– To nie twoja wina, że Sara zachorowała. Nic z tego nie jest twoją winą, skarbie.

Matthias Beck ciężko oddycha. Trudno to znieść, ale najwyraźniej tak już po prostu jest. To miłość. Bez względu na to, jak chora, pokrecona i na opak rozumiana, nadal pozostaje miłością. Miłością, która nas napędza. To czyni nas potworami, każdego na swój sposób.

– Lars – mówię, tłumiąc odruchowy ścisk w gardle. Tak się nazywa, Lars. To jego imię, a ja zwracam się nim do niego po raz pierwszy.

Kirsten próbuje mnie powstrzymać. Chwyta mnie za ramię. Szepcze:

– Jassy, nie rób tego.

Strząsam jej dłoń. Staję na nogi. Lars Rogner jest tu z powodu miłości. Miłości do rodziny. Stoję teraz, kolana mi się trzęsą. Ale stoję. Nie przeszkodził mi wstać. Nie wykonał żadnego ruchu. Obserwuje mnie. Robię pierwszy nieśmiały krok w jego stronę. Pozwala mi na to. Robię drugi.

– Chcę do domu – mówię.

– Nie wysilaj się, Jasmin – odpowiada drwiąco. – Wiesz, że to już koniec.

Kręcę głową.

– Gdyby to naprawdę był koniec, w ogóle byś tu nie przyjechał. I nie byłoby mowy, żebyś wziął ze sobą Hannę. Mówiłeś, że chcesz, żeby Lena w końcu wzięła na siebie odpowiedzialność. Ale ty też ją ponosisz, Lars. Za swoje dzieci, za mnie. Hannah chce, żebyśmy znów byli rodziną. Prawda, Hanno?

Kieruję wzrok na córkę, która z wahaniem kiwa głową.

Ocieram się biodrem o blat. Jeszcze dwa, trzy kroki i stanę tuż przed nim.

– Ja też chcę, żebyśmy byli rodziną.

Mruży oczy.

– Cóż za nędzna próba, Jasmin – mówi. Wciąż jednak nie rusza się z miejsca, żeby mnie zaatakować. Dzięki temu wiem, że mam rację. To miłość.

Jeszcze tylko jeden krok.

I chwyt.

– W szpitalu potwierdzili, że jestem w ciąży.

Lars Rogner przechyla głowę. Taksuje mnie wzrokiem. To najlepszy dziennikarz w kraju, wie, kiedy ktoś go okłamuje. I widzi to. Ale kiedy

otwiera usta, żeby pozbawić mnie złudzeń, wydobywa się z nich tylko zdławione westchnienie.

Ocieram się biodrem o blat.

Jeszcze tylko chwycić za nóż z bloku.

I rozbudzić w nim nadzieję, która zawiesi jego spojrzenie na moim. I zaślepi go w tej jednej chwili albo już na zawsze.

Jego usta się zwięzają. Źrenice lśnią, a oczy mówią, że nie może w to uwierzyć. Ostry, palący ból w żołądku. Lars Rogner nie jest już geniuszem, nie jest Bogiem. Jest człowiekiem, tak jak my wszyscy, z iskierką nadziei, przez którą stajemy się podatni na najmarniejsze próby.

W tle wybucha chaos. Kirsten krzyczy. Matthias Beck ryczy.

Wyciszamy ich.

Teraz jesteśmy tylko my, on i ja, i ten moment, w którym wbijam mu nóż w brzuch. Ten nóż kroi wszystko, nawet mięso.

Matthias

– Nie! Nie!

Podpełzam do Rognera, który leży teraz na podłodze. Oddycha, chociaż z trudem.

– Powiedz mi, gdzie jest Lena!

Przyciskam ręce w miejscu, gdzie czerwona plama pochłania biały materiał koszuli i rośnie w oczach.

– Proszę – błagam go.

Rogner oddycha, rżąc.

– Wezwij karetkę! – wołam do Jasmin Grass, która stoi oniemiała z nożem w ręce obok znieruchomiłego ciała i patrzy na nie. – Obiecałem jej matce, że sprowadzę Lenę do domu – dodaję.

Na bladej twarzy Rognera pojawia się cień uśmiechu.

– Jak ojciec ojcu. Proszę.

Rogner oddycha, płytko. Powieki zaczynają mu trzepotać. Odrywam rękę od jego brzucha.

Ma rację, zawiodłem.

Ktoś dotyka mojego ramienia. Przyjaciółka Jasmin Grass.

– Puść mnie! – wyję.

– W lasku – szepcze Rogner zachrypniętym głosem. – Za jej ogrodem. Uwielbiała ten ogród.

– Ogród? Masz na myśli naszą działkę pod Germering? Ogród babci Hanny, tak?

Rogner wykonuje powolny ruch głową, który odbieram jako kiwnięcie.

Też kiwam głową, pospiesznie.

– Nasz ogród graniczy z lasem. To tam, tak?

– Na skraju – dyszy twierdząco Rogner. – Tak może zawsze patrzeć na hortensje.

– To tam je pochowałeś? Lenę i Sarę, tam je znajdę?

– Kochała hortensje – mówi Rogner, mrugając. – A ja ją.

Z jakiegoś powodu mamrocze:

– Wiem.

Na twarzy Rognera jeszcze raz pojawia się uśmiech, tym razem całkiem wyraźny. Jego głowa opada na bok, oczy wpatrują się w pustkę. Siedzę obok niego. Jego krew mam na rękach, mam ją na swojej koszuli.

Po czterech tysiącach ośmiuset czterdziestu dwóch dniach.

Ciao, tatku! Do zobaczenia za kilka dni!

Ta fala mnie porywa, szarpie mnie nagle, przechodzi przez moje ciało, wzdrygam się, szlocham i płaczę nad losem mojego dziecka. Jak przez zasłonę widzę Hannę, która wstała ze swojego miejsca przy stole i usiadła po drugiej stronie Rognera. Wyciąga jego wiotką lewą rękę i prostuje ją. Układa się na podłodze na jego ręce. Kładzie dłoń na jego piersi, a głowę na jego ramieniu. Szepcze:

– Dobranoc, tato.

I zamyka oczy.

Wstrząsające znalezisko w pobliżu Germering

Germering (MK) - Wczorajszego południa ze zbiorowego grobu na obszarze leśnym w pobliżu Germering wydobyto ciała trzech dorosłych kobiet i niemowlęcia. Nadkomisarz Gerd Brühling potwierdził, że chodzi między innymi o Lenę Beck, studentkę z Monachium, która zaginęła w styczniu 2004 r., oraz jej nowo narodzoną córkę.

Tożsamości dwóch pozostałych kobiet nie udało się na razie ustalić. Według Brühlinga wstępne badania wykonane na miejscu przez lekarzy sądowych wskazują, że dwie niezidentyfikowane dotąd kobiety najpewniej zmarły wskutek brutalnej przemocy. Przyczyn śmierci Leny Beck i jej córki nie ustalono dotychczas jednoznacznie. Ciała przewieziono wczoraj do Instytutu Medycyny Sądowej w Monachium, gdzie zostaną poddane sekcji.

„Naszym celem jest jak najszybsza identyfikacja pozostałych dwóch kobiet” - zapewnił Brühling. „Musimy założyć, że ich rodziny za nimi tęsknią. Krewni ofiar zasługują na wyjaśnienie”.

Jasmin

– Całkiem się już obudziłaś czy jeszcze nie?

Kirsten kładzie z boku dzisiejsze wydanie „Bayerisches Tagblatt” i sięga po koszyk z pieczywem. Zeszła jej już opuchlizna z lewej dolnej ćwiartki twarzy i tylko niebieskawe plamy przebijają czasem przez skórę. Rany tłuczone, których doznała w wyniku ataku Rognera, dobrze się goją. Ignaz ociera mi się o nogi, głośno mruczy, jakby napędzany małym motorkiem. Policja jeszcze nie opuściła mojego mieszkania – „miejsca zbrodni”. Teraz pomieszkuję u Kirsten, mówimy, że „tymczasowo”.

– Co jeszcze napiszą? Że ich własny gwiazdor dziennikarstwa okazał się mordercą? – Myśl o tym, że były jeszcze dwie inne kobiety, przyprawia mnie o dreszcze. Nawet jeśli policja wkrótce ustali, kim były, może nigdy nie udać się wyjaśnić, dlaczego musiały zginąć. Może gwałtowniej się broniły, energiczniej ode mnie walczyły o życie. Do tego stopnia przeciwstawiły się gniewnemu Bogu, że ten nie zdołał się opamiętać i chwycił się ostatniej deski ratunku, żeby zademonstrować sobie i dzieciom swoją absolutną moc. Albo musiały umrzeć, bo w jego oczach nie odgrywały roli Leny wystarczająco przekonująco. Kiedy o tym myślę, przypominam sobie, jak pierwszego dnia w szałasie leżałam na kanapie i właśnie się ocknęłam po omdleniu w pakamerze.

Wiesz właściwie, jaki odgłos wydaje pękająca czaszka, Leno? To tak, jakby upuścić na ziemię arbuz. Pamm!

Jak wzdrygnęłam się z przerażenia na te słowa i ani przez sekundę nie wątpiłam, że nie są to czcze groźby. Że naprawdę już kiedyś słyszał ten okropny dźwięk. Kilka razy, jak się teraz okazało. Moje myśli podążają do rodzin tych dwóch kobiet, które będą musiały nauczyć się żyć z tą pustką. Bo nigdy tak naprawdę nie poznają przyczyny. Wiem, jakie to trudne, wręcz nieludzkie. O ile oczywiście Hannah i Jonathan nie dadzą kiedyś rady o tym opowiedzieć. Ale żeby to zrobić, najpierw muszą pojąć, co się wydarzyło. Doktor Hamstedt postrzega to jako szansę. Porównuje sposób patrzenia na świat dzieci z szałasu do spoglądania przez dziurkę od klucza. Teraz drzwi są otwarte, chociaż na razie tylko uchylone, żeby ich nie przytłoczyć. Ale z czasem będzie się te drzwi otwierać coraz szerzej, a dzięki temu szerszy będzie ich ogląd świata. Lekarka mówi, że Hannah i Jonathan pewnego dnia będą mogli spojrzeć na te sprawy z właściwej perspektywy, nawet jeśli zajmie im to sporo czasu i będzie oznaczać uświadomienie sobie, że ich ojciec był mordercą.

Nie muszę się zastanawiać, czy to, co robił, sprawiało mu przyjemność. Oczywiście, że tak. Lubił być wielki, lubił być Bogiem, sprawującym

władzę nad życiem i ludźmi. Uwielbiał dręczyć innych. Może nie zawsze taki był. Może po utracie żony i syna przestawiło mu się coś w głowie i doprowadziło go do szaleństwa. Teraz miał już tylko ciebie, Leno, kochał cię i jednocześnie nienawidził za to, co się przez ciebie stało. Sprawy wymknęły mu się spod kontroli, czy nie tak się mówi? Rzeczy potwornie wymknęły mu się spod kontroli.

– Tak – mówi Kirsten, wyrywając mnie z zamyślenia. – Bo przecież tak właśnie jest. Czy nie są winni prawdy swoim czytelnikom? To był gwiazdor tej gazety, który nawet sam relacjonował tę sprawę. Kompletnie porąbane. I żaden z jego jakże bystrych kolegów niczego nie zauważył.

– Nie wyszliby na tym szczególnie dobrze, gdyby coś takiego napisali.

– Inne gazety o tym piszą – zauważa Kirsten, wzruszając ramionami i wgrzając się w croissanta.

Ma rację, Leno. Media nie mogą się nasycić naszą historią. I prawdopodobnie będzie to jeszcze trochę trwało. Aż do kolejnej „najbardziej spektakularnej sprawy kryminalnej ostatnich dekad”. Tak nas określają. Są prośby o wywiady, a nawet oferta na film. W naszych rolach obsadzono by aktorki z najwyższej półki, a film pokazywano by oczywiście w czasie największej oglądalności. Może cię to uspokoi, że dali już spokój twoim dzieciom i zamiast na nich uwaga znów skupiła się na tobie. Ale tobie i tak już to nie doskwiera. Z wyjątkiem „Bayerisches Tagblatt”, który potulnie znów nazywa cię nieśmiało „studentką”, jesteś powszechnie znana jako nikczemna kochanka, która sama znacząco zapracowała na swój potworny los. Chodzi o moralność, rzecz jasna. Nie wolno wiązać się z żonatymi.

Wszyscy mówią, że Lena Beck nie była tą, za którą ją uważano, i większość osób wypowiada te słowa z uniesionymi brwiami. Ale oni nie mają o niczym pojęcia, Leno. Byłaś matką, która zrobiłaby wszystko dla swoich dzieci. Silna, taka właśnie byłaś. Silna i odważna z miłości do dzieci, aż do śmierci. I za to cię podziwiam. Obiecuję ci, że zaopiekuję się

twoimi dziećmi. Jeszcze nie teraz, wszyscy potrzebujemy trochę czasu. Ale wiem, że nic im nie będzie. Mają najlepszych terapeutów. Twój rodzice tam są. I ja też będę, już niedługo.

– Jassy? Płaczesz?

Kirsten kładzie croissanta na talerzu.

– W porządku – mówię, pociągając nosem.

– Już po wszystkim. – Kirsten się uśmiecha. – Tym razem ostatecznie. – Bierze mnie za rękę, splatamy palce.

– Tak. – Odwzajemniam jej uśmiech. – Już po wszystkim.

Lars Rogner umarł.

Niecałe dwie minuty po tym, jak dźgnęłam go nożem, do mojego mieszkania wpadła policja. Pani Bar-Lev ich zawiadomiła. Z powodu gburowatego, obcego mężczyzny, który zdawał się zdezorientowany; spotkała go na klatce, kiedy tego wieczoru wróciła do domu z wyjazdu.

Twój ojciec, Leno.

Cokolwiek można by powiedzieć lub napisać o Larsie Rognerze, miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że opowiedział mi twoją historię. Nie zabrał jej do grobu, sprawiając, że twój ojciec dalej by cierpiał.

Zrobił to z kolei z drugą historią. To również, jakkolwiek dziwnie to brzmi, było z jego strony wielką przyzwoitością.

To historia innej roztrzepanej młodej kobiety. Pokłóciła się z byłą dziewczyną i zamierzała dramatycznie zapaść się pod ziemię. Wsiąść na dworcu w pierwszy lepszy pociąg, wszystko jedno dokąd, w środku nocy, nikomu nic nie mówiąc. Po prostu wyjechać, wyłączyć komórkę, wystraszyć swoją dziewczynę, dać jej nauczkę. Taki miała plan, gdy późnym wieczorem w maju wylądowała w barze w drodze na dworzec, żeby się napić i ostatecznie nabrać odwagi. A w tym barze siedział on. To ona zaprosiła go na drinka. To ona nie tylko z nim piła, lecz także siedziała mu na kolanach. I to ona szepnęła mu do ucha: „Może pójdziemy do ciebie?”.

– Czy jest coś jeszcze? – pyta Kirsten, ostrożnie mrużąc oczy.

– Nie – odpowiadam. – Już nic.

Nic, co byłoby ważne.

Lars Rogner nie żyje, a ja jem śniadanie z kobietą, którą kocham.

– Myślisz, że mogłybyśmy później podjechać jeszcze do drogerii?

– Jasne – odpowiada Kirsten. – Czego ci trzeba?

Uśmiecham się.

– Farby do włosów. Czas pozbyć się tego blondu.

Gazety zgadzają się co do jednego, Leno: Jasmin G. przeżyła. I powoli zaczynam wierzyć, że to prawda. Dobra prawda.

Matthias

Piękny dzień pod koniec października, jak z obrazka. Powietrze jest rześkie. Drzewa, które przed zimą postanowiły jeszcze raz nacieszyć się życiem, ukazują swoją najpiękniejszą, kolorową szatę z liści.

– Światło ma w sobie coś złocistego – mówi Karin. – Idealne popołudnie na spacer – zauważa, nie dając za wygraną.

Przy tym oboje wiemy, że również tego dnia nie wyjdę z domu. Siedzę naprzeciwko niej przy dużym stole, przede mną na talerzu kawałek ciasta, którego nie lubię. Mam na sobie piżamę, a na nią wciągnięty gruby granatowy szlafrok z frotté, na stopach kapcie. Jestem nieogolony, nieuczesany. Jak wczoraj. Jak przedwczoraj. Jak przez wszystkie dni ostatniego tygodnia, kiedy nie robiłem nic innego poza snuciem się po domu. Czasem odpoczywałem przy stole i brałem kilka mdłych kęsów. Drzemałem na kanapie. Albo rozmyślałem w dawnym pokoju Leny, który teraz znów stoi pusty. Tak jak ja. Hannah odeszła. Wróciła do ośrodka leczenia traumy. Doktor Hamstedt mówi, że jej terapia idzie lepiej, teraz, gdy tę historię wreszcie opowiedziano i stała się znana, dopiero teraz można naprawdę zacząć działać. Jonathan również robi postępy. Karin

twierdzi, że podczas swojej ostatniej wizyty widziała go naprawdę odprężonego. Już nazywa ją babcią.

– Napijesz się jeszcze herbaty? – pyta i uśmiecha się zachęcająco przez stół.

Kręcę głową. Odsuwam od siebie talerz z ciastem. Żegnam się, jakby co, będę na górze, w pokoju Leny. Karin pozwala mi odejść bez dalszych komentarzy.

Wczoraj dzwonił Gerd. Sprawdzili odciski palców na obu listach, które Jasmin Grass przekazała policji, i oczywiście należą do mnie. Gerd powiedział, że zobaczy, co da się zrobić. Byłby to mój drugi zarzut. Nawet jeśli Jasmin Grass nie wniesie oskarżenia – a pewnie tego nie zrobi – to nadal pozostaje kwestia utrudniania śledztwa.

– Od kary w wysokości dziewięćdziesięciu dniówek uchodzi się już za karanego – dodał Gerd, po czym westchnął: – Do licha, Matthias, dlaczego?

Ja też westchnąłem, tylko westchnąłem, nic więcej. Brakuje mi słów. Myślałem, że Jasmin Grass coś ukrywa. Myślałem, że moje listy rozwiążą jej język. Lekko ją nastraszą. Przypomną jej o Lenie, która zasługiwała na prawdę. A może nic nie myślałem. Znow byłem zaślepionym, beużytecznym, głupim osłem, jak zawsze. Podrzuciłem pani Grass te listy podczas wyjazdów do ośrodka leczenia traumy. Gerd chciał wiedzieć, skąd znałem jej adres. Uśmiechnąłem się do słuchawki. Ach, Gerd, stary, dobry, naiwny Gerd. Każdy może zdobyć ten adres, wystarczy kilka kliknięć w internecie.

– Nikomu nie ułatwiłeś tym życia, Matthias.

Nie, jestem beznadziejnym przypadkiem, wiem o tym.

– No cóż, już wreszcie po wszystkim – powiedział Gerd na koniec naszej rozmowy i dodał: – Może powinniśmy znow kiedyś wyskoczyć razem na ryby. Pamiętasz jeszcze? Tak jak kiedyś.

– Tak, może – odpowiedziałem. – Trzymaj się, Gerd.

Już wreszcie po wszystkim.

Wchodzę do dawnego pokoju Leny. Łóżko jest posłane, krzesło starannie dosunięte do biurka. Na parapecie wyciągają się do światła dwa storczyki, które Karin z lubością pielęgnuje.

Już po wszystkim, powinien zapanować spokój.

Siadam na łóżku Leny, nade mną rozgwieżdżone niebo.

Cztery tysiące osiemset czterdzieści dwa dni.

Tak długo szukałem córki, szukałem odpowiedzi i byłem pewien, że jeśli znajdę jedną albo drugą, to zaznam spokoju.

Cztery tysiące osiemset czterdzieści dwa dni, które dało się streścić w dziesięciominutowej opowieści. Więcej czasu Rogner na to nie potrzebował.

I to miałyby być tyle?

Tak, rzeczywiście to tyle, ale coś mi tu nie pasuje. Jest niewystarczające. Kim teraz jestem? Co ze mnie zostało? Co pozostaje, kiedy Lena nie żyje, a Hanny tu nie ma?

Doktor Hamstedt powiedziała, że możemy odwiedzać dzieci dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, od trzeciej do czwartej. Z czasem wizyty będzie można oczywiście wydłużyć, ale w tym momencie, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach, dzieci powinny skupić się w pierwszej kolejności na terapii. Karin określiła to rozwiązanie „rozsądnym”.

Leżę pod gwiazdami. Myślę o Hannie.

Hanneczka...

Wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby nagle znów zatętniło we mnie życie. Gdyby była jakaś nadzieja, perspektywa. Gdybym wstał, bo nagle bym wiedział, co robić, jakbym doznał objawienia. Gdybym wszedł do sypialni, wyjął z szafy czyste rzeczy. Znów po tych kilku dniach udał się do łazienki i wziął prysznic. Ogolił się. Zrobił sobie porządną przedziałek. Gdybym zszedł na dół, do kuchni, gdzie Karin zmywa naczynia i cieszy się, widząc mnie ubranego, zadbanego, przypominającego prawdziwego

człowieka. Gdyby na mój widok przepełniła ją nadzieja. Nadzieja na spacer tego słonecznego jesiennego popołudnia. Całuję ją w policzek i mówię:

– Podjadę tylko na chwilę do kancelarii i odsłucham automatyczną sekretarkę.

A Karin ogarnia jeszcze większa nadzieja. Damy radę. Przed nami jeszcze kilka dobrych, wspólnych lat. Będzie inaczej, to fakt. Ale wciąż mamy siebie i wreszcie mamy jasność. Uśmiecham się do niej jeszcze raz, potem wychodzę z kuchni, mijam przedpokój i wchodzę do garażu, wsiadam do samochodu. Drzwi garażowe podnoszą się, cofam. Jadę. Nie do kancelarii.

Do Ratzbony, do ośrodka leczenia traumy. Do Hanny.

Wyobrażam sobie, jak biorę ją za rękę i prowadzę z budynku na parking. Jak zapinam jej pas na tylnym siedzeniu. Siadam z przodu. Odpalam silnik.

– Pojedźmy gdzieś daleko, dziadku – dobiega jej piskliwy głos z tylnego siedzenia.

A ja uśmiecham się do lusterka i mówię.

– Tak, skarbie, to właśnie zrobimy.

Leżę pod gwiazdzistym niebem.

Mógłbym...

Aż tak bardzo się od siebie nie różnimy, panie Beck.

Epilog

Lena, wrzesień 2013 roku

Nasz świat ma sztywne ściany. Bez okien, bez drzwi. Nasz świat jest mały. Dwadzieścia cztery kroki od biblioteczki do kuchennego blatu, jeśli będzie się na przemian dostawiać piętę jednej stopy do palców drugiej. W naszym świecie obowiązują zasady i kary oraz osobny czas.

Chodzi o władzę.

Myślisz, że nas zamknąłeś. Że jesteśmy twoimi więźniami. Odizolowanymi od wszystkiego, od świata zewnętrznego i ludzi. Że jesteśmy tylko twoi.

Tak, tu chodzi o władzę.

Twoja obejmuje cztery sztywne ściany i dwadzieścia cztery kroki pomiarowe.

Wiem, jak bardzo byś chciał, żebym wymówiła twoje imię. Dosłownie błągasz, żebym je powiedziała, tak jak wcześniej, kiedy przechodziło przez moje usta z miłością, ekscytacją, podziwem lub przynajmniej z uprzejmością. Ale ja nie robię ci tej przysługi. Nieważne, ile razy będziesz mi przypominać o naszych dobrych czasach. Nieważne, czy mnie uderzysz, kopniesz, obrazisz, czy zranisz na jakiegokolwiek inne możliwe sposoby. Stałeś mi się obcy i będę dawała ci to odczuć aż do końca. To jest władza. Moja władza i jej pokłady są niewyczerpane.

Myślisz, że nas zamknąłeś?

Jesteś biednym, chorym człowiekiem, Obcym, skoro we wszystkim dostrzegasz tylko więzienie. Za każdym razem, gdy odwracasz się do mnie plecami, sadzam za nimi kwiat, całe pole intensywnie żółtych słoneczników. Jeśli tylko zechcę, mogę wyczarować hortensje wielkości główek kapusty.

I chcę. W każdej chwili, gdy zostawiasz nas samych, sprowadzam świat do naszych sztywnych czterech ścian. Tworzę tajemnice i sferę prywatności. Jeżdżę z córką na wycieczki, podczas gdy nasz syn słodko śpi po kubku mleka z miodem i marzy o lataniu. Zabieram Hannę do naszego ogrodu, do hortensji. Przedstawiam ją dziadkom i pozwalam biedronkom spacerować po jej dłoni. Myślisz, że jesteśmy tutaj, zamknięci i uwięzieni. Ale my jesteśmy w Paryżu, nad morzem i we wszystkich innych miejscach, od których wydaje ci się, że możesz nas odciąć, jeśli tylko zamkniesz drzwi i zabijesz okna.

Władza, Obcy.

Potrafię ożywić pluszowego kota. Zalać pokój słońcem. Ściągnąć gwiazdy z nieba. I wiem, że pewnego dnia moje dzieci zobaczą to wszystko nie tylko moimi oczami i przez moje historie. Pewnego dnia wyjdą tymi drzwiami, wyjdą na świat.

Daje to nadzieję i nie dopuszczę, żeby ona zgasła, to moja władza.

Nie masz nas, nie do końca.

To twoje więzienie. Nie nasze.

Podziękowania

Swoje bezgraniczne podziękowania kieruję do agentki Cateriny Kirsten, bez której tej książki najzwyczajniej by nie było. Droga Caterino, ależ walczyłaś u mojego boku i dla mnie, nigdy Ci tego nie zapomnę. Niech nasza wspólna podróż trwa jeszcze wiele, wiele lat i przez równie wiele książek.

Poza tym chciałabym podziękować Georgowi Simaderowi, Vanessie Gutenkunst, Lisie Volpp i Felixowi Rudloffowi za osłanianie mi pleców i niezapomniane wrażenia, jakie daje czytanie po raz pierwszy przed publicznością, oraz za kieliszek czegoś mocniejszego akurat w odpowiednim momencie.

Dawno, dawno temu była sobie mała autorka, która zalała się rzewnymi łzami, gdy zadzwoniła do niej agentka, płakała z radości, szczęścia i oszołomienia... jesteście za to współodpowiedzialni, Claudio Baumhöver i Bianco Dombrowo. Wam – oraz wszystkim innym wspaniałym, zaangażowanym i pełnym entuzjazmu ludziom z wydawnictwa dtv – chciałabym w tym miejscu jeszcze raz powiedzieć, że bardzo cenię Wasze poświęcenie i pracę oraz że jestem Wam bardzo wdzięczna za ten wyjątkowy czas w moim życiu.

I na koniec dziękuję mojej rodzinie: mam nadzieję, że wystarczająco często mówię Wam to, co tutaj zajęłoby nieprzyzwoicie wiele stron – mam nadzieję, że pamiętacie o tym każdego dnia. Jesteście dla mnie celem i przyczyną wszystkiego.

¹ Ernest Hemingway, *Rzeka dwóch serc i inne opowiadania*, tłum. Bronisław Zieliński.

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agata Teperek
Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Gabriela Niemiec, Tomasz P. Bocheński

Projekt okładki: Wildes Blut, Atelier für Gestaltung Stephanie Weischer
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Wendy Stevenson/Arcangel

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9828-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo